

KAREN
ROBARDS

PEWNE LATO

Przełożyła I S-ka



Karen Robards

Pewne lato

Tytuł oryginału

One Summer

Rozdział 1

Od czasu tamtego koszmarnego świtu Rachel Grant nie znosiła woni kwiatów złotokapu. A właśnie dzisiaj, jak na ironię, w powietrzu unosił się ów duszący zapach.

Stała na przystanku autobusowym Greyhound przy rozgrzanej od upału asfaltowej szosie i czekała na Johnny'ego Harrisa, eby go powitać w rodzinnym mieście. Był niesfornym chłopakiem, którego wiele lat temu uczyła angielskiego w liceum. Chojrak Johnny Harris pochodził z miejscowego marginesu społecznego. Nikt w całym mieście nie wątpił w to, e wyrośnie na kogoś takiego jak jego ojciec. Tymczasem stał się kimś znacznie gorszym.

Jedenaście lat temu Johnny Harris został skazany za zamordowanie i oskarzony o zgwałcenie siedemnastoletniej licealistki.

A dzisiaj, dzięki pomocy Rachel, wracał do domu.

Usłyszała odgłos silnika autobusowego, zanim pojazd pojawił

się w polu widzenia. Nerwowo rozejrzała się wokół siebie, eby sprawdzić, czy ktoś na nią nie patrzy. Za szybą okienka stacji benzynowej, przebudowanej na dworzec autobusowy miasteczka Tylerville, dostrzegła sylwetkę kasjera Boba Gibsona. Po drugiej stronie budynku Jeff Skaggs – tegoroczny absolwent liceum, który pracował obecnie w sklepie sieci 7-Eleven – wrzucał monetę do automatu z coca-colą. Z tyłu za jego zaparkowanym d ipem Rachel zauważyła krzew złotokapu z błyszczącymi jasnozielonymi liśćmi i pąkami ółtych kwiatów.

Poczuła się nieco lepiej, gdy zidentyfikowała źródło zapachu. A 2

jednak zbieg okoliczności wydawał się zatrważający. Zakrwawione ciało Marybeth Edwards zostało znalezione prawie dokładnie jedenaście lat temu właśnie pod krzakiem złotokapu w równie upalny dzień jak dzisiaj. Zwłoki pokrywało kwiecie, które prawdopodobnie obsypało się z gałęzi, gdy dziewczyna walczyła z napastnikiem. Słodka woń kwiatów niemal tłumiła ostry zapach krwi. Miało to miejsce dokładnie o tej samej porze roku, pod koniec sierpnia – miesiąca gorącego jak wnętrze rozgrzanego pieca. Rachel jechała do liceum w Tylerville,

eby przygotować klasę do

rozpoczynającego się wkrótce roku szkolnego i jako jedna z pierwszych znalazła się na miejscu zbrodni. Do dzisiaj prześladował

ją ów potworny widok.

Od tamtej pory nie opuszczało jej te przekonanie, że Johnny Harris nie zabił owej ładnej blondynki, z którą się spotykał. Ich związek był publiczną tajemnicą. Widywał się z nią po kryjomu, wbrew woli jej rodziców. Dlatego gdy dziewczyna została znaleziona martwa z jego nasieniem wewnątrz ciała, sprawa została jednocześnie otwarta i zamknięta. W tydzień po tragicznym wydarzeniu Johnny'ego aresztowano, a następnie osądzono i skazano za morderstwo, którego, jak domniemywano, dopuścił się w chwili, gdy Marybeth oświadczyła mu, że nie zamierza się z nim dłużej spotykać. Oskarżenie o gwałt zostało oddalone. Zbyt wielu ludzi wiedziało, jak bliskie stosunki łączyły tych dwoje. Rachel nigdy nie uwierzyła w to, że chłopak, którego dobrze знаła, mógł

się dopuścić tak potwornej zbrodni. Zawsze miała niezachwianą pewność, że jego jedyną winą jest pochodzenie.

A teraz modliła się w duchu, aby jej opinia o Johnnym Harrisie

okazała się słuszną.

Autobus podjechał na przystanek i zatrzymał się z piskiem hamulców. Otworzyły się drzwi. Rachel wbiła wzrok w pustą przestrzeń, zaciskając palce na pasku letniej torebki. Obcaszki sztywnych białych pantofli zatopiły się w asfalcie, a jej ciało naprężyło się w oczekiwaniu.

Johnny Harris miał na sobie zniszczone dżinsy, biały bawełniany podkoszulek i zdarte brązowe kowbojskie buty. Na szerokich barach mocno opinała się koszula z dzianiny. Pod zaskakująco opaloną skórą wybrzuszały się bicepsy. Johnny był

chudy. Nie, Rachel uznała, że odpowiedniejszym określeniem jest słowo szczupły. Miał tak jak kiedyś kruczoczarne włosy, choć były teraz bardziej faliste i dłuższe niż wtedy. Sięgały mu niemal ramion.

Jego twarz nie zmieniła się zupełnie. Rachel poznała go natychmiast, pomimo kilkudniowego zarostu, zacierającego wyrazistość linii uchwytu i brody. Pośpny i przystojny chłopiec, którego pamiętała, był nadal pośpny i przystojny. Tyle tylko, że przestał już być chłopcem. Wyrósł na dojrzałego mężczyznę o groźnym wyglądzie.

Myśl, że Johnny musi mieć około trzydziestki, wstrząsnęła Rachel. Jeśli nawet kiedyś cokolwiek o nim wiedziała, to teraz stał

się dla niej zupełnie obcym człowiekiem.

Ostatnie dziesięć lat swojego

życia spędził w więzieniu

federalnym.

Zszedł na asfaltową nawierzchnię szosy i rozejrzał się wokół.

Rachel stała na uboczu. Otrząsnęła się z rozmyślań i ruszyła w jego 4

stronę. Obcasy grzęzły jej w szczelinach pomiędzy płytami chodnika. Potknęła się. Gdy odzyskała równowagę, poczuła na sobie jego oczy.

– Panno Grant. – Powoli, bez uśmiechu, mierzył ją wzrokiem.

W wyzywającym spojrzeniu nie było ani śladu szacunku.

Bezceremonialnie taksował jej kobiece kształty. Wprawił ją tym w zakłopotanie. Uczniowie nie patrzą w ten sposób na swoje byłe nauczycielki.

– Witaj w domu, Johnny. – Absurdem było zwracać się do tego męczyzny o surowej twarzy jak do licealisty, ale z przyzwyczajenia wymówiła jego imię, podobnie jak i on powitał ją w sposób zapamiętany z dawnych lat.

– Tak, w domu. – Zacisnął usta, rozglądając się dookoła.

Podążając za jego wzrokiem, zobaczyła Jeffa Skaggsa, który zamarł

z puszką coca-coli w dłoni, wytrzeszczając na nich oczy. Wiedziała już,

e wiadomość o powrocie Johnny'ego Harrisa lotem błyskawicy roznieśli się po Tylerville. Igell Skaggs, matka Jeffa, była największą plotkarką w mieście. Rachel nigdy się nie łudziła, e powrót Johnny'ego będzie mo na utrzymać w tajemnicy. W

Tylerville w stanie Kentucky niczego nie dało się ukryć, w ka dym razie nie na długo. Wszyscy wszystko o wszystkich wiedzieli.

Rachel zakładała jednak, e Johnny będzie miał szansę oswojenia się z nową sytuacją, zanim rozszaleje się nieunikniona burza protestów. Gdyby niektórzy obywatele słyszeli wcześniej o jego powrocie do Tylerville, poruszyliby niebo i ziemię, eby zatrzymać go jak najdalej od miasta.

Teraz już wiedzieli albo dowiedzą się wkrótce. Ale było już za 5

późno na to, by mogli cokolwiek zrobić. Rachel przewidywała, e wybuchnie straszliwa wrzawa, a niezadowolenie mieszkańców w powo nym stopniu skrupi się na niej. Zdawała sobie z tego sprawę od chwili, gdy otrzymała od Johnny'ego list, w którym prosił ją o pracę umo liwiającą uzyskanie zwolnienia warunkowego, i kiedy odpisała, obiecując pomoc.

Nie znosiła sytuacji dra liwych. A szczególnie takich, które stawiały ją samą w centrum konfliktu. Była jednak święcie przekonana, e chłopak, którego pamiętała, nie zasługuje na los, jaki go spotkał.

Tylko e ów wysoki nieznajomy o surowej powierzchowności nie był już chłopcem z jej wspomnień. Świadczyło o tym również jego niemal obraźliwe spojrzenie.

Kierowca wysiadł z autobusu i otworzył schowek na baga e.

Rachel wzięła się w garść.

– Zabierzmy twoje rzeczy.

W pozbawionym wesołości śmiechu Johnny'ego zabrzmiała drwiąca nuta.

– Mam je przy sobie, panno Grant.

Wskazał na przewieszoną przez ramię poplamioną płócienną torbę.

– Ach tak. A zatem mo emy ju jechać?

Nie odpowiedział. Odwróciła się, zmierzając do swojego samochodu. Czowała się dziwnie zakłopotana. Co prawda nie oczekiwała, e z autobusu wysiądzie osiemnastoletni chłopak, którego uczyła, ale nie była równie przygotowana na spotkanie z dojrzałym mę czyzną. Dowodziło to jedynie jej bezdennej głupoty.

6

Poskramiając uczucie paniki, dotarła do wozu – niebieskiej maximy – otworzyła drzwi i obejrzała się przez ramię w momencie, gdy Johnny Harris wykonywał nieprzyzwoity gest zaadresowany do Jeffa Skaggsa. Widok długiego środkowego palca sprośnie skierowanego w górę potwierdził jej podejrzenia, e udzielając wsparcia Johnny'emu Harrisowi podjęła się zadania, które mo e przerosnąć jej siły.

– Czy to naprawdę było potrzebne? – zapytała cicho, gdy się zbli ył.

Obszedł pojazd dookoła, otworzył tylne drzwi, wrzucił do środka płócienną torbę, a sam wsunął się na przednie siedzenie.

Rachel nie pozostało nic innego, jak te wsiąść do samochodu.

Przestronna maxima wydała się jej zadziwiająco ciasna, gdy Johnny Harris zajmował miejsce w sąsiednim fotelu. Jego ramiona były szersze od popielatego pluszowego oparcia i Rachel nie mogła się oprzeć wra eniu, e naruszają jej przestrzeń. Długie nogi rozło ył na boki, gdy nie mógł ich wyciągnąć. Jednym kolaniem opierał się o skrzynię biegów pomiędzy siedzeniami. Bliskość Johnny'ego sprawiała, e czuła się nieswojo. Odwrócił głowę w stronę Rachel i znowu prześliznął się po niej wzrokiem. Jego oczy były głębokie, zamglone i błękitne (zabawne, e tego nie zapamiętała). Tym razem nie mogła mieć wątpliwości co do natury owego spojrzenia.

– Zapnij pasy. Takie są przepisy. – Z trudem się powstrzymała, eby nie pochylić się nad kierownicą i nie zasłonić piersi przed jego wzrokiem. Zwykle nie czuła się skrepowana w obecności mę czyzn. Prawdę mówiąc w ciągu ostatnich kilku lat starała się ich 7

nie dostrzegać. Kiedyś, dawno temu, jej głupie serce zapalało szalonym uczuciem do studenta, który wykorzystał miłość i młodzieńczą namiętność, jaką mu ofiarowała, a potem odrzucił jej afekty jak

bezwartościowy prezent. Z czasem otrząsnęła się z przygnębienia po owym bolesnym doświadczeniu i traktowała je jako przestrożę,

e bezpieczniej jest zachowywać dystans w stosunkach z płcią przeciwną.

Nie było jednak sposobu, eby trzymać na dystans Johnny'ego Harrisa, który właśnie utkwiał oczy w jej biuście. Z całą pewnością nie wymyśliła tego sobie. Odruchowo spojrzała w dół. Biała sukienka bez rękawów z bawełnianej dzianiny ze śmiałym wzorem w purpurowe hortensje zakrywała jej ciało pod samą szyję i sięgała niemal do kostek. Zgrabnie le ała na jej szczupłej figurze, prezentując się kobieco, a zarazem skromnie. Nic w ubiorze Rachel nie mogło prowokować owych krępujących spojrzeń. A jednak pod natrętym wzrokiem Johnny'ego czuła się obrzydliwie obna ona, prawie naga. Sytuacja była dla niej enująca. Milczała jednak, poniewa nie potrafiła wymyślić nic lepszego.

– Oczywiście. Nie mo emy sobie teraz pozwolić na łamanie prawa, prawda?

Wyczuła w jego słowach drwinę, ale przynajmniej osiągnęła cel, gdy zapiął pasy. Odetchnęła z wyraźną ulgą, kiedy odwrócił od niej głowę.

Trzęsa się cała i dr ały jej palce, gdy próbowała umieścić kluczyk w stacyjce. Dopiero za trzecim razem zdołała uruchomić silnik. Przez odsłonięte otwory klimatyzacyjne do wnętrza samochodu wtargnęło gorące powietrze. Miała wra enie, e się 8

dusi. Szukając po omacku, natrafiła dłonią na przyciski, które automatycznie otwierały boczne okna. Ale na zewnątrz temperatura wcale nie była ni sza. Rachel poczuła na czole kropelki potu.

– Straszny upał, prawda? – Uznała, e pogoda to dobry i bezpieczny temat do prowadzenia rozmowy.

W odpowiedzi Johnny bąknął coś pod nosem. Rachel zdjęła stopę z hamulca i nacisnęła pedał gazu. Maxima gwałtownie wystrzeliła do tyłu i zatrzymała się ze wstrząsem na telegraficznym słupie, który stał na skrawku trawnika oddzielającego budynek dworca autobusowego od automatu pralniczego Callie's.

Pewnie przez omyłkę wrzuciła bieg wsteczny. Zaklęła pod nosem.

Chwilę po uderzeniu adne z nich się nie poruszyło. Dopiero za moment, gdy Rachel nadal próbowała odzyskać panowanie nad sobą, Johnny obrócił się w fotelu, eby ocenić straty.

– Następnym razem niech pani spróbuje jechać do przodu.

Milczała. Có mogła powiedzieć? Uruchomiła silnik i odjechała.

Prawdopodobnie pojazd miał wgnieciony zderzak. Z oględzinami postanowiła się jednak wstrzymać do chwili, gdy Johnny'ego Harrisa nie będzie ju w samochodzie.

– Czy by to moja obecność tak źle wpływała na stan pani nerwów, panno Grant? – spytał, gdy Rachel zdołała bezkolizyjnie włączyć się do ruchu na dwupasmowej jezdni przecinającej miasto.

Wpadające oknem wilgotne powietrze pozlepiało w kosmyki jej zwykle gładkie, ostrzy one na pazia włosy. Smagały ją po oczach i utrudniały obserwację drogi. W roztargnieniu odgarnęła opadające na twarz pasma i przytrzymała je na czubku głowy jedną ręką.

9

Pocieszała się,

e radzenie sobie z Johnnym Harrisem i równoczesne

prowadzenie

samochodu

to

tylko

pozornie

wykluczające się czynności. Z pewnością przy odrobinie koncentracji zdoła podolać jednemu i drugiemu.

– Ale skąd – odparła, zmuszając się do uśmiechu. Nie na darmo od trzynastu lat zajmowała się nauczaniem w liceum.

Zachowywanie spokoju w chwilach nieustannego zamieszania, a tak e podczas nierzadko zdarzających się niepowodzeń, stało się jej drugą naturą.

– Na pewno? Wygląda pani na przestraszoną. Odnoszę wra enie, e zastanawia się pani, czy zaraz nie zacznę pani r nąć.

– Co takiego? – Z trudem wydobyła z siebie głos. Ręka, która przytrzymywała włosy, opadła na kierownicę. Zaszokowana Rachel

strzeliła wzrokiem w stronę swojego pasa era. Oczywiście rozumiała znaczenie tego wyra enia. W młodzie owym slangu zastępowało określenie: „mieć z kimś stosunek”. Rachel nie mogła uwierzyć, eby Johnny mógł się tak do niej odezwać. Była pięć lat starsza od niego. I nigdy nikomu nie przyszłoby na myśl, eby ją nazwać flirciarą. A poza tym uczyła go kiedyś w liceum i zawsze starała mu się okazywać przyjaźń.

Tylko e utrzymywanie przyjaznych stosunków z Johnnym Harrisem było znacznie trudniejsze, ni się tego spodziewała.

– W końcu upłynęło a dziesięć lat od czasu, kiedy miałem przyjemność obcowania z kobietą. Och, proszę mi wybaczyć. W

pani przypadku powinienem był powiedzieć: cieszyć się towarzystwem damy. Dlatego pani obawy, e jestem podniecony, są w pełni uzasadnione.

10

– Słucham? – Tym razem był to bardziej urwany szept ni pytanie. Rachel patrzyła na niego ze zdumieniem, nie dowierzając własnym uszom.

– Cholera! Kobieto, patrz na drogę! – Niespodziewany wrzask otrzeźwił ją. Posłusznie wykonała polecenie, a Johnny szarpnął za kierownicę. Obok nich z hukiem przemknęła załadowana węglem ciężarówka. Mały samochód zadrzał pod wpływem pędu powietrza.

– Jezu Chryste! Omal nas pani nie zabiła!

Z powodu upału i napięcia Rachel poczuła mdłości. Przycisnęła guzik, podciągając w górę szyby. Nawiew klimatyzacyjny niósł

teraz ze sobą zbawienny chłód. Rachel przez moment delectowała się dotykiem chłodnego powietrza na rozpalonej twarzy.

– Na miłość boską, kto uczył panią jeździć? Pani obecność na jezdni stwarza poważne zagrożenie!

Nic nie odpowiedziała. Gwałtownie opadł na siedzenie.

Zaciśnięte w pięści dłonie na kolanach były jedyną oznaką jego niepokoju. A tak e oczy nieruchomo utkwione w drodze przed sobą.

Przynajmniej znalazła sposób na odwrócenie jego poślidiwego wzroku od swojej osoby. Ale popełniłaby błąd, przechodząc do porządku nad tym problemem. Pamiętała z dawnych czasów, e jedyną

skuteczną

metodą postępowania z Johnnym

jest

nieustępliwość. Ilekroć poczuł, e mo e komuś wejść na głowę, nigdy nie omieszkał skorzystać z okazji.

– Nie pozwolę, ebyś się tak do mnie odzywał – rzuciła w pełną napięcia ciszę.

Mówiła, patrząc nieruchomo przed siebie i zaciskając na 11

kierownicy obie dłonie. Muszę zachować spokój, przykazywała sobie w myślach. Tylko w ten sposób zdołam nad nim panować.

Na nieszczęście dworzec autobusowy był usytuowany po drugiej stronie miasta i od miejsca przeznaczenia dzieliło ich jakieś dziesięć minut jazdy. Na drodze panował zaskakująco duży ruch jak na czwartkowe popołudnie. A Rachel nawet w najbardziej dogodnych warunkach miała ubolewania godną skłonność do dekoncentracji. Zwykła fruwać w obłokach zamiast mocno stąpać po ziemi i skupiać uwagę na wykonywanych czynnościach, co zawsze wypominała jej matka. W rezultacie nader często musiała korzystać z usług blacharzy samochodowych.

A dzisiaj sytuacja na jezdni nie była korzystna.

– Och, pewnie chodzi pani o to, że jestem podniecony. Chciałem panią uspokoić. Nie musi się pani obawiać ataku. W każdym razie nie z mojej strony.

Niewinnie brzmiącemu stwierdzeniu towarzyszyło kolejne spojrzenie, którego cel był a nadto czytelny: jawna ocena jej ciała.

Johnny świadomie wprowadził ją w zakłopotanie, chociaż nie miała pojęcia, dlaczego to robi. Przecież była jego jedynym sprzymierzeńcem w tym mieście, a niewykluczone, że i na całym świecie.

– Postanowiłeś jeszcze bardziej utrudnić sobie życie, Johnny? –

zapytała cicho.

Zmrużył oczy.

– Niech pani daruje sobie te nauki, panno Grant. Nie jestem już licealistą.

– Miałeś wtedy lepsze maniery.

12

– A tak są życiowe perspektywy. A teraz jedno i drugie diabli wzięli. Ale coś pani powiem. Mam to gdzieś!

Zaniemówiła, co niewątpliwie było jego zamiarem.

W milczeniu minęli „Burger Kinga”, „Krogera” oraz sklepy ze starociami, które wyłoniły się na rogu ulic Vine i Main. Teraz gdy miejsce docelowe było już niemal w zasięgu wzroku, Rachel nieco się odprężyła. Jeszcze tylko kilka minut i pozbędzie się Johnny'ego.

Skupiła się, aby bez przygód wjechać na parking za oferującym artykuły elastyczne domem towarowym „Grant”, który jej dziadek otworzył na przełomie stulecia i nad którym teraz ona sprawowała nadzór.

– Nad sklepem jest twoje mieszkanie. Schody znajdziesz z tyłu budynku. – Zatrzymała samochód i wrzuciła bieg jałowy. Sięgnęła do kieszeni w drzwiach pojazdu i wręczyła Johnny'emu pojedynczy klucz zawieszony na metalowym kółku. – Komorne będzie potrącanie co tydzień z twojej pensji. Tak jak poinformowałam cię w liście, sklep jest otwarty od poniedziałku do soboty włącznie, od ósmej rano do szóstej wieczorem z godziną przerwą na obiad. A zatem do jutra o ósmej.

– Będę punktualnie.

– Dobrze.

Siedział nadal, bawiąc się kluczem i nie spuszczał z niej oczu.

Miał dziwny wyraz twarzy, którego nie potrafiła rozszyfrować.

– Dlaczego zaproponowała mi pani tę pracę? Nie lęka się pani męczyzny, który zgwałcił i zabił kilkunastoletnią dziewczynę?

– Oboje wiemy, że nie zgwałcił Marybeth Edwards rzuciła szorstko Rachel, zaciskając kurczowo ręce na kierownicy. – Jestem 13

przekonana, że to, co robiliście, odbywało się za obopólną zgodą, tak jak utrzymywałaś. A tak jest o tym, że dziewczyna była w chwili, gdy od niej odszedł. A teraz czy mógłbyś ją wysiąść? Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Oddechnęła z ulgą, gdy otworzył drzwi i bez słowa wysliznął się z samochodu. Nie miała pojęcia, w jaki sposób by go wyrzuciła z wozu, gdyby się opierał. Nacisnęła sprzęgło i delikatnie wrzuciła bieg. Gdy ponownie podniosła wzrok, Johnny znów był przy niej.

Opierał się o dach samochodu i stukał palcem w szybę.

Zaciskając usta, Rachel otworzyła okno. Znowu zaatakowało ją gorące powietrze.

– Jest coś, o czym chciałbym pani powiedzieć – oznajmił

poufnym tonem, pochylając się w jej stronę.

Jego bliskość ponownie wprowadziła ją w zakłopotanie. Ale Rachel już nie wątpiła, że właśnie o to mu chodzi. Na myśl o tym zeszywniała.

– Słucham? – rzuciła oschle.

– Gdy byłem w liceum, miałem na panią wielką ochotę.

I nadal mam.

Rachel ze zdumienia opadła szczęką. Johnny wyprostował się i uśmiechnął znacząco.

Gdy patrzyła za nim, jak odchodzi powolnym krokiem, zdała sobie sprawę z tego, że ma rozdziawione usta. Zacisnęła je gniewnie.

Z samochodu o nieokreślonym odcieniu brązu, który zatrzymał

się przy krawężniku jezdni za sklepem z artykułami elastycznymi, śledziły ich oczy obserwatora. Były lekko zamglone, gdy chłonęły ka dy szczegół w wyglądzie mężczyzny, który z dużą pewnością siebie powoli przemierzył parking i zniknął z pola widzenia za rogami budynku. Niebieska maxima z piskiem opon zawróciła, o wiele za szybko włączyła się do ulicznego ruchu i odjechała. Ale obserwator nie zwracał na to uwagi.

Wrócił. Johnny Harris wrócił. Obserwator długo czekał na ten moment – niemal wieczność. Plotki okazały się prawdziwe.

Obserwator nie śmiał w nie uwierzyć, dopóki Johnny nie wysiadł z autobusu i nie potwierdził ich swoją obecnością.

A więc Harris nareszcie jest w domu. Nadszedł czas, aby zakończyć to, co zostało rozpoczęte jedenaście lat temu.

Obserwator uśmiechnął się, ciesząc się na to z góry.

15

Rozdział 3

Słyszałaś? Idell twierdzi, że jej chłopak widział dzisiaj po południu na dworcu autobusowym Rachel Grant. Nigdy nie zgadniesz, po kogo przyjechała!

– Po kogo?

– Po Johnny'ego Harrisa.

– Po Johnny'ego Harrisa!? Przecie on jest w więzieniu! Idell musiała źle zrozumieć syna!

– Nie, przysięga, że Jeff tak jej właśnie powiedział. Pewnie zwolnili Harrisa warunkowo.

– Czy to może być w wypadku skazanych za morderstwo?

– Sądzę, że tak. W każdym razie Idell utrzymuje, że Jeff widział

go na własne oczy z Rachel Grant. Dasz wiarę?

– Nie!

– To prawda, pani Ashton – wtrąciła się do rozmowy Rachel. –

Johnny Harris wyszedł warunkowo z więzienia i będzie pracował w domu handlowym „Grant”. – Wciąż roztrzęsiona, z najwyższym trudem zdobyła się na pogodny uśmiech. Najlepsza i najgorsza zarazem cecha miasta Tylerville polegała na tym, że nie sposób było uniknąć wysłuchania poglądów

innych na temat swojego ycia. Dwie plotkujące kobiety stały w ogonku do kasy „Krogera” i były tak pogrą one w rozmowie, e nie zauwa yły Rachel na końcu drugiej kolejki.

Sześćdziesięcioletnią panią Ashton – przyjaciółkę matki Rachel

– zapoznawała właśnie z nowinami Pam Collier, kobieta w wieku 16

około czterdziestu pięciu lat i matka szesnastoletniego chłopca –

wcielonego diabła, który według wszelkiego prawdopodobieństwa miał w rozpoczynającym się niebawem roku szkolnym trafić do klasy Rachel. Nauczycielka pomyślała, e mając takiego czorta w domu, Pam powinna się zdobyć na odrobinę wyrozumiałości dla Johnny'ego. Pani Collier najwyraźniej była jednak od tego daleka.

– Och, Rachel. A co z Edwardsami? Chyba umrą, gdy się o tym dowiedzą. – W oczach pani Ashton pojawiła się troska na myśl o rodzinie zamordowanej dziewczyny.

– Naprawdę jest mi ich ogromnie al – rzekła Rachel. Nigdy jednak nie wierzyłam w to, e Johnny Harris zabił Marybeth Edwards. I nadal w to nie wierzę. Uczyłam go w liceum, pamięta pani. Nie był złym chłopcem. W ka dym razie nie do tego stopnia.

– Sumienie kazało Rachel wnieść poprawkę w ostatnim zdaniu.

Johnny Harris był nieznośnym wyrostkiem, który zwykł

pogardliwie wykrzywiać usta i impertynencko się odzywać. Nale ał

do tych młodych ludzi w czarnych skórzanych kurtkach, z którymi przyzwoici obywatele Tylerville mieli wieczne utrapienie. Upijał

się, wdawał w bójki, rozbijał uliczne latarnie i okna, nieprzyzwoicie się wyra ał i jeździł na motorze. Zadawał się z dzieciakami miejscowej hołoty, z której sam się wywodził, i jeśli wierzyć pogłoskom, razem ze swoją bandą urządził kiedyś hulankę, jakiej miasto Tylerville nigdy przedtem nie widziało. Nieustannie były z nim problemy w szkole i poza szkołą, a cięty język nie zjednywał

mu ludzkiej sympatii. Jednak zdaniem Rachel za chłopakiem przemawiało jego zamiłowanie do literatury. Prawdę mówiąc, właśnie z tego powodu po raz pierwszy pomyślała, e chłopak jest 17

inny, ni to na pozór mogłoby się wydawać.

Pewnego dnia pełniła dy ur na korytarzu. Dobiegał końca jej pierwszy semestr pracy w szkole i zaczynała właśnie dwudziesty drugi rok

ycia. Nagle zobaczyła wybiegającego bocznym wyjściem Johnny'ego Harrisa. Zachowywał się tak, jak gdyby miał

do tego pełne prawo. Ruszyła za nim. Podejrzewała, e się wymknął, by w ukryciu wypalić papierosa.

Znalazła go na parkingu. Leżał wyciągnięty na tylnym siedzeniu w samochodzie innego ucznia. Z okna wystawały trampki z dziurą w lewej podeszwie, długie nogi skrzył w kostkach, a podłoga pod głowę ręka służyła mu za poduszkę. Otwarta książka opierała się na przepoconej koszuli na piersi. Zaskoczenie Rachel dorównywało wojowniczości Johnny'ego w chwili, gdy został dostrzeżony.

– Wszyscy Harrisowie są tacy sami, bez wyjątków! Pamiętasz jak Buck Harris twierdził, że słyszy głos boga? Zaczął nazywać siebie kapłanem i założył własny kościół. Zbierał datki przeznaczone rzekomo dla głodujących dzieci w Apalachach. A potem wyjechał i roztrwonił wszystkie pieniądze na gry hazardowe, alkohol oraz na inne uciechy. Odsiedział za to prawie rok w więzieniu. Ale gdyby jego wszystkie grzeszki wyszły na jaw, okazałoby się, że to nie było jeszcze najcięższe przewinienie. – Pod wpływem wspomnień kobieta zacisnęła z dezaprobatą usta.

Rachel zastanawiała się, czy pani Ashton nie jest jedną z tych osób, które wspomagały finansowo „kościół” Bucka. W mieście było powszechnie wiadomo, że tylko najbardziej naiwni obywatele dali się na to nabrać. Kto przy zdrowych zmysłach zaufałby Buckowi Harrisowi?

18

– Nie może pani winić Johnny'ego za to, co zrobił jego brat –

powiedziała pojednawczo Rachel, ale najwyraźniej jej argument nie trafił pani Ashton do przekonania.

Rachel stwierdziła z ulgą, że Betty Nicols, kasjerka, która ju jako dziewczynka skwapliwie nadstawiała ucha na wszystkie plotki, jest zajęta upychaniem artykułów spożywczych do dwóch brązowych toreb z papieru. Pulsowanie krwi w skroniach Rachel było zwiastunem nadciągającego bólu głowy. Miała do niego skłonność od wielu lat, a dokładnie od czasu, gdy zrozumiała, że nigdy nie zdoła się wyrwać z Tylerville. Nigdy. Więzy miłości rodzinnej i obowiązku krępowały jej ruchy mocniej i pewniej niż elastyczne łańcuchy. Zdała się ju pogodzić z losem, a nawet przyjmowała go ze swoistym poczuciem humoru. Miała wrażenie, że podcięto jej skrzydła, choć zawsze marzyła o wysokich lotach i o innym życiu. Była jeszcze jedną ofiarą owego feralnego lata jedenaście lat temu.

Jej egzystencja miała teraz wyraźnie wytyczony kurs na najbliższe pięćdziesiąt lat, a była to kariera prowincjonalnej nauczycielki. Powołaniem Rachel stała się herkulesowa praca: otwieranie nowych horyzontów umysłowych młodzieży z Tylerville oraz zapoznawanie jej z potęgą i pięknem świata. Te perspektywy na początku wydawały się obiecujące. Ale w miarę upływu lat zrozumiała, że wykrzesanie iskry wyobraźni i twórczej myśli z uczniowskich umysłów jest tak niewdzięcznym zadaniem jak poszukiwanie pereł wśród ostryg zalegających dno oceanu. Jedynie sporadyczne sukcesy podtrzymywały jej wiarę w wartość własnej pracy.

19

Johnny Harris był jednym z nich. Na myśl o nim ból głowy się nasilił. Z grymasem na twarzy zaczęła szperać w torebce w poszukiwaniu książki czekowej, aby czym prędzej uciec ze sklepu spożywczego. Najmniej był jej teraz potrzebny stres, spowodowany wstawianiem się do kasy za Johnny'ego. Najpierw musiała się sama oswoić z myślą o jego nowej osobowości. O

niczym bardziej nie marzyła, jak o tym, eby na dziesięć minut znaleźć się z dala od ludzi. Towary pani Ashton zostały ju załadowane

na

wózek,

a

komputer

odczytywał

ceny

przesuwających się po taśmie ostatnich zakupów Pam Collier.

Katecheza, dzięki Bogu, dobiegała końca. Ju za kilka minut Rachel będzie mogła stąd uciec.

– Sue Ann Harris jest zwykłą dziwką, wybacz mi to określenie.

Przeprowadziła się teraz do Detroit, gdzie jak słyszałam, korzysta z zasiłku opieki społecznej jako matka trojga dzieci, z których ka de ma innego ojca, a aden z nich nigdy nie był jej mę em.

– Chyba nie mówisz powa nie! – Pani Ashton pokręciła głową.

– Takie krą ą pogłoski – rzekła Pam. – Wszyscy równie wiedzą o tym, e Grady Harris był największym handlarzem narkotyków w całym stanie, zanim nie utonął trzy lata temu. Na pewno by się nie utopił, gdyby nie był naszprycowany.

Rachel wciągnęła głęboko powietrze. Dokuczał jej pulsujący ból głowy, ale nie zwracała na to uwagi.

– Z tego co słyszałam, wypadł za burtę podczas przyjęcia na jachcie przyjaciół i uderzył się w głowę. Nikt mu niczego nie udowodnił poza tym, e pił burbona. A jeśli to jest zbrodnią, to niewątpliwie w tych stronach a się roi od przestępców. – Pomimo 20

własnych niedawnych złych przeczuć, przynajmniej w stosunku do jednego z braci Harrisów, Rachel czuła się w obowiązku zwrócić uwagę na fakty, choćby to się miało na niewiele zdać. yła w tym mieście i do niej równie docierały ró ne pogłoski. Nikt nie wiedział, ile jest w nich prawdy. Ale nikogo to nie powstrzymywało przed ich powtarzaniem. Plotka była krwioobiegim Tylerville.

Rachel przypuszczała, e uciszenie jej odebrałoby sens ycia wielu mieszkańcom.

Musiała uczciwie przyznać, e w wypowiedziach Pam i pani Ashton kryje się ziarno prawdy. Harrisowie nie byli obywatelami cieszącymi się powszechną sympatią. Rachel nie kwestionowała tego faktu. Pragnęła jedynie dać chłopcu, a właściwie ju teraz mę czyźnie, jeszcze jedną szansę.

Czuła, e na nią zasługuje. Nie próbowała zachęcać go do świętości. Ale prześladowała ją myśl, e w związku z zabójstwem Marybeth Edwards spotkała go niezasłu ona kara.

– A Willie Harris ma w całym mieście dzieci. Słyszałam, e nawet niektóre w Perrytown są jego. – Pam zni yła głos, gdy przekazywała ostatnią kąśliwą informację. eby w pełni docenić znaczenie tej pogłoski, nale y dodać, e Perrytown jest murzyńską enklawą na przedmieściach. Gdy rasowa integracja stała się prawem i niemal ka dy w Tylerville głośno napiętnował wszelkie przejawy rasizmu, czarni obywatele w przewa ającej większości nadal yli we własnej małej wspólnotce poza obrębem miasta.

Nie wierzę! – Nawet pani Ashton wydawała się wstrząśnięta i uznała wiadomość za potwarz rzuconą na ojca Johnny'ego.

– Tak słyszałam.

21

– Razem będzie trzydzieści siedem i sześćdziesiąt dwa, panno Grant.

– Słucham?

Betty Nicols cierpliwie powtórzyła nale ną kwotę.

Rachel z ulgą oderwała się od rozmowy, pospiesznie wypełniła czek i podała go kasjerce. Wszyscy się znali w Tylerville. Betty chodziła kiedyś do klasy Rachel. Nie było zatem potrzeby okazywania prawa jazdy ani innego dokumentu to samości. Całe miasto wiedziało, e чеки Grantów są równie pewną formą płatności jak złoto, tak jak nikt by w tym mieście nie przyjął чеку od adnego z Harrisów.

Tak wyglądało ycie w Tylerville.

– Do widzenia, pani Ashton. Do widzenia, Pam. – Rachel chwyciła po torbie do ka dej ręki i ruszyła w stronę parkingu.

– Zaczekaj, Rachel! – zawołała za nią pani Ashton. Pam te coś wykrzykiwała, ale za Rachel zdą yły się ju zamknąć automatyczne drzwi. Wcale nie

ałowała,

e nie słyszy, co mają jej do

powiedzenia. Dudniło jej w głowie, gdy jechała do domu.

Stwierdziła, e jeszcze nigdy dotąd nie czuła się równie znu ona.

Mo e powodem był upał. A mo e napięcie spowodowane odpieraniem ataków na Johnny'ego Harrisa.

Na sąsiednim siedzeniu leżała torebka. Przyciągnęła ją jedną ręką i zaczęła szperać w środku. Znalazła opakowanie z pastylkami aspiryny, które zawsze nosiła przy sobie. Otworzenie małego wieczka bez zboczenia z drogi było nie lada sztuką. Zdołała jednak sobie z tym poradzić. Połknęła dwie tabletki, które wydobyła z metalowego pojemnika.

22

„To jest moje posłanie do świata / choć nigdy nie otrzymam na nie odpowiedzi...”

Kołatały się jej po głowie słowa Emily Dickinson. Rachel zawsze kochała poezję, a ów cytat uznała ostatnio za niezwykle trafne podsumowanie swojej egzystencji. Był dla niej symbolem nękaniej tęsknotą duszy, która została uwięziona w monotonii codziennego życia. Rachel doszła do wniosku, że podobnie jak Emily Dickinson pragnie czegoś więcej, ale nie umiała dokładnie określić źródła prześladowającej ją melancholii. I choć nigdy nie brakowało jej przyjaciół ani towarzystwa, często niemal boleśnie odczuwała samotność, ponieważ nikt spośród tych, których znała, nie był jej bliskim duchem.

Wraz z upływem lat zrozumiała, że nie pasuje do Tylerville.

Była inna niż jej rodzina, sąsiedzi, współpracownicy i uczniowie.

Czytała wszystko, co jej tylko wpadło w ręce: powieści, sztuki, biografie i poezję, gazety i czasopisma. Jej matkę i siostrę interesowały książki kucharskie i magazyny mody, a ojca prasa handlowa i sportowe dzienniki. Rachel godzinami mogła zadowalać się własnym towarzystwem i jeśli miała wybór, zawsze preferowała samotność. Inni byliby nieszczęśliwi bez kalendarza wypełnionego datami towarzyskich spotkań. Rachel wolała w wolnych chwilach pisywać wiersze i marzyć o tym,

że pewnego dnia zostaną

wydrukowane. Rodzina wyśmiewała jej literackie ambicje i traktowała je z pobłażaniem. Ale pomimo to Rachel kochała swoich bliskich, a oni ją.

Czasami myślała o sobie jako o niezdatnym łabędzim pisklęciu z bajki. Tak jak i ono nie zdołała się upodobnić do innych, choć 23

całymi latami podejmowała próby. W końcu dała za wygraną i zaczęła udawać, że jest taka sama jak wszyscy. To nie było trudne, a bardzo ułatwiało życie. Musiała jedynie zachowywać dla siebie osiemdziesiąt procent własnych myśli i uczuć.

Przejeżdżając pomiędzy dwoma kamiennymi słupami, które wytyczały granice dwustupięćdziesięcioakrowej posiadłości Walnut Grove, należącej od wielu pokoleń do Granlów, Rachel poczuła, że napięcie zaczyna ustępować, a dudnienie w skroniach staje się mniej dokuczliwe. Powrót do domu zawsze działał na nią kojąco.

Kochała to stare, architektonicznie niejednolite domostwo, w którym dorastała, oraz długi podjazd wybrukowany dopiero w ostatnim dziesięcioleciu, wijący się wśród wysokich klonów i dębów.

Kochała kwitnące krzewy derenia i drzewa sekwoi, za sprawą których okolica stawała się na wiosnę prawdziwą krainą cudów. Kochała owocujące brzoskwinie za domem oraz rosnące na dziedzińcu i wzdłuż podjazdu drzewa orzecha włoskiego, które jesienią obsypywały się zielonymi twardymi kulkami orzechów, tak chętnie łupanymi zimą. Kochała konie, które skubały trawę na polu za domem, ogrodzonym drewnianym płotem. Kochała starą stodołę, którą zbudował jej dziadek razem ze swoim teściem, wszystkie trzy stawy oraz las porastający znaczną część posiadłości. Kochała staromodną bramę wjazdową, pod którą zwykle parkowała samochód. Kochała delikatną biel łuszczącej się gdziegdzie farby, pokrywającej ciemnoróżowe cegły, oraz czerwień blaszanego dachu, który zwieńczały smukłe wieżyczki trzy kondygnacje ponad ziemią. Kochała przestronny ganek z grubymi białymi kolumnami, zdobiący front budynku, a także taras i prowadzącą do tylnego

wejścia kamienną ścieżkę. Skierowała się w jej stronę z rękami pełnymi sprawunków, wchłaniając obrazy, zapachy oraz dźwięki otoczenia, by uspokoić rozdygotane nerwy. Miło było znowu znaleźć się w domu.

– Kupiłaś kotlety schabowe? Wiesz, e twój tata ma na nie dzisiaj ochotę – powitała ją w drzwiach matka z rozdrażnieniem, nad którym w ostatnim czasie nie potrafiła zapanować.

Elisabeth Grant miała zaledwie sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu oraz niewiele ponad czterdzieści kilogramów wagi, a jej niepozorna budowa była jedyną fizyczną cechą, jaką przekazała córce. Poza tym w wyglądzie obu kobiet nie sposób było doszukać się podobieństwa. Elisabeth nosiła krótką fryzurę, a kręcone i ciemne z natury włosy musiała teraz farbować. Cienka jak pergamin, oliwkowa skóra była pomarszczona z powodu wystawiania jej przez lata na słońce, ale znakomicie nałożyła makijaż w znacznym stopniu tuszował niedostatki. Elisabeth zawsze dbała o staranny wygląd, nawet jeśli nie zamierzała wychodzić z domu. Dzisiaj miała na sobie zapinaną z przodu szmaragdowozieloną płócienną suknię, gustowną złotą biuterię i dopasowane kolorystycznie pantofle. Wciąż było widać ślady jej dawnej urody, Rachel nigdy nie uchodziła za piękność i odnosiła wrażenie, że pod tym względem rozczarowała matkę. Z rysów i karnacji bardziej przypominała ojca.

– Tak, mam. Kupiłam. – Rachel oddała zakupy Tildzie, która pojawiła się za plecami Elisabeth, aby je odebrać. Spodnie opinały jej obfite kształty i na przekór swoim pięćdziesięciu dwóm latom nosiła modny, o kilka numerów za duży podkoszulek. Jak daleko

Rachel sięgała pamięcią, Tilda zawsze pracowała u nich jako gosposia. Ona i jej mąż, J.D., który wykonywał wszelkie domowe prace, byli uważani przez Grantów niemal za członków rodziny, chociaż codziennie wracali na noc do swojej małej farmy w Perrytown.

– Sama poszłabym do sklepu, pani Grant, gdybym wiedziała, że coś trzeba kupić – powiedziała z lekkim wyrzutem Tilda, kładąc dwie ciężkie torby na stole przy zlewie. Traktowała Rachel jak swoje dziecko, a właściwie jak jedno z nich, ponieważ miała sześcioro własnych i nie znosiła, gdy je ktokolwiek wykorzystywał.

Nawet jeśli to była matka Rachel.

– Wiesz, e dzisiaj byłaś mi tu potrzebna. Trzeba było pomóc J.D. przy pielęgnowaniu mojego męża. Nie miałabym siły, aby w jego obecnej kondycji cokolwiek przy nim zrobić.

– Stan musi być dzisiaj w dobrej formie, skoro poprosił o kotlety schabowe. – Rachel wyłowiła banana z torby, którą rozpakowywała Tilda, i zdjęła skórkę.

Trudno było uwierzyć, że Stan, jej ukochany ojciec, skończył

ju siedemdziesiąt lat. Cierpiał na chorobę Alzheimera, która od ostatnich ośmiu lat stopniowo ograniczała jego zdolności ruchowe i pozbawiała władz umysłowych. Teraz ju tylko sporadycznie wydobywał się z mrocznej otchłani otaczającego go chaosu i rozpoznawał kogoś z bliskich, jeśli w ogóle był w stanie przemówić.

– Tak, to prawda. Poznał mnie dzisiaj rano. Zapytał nawet, gdzie się ukrywa Becky. Oczywiście zupełnie zapomniał o tym, że wyszła za mąż i ma córki. – Elisabeth uklękła, żeby wydobyć duży elazny

rondel z szafki obok kuchni.

Becky, młodsza siostra Rachel, mieszkała w Louisville razem ze swoim mężem, Michaeliem Hennesseyem, oraz z trzema córeczkami.

Była wierną kopią matki, zarówno pod względem urody, jak i charakteru. I pewnie dlatego, zdaniem Rachel, matka faworyzowała właśnie ją. Doskonale się ze sobą zgadzały. Becky ju w szkole uchodziła za piękność, potem odnosiła sukcesy na balach, a w domu była traktowana niczym królowa. Elisabeth i Becky interesowały się modą oraz mężczyznami, podczas gdy Rachel siedziała wiecznie z nosem utkwionym w książkach albo bujała myślami w obłokach.

Była marzycielką, jak nazywała ją Elisabeth, niekoniecznie z zamiarem prawienia jej komplementów. Rachel ju dawno wybaczyła matce jej stronniczość, choć w czasach, gdy obie z siostrą dorastały, wywołała o to do Elisabeth cichą urazę. Dopiero potem, gdy była nieco starsza, wzięła na siebie rolę tatusinej córeczki i towarzyszyła Stanowi w jego bez troskich przejażdżkach wokół miasta oraz podczas ulubionych wypraw na ryby.

żeby

zrobić przyjemność ojcu, starała się poznać tajniki prowadzenia interesów w branży artykułów elaznych. Ojcu nie przeszkadzał w niej brak olśniewającej urody ani to,

że czytając książkę,

zapominała czasami o sobie i przypalała kolację. Z

czasem coraz bardziej ceniła sobie ową szczególną więź, która łączyła ją ze Stanem. Natomiast stosunki matki i Becky nie były ju teraz tak bliskie jak kiedyś. I fakt ten bardzo martwił Rachel.

– Czy przyjechał ten chłopak Harrisów? – spytała Elisabeth z dezaprobatą w głosie. Rozpakowywała kotlety wieprzowe, które Tilda położyła na blacie stołu.

Rachel samodzielnie zarządzała teraz domem handlowym

„Grant” i nie radziła się matki, nim zaoferowała pracę Johnny'emu Harrisowi. Powiadomiła ją o tym dopiero wczoraj, gdy ju nie dało się tego faktu dłu ej ukryć. Zgodnie z przewidywaniami matka przeraziła się na samą myśl o powrocie Johnny'ego do Tylerville.

Co się zaś tyczy jego zatrudnienia, oświadczyła, e prędezej

zapropnowałaby pracę samemu diabłu. Była wściekła na córkę.

Rachel wiedziała, e za karę będzie jej wbijała szpile, takie jak ta o rzekomym dopytywaniu się ojca o siostrę zamiast o nią.

– Tak, mam, przyjechał. – Odgryzła solidny kęs banana, nie zaraz straciła apetyt i wyrzuciła go do kosza. – Jest nam bardzo wdzięczny za zaoferowaną pracę. – Skłamała po raz pierwszy w yciu.

– To nie myśmy mu dali pracę – prychnęła matka. – Nigdy bym nie zrobiła czegoś podobnego. To wyłącznie twoja sprawa, moja panno, i sama będziesz ponosić konsekwencje swojej decyzji.

Przekonasz się, gdy znowu napadnie na jakąś dziewczynę albo gdy zrobi coś znacznie gorszego. Zawsze był typem spod ciemnej gwiazdy!

– Myślę, e nie będzie z nim kłopotów, mam. Gdzie jest tata, Tildo?

– Słucha piosenek Presleya w sali balowej. J.D. znalazł mu jedną z jego ulubionych kaset.

– Dzięki, Tildo. Pójdę się z nim zobaczyć. Zawołaj mnie, jeśli ci będę w czymś potrzebna, mam.

– Dobrze wiesz, e przy gotowaniu nie potrzebuję nikogo do pomocy.

–

Elisabeth

chełpiła

się

swoimi

kulinarnymi

28

umiejętnościami, które dawały jej du o zadowolenia.

– Wiem, mam – powiedziała znacznie ju łagodniejszym tonem i uśmiechnęła się do Elisabeth, zanim wyszła z kuchni.

Skierowała się w stronę wąskich schodów. Jej stosunki z matką zawsze cechowała uszczypliwość. Pomimo to Rachel ją kochała.

Matce ciężko było pogodzić się z losem, jaki spotkał ojca, gdy darzyła męża a nawet jeszcze głębszym uczuciem niż swoją młodszą córkę.

Zanim Rachel dotarła na trzecie piętro, dobiegły ją donośne dźwięki „Gończego psa”. Salą balową zwykli szumnie nazywać dużą oszkloną i prawie zupełnie nieumeblowaną mansardę nad połową powierzchni domu. Podłóg z twardego drewna, w przeciwieństwie do pokoi na niższych piętrach, nie zakrywały wschodnie

dywany.

Gołe

ściany

potęgowały

akustykę

pomieszczenia. Rachel nigdy nie zaliczała siebie do wielbicielki Elvisy. A jednak idąc korytarzem stwierdziła, że się poddaje rytmicznej melodii. Piosenka była zaraźliwa. Stan zawsze kochał

Presleya i opłakiwał jego śmierć, jak gdyby stracił członka rodziny.

Minęła otwarte drzwi od windy, którą zamontowali dla ojca i dla jego inwalidzkiego wózka. J.D. popołudniami zwoził go na parter, a po posiłku wyprowadzał na codzienny spacer. Po powrocie winda zawoziła ich z powrotem na drugie piętro, gdzie Stan był kąpany i po zażyciu tabletek nasennych kładziony do łóżka. Każdego dnia miał dla niego nieodmiennie taki sam przebieg. Ilekroć Rachel uzmysławiała sobie, że wycie jej pełnego temperamentu ojca zostało zredukowane do bezgranicznej monotonii, miała ochotę płakać.

Starła się o tym nie myśleć. Skręciła za rogiem korytarza i weszła

do sali balowej. Ojciec miał zamknięte oczy i kiwał głową w takt muzyki. Słuchanie Presleya było jedną z nielicznych przyjemności, jakie mu pozostały w życiu.

J.D. siedział po turecku na podłodze obok wózka Stana.

Ogromny brzuch wylewał mu się ponad pasek szarych roboczych spodni, a spod rozpiętej szarej koszuli prześwitywał biały podkoszulek. J.D. miał ciemniejszą skórę niż ona i był od niej bardziej porywczy. Ale pomimo gwałtownego temperamentu należał do ludzi roześmianych.

Nucił

melodię, a

jego

zdeformowane palce wystukiwały rytm na wypolerowanym parkiecie. Rachel musiała się zdradzić jakimś dźwiękiem, ponieważ podniósł głowę i szeroko się do niej uśmiechnął. Pomachała mu na powitanie. Jakiegokolwiek próby nawiązania rozmowy były z góry skazane na niepowodzenie z powodu zbyt głośnej muzyki.

Podeszła do ojca i dotknęła jego ręki.

– Dzień dobry, tatusiu.

Nie otworzył oczu. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z obecności córki ani nie czuł dotyku jej palców na swojej dłoni. Po chwili Rachel z westchnieniem cofnęła rękę. Co prawda nie spodziewała się adnej reakcji ze strony ojca. Od pewnego czasu musiała się zadowalać samym jego widokiem oraz świadomością, że jest otoczony troskliwą opieką.

Tak jak inni mogła się tylko starać o to, by zaspokoić jego podstawowe

yciowe potrzeby. Dobrze,

choć nie udało się

zatrzymać go w domu. Bez pomocy Tildy i J.D., który jako jedyny umiał nad nim panować w chwilach, gdy się stawał niezdolny, byłiby zmuszeni umieścić go w prywatnej klinice.

30

Rachel wzdrygnęła się na samą myśl o tym, chociaż doktor Johnson, lekarz Stana, uprzedził ich, że w ostatnim stadium choroby hospitalizacja stanie się konieczna. Elisabeth nie mogła sobie tego wyobrazić i na każdą wzmiankę o szpitalu wybuchała płaczem.

Była ona Stana od czterdziestu jeden lat.

Rachel odnosiła wrażenie, że ojciec, postawny mężczyzna, który miał kiedyś ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i sto kilo wagi, w czasie choroby trochę się skurczył. A może tylko zaczęła go inaczej widzieć, teraz gdy nastąpiła zamiana ról i stał się niemal całkowicie od niej zależny? Ogarnęło ją gorące i przepojone tkliwością uczucie miłości, gdy przyglądała się ostatnim siwym kosmykom na jego głowie. Starość generalnie nie należała do miłych perspektyw, ale los człowieka dotkniętego chorobą, która pozbawiała go duszy jeszcze przed unicestwieniem ciała, był wyjątkowo okrutny.

– Zostanę tutaj, dopóki mnie będziesz potrzebował, tatusiu –

obiecując szeptem, ściskając ojca za rękę.

Presley śpiewał teraz „Kochaj mnie czule”. Pod wpływem lirycznej, tkliwej melodii Rachel napłynęły do oczu łzy. To absurdalne. W tej sytuacji płacz na niewiele mógł się zdać, a jedynym jego skutkiem byłby zapchany nos. Rachel zatrzepotała rękami, jeszcze raz poklepała ojca po ręce,

pomachała J.D. na po egnanie i odwróciła się w stronę drzwi.

Przed zejściem na dół zamierzała się przebrać. Jeśli matka przygotowywała swoje słynne i szalenie pracochłonne kotlety, Rachel miała mnóstwo czasu, eby uporządkować myśli, zanim usiądą do posiłku.

Włó yła krótkie spodnie w zielono-niebieską kratę i sportową 31

jaskrawozieloną koszulę z krótkimi rękawami. Stroju dopełniły białe skarpety i tenisówki. Z góry dobiegały ledwo słyszalne dźwięki „Hotelu pod złamanym sercem”. Rachel przeciągnęła szczotką po włosach, roztrzepała je ręką i sprawdziła efekt w lustrze. Uświadomiła sobie, e po raz pierwszy od dłu szego czasu przygląda się swojemu odbiciu. Dotychczas sprawdzała tylko fryzurę albo makija . Nagle zrozumiała, dlaczego to robi. Nie potrafiła usunąć z myśli Johnny'ego Harrisa i podświadomie próbowała spojrzeć na siebie jego oczami.

„Miałem na panią w liceum wielką ochotę. I wciąż mam”.

Natrętnie cisnęły się jej do głowy słowa Johnny'ego. Rachel zacisnęła palce na szczotce, którą wciąż trzymała w dłoni. To nie mogło być prawdą. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu chciał ją tylko wprowadzić w zakłopotanie. Z pewnością nie zaliczała się do kobiet, które wzbudzają w mę czyznach po ądanie. To właśnie z tego powodu Michael ją oszołomił. Nie mogła uwierzyć, eby tak przystojny mę czyzna mógł się w niej zakochać. Skrzywiła się pod wpływem bolesnych wspomnień. Ju tyle czasu upłynęło od chwili, gdy ją porzucił, pocałował na po egnanie w policzek i stwierdził, e nigdy do siebie nie pasowali. Złamał jej serce. Ale wcale się tym nie przejął ani nie dostrzegł jej bólu. Od dawna przestała myśleć o Michaelu. W ka dym razie nie w związku ze swoją osobą. Nie miała powodu, by nadal zawracać sobie nim głowę. Przecie to nie ona była jego oną, lecz Becky.

Powróciła do niepokojącego ją problemu. Myśl o tym, e mogła podniecać niepełnoletniego Johnny'ego Harrisa, który w opinii uczennic uchodził za „świątelnego faceta”, wydała się jej śmiechu 32

warta. Nie nale ała przecie do kobiet wzbudzających seksualne zainteresowanie w mę czyznach.

Miała trzydzieści cztery lata, choć nie wyglądała na swój wiek.

A dzięki temu, e przez całe ycie unikała słońca, gdy zawsze opalała się na czerwono, to nie licząc drobnych kresek wokół oczu, zdołała się ustrzec zmarszczek. Miała szczupłą sylwetkę. Ale to był

jedyny punkt, przemawiający na korzyść jej figury. Rachel mogła zazdrościć kształtów większości trzynastolatek. Jej wielka tajemnica polegała na tym, e często zaopatrywała się w odzie u

„Grumersa” – w lokalnym domu towarowym – w dziale dla chłopców, Proste, ciemne włosy strzygła zwykle na pazia. Otaczały bladą, owalną twarz o delikatnych rysach, która mogła uchodzić nawet za ładną, ale której z pewnością nie sposób było; nazwać piękną. Miała du e oczy o interesującym kształcie, okolone gęstymi, brązowymi rzęsami, ale ich pospolity orzechowy odcień nie mógł zahipnotyzować adnego mę czyzny. Wszyscy mówili o niej, e jest ładniutka. Nawet Rob, mę czyzna, z

którym spotykała się nieregularnie od dwóch lat, zwykł tak się o niej wyrażać. Nie znosiła tego określenia. Było odpowiednie dla niemowląt albo dla szceniąt, ale nie dla dojrzałej kobiety. Uważała je za obraźliwe, nawet jeśli mogło uchodzić za trafne. Ale Rob oczywiście o tym nie wiedział, ponieważ mu tego nie powiedziała. Był miłym człowiekiem i sądził, że w ten sposób sprawia jej przyjemność.

Miał pokaźne dochody jako farmaceuta i właściciel apteki, a także dobre maniery i był w miarę przystojny. Rachel nie wątpiła w to, że będzie kiedyś dobrym ojcem. A ostatnio coraz częściej myślała o posiadaniu własnych dzieci.

33

Był taki czas, kiedy powa nie zastanawiała się nad zamą pójściem. Zdrada Michaela pozostawiła na jej psychice głębokie piętno, ale takie było życie. Rachel nie wmawiała sobie, że jest jedyną porzuconą kobietą. Z czasem zranione serce przestało boleć, a Rachel stała się mądrzejsza, dojrzała i lepiej przygotowana do założenia rodziny. I jeśli nawet wahała się przed podjęciem owego decydującego kroku z powodu wspomnień o płomiennej namiętności do Michaela, której nie było między nią a Robem, to napominała samą siebie, że nie jest już tą naiwną i zakochaną bez pamięci dziewczynką, która bezgranicznie wierzy w przyszłe szczęście, lecz dorosłą i rozsądną kobietą.

– Rachel! Rachel! Zejdź zaraz na dół!

Matka nie zwykła jej w ten sposób wołać. Fakt ten zaintrygował

Rachel. Odwróciła się tyłem do lustra, otworzyła drzwi i pośpiesznie zbiegła ze schodów. Elisabeth stała przy podeście ze szpikulcem do mięsa w dłoni. Z wyrazu jej twarzy Rachel odgadła, że jest wytrącona z równowagi.

– Telefonował Ben – oświadczyła, zanim Rachel zdążyła spytać, o co chodzi. – Prosił, abyś natychmiast przyjechała do sklepu. Na miejscu jest już policja. Mają jakieś problemy z Johnnym Harrisem.

34

Rozdział 4

Przed domem handlowym z artykułami elastycznymi stały dwa policyjne wozy. Funkcjonariuszka strzegła wejścia przed grupą kręcących się w pobliżu gapiów. Gdy Rachel wysiadła z samochodu, rozpoznała w niej Lindę Howlett, której młodszą siostrę uczyła w szkole dwa lata temu. Linda również ją zauważyła i pokazała ręką, aby przeszła. Rachel pośpiesznie skierowała się w stronę sklepu. Ale na widok rozgrywającej się wewnątrz sceny, stanęła jak wryta, a z twarzy odpłynęła jej krew.

Na podłodze leżeli rozciągnięci i przytrzymywani przez trzech policjantów dwaj mężczyźni – jeden z twarzą zwróconą do ziemi, a drugi na wznak. Greg Skaggs, syn Idell i starszy brat Jeffa, który zaledwie rok temu wstąpił do sił policyjnych Tylerville, przyciskał

kolanem do ziemi szerokie plecy w białym podkoszulku i trzymał

pistolet z wydłu oną lufą przytknięty do głowy o niesfornych czarnych lokach. Drugi z funkcjonariuszy, Kerry Yates, klęczał

przy leącym na brzuchu mężczyźnie i wykręcał mu rękę do tyłu.

Rachel wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że jednym z

obezwładnionych jest Johnny Harris. Zidentyfikowanie człowieka leżącego kilka metrów dalej nastąpiło jej więcej trudności.

Pochylał się nad nim naczelnik Jim Wheatley, a o jego zaniepokojeniu świadczyły dwa palce przytknięte do tętnicy szyjnej mężczyzny. Olivia Tompkins, dziewiętnastoletnia ekspedientka, która pracowała w sklepie na pół etatu, wytrzeszczała zza lady swoje mocno wymalowane oczy. Rachel niezdecydowanie stała w wejściu, gdy z magazynu na zapleczu wyłonił się Ben Zeigler, 35

kierownik domu handlowego „Grant”. Najwyraźniej nikt z obecnych dotychczas jej nie zauważył, a Ben, oślepiiony blaskiem sącących się oknem promieni popołudniowego słońca, też nie od razu ją spostrzegł.

– Pani Grant powiedziała,

że Rachel jest już w drodze

poinformował kierownik naczelnika Wheatleya.

– To dobrze.

– Puść mnie do cholery! Wyłamujesz mi rękę! – warknął

Johnny, podejmując nieudaną próbę wyswobodzenia się, która została

udaremniiona

gwałtownym

szarpnięciem

w

górze

wykręconego ramienia. Johnny odpowiedział językiem tak obelżywym, że Rachel ze zdumienia zatrzepotała rękami. Przyszło jej na myśl, że być może zmieniły go lata spędzone w więzieniu. I choć był niewinny w chwili procesu i ogłoszenia wyroku, to teraz rzeczywiście stanowi zagrożenie dla przyzwoitej społeczności miasta. Dzisiaj z całą pewnością nie zachował się wobec niej jak dżentelmen. I niewątpliwie musiał się dopuścić jakiegoś straszliwego czynu, skoro spotkał się z tak

gwałtowną reakcją ze strony spokojnych zwykle stró ów porządku Tylerville.

– Spróbuj tylko walczyć dalej, ty draniu, a jeszcze dzisiaj wywiercę dziurę w tej twojej tępej głowie!

Słowa pogró ki wymówione przeciągle przez Grega Skaggsa wyrwały Rachel ze stanu chwilowego zwątpienia. Bez względu na zmiany, jakie zaszły w osobowości Johnny'ego, nie zamierzała spokojnie patrzeć, jak zostaje zastrzelony na jej oczach.

– Co się tutaj na miłość boską dzieje? – Wkroczyła na scenę, domagając się wyjaśnień.

36

Naczelnik Wheatley, jego funkcjonariusze, Ben i Olivia równocześnie podnieśli wzrok.

– Nic nie mogłam zrobić, Rachel! – jęknęła Olivia. – Byłam ju dostatecznie przera ona samym faktem obecności w sklepie Johnny'ego Harrisa. Ben mi obiecał, e Harris nie będzie tutaj przychodził w czasie moich godzin pracy. A potem zjawił się pan Edwards i w jednej chwili wiedziałam, e bez kłopotów się nie obejdzie. I oczywiście miałam rację. Wdali się w straszliwą bijatykę. Kotłowali się po całym sklepie, dusząc się nawzajem i okładając pięściami. Zatelefonowałam po policję i dobrze zrobiłam!

Johnny Harris trzasnął pana Edwardsa w szyję, zwalając go z nóg i pozbawiając przytomności. To prawdziwy cud, e go nie zabił!

– Prawdopodobnie Carl się dowiedział, e Harris tu pracuje.

Przyszedł i go odnalazł. Uprzedzałem cię, e zatrudnianie Harrisa jest błędem. I jak widzisz, miałem rację. Przebywa tu zaledwie od kilku godzin, a zobacz, co się stało. – Ben wskazał w kierunku ludzi le ących na ziemi. – W czasie bójki zdemolowali pół sklepu. Spójrz tylko, jaki tu bałagan!

Rachel rozejrzała się dookoła. Na podłodze walały się słoje z farbą, pędzle, wałki do malowania oraz wzory z próbkami kolorów.

Z otwartej puszkę sączył się na posadzkę w biało-czarną szachownicę

jaskrawoczerwony

lakier.

Plastikowy

kubek,

mieszczący przedtem rozległy asortyment nakrętek i sworzni, le ał

na boku, a jego zawartość była porozrzucana po całym sklepie.

Gwoździe, przechowywane dotychczas w blaszanym pojemniku, tworzyły pod stopami ziarnisty dywan. A sam pojemnik, mocno wgnieciony, trafił pod drewnianą ladę. Sądząc po jego wyglądzie, 37

rzuciono nim w kogoś.

– Powinnaś się porozumieć ze mną przed podjęciem tak nierozważnej decyzji, jak zatrudnienie Harrisa, Rachel stwierdził

naczelnik Wheatley. – Ka dy z odrobiną wyobraźni przewidziałby, e chłopcy Edwardsów będą go chcieli dopuść w chwili, gdy tylko dotrze do miasta. I trudno mi ich za to winić, chocia mam obowiązek pilnować poszanowania prawa. To nie jest w porządku, e zabójca siostry tego oto Carla został wypuszczony na wolność i wrócił do domu. Mówiąc to, naczelnik wyprostował się. Stał obok drugiego powalonego na ziemię męczyzny, w którym Rachel rozpoznała starszego brata Marybeth, Carla.

– Czy mógłby pan z niego zejść? – zwróciła się cicho do Grega Skaggsa, wskazując na Johnny'ego. Policjanci byli najwyraźniej do niego uprzedzeni i bez najmniejszych skrupułów wyrządziliby mu krzywdę. Ale Rachel przez te wszystkie lata wierzyła w Johnny'ego na przekór powszechnej opinii mieszkańców miasta i nie zamierzała opuścić go teraz tylko dlatego, e wbrew jej nieuzasadnionym oczekiwaniom przestał być chłopcem o twarzy pokrytej brzoskwiniowym meszkiem. – Nie sądzę, eby komuś z nas groziło z jego strony niebezpieczeństwo w obecności tak wielu stró ów prawa. Nie jest przecie uzbrojony, prawda?

– O ile się orientuję, jest czysty – niechętnie przyznał Kerry Yates, zwracając się do naczelnika Wheatleya, gdy prędko obszukał

więźnia.

– Łapy przy sobie!

– Lepiej zamknij buzię, chłopcze, bo ani się obejrzysz, jak wylądujesz w kryminale – warknął szef policji.

38

– Pieprzę was wszystkich.

Rachel skrzywiła się, słysząc odpowiedź Johnny'ego. Greg Skaggs ku przestrodze szturchnął pistoletem głowę o czarnych kędziorach nieco mocniej, ni to było konieczne. A Kerry Yates podciągnął wy jej przytrzymywaną na plecach rękę i wyszczerzył

zęby w uśmiechu. Johnny jęknął z bólu. Widząc to Rachel poczerwieniała na twarzy.

– Puście go! – krzyknęła, choć podnoszenie głosu nie le ało w jej zwyczaju. Naczelnik Wheatley najpierw spojrzał na Rachel, potem na swoich ludzi i przez moment się zawahał. W końcu skinął

głową.

– Zróbcie to – polecił. – A ty, chłopcze, jeśli nie będziesz się przyzwoicie zachowywał, to w okamgnieniu znajdziesz się z powrotem na ziemi. Nie zdąysz sobie nawet obtrzeć nosa – dodał

zwracając się do Johnny'ego, który wyrwał się z uścisku Kerry'ego Yatesa.

– Wstawaj – rzekł Greg Skagss, podnosząc się i uwalniając swojego więźnia. Nie schował jednak pistoletu do kabury, ale nadal trzymał przygotowany do strzału.

Postawa Johnny'ego, gdy stanął na własnych nogach i odwrócił

się do wszystkich przodem, była tak zaczepna, a Rachel pojęła powód wzmo onej czujności policjantów. Kiwał się na stopach do przodu i do tyłu, opuszczone dłonie zacisnął w pięści, jak gdyby w ka dej chwili spodziewał się ataku, jego pobladła twarz była umazana krwią, a błyszczące oczy miały pełne wściekłości spojrzenia.

– Porozmawiamy któregoś dnia, gdy nie będziesz miał na sobie 39

munduru – zwrócił się do Grega Skagssa. – Wtedy się przekonamy, jaki z ciebie chojrak.

– To brzmi jak pogró ka. – W głosie naczelnika Wheatleya kryło się ostrze enie.

– Och, bądź ju wreszcie cicho. – Rachel zwróciła się do Johnny'ego ostrym tonem. Podeszła do niego i upominająco wycelowała palcem wskazującym w sam środek jego piersi. Bez adnego powodu, całkiem instynktownie poczuła nagle, e całym sercem jest po jego stronie. Obrzucił ją twardym spojrzeniem.

Wyraz zaciętości nie zniknął z jego twarzy, ale umilkł i nie odezwał

się ju ani słowem. Odwróciła się do niego tyłem, zasłaniając ciałem jak tarczą. Nie zwracała uwagi na absurdalność sytuacji. Nie myślała o tym, e staje w jego obronie i osłania go, choć sięga mu zaledwie do ramion i wa y o połowę mniej od niego. Jawna niesprawiedliwość pobudziła ją do działania. Czy dlatego, e się nazywał Johnny Harris, jego zachowanie miało być bardziej napiętnowane od równie nagannej postawy Carla Edwardsa?

Brat Marybeth jęknął na podłodze, poruszył się i usiadł, rozcierając sobie tył głowy. Rozejrzał się dookoła. Na widok Johnny'ego wykrzywiła mu się twarz.

– Ty sukinsynu! – warknął. – Jeszcze cię dopadnę, morderco!

Czy sądzisz, e ci ujdzie na sucho zabójstwo mojej siostry?

– Wystarczy, Carl – rzucił ostro naczelnik Wheatley. Podbiegł, chwycił go za rękę i pomógł mu wstać. – Czy zamierzasz wnieść pozew do sądu i oskar yć Harrisa o napaść?

– Do diabła, tak, ja...

– Prawdę mówiąc, to Edwards wymierzył cios jako pierwszy –

40

niechętnie wtrącił się do rozmowy Ben.

– A widzi pan? – Rachel spojrzała z tryumfem na szefa policji. –

Dlaczego nie spyta się pan Johnny'ego, czy nie zamierza wytoczyć procesu Carlowi? Tylko w ten sposób sprawiedliwości stałoby się zadość.

– Rachel ... – W głosie naczelnika zabrzmiał niepokój.

– Nie zamierzam – oświadczył oschle Johnny zza pleców Rachel.

– Nie potrzebuję twojej wielkoduszności, ty łotrze! – rzucił

chrapliwie Carl Edwards. – Zamierzam cię tak samo pociąć, jak ty zrobiłeś to z Marybeth! Pamiętasz, jaka była śliczna, Harris? Ale ju nie w chwili, gdy z nią skończyłeś. Jak mogłeś się dopuścić podobnego bestialstwa, ty wyrzutku? Miała zaledwie siedemnaście lat!

– Teraz to stwierdzenie zabrzmiało jak pogróbka – zauważyła Rachel, lecz uczucie satysfakcji z powodu odwrócenia się ról zostało znacznie osłabione przez ałosny wyraz twarzy wyraźnie załamanego Carla Edwardsa.

– Chodź, Carl. Pozwól, e cię odwiozę do domu – zaproponował

cicho naczelnik "Wheatley, gdy głęboko wzburzony Carl z trudem chwycił oddech i po policzkach zaczęły mu spływać łzy.

Rachel poczuła ucisk w sercu. Współczuła mu. Śmierć siostry w tak przerażających okolicznościach musiała być dla niego niewyobrażalnym ciosem. Jednak nadal trzymała stronę Johnny'ego.

– Proszę mu powiedzieć,

eby tutaj nie wracał, panie

naczelniku. W przeciwnym razie oskarżę go o naruszanie osobistych dóbr – powiedziała dobitnie, gdy szef policji w asyście 41

swoich ludzi prowadził do drzwi łkającego Carla Edwardsa.

– O Bo e, Rachel! Czy nie stać cię nawet na odrobinę litości?

Edwards kochał swoją młodszą siostrę. Powinnaś mu współczuć. –

Ben był zdumiony pogróbką i uznał ją za brak serca ze strony swojej pracodawczyni.

– Współczuję mu. – Rachel obejrzała się na Johnny'ego. Lewy policzek, podobnie jak biały niegdyś podkoszulek, był zboczony krwią z rozciętej dolnej wargi.

Odgłos odjeżdżających samochodów za oknem świadczył o tym, że policja zostawiła ich w spokoju. Sklep został ponownie otwarty.

– Olivio, wracaj do pracy. Ben, czy zrobiłeś już inwentaryzację?

Jutro z samego rana chciałabym z tobą omówić tę sprawę. Dlatego załatw to dzisiaj, jeśli jeszcze nie skończyłeś.

Dzwonek u drzwi za plecami Rachel oznajmił przybycie klienta, prawdopodobnie jednego z zaciekawionych gapiów.

– Czym mogę służyć? – zwrócił się do przybysza Ben ze spokojem.

Rachel nawet nie spojrzała w tamtą stronę.

– Chodź ze mną – zwróciła się do Johnny'ego tonem nie znoszącym sprzeciwu. Rozkazująco skinęła na niego palcem i ruszyła w stronę drzwi do magazynu.

Niewielka klatka schodowa na zapleczu prowadziła do jego mieszkania, gdzie mogli porozmawiać na osobności. Nie musiała oglądać się przez ramię, by wiedzieć, że posłusznie idzie za nią.

Miała niepokojąco wyostrzony szósty zmysł na wszystko, co dotyczyło Johnny'ego Harrisa.

42

43

Rozdział 5

– Pozwól, że ci przyłożę lód do wargi.

Kuchnia była całkowicie umeblowana i wyposażona we wszystkie niezbędne urządzenia: od lodówki, po automat do robienia lodu. Na półce obok zlewu Rachel znalazła ścierkę do naczyń, otworzyła zamrażarkę, wyjęła garść kostek lodu, zawinęła je w płótno i zwilżyła wypukłe zawiniątko wodą. A następnie podała je Johnny'emu, który stał przy kuchence, opierając się o blat stołu. Przyjął je bez słowa i przyłożył sobie do opuchniętych ust.

Sądząc po nieznacznym grymasie twarzy, okład raczej sprawił mu ból, niż przyniósł ulgę.

– Przypuszczam, że mi powiesz, co się właściwie stało.

– Czy dlatego, że jest pani moją poręczycielką? Pyszałkowatość, z jaką cedził słowa, była typowa dla Johnny'ego Harrisa. Zgryźliwa uwaga trochę uspokoiła Rachel. Oznaczała, że w owym obcym mężczyźnie pozostało coś ze znanego jej chłopca.

Wytrzymała przez moment spojrzenie jego oczu.

– Jestem twoją szefową, zapomniałeś? Pracujesz u mnie. I przed chwilą wdałeś się w bójkę z klientem w moim sklepie. Sądzę, e nale y mi się jakieś wyjaśnienie.

– Zanim podejmie pani decyzję, czy mnie z powrotem nie wsadzić do ciupy?

– Właśnie.

Zmru ył oczy. Rachel czekała przez długą chwilę, stojąc z rękami założonymi na piersi. adne z nich nie zamierzało ustąpić.

W końcu Johnny wzruszył ramionami.

44

– Chce pani znać prawdę? To Edwards mnie zaatakował. Ja tylko się broniłem. Mo e pani w to wierzyć lub nie.

– Wierzę.

Teraz, kiedy się zni ył do wyjaśnień, aczkolwiek bardzo zwięzłych, w jego głosie zabrzmiała wrogość. Lecz Rachel spodziewała się takiej reakcji. Trochę się odprę yła. Bez względu na to, jak bardzo się zmienił zewnętrznie, osoba ukryta we wnętrzu zimnej jak gład powierzchności wciąż była ta sama.

Dopełniwszy obowiązku wyjaśnień, zacisnął szczęki i odrzucił

okład z lodem. Ścierka rozwinęła się, a kostki lodu ze stukotem rozsypały się po stole. Rachel syknęła, dając wyraz swojej dezaprobachie, i odruchowo zaczęła je zgarniać do zlewu. Nagle jej uwagę przykuł gwałtowny ruch za plecami. Johnny bez uprzedzenia chwycił obiema rękami za brzeg swojego podkoszulka i ściągnął go przez głowę. Zmarszczyła brwi, a potem odwróciła się instynktownie. Natknęła się wzrokiem na męski tors. Był tak okazały, e na jego widok zaparło jej dech w piersi.

Bez względu na to, czym się zajmował w więzieniu, najwyraźniej znajdował tam czas na to, by zadbać o swoją formę fizyczną. Linia piersi odcinała się wyraźnym konturem, płaski brzuch był twardy i mocno zarysowywały się bicepsy na rękach. W

porównaniu do szerokich i muskularnych ramion miał wąską talię, a środek jego piersi pokrywał trójkąt czarnych, jedwabistych włosów.

Wygląda zachwycająco, pomyślała oszołomiona.

Zwinął podkoszulek w garści, a gdy spojrzął na Rachel, w jego oczach pojawił się figlarny błysk. Najwyraźniej świadomie chciał ją zbić z tropu. Nie miała zamiaru ujawniać przed nim, e mu się to

45

udało. Musiała jak najprędzej odzyskać kontrolę nad sobą.

– Co ty wyprawiasz? – Jeśli jej głos był opanowany, zawdzięczała to umiejętności zachowywania spokoju w sytuacjach krytycznych.

– Zmieniam podkoszulek. A co pani sobie wyobrażała?

– Zamierzam panią zerwać? – Z pełnym rozmysłem zrobił

kilka kroków w jej stronę, dopóki jego piersi nie dzieliło zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy. Podniosła wzrok, napotykać po drodze czarne kędziory na piersi, szerokie ramiona oraz mocną, nieogoloną brodę i spojrzała mu w oczy. Były lekko przymrużone, miały nieznacznie rozszerzone źrenice i tęczę o głębokim, iskrzącym się błękitnie. – Miała pani na to nadzieję? – spytał niemal szeptem.

Na moment, nie długo, Rachel zastygła krew w żyłach. Po chwili z wątpienia opanowała się. Miała absolutną pewność, że Johnny próbuje napędzić jej strachu. Zachowywał się jak dziecko, które słysząc od wszystkich,

– jest niegrzeczne, postanawia

udowodnić zasadność takiej opinii.

– Niech ci się nie marzy – prychnęła w odpowiedzi, odwróciła się do niego plecami i jak gdyby nigdy nic zabrała się z powrotem do zgarniania topniejących kostek lodu.

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Odniosła wrażenie, że jest zakłopotany. Ale skoro pragnął odgrywać rolę Du ego Złego Wilka, który nastaje na życie Małego Czerwonego Kapturka, to był

skazany na rozczarowanie. Nie miała najmniejszego zamiaru czmychać przed nim w popłochu z podwiniętym pod siebie ogonem. Już na początku pedagogicznej kariery zrozumiała, że 46

największym błędem człowieka, kto sprawuje władzę, jest okazanie bodaj najmniejszej oznaki strachu przed tymi, którymi chce kierować.

– Wciąż ta sama panna Grant, jak widzę – stwierdził w końcu, a z jego oczu i ust zniknął surowy wyraz. – Pani zawsze ma na wszystko gotową odpowiedź.

– Wcale nie na wszystko. – Spojrzała na niego, a na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Prawie na wszystko. – Odwrócił się i wycofał z wąskiego kuchennego przejścia.

Rachel doznała ulgi i nagle opadła z sił. Oparła się o stół w obawie, że upłynie dłuższa chwila, zanim odzyska energię, i będzie mogła znowu stanąć na własnych nogach. Spojrzała za oddalającym się Johnnym. I popełniła błąd. Miał nieprawdopodobny seksapil.

Sięgające barczystych i opalonych ramion czarne, kręcone włosy, szerokie, muskularne plecy, mocno

opięte d insy na kształtnych pośladkach, długie nogi pewnie stąpające w kowbojskich butach na obcasie – wszystko razem zrobiło na Rachel tak silne wrażenie, a poczuła ucisk w lędźwiach.

Intensywność tej reakcji oszołomiła ją. Chociaż nie należała do kobiet, które sypiają z wieloma mężczyznami, to seks nie był jej zupełnie obcy. Kiedyś kochała się na zabój w Michaelu. Ale ich randki z powodu jej młodego wieku, a może nadmiernej nerwowości, utwierdziły ją tylko w przekonaniu, że kobiety mają skłonność do wyolbrzymiania rozkoszy intymnego związku. W

ciągu następnych lat byli w jej życiu jeszcze dwaj inni mężczyźni, którzy chcieli się z nią ożenić. Obaj czytali tylko niedzielne

czasopisma i nie zamierzali zmieniać swoich przyzwyczajeń.

Rachel nie wyobrażała sobie, by z którymś z nich mogła spędzić resztę swoich dni. Byłyby całkowicie pozbawione powabu.

Dopiero gdy przekroczyła trzydziestkę, zrozumiała, że chcąc założyć rodzinę, będzie się musiała bez tego obejść. Dojrzała do decyzji zawarcia trwałego, bazującego na przyjaźni układu partnerskiego i wierzyła, że podstawą do zbudowania takiego związku stanie się jej przyjaźń z Robem. Będzie prowadził swoją aptekę, czytał niedzielne czasopisma, a może nawet „Business Week”. Jej

życie wewnętrzne pozostanie jednak dla niego niedostępne. Być może właśnie tak wygląda większość małżeństw.

Kilka razy poszła z Robem do łóżka i nawet sprawiło jej to przyjemność. Ale w ich zbliżeniach brakowało prawdziwej namiętności i nawet w najbardziej intymnych chwilach nie odczuwała fali gorąca, jaka ogarnęła ją teraz.

Dobry Boże, czy by coś było z nią nie w porządku, że sam widok Johnny'ego bez koszuli obudził w niej bolesne pragnienie?

Z pewnością Rachel, trzydziestoczteroletniej dojrzałej kobiecie, nie groziło niebezpieczeństwo dołączenia do grupy wielbicielki Johnny'ego, jak nazwał „Tylerville Time” kilka nastolatek, które niezawodnie zjawiały się co dzień na sali sądowej w czasie trwania procesu. Rachel nigdy by siebie nie podejrzewała o to, że może ulec urokowi tego zepsutego do szpiku kości chłopaka. Nie ulegało wątpliwości, że silniejsze wrażenie wywiera na niej jego fizjonomia niż charakter. Rachel nie zdawała sobie dotychczas sprawy, że tak jak większość kobiet jest mało odporna na powaby wspaniale zbudowanego męskiego ciała.

48

A zatem reagowała zupełnie normalnie, i z pewnością nie było żadnego powodu do niepokoju, tym bardziej że nikt poza nią samą niczego się nie domyślał.

Musiała tylko uważać, by trzymać swoje libido na wodzy.

Johnny Harris nie był tym mężczyzną, z którym kobieta przy zdrowych zmysłach chciałaby się

związać.

Skrzypienie starego drzewa pod wykładziną dywanową na korytarzu ostrzegło Rachel o jego powrocie. Gorliwie zajęła się wykręcaniem i rozwieszaniem mokrej ścierki. Gdy pojawił się w drzwiach i zablokował przejście, zauważyła, że rzeczywiście

zmienił podkoszulek na podobny do poprzedniego i że zmył z twarzy krew.

– Chciałabym wiedzieć, co robiłeś w sklepie? Przecie miałeś się stawić do pracy dopiero jutro rano.
– Wciąż była trochę roztrzęsiona i obawiała się, żeby się nie domyślił, jak ogromne wywarł na niej wrażenie. Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem i pracownicy zajęła się wycieraniem papierowym ręcznikiem blatu stołu.

– Przypomniałem sobie, że w „Grancie” było zawsze stoisko z artykułami spożywczymi. Chciałem kupić na kolację paczkę ziemniaczanych chrupków i butelkę coca-coli. – Najwyraźniej postanowił na jakiś czas nie ponawiać prób napędzania jej strachu i odpowiadał w sposób mniej nonszalancki.

– Mogłeś coś zjeść w restauracji „Pod Zegarem”.

Ta przytulna knajpka z domową kuchnią była prowadzona przez Mela i Jane Morrisów. Znajdowała się po drugiej stronie rynku, w odległości około trzech kilometrów od „Granta”. Johnny mógł tam

49 bez trudu dojść pieszo. Większość obywateli Tylerville stołowała się w niej przynajmniej raz w miesiącu. Jedzenie było dobre, urozmaicone i tanie. Nagle Rachel przyszło do głowy, że może Johnny'ego nie było stać na posiłek w restauracji. Zawstydziała się.

Jak mogła o tym nie pomyśleć? Powinna być bardziej przewidująca i zaproponować mu tygodniową pensję z góry.

– Poszedłem tam, ale ten stary palant przy drzwiach powiedział

mi, że wszystkie miejsca są zajęte.

Rachel zmarszczyła czoło i podniosła wzrok.

– Wszystkie miejsca zajęte? Ale oni nigdy... – W nagłym błysku olśnienia pojęła, w czym rzecz.

– I dzisiaj te nie mieli kompletu gości. Z wejścia widziałem cztery puste stoliki. Przypuszczam, że nie chcą tam obsługiwać ludzi „mojego pokroju” – stwierdził załamującym się głosem.

– Jestem przekonana... – zaczęła zakłopotana, mając nadzieję, że uda się jej złagodzić gorczyz poniesienia, jakiego niewątpliwie doświadczył.

– Ja również nie mam wątpliwości co do tego, że Tylerville nie zmieniło się ani o jotę. – Cofnął się z kuchennego przejścia. –

Lepiej będzie, jeśli pani ju pójdzie. Chyba nie chce pani dostarczyć Igell Skagss i całej reszcie

tematu do plotek w rodzaju: „Pomyślcie tylko, co za skandal: Rachel Grant weszła na górę z chłopakiem Harrisów i przebywała tam przez całe... – spojrzał na zegarek „pół godziny”.

Ale tym razem Rachel nie zwróciła uwagi na jego po ądliwy uśmiech.

– Pójdiesz razem ze mną – oświadczyła, mnąc w ręce 50

papierowy ręcznik. Przechodząc obok Johnny'ego, przywołała go rozkazującym gestem. – No, chodź!

– Dokąd?

Obejrzała się przez ramię, trzymając rękę na klamce.

Stwierdziła, e Johnny nie ruszył się z miejsca.

– Jedziemy na kolację do restauracji „Pod Zegarem”. Nie pozwolę, eby cię traktowali w ten sposób.

Johnny mierzył ją przez moment wzrokiem, a potem pokręcił

głową.

– Potrafię sam walczyć o swoje prawa.

– Jest ci potrzebna czyjaś pomoc. Nie wydaje mi się, ebyś sam zdołał wiele zwojować – rzuciła cierpko.

Przez długą, pełną namysłu chwilę patrzyli sobie w oczy. W

końcu Johnny wzruszył ramionami i skapitulował.

– Pewnie. Dlaczego nie? Mogę coś zjeść.

– I ja te . – Na moment pojawił się jej przed oczami obraz pracowicie przygotowywanych przez matkę kotletów wieprzowych.

Wiedziała,

e będzie wytrącona z równowagi, jeśli Rachel zrezygnuje z jej posiłku na korzyść jakiegoś knajpianego dania. Z

drugiej strony jednak pojawienie się Johnny'ego w Walnut Grove byłoby o wiele dramatyczniejszym wydarzeniem ni afront spowodowany rezygnacją z kolacji. Rachel nie mogła zabrać Johnny'ego do domu, a zamierzała dopilnować, eby coś zjadł. A poza tym, jeśli tylko mogła mieć na to jakiś wpływ, postanowiła nie dopuścić, eby tutejsi mieszkańcy traktowali go jak pariasa.

Zeszła po schodach, a Johnny tu za nią. Jej samochód stał

zaparkowany przed frontem budynku i nie pozostawało im nic 51

innego jak przejść przez sklep. Perspektywa była mało zachęcająca.

Rachel poczuła napięcie. Kroczyła jednak z wysoko podniesioną głową, nadrabiając miną brak pewności siebie. Okazało się, że w sklepie panuje o wiele większy ruch niż zwykle w czwartki o szóstej, tu przed zamknięciem. Widocznie wiadomość o niedawnej bójce rozniosła się po mieście lotem błyskawicy. Rachel wyszła z magazynu i przemierzała salę, kierując się do wyjścia. Johnny, niczym właściciel domu towarowego, niespiesznie podążył za nią.

Rachel czuła, że wszyscy na nich patrzą. Pomachała na powitanie przyjaciołom, których rozpoznała w tłumie, i przeszła obojętnie obok gapiów, przybyłych ze zwykłej ciekawości.

– Telefonowała pani matka, panno Grant. Prosiła, aby pani jak najszybciej wracała do domu, ponieważ kolacja jest już prawie gotowa – rozległ się cienki głos ekspedientki.

– Dziękuję ci, Olivio. Czy mogłabyś zadzwonić do niej i uprzedzić, że nie będę dzisiaj na kolacji? Zjemy coś z Johnnym w restauracji „Pod Zegarem”.

A więc stało się. Teraz już wiedział o tym każdy z obecnych, a wkrótce miało się równie dowiedzieć całe miasto. Rachel zdawała sobie sprawę z tego, że to tylko kwestia godzin. Plotki będą krążyć z ust do ust. Przypuszczała, że kolacja w towarzystwie Johnny'ego w najbardziej uczęszczanej restauracji w mieście i publiczne przyznanie się do tego jest współczesnym odpowiednikiem rzucenia rękawicy.

Czuła, że to właśnie zrobiła.

Po jej oświadczeniu zapadła martwa cisza. Rachel pogodnie pomachała ręką w nieokreślonym kierunku, dotarła do wyjścia, 52

otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz w słabnący upał letniego wieczoru.

– Widzę, że lubi pani ryzykowną grę. – Po raz pierwszy od chwili ich spotkania na dworcu autobusowym Johnny naprawdę się uśmiechnął. Było to zaledwie lekkie wygięcie ust i gdyby nie wesoły błysk w jego oczach, mogłaby sądzić, że to tylko złudzenie.

– Nie cierpię niesprawiedliwości – oświadczyła zdecydowanym tonem, wsiadając do samochodu.

53

Rozdział 6

Gdy kilka minut później weszli do restauracji „Pod Zegarem”, Rachel od razu zauważyła, że jest jeszcze sporo wolnych miejsc.

Uśmiechnęła się do Jane Morris, korpulentnej i pogodnej kobiety tu po sześćdziesiątce, która do nich podeszła.

– Rachel, co za miła niespodzianka! – Jane spojrzała ponad ramieniem Rachel. Na widok Johnny'ego Harrisa z jej twarzy zniknął powitalny uśmiech.

– Ja te się cieszę, e cię widzę, Jane. Jak się miewa Mel? – Mą Jane złamał nogę w kostce dwa miesiące temu. Rekonwalescencja miała powolny i zmienny przebieg. Mel wciąż mocno utykał i chodził o lasce.

– No có , w naszym wieku złamania ju nie zrastają się tak łatwo. – Jane najwyraźniej otrząsnęła się z wra enia wywołanego identyfikacją mę czyzny, który towarzyszył Rachel. Teraz o jej zmieszaniu świadczyła ju tylko determinacja, z jaką ani na moment nie spuszczała wzroku ze swojej rozmówczyni.

Rachel uśmiechnęła się szeroko, postanawiając wziąć byka za rogi.

– Pamiętasz Johnny'ego Harrisa? – zapytała, nie oczekując odpowiedzi. W Tylerville wszyscy się znali od dziecka, a Johnny Harris pochodził z rodziny, która cieszyła się wyjątkowo złą sławą.

– Nie wiem, czy słyszałaś, e teraz pracuje w naszym sklepie. Wiele lat temu uczyłam go w liceum.

Pomiędzy nimi zawisło nie wypowiedziane słowo zanim. Zanim Marybeth nie została znaleziona z trzynastoma dźgnięciami no a w 54

ciele.

– Johnny, z pewnością znasz Jane Morris. – Wciąż się uśmiechając,

Rachel

oplotła

palce

wokół

umięśnionego

przedramieniu podopiecznego i nakłoniła go, eby stanął obok właścicielki lokalu. Nikt z całej trójki nawet mrugnięciem oka nie dał po sobie poznać, e wie o wcześniejszej wizycie Johnny'ego w restauracji.

Jane zmierzyła go pełnym dezaprobaty spojrzeniem z góry na dół: od przydługich włosów po zniszczone buty.

Dobry wieczór, pani Morris. – Johnny skłonił się lekko, a Jane zaszczyliła go prędkim skinieniem głowy.

Kolejny wyłom dokonany, pomyślała Rachel w przyływie desperackiego humoru.

– Co dzisiaj polecacie? Mam nadzieję, e dostanę pieczeń. –

Szczęściara z ciebie – Jane rozluźniła się nieco, zwracając się do Rachel. – Mogę zaproponować pieczeń z ziemniakami puree. Czy mam podać mro oną herbatę?

Ruszyła do stolika z tyłu sali i skinęła na nich, eby podą ali za nią. Zgodnie z oczekiwaniami odnieśli zwycięstwo. Gdy Rachel wypuściła rękę Johnny'ego, poczuła, e jego mięśnie stają się mniej napięte. W przeciwieństwie do niej wcale nie był pewien wyniku konfrontacji.

Pewnie korzystając z przywileju noszenia nazwiska Harris zdą ył ju przywyknąć do odmowy.

– Glendo! – zawołała Jane do kelnerki w ró owym fartuchu –

Pieczeń i mro ona herbata dla Rachel! – Jej wzrok prześliznął się po Johnnym, który właśnie zajmował miejsce za stołem. – A co 55

mam zamówić dla pana?

Chocia jej głos zabrzmiał surowo, to w ka dym razie zwróciła się bezpośrednio do Johnny'ego. Rachel uznała to za olbrzymi postęp. Jane nie nale ała do osób, które bez powodu robią afronty komuś, kto został im przedstawiony.

– To samo, proszę.

– Dwa razy pieczeń – zawołała w stronę Glendy, a potem uśmiechnęła się do Rachel. – Przeką ode mnie pozdrowienia mamie.

– Nie omieszka – obiecała Rachel, a Jane pospiesznie się oddaliła, eby obsłu yć nowo przybyłych gości.

– Proszę, oto napoje. Dania będą gotowe za chwilę. Glenda postawiła na stoliku dwie wysokie szklanki. Nagle zobaczyła Johnny'ego i wybałuszyła oczy.

– Kogo ja widzę! Johnny Harris! Có to, wypuścili cię z więzienia?

Rachel zrobiła grymas. Johnny upił łyk herbaty, a potem uśmiechnął się do kobiety.

– Powinnaś się spodziewać, e w końcu mnie wypuszczą.

Czekałaś na mnie?

Glenda zachichotała.

– Jak diabli. Mam czwórkę dzieciaków. Trudno to nazwać czekaniem.

– To prawda.

Rachel odgadła, że tych dwoje musiała kiedyś łączyć bliska zażyłość. Po głębszym zastanowieniu się przypomniała sobie, kim jest Glenda. Z domu nazywała się Wright i pochodziła z rodziny, 56

która tak samo jak rodzina Harrisów nie cieszyła się powaaniem.

Rachel nie miała okazji bliżej poznać Glendy, gdy dziewczyna wcześniej zakończyła edukację i nigdy nie chodziła do liceum. Sieć zmarszczek wokół jej oczu i ondulowane włosy o barwie słomy sprawiały, że wyglądała powańniej od Johnny'ego. Rachel doszła jednak do wniosku, że muszą być mniej więcej w tym samym wieku.

– Widziałam wczoraj twojego tatę. Nic nie wspomniał o twoim powrocie do domu.

Johnny wzruszył ramionami i upił kolejny łyk herbaty.

– Glendo! Czy podasz wreszcie gościom dania? – zawołała zaniepokojona Jane.

– Oczywiście, pani Morris! Miło cię widzieć, Johnny. Uważaj na siebie.

– Ty też, Glendo.

– Dobrze, że przynajmniej Glenda ucieszyła się na twój widok –

zauważyła ironicznie Rachel po chwili niezręcznej ciszy.

Napotkał jej wzrok, a usta wykrzywiły mu się w bezwiednym uśmiechu.

– Tak. Pewnie znalazłoby się jeszcze kilka takich jak ona. Po chwili Glenda postawiła przed nimi talerze z zamówionymi daniami.

– Czy mam podać keczup?

– Poproszę. Dziękuję. – Odpowiedzieli równocześnie. Glenda przyniosła sos i oddaliła się w pośpiechu, aby obsłużyć następnych klientów.

– Zabija smak – wyjaśnił Johnny na widok miny Rachel. Sięgnął

57

po butelkę, odkręcił i wylał niemal połowę zawartości na pieczeń oraz na ziemniaki. Rachel skinęła głową i odwróciła wzrok, gdy Johnny zaczął łapczywie pakować jedzenie do ust. Maniery, jakie demonstrował przy stole, nie należały do najlepszych.

Nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Przecież nie spędził

ostatnich dziesięciu lat w szkole *savoir-vivre'u*. A i przedtem nie miał okazji poznać subtelności obchodzenia się z serwetką ani nauczyć się posługiwania widelcem i nożem.

– Nie zamierza pani jeść? – spytał z pełnymi ustami.

– Szczerze mówiąc, nie jestem głodna. – Skubnęła kilka kęsów i rozejrzała się na boki. Czuła się trochę za enowana. Chciała się przekonać, czy inni goście te widzą, z jaką zawziętością Johnny atakuje danie.

Na

moment

zaległo

milczenie,

wypełnione

jedynie

dźwięczeniem widelca uderzającego o talerz i głośnego ucia.

Nagła cisza wyrwała Rachel z rozmyślań. Skierowała wzrok na Johnny'ego. Patrzył na nią spod przymrużonych powiek, a jego ręka z pełnym widelcem zawisała w powietrzu. Miał usmarowany keczupem kącik ust i Rachel skoncentrowała uwagę na tym szczególnie jego twarzy. Domyślił się po jej minie, że jest

zdegustowana jego zachowaniem. Skrzywił się, gwałtownie odłożył

widelec, chwycił serwetkę, która do tej pory leżała starannie złożona w trójkąt i z dziką furią otarł nią twarz. Jego gest był

bardziej wymowny niż stek najgorszych przekleństw.

– Wprowadzam panią w zakłopotanie, prawda, profesorko?

– Wcale nie... – wyjąkała Rachel przyłapana na gorącym uczynku.

58

– Kłamie pani.

– Moje jeszcze herbaty? – zapytała Glenda, przechodząc obok z dużym złotym plastikowym dzbankiem pokrytym rosą.

– Nie, dziękujemy. Poprosimy o rachunek. – Johnny zmusił się do uśmiechu, ale błysk w jego oczach świadczył o tym, że jest wściekły.

– Zapłacicie przy wyjściu. – Glenda przerzuciła kilka rachunków, które wystawały jej z kieszeni

bluzki, wyjęła jeden z nich i położyła na stole przed Johnnym, a potem uśmiechnęła się do niego. – Wpadnij kiedyś do mnie – zaproponowała półgłosem. –

Mieszkam razem z dziećmi przy Appleby Estates. Pamiętasz to miejsce nad rzeką w pobliżu parku, prawda? Rozstaliśmy się z mężem. Zamierzamy się rozwieść, gdy tylko któreś z nas będzie na to stać.

– To przykre – rzekł Johnny.

– No, cóż, tak bywa.

– Glendo! Goście czekają na herbatę!

– Muszę już iść – powiedziała z rezygnacją i pośpiesznie odeszła, aby wykonać polecenie szefowej.

– Podaj mi to – rozkazała półszepcetem Rachel, gdy Johnny wziął

do ręki rachunek i uwa nie mu się przyglądał. Poczowała dobiegające z jego strony fale wrogości.

– Ma pani rację. Dlaczego by nie dorzucić do innych zniewag jeszcze upokorzenia? – powiedział to niemal wesołym głosem, ale w jego oczach malował się zgoła odmienny nastrój.

– Nie bądź głupcem. Przecie nie masz pieniędzy...

– Za to pani ma, prawda? – dokończył z przesadną

uprzejmością.

Rachel westchnęła.

– Słuchaj Johnny, przykro mi, jeśli zraniłam twoje uczucia. Nie jestem wielką amatorką keczupu i widok mojego ulubionego dania sówicie nim oblewanego trochę mnie rozżłościł. Zachowałam się nieuprzejmie, gdy nie powinnam była tego okazać. Bardzo cię przepraszam. Ale nie musisz z tego powodu postępować nedorzecznie. – Zamilkła, widząc jego minę.

Jej słowa najwyraźniej nie uciszyły gniewu Johnny'ego. Być może czułby się uraony, gdyby sama uregulowała należność.

Pewnie jak większość mężów był przeczulony w niektórych sprawach. Otworzyła torebkę, sięgnęła do bocznej kieszeni, wyłowiła z niej i przesunęła po stole w jego stronę dwudziestodolarowy banknot. Starła się to zrobić w możliwie jak najbardziej naturalny sposób.

– W porządku, wygrałeś. Proszę, zapłacić.

Johnny spojrział na dwudziestodolarówkę, jak gdyby była wężem, który go zaraz może ukąsić.

– Oczywiście i zapłacę. Ale swoimi pieniędzmi. – Podniósł się z miejsca i wziął rachunek.

Wyciągnął z kieszeni spodni kilka zmiętych banknotów jednodolarowych, cisnął je na stół i skierował

się w stronę kasy. Rachel nie pozostało nic innego jak zabrać swoje pieniądze i ruszyć za nim.

Głowy jedna za drugą odwracały się, gdy przechodził przez salę.

Po upływie kilku sekund oczy wszystkich obecnych zwróciły się ku niemu. Rachel idąc z tyłu miała doskonałą okazję, eby się przekonać, jak reagują jej współmieszkańcy na widok Johnny'ego 60

Harrisa.

– Czy to czasem nie jest...?

– Och, mój Bo e, oczywiście e tak!

– Co on tutaj robi?

– Słyszałem, e wyszedł warunkowo, poniewa Grantowie zapewnili mu pracę w swoim sklepie.

– Elisabeth nigdy by czegoś podobnego nie zrobiła!

– Elisabeth nie, ale Rachel. Spójrz, przyszła tu razem z nim.

Mo esz w to uwierzyć? Cześć, Rachel!

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane o wiele głośniej, gdy Rachel skierowała wzrok na mówiącego. Odpowiedziała lekkim skinieniem dłoni i uśmiechnęła się z przymusem. Wszyscy obecni na sali znali ją od dziecka, ale to ich nie powstrzymywało przed strzępieniem sobie języków. Była przekonana, e nie pozostawia na niej suchej nitki.

– Mam nadzieję, e wszystko wam smakowało – powiedziała Jane trochę bardziej przyjaznym tonem i pospiesznie podeszła do kasy, aby zainkasować nale ność od Johnny'ego.

Wręczył jej dwudziestodolarowy banknot. Skąd miał gotówkę?

Rachel słyszała, e rząd płaci odsiadującym wyroki za pracę w więzieniu, ale godzinowa stawka wynosiła zaledwie około dziesięciu centów. Johnny przebywał tam przez dziesięć lat, a więc za czterdziestogodzinny tydzień pracy mógł otrzymać kwotę wysokości...

Wciąż była pochłonięta obliczaniem jego przybli onych dochodów, gdy Johnny przyjął resztę od Jane i pewnym krokiem wyszedł z sali. Rachel uśmiechnęła się do właścicielki lokalu i 61

pospieszyła za mę czyzną. Zrównała się z nim dopiero na parkingu, gdy był ju prawie przy samochodzie. Jego długie nogi w okamgnieniu przemierzyły krótki dystans. Nawet przypadkowy obserwator zauwa yłby, e Johnny jest wściekły. Zanim otworzyła samochód i wsiadła do środka, spojrzała na niego z wyrzutem. Bez słowa zajął miejsce obok niej. Miał zaciśnięte szczęki i surowy

wyraz twarzy.

– Zachowujesz się jak rozkapryszone dziecko – stwierdziła Rachel, wrzucając bieg.

– Tak? – W jego oczach pojawił się nieprzyjemny błysk. Za to pani zachowuje się jak zepsuta, bogata snobka. Przykro mi, e moje maniery nie odpowiadają Waszej Wysokości.

– Jeszcze bardziej nie odpowiada mi twoje zachowanie w tej chwili – warknęła, sprowokowana jego wypowiedzią. I nie obrzucaj mnie obelgami. Jesteś wstrętnym niewdzięcznikiem!

– Chciałaby pani, ebym na ka dym kroku okazywał swoją dozgonną wdzięczność, prawda? Czy mam całować pani stopy? A mo e pani profesor wolałaby, eby to był tyłek?

– Niech cię piekło pochłonie! – prychnęła Rachel. Nacisnęła pedał gazu. Samochód niespodziewanie wystrzelił do tyłu.

– – Wkrótce oboje tam wylądujemy! Niech pani trochę bardziej uwa a, na miłość boską! – rzucił przez zaciśnięte zęby, gdy samochód zatrzymał się z piskiem hamulców tu przed murowaną ścianą budynku. – Niewątpliwie moje ycie wydaje się pani mało wartościowe, ale nie mam zamiaru go zakończyć w rozbitym aucie.

Rachel musiała się powstrzymać, eby nie docisnąć pedału gazu do dechy i nie dać mu nauczki. Ura ona zamilkła tak jak i on.

62

Skupiła uwagę na jezdni. I ju bez większych perturbacji, nie licząc jazdy po krawę nikach, dowiozła ich do celu.

Kilka minut później zajechali na parking za sklepem. Nadal nie odzywali się do siebie. W końcu Rachel postanowiła pobła liwie potraktować lęk Johnny'ego o własne

ycie. To prawda,

e

zachowywał się dziecinnie, siedząc ze zmarszczonymi brwiami i naburmuszoną miną, ale musiała uczciwie przyznać, e robi

dokładnie to samo, co on.

– Sądzę,

e pewne sprawy powinniśmy sobie wyjaśnić zasugerowała, odwracając się w jego stronę.

– Nie ma potrzeby. – Sięgnął do klamki, otworzył drzwi i wysiadł bez słowa, trzaskając drzwiami.

Rachel skrzywiła się z powodu kolejnego afrontu, jaki ją spotkał. Obserwowała Johnny'ego, gdy przechodził przed maską samochodu. Zauważyła, że jest potwornie chudy. Na nowo ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Przez chwilę mocowała się z przyciskiem, usiłując spuścić szybę. Ten człowiek powinien coś jeść i to, że była na niego wściekła, nie miało tu nic do rzeczy.

– Johnny?

Obejrzał się, unosząc w górę brwi. Przywołała go skinieniem dłoni. Ociągając się, niechętnie podszedł do samochodu. Rachel grzebała w torebce, szukając czeków.

– O co chodzi?

Podniosła wzrok, zdumiona,

że jest tu przy niej. Palce

napotkały chłodny plastik okładki książki czekowej. Triumfalnie wydobyła ją na wierzch.

– Zamierzam z góry wypłacić ci tygodniową pensję Przerzuciła 63

blankiety, wyjęła pióro i zaczęła pisać.

Opierając się o szybę, która nie do końca schowała się w drzwiach, wsadził głowę w otwór okna, a drugą ręką sięgnął w stronę Rachel.

Skuliła się, zaskoczona, gdy musnął ramieniem jej piersi, ale natychmiast pojęła,

że nie zamierza wyrządzić jej krzywdy.

Chwycił ją za przegub dłoni, uniemożliwiając wypełnienie rubryki oznaczonej hasłem „okaziciel”.

– Nie musi mi pani wyświadczać przysług – powiedział

chrapliwym głosem. Wzmocnił uścisk. Miała wrażenie, że palce Johnny'ego miażdżą jej nadgarstek. – Nie potrzebuję od pani jałmużny.

Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, a nawet pomyśleć o odpowiedzi, wydał z siebie nieartykułowany dźwięk. Spotkali się wzrokiem. To, co dostrzegła w jego spojrzeniu, sprawiło, że na jedną najdłuższą w jej życiu sekundę straciła oddech. Johnny rozchylił usta, chcąc coś powiedzieć, ale zaraz gwałtownie je zacisnął. W jego oczach pojawiła się pustka, jak gdyby ktoś spuścił

na niego kurtynę. Rachel się szarpnęła, podejmując nieudolną próbę wyswobodzenia ręki. Cofnął się, wypuszczając z uścisku jej nadgarstek. A potem wyprostował się i odwrócił.

Patrząc za nim, Rachel miała zatrwajałą świadomość przyspieszonego bicia serca.

Rozdział 7

Usłyszał za plecami odgłos nadjeżdżającego samochodu. Nawet nie zadał sobie trudu, aby się obejrzeć albo wystawić kciuk. Czy któryś z mieszkańców Tylerville zechciałby go podwieźć? Na pewno nikt przy zdrowych zmysłach. Był przecie mordercą i nazywał się Johnny Harris. Ludzie omijali go z daleka jak zdechłego skunksa.

Do diabła, nie mógł się nawet najeść do syta. Na wspomnienie upokorzenia, jakie go spotkało podczas kolacji, zazgrzytał zębami.

W czasie posiłków zawsze myślał tylko o tym, by po ywienie jak najprędzej trafiło do ołładka, nim ktoś zdążyłby mu je odebrać.

Maniery, serwetki i wszystkie inne tego typu bzdury nigdy nie miały dla niego znaczenia. Ale były ważne dla niej. A więc musiał

się ich nauczyć! Dręczyła go świadomość, że źle wypadł w oczach Rachel Grant. Martwił go również fakt, że próbowała mu dać pieniądze jako zaliczkę pensji, jak się wyraziła. On je nazwał

jałmużną i na myśl o tym wzbierała w nim złość.

Tu obok przemknął nowy czerwony dżip. Jaskrawy lakier połyskiwał w zapadającym zmroku. Przez moment Johnny patrzył

za pojazdem niemal z zazdrością. W kabinie dla pasażerów dostrzegł mężczyznę i kobietę, a z tyłu dziewczynkę i chłopca.

Rodzina. Zawsze marzył o tym, aby mieć taką właśnie rodzinę. No cóż, w więzieniu wyobraził sobie różne rzeczy – to mu pozwoliło pozostać przy zdrowych zmysłach.

Teraz jednak przebywał w realnym świecie. Zmierzał w stronę najuboższych przedmieść. Szedł poboczem drogi, po rozpadającej się

czarnej nawierzchni. Krajobraz urozmaicały chylące się szkielety dużych wiejskich domostw, złomowiska oraz parterowe chałupy, których podwórza były zawałone rupieciami. Brudne i bosa dzieciaki bawiły się wśród wysokich chwastów. Z

rozchybotanych ganków gapiły się na Johny'ego otyłe kobiety, którym spod podomek wystawały gołe i szeroko rozstawione kolana, a wychudzeni mężczyźni w wyciętych podkoszulkach mierzyli go wzrokiem, drapiąc się pod pachami. Zewsząd obszczekiwały go wynędzniałe psy nieokreślonej maści.

Witaj w domu.

Pomimo odpychającej atmosfery tego miejsca Johnny do niego należał, tak jak i ono tkwiło w nim głęboko. Był kiedyś takim samym malcem, umorusanym i niedożywionym, jak dokazujące tutaj dzieciaki. Jego matka miała nadmierną tuszę i niechlujny wygląd, tak jak te kobiety, na których widok

się teraz wzdragał.

Ojciec zaś był wyjątkowo podłym człowiekiem, skorym do nadużywania pięści i sprośnych wyrazów, a po domu zwykł chodzić w podkoszulku – prawdopodobnie ciągle tym samym, sądząc po zdobiących go licznych dziurach i plamach.

Ci ludzie naleli do jego środowiska. Podzielał ich życiowe doświadczenia. Miał w swoich genach ich zepsutą krew.

Kiedyś się łudził, że stąd ucieknie.

Kiedyś. Do diabła, przedtem marzyło mu się wiele rzeczy.

Jednopiętrowy budynek stał na szczycie niewielkiego wzgórza i dorównywał opłakanym wyglądem najgorszym z dotychczas mijanych. Na podjeździe stały dwa zardzewiałe furgony – jeden, bez kół, został podparty cementowymi blokami. Na podwórzu 66

grzebały w ziemi kury. Przez otwarte frontowe drzwi Johnny dostrzegł migające światło telewizora.

Ktoś był w domu. Johnny sam nie wiedział, czy ma się z tego powodu cieszyć, czy martwić.

Wszedł na ganek i zajrzał do środka przez moskitierę w drzwiach, podziurawioną licznymi otworami i przecięciami.

Na kanapie leżał mężczyzna z butelką taniego piwa w ręce i oglądał telewizję. Był starym chudym człowiekiem w obdartym i poplamionym podkoszulku. Na jego widok Johnny poczuł ucisk w gardle.

Dom. Lepszy czy gorszy, ale zawsze dom. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Willie Harris podniósł wzrok i przez moment sprawiał wrażenie, że jest zaskoczony najściem. Rozpoznając przybysza, przymrużył

oczy.

– To ty – rzekł tonem pełnym pogardy. – Wiedziałem, że prędzej czy później się zjawisz. Odsuń się, zasłaniasz mi ekran.

– Witaj, tato – rzekł Johnny łagodnie, wciąż tkwiąc w tym samym miejscu.

– Powiedziałem ci przecie, żebyś ruszył tyłek!

Johnny usłuchał. Nie dlatego, żeby się nadal obawiał pięści swojego ojca, ale ponieważ chciał obejrzeć resztę domu i stwierdzić, co się w nim zmieniło. Wszedł do małej kuchni z poobłupowanymi białymi szafkami i z okrągłym stołem, przy którym zwykle jadali – o ile w ogóle było w domu coś do zjedzenia.

Stół, zapewne już inny, gdyby ten również tandetny mebel nie przetrwałby tak długo, łudząco

przypominał poprzedni, łącznie z 67

odłupanym płatem forniru na samym środku blatu. Obok zlewu jak zawsze piętrzył się stos brudnych talerzy, tyle tylko e teraz znacznie ni szy. Zasłony w ró owe kwiaty – bardziej wypłowiałe i zniszczone ni przed laty – zwisały z tego samego co kiedyś wygiętego ółtego prętu nad zlewozmywakiem.

W domu znajdowały się dwie maleńkie sypialnie i maciupeńka łazienka na końcu korytarza. Johnny zajrzał do ka dego pomieszczenia. Zastanawiał się, czy na podłodze w mniejszym pokoju le y ten sam podwójny materac, który jemu oraz jego braciom, Grady'emu i Buckowi, słu ył za posłanie. Sue Ann, jako jedyna dziewczyna, miała do dyspozycji całą kanapę w salonie.

Rodzice dzielili łó ko w drugim pokoju, dopóki matka nie wyniosła się do Chicago z jakimś facetem. Od tamtej pory ojciec korzystał z sypialni razem ze swoimi kolejnymi dziewczynami. Czasami r nął je tak e któryś z braci, najczęściej Buck.

Dom.

Johnny wrócił do du ego pokoju i wyłączył telewizor.

– A niech cię wszyscy diabli! – zaklął ojciec. Wykrzywił ze złości twarz, odstawił na podłogę butelkę z piwem i usiadł.

– Co u ciebie, tato? – Johnny przysiadł na brzegu kanapy, gdzie się zwolniło miejsce, gdy Willie spuścił na dół swoje bosc stopy.

Johnny delikatnie chwycił ojca za ramię, powstrzymując go przed ponownym włączeniem odbiornika.

Uderzył go nieświe y, przesiąknięty piwem zapach.

– Zabieraj tę swoją cholerną łapę z mojego ramienia! Willie bez powodzenia starał się wyswobodzić rękę.

Johnny uśmiechnął się do niego i wzmocnił uścisk. Nie na tyle, 68

by mu wyrzucić krzywdę, ale eby go ostrzec. Czasy się zmieniły.

Nie miał zamiaru ju dłu ej wystawiać się na ciosy zadawane w twarz i w oładek, których ojciec nie skąpił, ilekroć był w złym nastroju.

– Sam tu teraz mieszkasz?

– A có cię to, do cholery, obchodzi? Mo esz być pewien, e nie pozwolę ci się tu wprowadzić!

Dziesięć lat nieobecności, podczas których Willie ani razu nie napisał do syna, nie zatelefonował ani nie odwiedził go, złągodziło wspomnienia Johnny'ego o starym draniu. Prawdę mówiąc, Johnny miał

cichą nadzieję, e ojciec ucieszy się na jego widok.

– Wcale nie chcę się tutaj wprowadzać. Mam mieszkanie w mieście. Przyszedłem tylko zobaczyć, jak yjesz.

– Niewątpliwie yło mi się o wiele lepiej, zanim się tu nie zjawiłeś.

Wszystko było po staremu. Czy w tym cholernym mieście cokolwiek mogło ulec zmianie?

– Miałeś ostatnio jakieś wiadomości od Bucka albo od Sue Ann?

Willie prychnął pogardliwie.

– A có ci się wydaje, e jestem jakimś cholernym biurem informacyjnym? Nie słyzałem o nich. Nie obchodzą mnie nic a nic.

Podobnie jak i ty.

To zabołało. Nie powinno, a jednak zabołało.

Johnny pomyślał o tym, eby wstać, wyjść i nie wracać tu nigdy więcej. Wcale nie musiał się spotykać ze starym łajdakiem.

Ale nie mógł tak tego zostawić. W więzieniu nauczył się inaczej 69

patrzeć na niektóre sprawy i zaczął doceniać wartość związków łączących ludzi. Niemal ka dy człowiek miał jakieś rodzinne więzy

– nie musiał nawet o nie specjalnie zabiegać. Johnny nie miał w yciu nikogo bliskiego i bardzo nad tym ubolewał.

– Posłuchaj, tato – powiedział cicho. – Dotychczas nienawidziliśmy się nawzajem, prawda? I nie najlepiej układały się nasze stosunki. Ale mo emy to zmienić. Na tym świecie zbyt wielu jest ludzi, którzy nie mają nikogo. Chcesz umierać w samotności, ze świadomością, e nikt nie uroni po tobie ani jednej łzy? Bo ja nie chcę! Jesteśmy rodziną. Łączą nas więzy krwi. Nie potrafisz tego zrozumieć?

Ojciec przez chwilę patrzył na niego zdumiony. A potem sięgnął

po butelkę piwa i pociągnął potę ny łyk. Przyglądając mu się z nadzieją, Johnny poczuł w sercu ukłucie bólu. Być mo e zdołają jeszcze wszystko zacząć od nowa.

– Widzę, e pobyt w więzieniu zrobił z ciebie babę. Tamtejsze kutasy musiały cię nieźle przećwiczyć, e stałeś się nagle

mazgajem. Nie mam dla ciebie czasu. Wynoś się z mojego domu.

Przez moment Johnny walczył ze sobą,

eby poskromić

nieprzepartą chęć wyr nięcia pięścią w tę złośliwą gębę. Opanował

się jednak, wypuścił z uścisku chude ramię i wstał.

– Mam nadzieję, e zgnijesz w piekle – powiedział bezbarwnym tonem, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał, był łoskot zatrzaskiwanej moskitiery.

Obszedł dom, minął furgony na podjeździe i skierował się do miejsca, w którym kiedyś znajdowała się szopa. Stała tam nadal i 70

tak jak przedtem przechylała się na jedną stronę. Ptactwo domowe, które obsiadło okna bez szyb, i dobiegające z wewnątrz odgłosy świadczyły o tym, e szopa słu y teraz za kurnik.

Johnny musiał się schylić, wchodząc do środka, by nie zawadzić głową o niską futrynę.

Wciąż tam był. Johnny obawiając się zawodu, nie chciał robić sobie nadziei. A tymczasem jego motocykl stał oparty o ścianę z tyłu szopy, w miejscu, w którym go zostawił. Pokrywała go warstwa kurzych odchodów. Miał zniszczone opony do samych obręczy, a z wydziobanej dziury w siodełku z winylu wystawała gumowa pianka.

O Bo e! Jaki Johnny był kiedyś z niego dumny! Kupił tę wiśniowo-srebrną yamahę 750 za własne pieniądze, które zarobił

wykonując ró ne najdziwniejsze roboty w mieście. Kochał ją i bardzo o nią dbał. Gdy przyszli go arestować, postawił motocykl w szopie. Nie zdawał sobie wtedy sprawy, e upłynie jedenaście lat, zanim tu wróci. Wszystko wskazywało na to, e przez cały ten czas oprócz kur nikt z pojazdu nie korzystał.

Zwa ywszy jego dotychczasowy przebieg, był praktycznie całkiem nowy. Po wymianie opon i regulacji silnika mógł stać się znowu przydatny. Johnny ucieszył się, e nie będzie musiał chodzić pieszo ani prosić Rachel Grant o podwiezienie. Miał znowu swój własny pojazd.

Posiadanie własnych kółek dodawało autorytetu. Czuł się z nimi bardziej męski.

Gdzieś za jego plecami rozległo się warczenie. Johnny obejrzał

się przez ramię. W wejściu stał na sztywnych łapach olbrzymi pies.

Johnny powoli odwrócił się do niego twarzą. Na zewnątrz zapadł już zmrok, a wewnątrz szopy panowały jeszcze większe ciemności. W bladym świetle księżyca odcinała się na czarnym tle sylwetka psa. Był jednym z licznych w tej okolicy parszywych kundli, choć nieco większym od innych niedowiwionym, prawdopodobnie podjudzanym do agresji i niebezpiecznym.

Zawsze trzymali w domu takie psy. Duże, brzydkie i przepojone nienawiścią. Nic dziwnego. Willie je kopał, draził, trzymał na łańcuchu i głodził, aby się stały bezwzględne takie jak on.

Ale ten pies nie był uwiązany na łańcuchu.

Warczenie przybrało na sile. Johnny przewidując rychły atak, poczuł, jak napinają mu się wszystkie mięśnie. Rozejrzał się dookoła, szukając kłosa drewna – czegokolwiek, czym mógłby zdzielić stworzenie, gdy skoczy.

Ale pies nie nacierał. Po kolejnym głośnym warknięciu uniósł w górę łeb, jak gdyby wietrzył jakiś zapach. Kurczęta skrzecząc i trzepocząc skrzydłami rozpięzły się na boki, ale pomimo całego zamieszania zwierzę ani drgnęło. Wpatrywało się tylko bacznie w Johnny'ego.

Johnny w równej mierze zaintrygowany, co przerażony jego zachowaniem, przyjrzał mu się uważnie. Obrzucił wzrokiem brązową sierść, a gdy dostrzegł takie szczegóły jak kształt łba i uszu oraz długość i grubość ogona, zaświtała mu w głowie pewna nieprawdopodobna myśl.

Pies cicho zaskowyczał.

– Wolf? – To niemożliwe. Pies miał cztery lata, gdy Johnny 72

został aresztowany. Teraz byłby o ponad dziesięć lat starszy. To niewiarygodnie podeszły wiek jak na kundla, nad którym przez całe życie się znęcano. – Czy to ty, Wolf?

Johnny kochał to cholerne stworzenie. Pochodziło z miotu bezpańskiej suki, która przybłąkała się i zamieszkała w zawałonej i porzuconej stodole na pobliskim polu. Johnny razem z braćmi i przyjaciółmi obrzucał ją i jej szczeniaki kamieniami, ale nocami zakradał się do niej z garnkami pełnymi resztek jedzenia. Nigdy nie zdobył jej zaufania, ale zaskarbił sobie sympatię młodych, a szczególnie największego z nich, który zwykł chodzić za Johnnym krok w krok. Pewnego dnia, gdy szczenięta miały około siedmiu tygodni, Johnny znalazł przy drodze ich niewiarygodnie dużą matkę. Nie wiedząc, co z nimi począć, zabrał je do domu. Okazało się jednak, że to nie był najlepszy pomysł. Cztery ruchliwe, skore do lizania i przymilne stworzenia ojciec natychmiast wrzucił do bagażnika ciężarówki i wywiózł, aby je gdzieś utopił. Zostawił piątego szczeniaka, Wólfa, ponieważ uważał, że zapowiada się na dobrego psa obronnego. Nie bacząc na protesty Johnny'ego, natychmiast uwiązał go na łańcuchu i zaczął tresować na groźne zwierzę. Johnny próbował temu zapobiec. Ale zabiegi Williego okazały się skuteczne i Johnny był jedyną osobą, do której pies odnosił się przyjaźnie.

Czasami w więzieniu podczas bezsennych nocy, gdy leżał ze wzrokiem wbitym w łóko nad sobą, Johnny myślał o tym, że najbardziej tęskni za Wolfem.

Czy to nie był cholernie smutny komentarz do jego życia?

Pies ponownie zaskowyczał. Zdając sobie sprawę, e zachowuje 73

się nierozsądnie i nara a się na utratę dłoni, Johnny zrobił krok do przodu i wystawił mu do obwąchania palce. – Wolf, chodź tutaj piesku.

Wielkie zwierzę przysiadło na łapach i zaczęło się czołgać do przodu, jak gdyby nie dowierzało i obawiało się brutalnego podstępu. Johnny rzucił się na kolana i zaczął się z nim witać.

Zanurzył ręce w szorstkiej sierści, głaskał go i drapał. Wolf zaskomlał. Lizał swojego pana, skrobał łapą i łasił się, ocierając się o niego łbem.

– Och, Wolf – powiedział Johnny, gdy w końcu dotarła do niego prawda,

e jedyne stworzenie, które kochał, ocalało, by go przywitać. Gdy du e zwierzę poło yło mu na kolanach łeb, objął je za gruby kark i zanurzył twarz w jego sierści.

A potem, po raz pierwszy od jedenastu lat, Johnny się rozpłakał.

74

Rozdział 8

– Mamy problem, Rachel.

Czy to coś nowego? pomyślała Rachel ze znu eniem, przekładając słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie w kuchni do drugiego ucha. Podczas czterdziestu ośmiu godzin, które upłynęły od powrotu Johnny'ego Harrisa do Tylerville, jej ycie było wprost nabrzmiące od problemów bezpośrednio związanych z byłym uczniem. I pewnie ten te się do nich zaliczał.

– O co chodzi, Ben?

– Pamiętasz tę bandę dzieciaków, którą mieliśmy na oku? Otó przyłapałem w końcu jednego z nich na kradzie y. Ale Harris nie pozwala mi zadzwonić po policję.

– Co takiego? Dlaczego?

– Sądzę, e sam będąc kryminalistą, staje po stronie sobie podobnych. A zresztą skąd, u licha, miałbym to wiedzieć?

Zapowiedział mi tylko, e jeśli zawezwę policję, to mnie skopie...

Nie będę powtarzał gdzie.

– O Bo e!

– Oświadczam ci, Rachel, e dłu ej nie zniosę tego faceta.

Prawdziwe z nim utrapienie.

– Daj mi go do telefonu. Chcę z nim porozmawiać. Albo nie.

Lepiej będzie, jeśli zaraz przyjadę do sklepu. Zatrzymaj do tego czasu złodziejaszka, dobrze?

– Spróbuję, Rachel, ale...

– Porozmawiamy o tym na miejscu, Ben.

Rachel odło yła słuchawkę. Na nieszczęście matka, która stała 75

przy kuchni i piekła dla ojca jego ulubiony niegdyś chleb kukurydziany, słyszała ka de słowo. Rachel zrozumiała to w chwili, gdy się odwróciła i dostrzegła napięcie na twarzy Elisabeth.

– Dlaczego nigdy nie chcesz mnie posłuchać, Rachel?

Uprzedzałam cię od samego początku, e popełniasz straszliwy błąd, proponując mu pracę. Nie mam pojęcia, skąd się u ciebie wziął ten upór. Nie mogę spojrzeć ludziom w oczy ani słuchać, co mówią o twojej przyjaźni z tym chłopakiem. A próba udzielenia wyjaśnień Nernie Edwards, gdy zatelefonowała do mnie z płaczem...

– Wiem, e to nie jest dla ciebie łatwe, mamó, i bardzo nad tym ubolewam. Współczuję te pani Edwards. Nie wierzę jednak w to, eby Johnny mógł zabić Marybeth. On...

– Johnny? – Elisabeth zeszywniała, nagle zaalarmowana. Jej postawa przywiodła Rachel na myśl psa myśliwskiego, który zwęszył trop dzikiego królika. – Rachel, chyba plotki krą ące o tobie i o chłopaku Harrisów nie są prawdziwe? Mam nadzieję, e dobrze znam moją córkę. Sądzę, e masz tyle oleju w głowie, eby nie włączyć się z kimś takim, kto pochodzi z hołoty, był

kryminalistą, a na dodatek jest o wiele lat od ciebie młodszy...

– Ja te mam nadzieję, e mnie znasz, mamó – powiedziała cicho Rachel i czym prędzej czmychnęła z kuchni.

Było późne sobotnie popołudnie. Rob miał przyjechać po nią za godzinę. Wbiegając na górę po schodach pomyślała z ulgą o tym, e zdą yła ju poprawić fryzurę i zrobić makija . Musiała jeszcze tylko wło yć na siebie czerwoną sukienkę z dzianiny – krótką, dopasowaną, z głębokim dekoltem i niewielkimi bufiastymi 76

rękawami, wbić się w cienkie czarne rajstopy, wskoczyć w pantofle tego samego koloru i przypiąć parę czarnych klipsów.

Szybko przeciągnęła szczotką po włosach w takt dobiegających z trzeciego piętra rytmów „Więzienia na urwisku" i po raz ostatni sprawdziła w lustrze końcowy efekt. Wychodząc z sypialni wpadła na Tildę, która niosła w ramionach stos czystych, poskładanych prześcieradeł.

– O! Ślicznie wyglądasz! – Kobieta pokiwała głową z uznaniem, mierząc Rachel od stóp do głów. – Wybierasz się na randkę z tym przystojnym farmaceutą?

– Zgadłś.

– Od razu tak sobie pomyślałam. Masz pomalowane na czerwono usta. A my, kobiety, wiemy coś niecoś na temat czerwonej szminki, prawda?

– Jest w kolorze mojej sukienki, Tildo – wyjaśniła sztywno Rachel, ale na widok komicznej miny gospośki nie potrafiła opanować śmiechu. Pomachała jej na pożegnanie i cicho zbiegła po schodach. Niestety nie miała szczęścia. Elisabeth czekała na nią przy frontowych drzwiach.

– Nie wracaj zbyt późno, Rachel. Wiesz, jak się niepokoję o was, dziewczęta. A szczególnie teraz, kiedy ten chłopak jest znowu w mieście.

– Dobrze, mamó.

Czy kiedyś późno wracała do domu? Uśmiechnęła się cierpko, przejeżdżając przez kamienną bramę i kierując się w stronę miasta.

Przez całe życie była wzorem posłusznej córki, choć wcale jej to na dobre nie wyszło. To Becky nie opuściła ani jednej potańcówki, 77

spotykała się coraz to z nowymi chłopakami i ku przerażeniu matki niejednokrotnie wracała do domu nad ranem w nietrzeźwym stanie.

Spokojniejsza od młodszej siostry i ciesząca się mniejszym powodzeniem u mężczyzn Rachel spędzała wieczory zatopiona w lekturze. „Prześpisz życie na jawie!” ostrzegła ją Elisabeth, ale Rachel w tamtym czasie nie podejrzewała jeszcze, że proroctwa matki mogą się sprawdzić.

Po ukończeniu liceum wyjechała na studia. Dobre oceny zapewniły jej miejsce na Uniwersytecie Vanderbilt, o którym studenci zwykli mówić Vandy. Można było tam dojechać w trzy godziny. Ale Nashville, miasto akademickie, którym Rachel była zafascynowana, dzieliły od rodzinnej miejscowości Rachel całe lata świetlne. Niechętnie wróciła do domu. Po ukończeniu studiów, z certyfikatem nauczycielki w dłoni, podjęła pracę pedagoga w miejscowym liceum. Nie zamierzała jednak do końca życia

zajmować się nauczaniem młodzieży. Miała niezachwianą pewność, że los chowa dla niej w zanadrzu jakąś cudowną niespodziankę.

A potem, jedenaście lat temu, nadeszło długie i feralne lato.

Musiał się wtedy wydarzyć jakiś astrologiczny kataklizm, którego następstwem był szereg nieszczęśliwych wypadków. Rachel wróciła wtedy do Vandy na cykl wykładów podyplomowych z myślą o uzyskaniu w przyszłości stopnia naukowego. Pewnego popołudnia, gdy spacerowała uliczkami akademickiego miasta i układała w myślach wiersz zadany na zajęcia z kompozycji literackiej, przyklęknął przed nią młody człowiek,

eby zawiązać sobie

sznurowadło. Zamyślona wpadła na niego i jak długa runęła głową do przodu. Serdecznie ją przeprosił i pomógł się podnieść. Rachel 78

poraziła jego uroda. Zakochała się w Michaelu od pierwszego wejrzenia. Od tamtej pory nie rozstawali się ze sobą. Snuli nawet małżeńskie plany. Przywiozła go do domu, eby poznał rodzinę.

Sądziła, e podczas owej wizyty, pod koniec wakacji, oficjalnie się zaręczą.

Tymczasem Michael niespodziewanie stracił głowę dla uroczej i pełnej ycia Becky. Rachel patrzyła z narastającym bólem, jak łątwo jedyny mę czyzna w jej yciu ulega wdziękom młodszej siostry. Becky nie zamierzała jej zranić. Taką ju miała naturę, e w swoich poczynaniach nigdy nie brała pod uwagę innych. I podobnie jak Rachel zakochała się bez pamięci w Michaelu. Po miesiącu zaręczyła się z nim, a nim minął kwartał, była ju jego oną. Rachel wspaniałomyślnie usunęła się im z drogi, a nawet wystąpiła na ich ślubie w roli starszej druhny. Ale gdyby nie morderstwo Marybeth Edwards, które zdarzyło się w tym samym czasie i odwróciło jej uwagę od osobistych spraw, nie była pewna, jak zdołałaby prze yć stratę ukochanego.

Sytuację utrudniał fakt, e Michael zabrał ze sobą Becky do Vandy, gdzie kończył trzeci rok prawa.

Rachel nie zdobyła się na to, eby wrócić do Nashville. Została w domu ku radości rodziców, których przera ąła myśl o jednoczesnej utracie obu córek. Rachel miała nadzieję, e to tylko chwilowa zwłoka. Zakładała,

e najdalej za rok całkowicie

otrząśnie się z przygnębienia i w pełni odzyska równowagę emocjonalną. Z powrotem zajęła się nauczaniem w liceum i powoli, z upływem miesięcy, największy ból minął. Oddała się pracy oraz swoim uczniom, łudząc się, e w jej yciu pojawi się nowa 79

promienna i radosna ekscytacja.

Czekała jednak na pró no. A potem u ojca stwierdzono chorobę Alzheimera i wszelkie plany ucieczki z Tylerville musiały ulec zawieszeniu. W sytuacji gdy Becky wyjechała z domu, a matka przygnębiona losem mę a nie mogła sprostać wszystkim obowiązkom, Rachel wiedziała, e jest w Walnut Grove naprawdę potrzebna. Poza tym pragnęła spędzać z ojcem ka dą wolną chwilę, dopóki to jeszcze było mo liwe. Czasami nachodziła ją jednak refleksja, e jej najlepsze lata upływają przy ło u chorego.

Ale zaraz wyrzucała to sobie. Nie przystoi, eby kochająca córka dopuszczała do siebie tak straszliwą myśl. I teraz te natychmiast odsunęła ją od siebie, skupiając uwagę na nadchodzącym wieczorze.

Ju trzeci raz Rob zaprosił ją na koncert „Rytm serca”

organizowany

na

rzecz

Towarzystwa

Kardiologicznego

i

odbywający się pod gołym niebem w każdą ostatnią sobotę sierpnia na terenie Klubu Tylerville. Na taki właśnie koncert wybrali się podczas ich pierwszej randki.

Postanowiła zatelefonować ze sklepu do Roba i poprosić go, eby tam po nią przyjechał. Uznała, e będzie jednak lepiej, jeśli zaczeka na zewnątrz. Postanowiła nie dopuścić do jego spotkania z Johnnym. W ciągu ostatnich dwóch dni Rob jasno wyraził swoje stanowisko w sprawie jej nowego pracownika zarówno podczas wspólnego obiadu, jak i czterech rozmów telefonicznych.

Dlaczego życie jest tak skomplikowane? – pomyślała Rachel, wzdychając. Gdy zaoferowała Johnny'emu pracę, zrobiła tylko to, co jej zdaniem było słuszne z moralnego punktu widzenia.

80

Tymczasem decyzja o udzieleniu pomocy wywołała w jej osobistych sprawach straszliwy zamęt. O ile prościej byłoby nie odpowiadać na zwięzły list byłego ucznia. Rachel nie potrafiłaby jednak żyć ze świadomością, e zbyła go milczeniem. Ale i w tym wypadku powiedzenie, e człowiek sam siebie ziarna własnej zguby, okazało się trafne. Gest będący świadectwem wielkoduszności (albo miękkiego serca, jeśli wierzyć Robowi) stał się zarzewiem chaosu w spokojnym dotychczas biegu jej życia. Toczyło się gładko a do momentu, kiedy wyszła po Johnny'ego na dworzec autobusowy. Od tamtej pory nie miała ju ani chwili spokoju.

Powód był prosty i w pełni zrozumiały. Johnny Harris pod jednym względem się nie zmienił – tak jak zwykle pozostał źródłem wszelkich kłopotów.

Rachel zostawiła samochód na parkingu za sklepem, rozprostowała ramiona i weszła do środka tylnymi drzwiami. Olivia inkasowała właśnie należąca za pudełko gwoździ i narzędzia do obróbki

drewna

od

Kay

Nelson

—

za ywnej,

ładnej

trzydziestojednoletniej kobiety, z którą Becky przyjaźniła się od czasów szkoły podstawowej. Kay do tej pory nie wyszła za mąż .

Prowadziła kwiaciarnię i sprawiała wra enie osoby zadowolonej z panińskiego stanu.

Olivia podniosła wzrok i zauwa yła szefową.

– Och, Rachel! Są na zapleczu.

Rachel skinęła głową. Biuro Bena znajdowało się na tyłach magazynu i było jedynym miejscem, w którym złodziejasek mógł

być przetrzymywany.

– Dziękuję, Olivio – Rachel w sposób zdecydowany ucięła 81

ewentualne

wynurzenia

ekspedientki.

Nie

miała

zamiaru

informować całego świata o tej sprawie. Wieść o najnowszym wydarzeniu stałaby się wodą na plotkarski młyn, który i tak w ostatnim czasie pracował bez przerwy.

– Dzień dobry, Kay – Rachel uśmiechnęła się pogodnie do kole anki siostry, zdecydowana sprawić wra enie osoby beztroskiej, nawet gdyby to ją miało zabić. – Nie widziałam cię w kościele w ubiegłą niedzielę. Byłaś chora? Mam nadzieję, e wszystko w porządku.

– Tak, dziękuję, Rachel. Czuję się ju dobrze. To była tylko chwilowa niedyspozycja. Ale wa niejsze, czy u ciebie wszystko w porządku? – W jej głosie zabrzmiało więcej troski ni w zwykłym kurtuazyjnym pytaniu. Rachel zrozumiała, e Kay ju o wszystkim wie i ubolewa z powodu obecności Johnny'ego Harrisa w jej yciu.

Rachel miała ochotę zazgrzytać zębami. Ale musiała się opanować, jeśli

zamierzała

sprawiać

wra enie

kobiety

uosabiającej

niezmacony spokój.

– Tak, oczywiście. Zamierzasz coś budować? – Zmieniła temat i uśmiechając się, wskazała głową na

zakupy swojej rozmówczyni.

Kay spojrzała na porozkładane na ladzie przedmioty i zagarnęła je niemal obronnym gestem.

– Ale nie, to dla mojego brata. Jest naszym rodzinnym stolarzem. Czy ostatnio miałaś jakieś wiadomości od Becky?

Et tu, Brute, pomyślała Rachel. Nie miała złudzeń, e Kay –

podobnie jak większość klientów w ciągu dwóch ostatnich dni –

przyszła do sklepu ze zwykłej ciekawości.

– Rozmawiałam z nią w ubiegłym tygodniu. Przyje d a na 82

Święto Dziękczynienia razem z Michaelem i z dziewczynkami, jak sędzę.

– Muszę przyjść i zobaczyć się z nią.

– Odwiedź nas koniecznie – powiedziała Rachel, weszła za kontuar i skierowała się do magazynu.

Tak jak się tego spodziewała, drzwi do gabinetu kierownika były uchylone. Po lewej stronie na ścianie wisiał aparat telefoniczny. Przystanęła na moment, eby przeprowadzić szeptem krótką rozmowę. Połączyła się z apteką, która nale ała do Roba, zostawiła dla niego wiadomość i odwiesiła słuchawkę. A potem, wiedząc, e nie zdoła dłu ej odwlec tego, co nieuniknione, ruszyła w stronę otwartych drzwi. Zatrzymała się w progu, ogarniając wzrokiem rozgrywającą się przed oczami scenę.

W du ym stojącym za biurkiem skórzanym fotelu Bena siedział

mały chłopiec ze zmierzwionymi blond włosami i szczupłą buzią o ostrych rysach. Johnny przycupnął na krawędzi biurka i rozmawiał

z dzieciakiem. Był odwrócony tyłem do drzwi. Przydługie włosy związał niebieską gumką na karku. Miał na sobie podkoszulek oraz d insy. Skrajnie ró nił się wyglądem od starannie ubranego i u ywającego szkieł Bena. Kierownik sklepu stał z boku z zało onymi rękami i opierał się o ścianę. Jego nieskazitelnie odprasowane popielate spodnie, niebieska koszula w paski i granatowy krawat nie były drogie, ale prezentowały się nienagannie, gdy zdaniem Bena ubiór świadczył o pracowniku.

Rachel zastanawiała się, wzdychając skrycie, czy przypadkiem Johnny umyślnie nie zdecydował się na kucyk. Niewykluczone, e chciał rozsierdzić kierownika. To było do niego całkiem podobne.

83

Cicho zamknęła za sobą drzwi, postanawiając wziąć sprawę w swoje ręce. Podniosła wzrok i dostrzegła utkwione w niej trzy pary oczu. Ka da z nich miała inny wyraz. Ben patrzył na nią z wyraźną ulgą, podczas gdy spojrzenie Johnny'ego było znacznie trudniejsze do rozszyfrowania. Nie

widziała go ani nie rozmawiała z nim od czasu niefortunnej kolacji. Na wspomnienie okoliczności, w jakich się rozstali, Rachel poczuła ucisk w ołładku.

Zupełnie nie wiedziała, czego się mo e po nim spodziewać. Nie była te pewna własnej reakcji, gdy targały nią sprzeczne uczucia

– złości i winy. Ominęła go wzrokiem i napotkała oczy chłopca.

Były złotobrazowe, okolone gęstymi rzęsami, lekko podkrę one i szeroko otwarte, co wzięła za wyraz przera enia.

– Rachel, zamierzał to ukraść. – Ben oderwał się od ściany i sięgnął w stronę biurka po mały plastikowy budzik. Podniósł go w górę, eby mogła mu się lepiej przyjrzeć. – Olivia wszystko widziała, a gdy zatrzymałem chłopaka, znalazłem ten przedmiot za jego pazuchą.

To cholerne łgarstwo! – Przekleństwo w ustach chłopca, który nie wyglądał na więcej jak na siedem, osiem lat i nagle przestał

sprawiać wra enie przestraszonego, było szokujące. – Niczego nie wziętem!

– Przyłapaliśmy cię na gorącym uczynku, ty mały złodziejaszku! Nie mo esz temu zaprzeczyć, smarkaczu! – Ben wprost kipiał z furii, gdy wymachując budzikiem odwrócił się w stronę chłopca. – To zdarzyło się nie po raz pierwszy! Tylko po to przychodzisz tu ze swoimi kole kami, eby coś zwędzić!

– Nigdy niczego stąd nie wzięliśmy. Nie mo e nam pan niczego 84

udowodnić! – W dziecięcym głosie zabrzmiał bunt.

– Widzisz sama. – Ben z dezaprobatą pokręcił głową, ponownie zwracając się do Rachel. – Nawet nie okazuje skruchy. Jeśli nie zatelefonujemy po policję, to równie dobrze mo emy rozesać zaproszenia do ka dego dzieciaka w tym mieście, eby przychodził

nas okradać.

– Uprzedziłem cię, co zrobię, jeśli wezwiesz policję, Zeigler, i dotrzymam słowa – ostrzegł go cicho Johnny. Szepnął coś chłopcu do ucha, a potem zsunął się z biurka i podszedł do Rachel i Bena.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić, Harris. To ja jestem twoim zwierzchnikiem. – W wypowiedzianej szeptem replice Bena zabrzmiała wściekłość.

– Pracuję dla Rachel, a nie dla pana.

Wyniosłemu tonowi towarzyszyło zuchwałe spojrzenie. Ben się naje ył, a na twarzy Johnny'ego pojawił się prowokujący uśmiech.

– Obaj pracujecie dla mnie – rzuciła ostro Rachel. Wbiła wzrok w Johnny'ego, którego przymru one

oczy nie wyrażały skruchy ani gniewu. Nie uszedł jej uwagi fakt, że Johnny nazwał ją po imieniu.

Uznała jednak, że to nieodpowiednia chwila na roztrząsanie tego problemu. – Ben ma rację. Policja jest po to, aby ścigać złodziei.

Ten chłopak należy do gangu nieletnich przestępców. Od sześciu miesięcy podejrzewaliśmy, że kradną nasze towary. W końcu udało się nam przyłapać jednego z nich na gorącym uczynku. Dlaczego nie mielibyśmy wezwać policji?

– Ponieważ chodzi o dziewięcioletnie, śmiertelnie przerażone dziecko. Czy naprawdę jest pani skłonna oddać je w ręce policji?

Co z pani za kobieta? – zapytał Johnny z wyrzutem.

85

– Jestem kobietą interesu – syknęła, spoglądając w stronę chłopca.

I popełniła błąd. Doszła do wniosku,

że faktycznie jest

przerażona, chociaż dzielnie stara się to ukryć, obserwując jak troje dorosłych debatuje półszepceniem nad jego losem. Spiorunowała Johnny'ego wzrokiem, chociaż już wiedziała, że jej serce weźmie górę nad rozumem. Nigdy by się nie domyśliła, że chłopiec ma dziewięć lat. Westchnęła. Była pewna, że nie zadzwoni po policję.

– Pozwólcie, że porozmawiam z nim przez chwilę. Jak się nazywa?

Ben wzruszył ramionami.

– Małe diablę nie raczyło nam nawet tego powiedzieć.

– To Jeremy Watkins. Znam jego mamę – padła oschła odpowiedź Johnny'ego.

– Ach tak? – Rachel spojrzała na niego, podnosząc w górę brwi.

– Pamięta pani Glendę, kelnerkę z restauracji „Pod Zegarem”?

– Och. – W jednej sylabie kryło się całe bogactwo podtekstów.

A więc to dlatego Johnny wstawiał się za chłopcem z powodu jego matki. Z jakiejś przyczyny takie wyjaśnienie wcale nie spodobało się Rachel. Podobnie zresztą jak i pewność, że Johnny niewątpliwie musiał skorzystać z zaproszenia kelnerki, skoro znał jej syna.

Pamięć

podsunęła

jej

natrętnie

wspomnienie

przeciągle

wypowiedzianych słów: „W końcu upłynęło a dziesięć lat od czasu, kiedy miałem przyjemność obcować z kobietą. Mo e się pani obawiać, e jestem podniecony". Wyglądało na to, e nie przepuścił okazji nadrobienia zaległości.

– Jego rodzice się rozwodzą. To cię kie doświadczenie dla 86

chłopca. Nie mo e mu pani wymyślić łagodniejszej kary?

– To oczywiste, e najchętniej patrzyłbyś przez palce na wszelkie wykroczenia, Harris. Mo e gdyby ktoś z mniejszą pobłą liwością reagował na twoje wybryki w dzieciństwie, nie trafiłbyś za kratki. – Szept Bena był przesiąknięty jadem.

– A gdyby panu ktoś za młodu przefasonował twarz, to dzisiaj nie byłby pan takim świętoszkowatym kutasem. Chocia nie mo emy mieć pewności.

– Co ty sobie... – Ben zacisnął dłonie w pięści, a twarz pociemniała mu z wściekłości.

– No dalej, Zeigler. W ka dej chwili jestem do twojej dyspozycji. – Johnny znowu się uśmiechnął, a w jego jasnych oczach pojawił się nieprzyjemny błysk.

Rachel nie miała wątpliwości, e wprost się pali do bójki. Ale Ben, od którego miała prawo oczekiwać większego opanowania, wcale nie zachowywał się lepiej. Przed atakiem powstrzymywała go jedynie pewność, e nie ma szans w konfrontacji z młodszym, wy szym i silniejszym mę czyzną.

– Uspokójcie się, do jasnej cholery. Mam ju tego dość! Rachel prawie nigdy nie przeklinała i fakt,

e wyprowadzili ją z

równowagi, rozzłościł ją jeszcze bardziej. – Nie chcę ju słyszeć ani jednego słowa. Ben, wracaj do sklepu, bardzo proszę! Jestem przekonana, e Olivii przydałaby się twoja pomoc. A z tobą porozmawiam później. – Spojrzała groźnie na Johnny'ego, a wyraz jej oczu nie wró ył nic dobrego. Najpierw zamierzam zająć się chłopcem.

– Jeśli nie wystąpisz z oskar eniem przeciwko temu małemu 87

łobuzowi, to rezygnuję z pracy. – W głosie Bena wibrowała wściekłość.

– To wspaniale – zadrwił cicho Johnny, lecz najwyraźniej Ben tego nie dosłyszał.

Rachel skarciła go wzrokiem. Postanowiła udobruchać kierownika sklepu.

– Nie bądź śmieszny, Ben. Pracujesz u nas od sześciu lat i nie zamierzam wyrazić zgody na to, ebyś odszedł. Zastrzegam sobie jednak prawo do niepowiadamiania policji, jeśli nie będę całkowicie przekonana, e są ku temu podstawy.

– Jeśli nie zawiadomisz policji, to odchodzę – powtórzył Ben z zawziętością. A potem obrócił się na pięcie i wyszedł z biura.

88

Rozdział 9

– Psiakrew! – zaklął Johnny.

– Cicho bądź – Rachel z trudem się powstrzymała, eby na niego nie wrzasnąć. Obrzuciła go piorunującym spojrzeniem, odwróciła się na pięcie i obeszła biurko, eby porozmawiać z chłopcem.

– Jeremy, bo tak ci na imię, prawda?

Dzieciak podniósł wzrok. W jego ogromnych, pociemniałych oczach czaiła się podejrzliwość.

– Mo e tak, a mo e nie.

– Zaufaj jej, Jeremy. Ona jest w porządku. – Johnny przemówił

do chłopca łagodnym głosem, stając obok Rachel.

Ze złości zazgrzytała zębami.

– Pozwól, e sama się tym zajmę, dobrze? – rzekła z przesadną słodyczą. Gdyby powiedziała to, co chciała powiedzieć i u yła tonu, na jaki miała ochotę, to śmiertelnie wystraszyłaby dzieciaka.

– Bardzo proszę. – Johnny przysiadł na brzegu biurka i zrobił

wymowny gest, który świadczył o tym, e pozostawia problem w jej rękach.

Ale Rachel nie zwracała ju na niego uwagi. Przykucnęła przed chłopcem.

– Jeremy, wiem, e schowałeś budzik za koszulę. Wiem te , e tobie i twoim kolegom zdarzało się postępować podobnie w przeszłości. Wynoszenie ró nych rzeczy ze sklepu na pewno wydaje się wam podniecające, prawda? Chcecie się przekonać, ile razy uda się wam nas oszukać? Pewnie nawet nie zdajecie sobie 89

sprawy z tego, e wasze postęпки są zwykłą kradzie ą. A kradzie jest przestępstwem. Naraziłeś się na

du e kłopoty. Jeśli wezwę policję, zostaniesz zatrzymany, a twoje dalsze losy zależą tylko od sędziów. Zapewniam cię, e nie ma w tym nic zabawnego.

– Zamilkła, pozwalając, by słowa zapadły chłopcu głęboko w serce.

Po chwili podjęła wywód. – Tym razem nie zatelefonuję na policję, gdy uwa am, e ka demu nale y dać szansę. Ale jeśli jeszcze kiedykolwiek to zrobisz – tu czy w innym sklepie – to źle się to dla ciebie skończy. Zrozumiałeś?

Gdy mówiła, migdałowe oczy podejrzenie zwilgotniały, jak gdyby pod powiekami czały się łzy. Odruchowo pochyliła się nad chłopcem, chcąc go otoczyć ramieniem. Ale Jeremy ją odepchnął.

Rachel straciła równowagę i upadła.

– Jeremy! – Johnny upomniał ostro chłopca, zrywając się z miejsca, by pomóc jej podnieść się z ziemi. Ale Rachel ju stanęła na własnych nogach, myśląc z niechęcią o wysokich obcasach.

Gdyby nie pantofle, pewnie by się nie wywróciła. Poczła się głupio.

– Wszystko w porządku? – Głos Johnny'ego zabrzmiał ciepło, a dotyk dłoni na jej przedramieniu dodawał otuchy. Gdy Rachel podniosła wzrok, jego twarz była niepokojąco blisko. Zatraskany wyraz oczu Johnny'ego całkowicie ją rozbroił. Wspomnienie niedawnej sprzeczki wciąż sprawiało jej przykrość, ale ju nie tak dotkliwą jak przedtem.

– Sądę, e będę yła – stwierdziła, otrzepując sukienkę.

– Pozwoli pani, e ja to zrobię. – Z jego twarzy zniknął wyraz

zaniepokojenia, ustępując miejsca szatańskiemu uśmiechowi.

Johnny przejechał ręką po jej pośladkach i nie spieszył się z cofnięciem dłoni.

– Przestań! – Zdumiona jego poufnością odskoczyła do tyłu jak oparzona, a jej reprimenda zabrzmiała zaskakująco głośno i piskliwie. Rachel przestraszyła się nawet, e jej reakcja zaalarmuje Bena, który za moment wtargnie do gabinetu z odsieczą. Ale na szczęście się nie zjawił. Pewnie przebywał w odległej części sklepu i niczego nie słyszał.

– Pomagałem tylko otrzepać kurz – wyjaśnił niewinnie Johnny, ale figlarne błyski w jego oczach świadczyły o tym, e się z nią dra ni.

Rachel zaczerwieniła się. Posłała mu druzgocące spojrzenie. Za ka dym razem, gdy cieszyła się, e za arogancką, agresywną i irytującą pozą dostrzega w nim cechy przyzwoitego człowieka, natychmiast robił coś takiego, czym ją na nowo do siebie zra ał.

Zacęła nawet podejrzewać, e zachowuje się tak z premedytacją.

Postanowiła zastanowić się nad tym później. Nieśmiało skierowała wzrok na Jeremy'ego i

stwierdziła, e dzieciak przygląda się im obojgu z wyraźnym zainteresowaniem.

– Czy obiecujesz, e ju nie będziesz kradł? – Uwagę Rachel wciąż

absorbowała

próba

rozgryzienia

nieprzeniknionego

charakteru Johnny'ego Harrisa, dlatego ton jej głosu był zbyt łagodny i miękki, by mógł przynieść zamierzony skutek.

– Niczego nie mo e mi pani udowodnić – oświadczył Jeremy.

Słyszac gburowatą odpowiedź niewdzięcznika, Rachel na moment zaniemówiła. Ale zaraz powzięła decyzję, e tę sprawę 91

trzeba jak najszybciej zakończyć. Pokiwała nad chłopcem głową.

– Mylisz się, Jeremy. Zeznania pana Zeiglera, mę czynny który niedawno stąd wyszedł, oraz ekspedientki, panny Tompkins, byłyby dla sądu wystarczającym dowodem twojej winy. Mam jednak nadzieję, e nie musimy się tym razem uciekać do tej ostateczności.

Gdyby jednak taka sytuacja powtórzyła się kiedykolwiek w przyszłości...

– To ju się więcej nie powtórzy. Porozmawiam z Glendą.

Johnny stanął obok Rachel.

Zdołała zachować spokój jedynie dzięki temu, e uwaga

Johnny'ego było skierowana na chłopca.

– Niech pan nie mówi o tym mojej mamie. – Jeremy nagle spuścił z tonu. Dr ała mu dolna warga i wyglądał w końcu jak mały, wystraszony chłopak. – Proszę, nie chcę, eby o tym wiedziała.

– Obawiam się, e sposób, w jaki się odnosisz do panny Grant, nie pozostawia mi wielkiego wyboru. – Johnny – tak samo jak Rachel – był zaintrygowany odkryciem słabego punktu u dzieciaka, który do tej pory starał się zachować pozę twardziela. Zało ył ręce na piersi i zmierzył Jeremy'ego surowym wzrokiem. Chłopak przez moment wytrzymał jego spojrzenie, a potem spuścił powieki, wbijając oczy w podłogę. Był uosobieniem małego cierpiętnika.

– Jeśli jej pan powie, będzie płakać. A to się jej ostatnio często zdarza. Ojciec nas porzucił i wyprowadził się do swojej dziwki.

Wciąż nam brakuje pieniędzy, chociaż mama bardzo cię ko pracuje. W ubiegłym tygodniu odcięli nam dopływ prądu. Dopiero 92

po trzech dniach mama im zapłaciła i z powrotem podłączyli światło. Bez klimatyzacji trudno było znieść upał w naszej przyczepie, a w lodówce popsulo się mięso i do wczoraj nie stać nas było na świe e. A potem popsuł się budzik przy łó ku matki. Nie mo e pozwolić sobie na nowy. Od tamtej pory bez przerwy płacze.

A jeśli się będzie często spóźniała do roboty, to straci pracę.

Prawdopodobnie będziemy musieli wtedy zamieszkać u ojca i u tej jego dziwki, eby nie umrzeć z głodu. Ale oni nas nie chcą.

Nieskładne wyznanie przeszło bólem serce Rachel. Ponownie przykucnęła przed chłopcem. Miała ochotę mocno przytulić go do siebie, lecz tym razem zachowała się bardziej powściągliwie.

Dotknęła kolana w niebieskich d insach i gdyby nie Johnny, który ostrzegawczo ścisnął ją za ramię, pozwoliłaby Jeremy'emu nie tylko zabrać ze sobą budzik, ale wynieść ze sklepu wszystko, na co tylko miałby ochotę. Gdy podniosła wzrok, Johnny z dezaprobatą pokręcił głową. Doszła do wniosku, e ma słusność. Zamknęła usta i cofnęła rękę. Zbyt łagodne potraktowanie chłopca zaprzepściłoby wszelkie korzyści wynikające z dzisiejszej nauzki.

– Nie zamierzasz chyba przysporzyć mamie dodatkowego zmartwienia, prawda? – Głos Johnny'ego zabrzmiał surowo i łagodnie zarazem.

Jeremy spojrzał na niego bystrym wzrokiem.

– Niczego nie mo na mi udowodnić... – Coś w wyrazie twarzy mę czynny w końcu do niego dotarło. Rzucił okiem w stronę Rachel, a potem zwiesił głowę. – Nie, proszę pana.

– Grzeczny chłopiec. Tym razem nikt jej o niczym nie powie.

Ale gdyby w przyszłości zdarzyło się coś podobnego, to nie tylko 93

natychmiast zostanie o tym poinformowana, ale dopilnujemy te , eby się dowiedziała i o dzisiejszym incydencie. A teraz przeproś pannę Grant i zmykaj stąd. Skorzystaj z tylnego wyjścia. W ten sposób nie natkniesz się na nikogo z personelu sklepu.

– Ma pan na myśli tamtego człowieka? Nie lubi mnie. Rachel odgadła, e chłopiec mówi o Benie.

– Tak – odparł Johnny. – Nie musisz się z nim widzieć. Co masz do powiedzenia pannie Grant?

– Przepraszam – rzekł Jeremy strzelając wzrokiem w stronę Rachel. – Ju nigdy więcej tego nie zrobię.

Gdy Johnny przyzwalajaco skinął głową, Jeremy podniósł się z fotela i pomknął w stronę wyjścia. Po chwili trzasnęły metalowe drzwi od magazynu i ju Jeremy'ego nie było.

Rachel się wyprostowała. Johnny stał niepokojąco blisko.

Poczuła się nieswojo. Dotykała niemal ramieniem jego piersi, a jej spódnica ocierała się o jego dżinsy. Zrobiła krok do tyłu i eby pokryć nagłe zmieszanie wsunęła za biurko fotel, który przed chwilą zajmował chłopiec. W głębokiej ciszy rozległo się drażniące skrzypienie kółek mebla.

– Dziękuję, e nie zatelefonowała pani na policję. Dzieciak przeszedł cię kie chwile.

Nie miała wyboru. Musiała znowu na niego spojrzeć. Oczy Johnny'ego miały teraz łagodny wyraz, który by zaskoczył ka dego, kto znał tylko dziką i niepokorną stronę jego natury. Ale Rachel zawsze wyczuwała w nim delikatność. Gdyby jego ycie potoczyło się inaczej, pewnie byłby sympatycznym człowiekiem.

– Jeśli to zrobi ponownie, zatelefonuję. – Wiedziała w głębi 94

duży, e adna siła nie zmusiłaby jej do oddania chłopca w ręce policji. W ka dym razie ju nie po tym, jak pozwolił jej wejrzeć w swoje ycie. Kiedy wybiegał z biura, z trudem się powstrzymała, eby go nie błagać, by zabrał ze sobą skradziony przedmiot.

– Jeśli to zrobi ponownie, to osobiście spuszczę mu takie lanie, e przez tydzień nie będzie mógł usiąść – oświadczył Johnny. – To na nim wyrze większe wra enie ni zawiadamanie policji, proszę mi wierzyć.

– Nie jestem zwolenniczką wymierzania dzieciom kar cielesnych.

Uśmiechnął się do niej. Ciemne oczy stały się nagle całkiem niebieskie i poraziły ją blaskiem. Przez moment wytrzymała ich spojrzenie, które ją oślepiło, jak gdyby zbyt długo patrzyła pod słońce.

– Ma pani wra liwe serce, profesorko. Wiedziałem, e pani nie zadzwoni po policję. Tak jak byłem pewien, e nie odmówi pani, gdy zwróciłem się do pani z prośbą o pracę.

– Dlaczego zdecydowałaś się tutaj wrócić? – To pytanie nie dawało jej spokoju od dwóch dni. Wyobra ała sobie, e przyjedzie pełen skruchy grzesznik, któremu udzieli wsparcia. Ale tak się nie stało. Z autobusu wysiadł dorosły co prawda, ale nieznośny tak jak przedtem Johnny Harris. I nadal były z nim same kłopoty. Jego obecność wywołała w mieście wielkie oburzenie, co niewątpliwie przewidział, i zakłóciła spokój Rachel. Wbrew jej oczekiwaniom Johnny nie wrócił po to, eby się pojednać ze społecznością miasta.

Wyglądało raczej na to,

e przybył tu, by wypowiedzieć

współmieszkańcom otwartą wojnę.

Oczy mu się zwięziły.

– Ponieważ to jest moje rodzinne miasto. I niech mnie diabli wezmą, jeśli pozwolę się stąd wyrzucić. Wyjadę dopiero wtedy, kiedy sam będę miał na to ochotę.

– Gdybyś tylko był...

– Jaki? – zapytał drwiąco.

Rachel

bezradnie

zamrugała

powiekami.

Chciała

mu

powiedzieć, że gdyby zmienił swoje negatywne nastawienie do ludzi, być może mieszkańcy Tylerville te by się do niego odnosili uczliwiej. Ale nie mogła znaleźć odpowiednich słów, pamiętając, jak źle przyjął jej uwagi o zachowaniu przy stole.

Okazało się jednak, że Johnny doskonale umie czytać w jej myślach. Widząc, że ponownie przywdział swoją zwykłą maskę, Rachel wzmogła czujność. Bez ostrzeżenia chwycił ją za ramię i nim zdolała stawić opór, zaczął ją okręcać, zuchwale taksując wzrokiem.

– Bardzo podoba mi się pani sukienka. Świetnie prezentuje się w niej pani tyłek.

Rachel wyrwała się, a na jej policzki wystąpił purpurowy rumieniec. Ale zanim zdolała zmienić Johnny'ego słowami, tak jak na to zasługiwał, odgłos ciężkich kroków za drzwiami uprzedził

ją, że ktoś się zbliża.

To był Rob. Z trudem próbowała odzyskać panowanie nad sobą.

Zdobyła się nawet na uśmiech. Ale powitanie najwyraźniej nie spełniło jego oczekiwań.

– Czy wszystko w porządku, Rachel? – spytał, marszcząc brwi.

Najpierw się jej uwa nie przyjrzał, a potem z wyraźną niechęcią

zatrzymał spojrzenie na twarzy Johnny'ego.

– Przyszedł pan w samą porę – zakomunikował Johnny, bezczelnie szczerząc zęby. – Właśnie zaczynałem zdzierać z niej ubranie.

– Ej, ty! – najęty się Rob.

– W najlepszym porządku. – Rachel uspokajająco położyła rękę na jego ramieniu i spiorunowała wzrokiem Johnny'ego. Zirykowało ją przypuszczenie Roba, że jego przebywanie sam na sam z Johnnym naraża ją na niebezpieczeństwo. Zachowanie byłego ucznia równie doprowadzało ją do białej gorączki. – On tylko się z tobą droczy, prawda Johnny? spytała ostrym tonem. Lekki nacisk postawiony na słowo „prawda” nie pozostawiał wątpliwości, a dla jego własnego dobra będzie lepiej, jeśli odpowie twierdząco.

– Ale oczywiście – odparł Johnny, prowokująco cedząc słowa.

Rachel zmarszczyła brwi. Dlaczego chciał wszystkich do siebie zrazić?

– Jesteś gotowa? Spóźnimy się na koncert – stwierdził oschle Rob, zdejmując dłoń Rachel ze swojego ramienia i splatając ze swoimi jej palce.

Zawahała się, kierując wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

W powietrzu wyczuwało się ich wzajemną niechęć. Bez wątplenia sytuacja nie sprzyjała dokonywaniu prezentacji. Kontrast pomiędzy nimi był uderzający. Rachel przypuszczała, a nawet gdyby

wcześniej niczego o sobie nie wiedzieli i tak od pierwszej chwili odnosiliby się do siebie z antypatią.

Rob, rozwiedziony trzy lata temu, miał czterdzieści lat, był

wykształcony i prezentował się elegancko w swoim drogim szarym

garniturze i rudym jedwabnym krawacie. Średni wzrost i krępa budowa przydawały jego wyglądowi solidności, jaka powinna cechować obywatela z górnej warstwy klasy średniej. Ciemnoblonde włosy miał krótko ostrzycone i nienagannie uczesane. Nie stosował

adnych zabiegów, by ukryć niewielką łysinę z tyłu głowy. I nawet jeśli nie dorównywał urodą stojącemu obok młodszemu mężczyźnie ani nie był tak niebezpiecznie pociągający jak on, to bez wątplenia gwarantował o wiele lepsze widoki na przyszłość. A to przede wszystkim powinna mieć na uwadze każda rozsądna kobieta.

– Jestem gotowa – stwierdziła Rachel, odwzajemniając lekki uścisk jego palców. – Ale zanim wyjdę, muszę zamienić na osobności dwa słowa z Johnnym. Chyba nie masz nic przeciwko temu, prawda? Zaczekaj na mnie w sklepie, bardzo cię proszę.

Rob popatrzył na nią chmurnie. Nie miała wątpliwości, że nie spodobał mu się jej pomysł. Uśmiechnęła się do niego przymilnie.

– Proszę cię. To nie potrwa długo. Obiecuję.

Nie odwzajemnił jej uśmiechu, za to na Johnny'ego spojrzał z wyraźnym ostrzeżeniem.

– Zaczekam w magazynie – oświadczył, sugerując, e gdyby go potrzebowała, będzie w zasięgu głosu. Gdy uwolnił jej rękę i skierował się w stronę drzwi, Rachel odetchnęła z ulgą. Zmiana stosunku szanowanych obywateli Tylerville do Johnny'ego wydała się jej niezwykle trudnym zadaniem.

– Nigdy bym nie przypuszczał, e tyle jest w pani słodkiej kobiecości, profesorko. – Johnny się uśmiechał, ale nieco wysunięta do przodu

uchwa nie świadczyła o dobrym humorze. –

Wystarczyło tylko powiedzieć: „Proszę cię” i zamrugać swoimi 98

wielkimi oczami, a on po prostu stopniał. Czy pani z nim sypia?

– Pewnego dnia ktoś ci zamknie pięścią tę twoją dowcipną buzię

– stwierdziła Rachel, dobitnie wymawiając słowa. I obawiam się, e to ja będę tą osobą.

– Niech pani odpowie na pytanie. Sypia pani z nim? Z jego twarzy zniknął uśmiech.

– To nie twój zakichany interes. Jeśli się nie postarasz dobrze współ yć z Benem, to cię stąd wyrzucę. A bez pracy prędko wrócisz do więzienia. Jak ci się to podoba, twardzielu?

Johnny skrzywił się pogardliwie.

– Niech pani nie rzuca słów na wiatr. Przecie ich pani nie spełni. Nie wyleje mnie pani z roboty, tak jak nie oddała pani dzieciaka w ręce policji.

– Nie licz na to. – Wzburzona odwróciła się do niego tyłem i ruszyła w stronę drzwi. Czowała na sobie jego spojrzenie. Zrobiło się jej nieswojo. Nic nie mogła poradzić na to, e z powodu wysokich obcasów idzie rozkołysanym krokiem.

Gdy dotarła do drzwi, Johnny wydał z siebie nieartykułowany dźwięk. Zdumiona obejrzała się przez ramię.

– Rachel – powiedział ochrypłym szeptem, patrząc jej prosto w oczy – sypiaj ze mną, a nie z nim.

Na moment wstrzymała oddech. Jego słowa oplotły ją swoim kuszącym brzmieniem jak wąż . Zmusiła się, eby iść dalej.

99

Rozdział 10

Koncert, który się odbył w olbrzymim namiocie nad brzegiem jeziora poło onego w samym środku posiadłości nale ącej do klubu, okazał się podobno wielkim sukcesem. W ka dym razie tak Rachel została później poinformowana. Całkowicie pochłonięta własnymi myślami, nie słyszała ani jednego dźwięku. Gdy goście w wieczorowych strojach zajmowali miejsca, okazując bilety po trzysta

dolarów ka dy, niepo ądany ar, jaki rozpalily w Rachel słowa Johnny'ego, nieco przygasł. Ale gdy tylko rozbrzmiały dźwięki muzyki Mozarta i Chopina, niesforna wyobraźnia zaczęła na nowo roztaczać przed nią wizje aktów miłosnych. Odpędzenie nieprzyzwoitych myśli wymagało niemałego wysiłku. Jeszcze trudniej było się pozbyć bolesnego napięcia w lędźwiach i piersiach. Trzeźwa ocena rzeczywistości pozwoliła jednak Rachel zapanować po pewnym czasie nad reakcjami ciała. Johnny Harris nie mógł być brany pod uwagę jako partner do łó ka, bez względu na to, jak bardzo wydawał się jej pociągający. Nigdy nie utrzymywała przypadkowych stosunków z mę czyznami i nigdy nie kochała się z nimi tylko po to, eby zaspokoić ądę. Kobieta w jej wieku wybierając mę czyznę powinna widzieć w nim kandydata na mę a i ojca przyszłych dzieci. Przy takiej ocenie Johnny nie dysponował adnymi atutami.

Rachel miała niezachwianą pewność, e nie popełnił zbrodni, za którą wysłano go do więzienia. Jednak został skazany, a tego piętna nie sposób było wymazać. Ani przekonać miejscową społeczność o jego niewinności. Jedyne znalezienie prawdziwego mordercy 100

mogłoby zmienić sytuację. Rachel wiedziała jednak, e szanse na to są niewielkie. Gdy Johnny został aresztowany, głowiła się przez długi czas nad alternatywnym scenariuszem, który by wyjaśnił

okoliczności śmierci Marybeth Edwards oraz motywy działania mordercy. Ale nie potrafiła sobie wyobrazić, eby ktoś ze znanych jej osób mógł się dopuścić tak potwornej zbrodni. Ka dy kolejny brany pod uwagę miejscowy zawadiaka wydawał się jako zabójca mniej prawdopodobny od poprzedniego. W końcu doszła do wniosku, e dziewczyna padła ofiarą notorycznego mordercy i szaleńca, który przypadkiem znalazł się w Tylerville.

Ale owa teoria nie trafiła do przekonania tutejszym obywatelom.

Odpowiadając na list, zareagowała na prośbę dawnego Johnny'ego Harrisa, który jako jedyny z jej uczniów był tak jak ona wra liwy na literaturę, chocia za wszelką cenę starał się to ukryć.

Czytanie ksią ek nie uchodziło wśród młodzie y za zajęcie męskie, a chłopak, który interesował się poezją, nara ał się na śmieszność.

Upodobanie do czytania wprawiało Johnny'ego w za enowanie.

Jako nastolatek krył się z tym jak ze wstydliwym nawykiem. Jednak czasami, gdy nie towarzyszyli mu jego rozbrykani koledzy, Rachel nakłaniała go do wymiany myśli na temat przeczytanych ksią ek.

Rozmawiali wtedy o wszystkim: o znanych osobistościach, religii i polityce, a Johnny rozprawiał z wielkim o ywieniem i odsłaniał tę stronę swojej osobowości, którą tylko niewielu miało okazję poznać.

Ju wtedy dostrzegła w nim coś pociągającego – błysk niezwyklej inteligencji i wra liwości, ukrytych na co dzień pod 101

maską bezwzględności i cynizmu. Johnny Harris był wart zachodu.

W tamtym czasie miała nadzieję, e zdoła mu pomóc wyrwać się z fatalnego środowiska i skrajnej

ędzy. A tymczasem nie potrafiła go uchronić przed losem, który okazał się znacznie gorszy. Ale życzenia nie zawsze się spełniają.

Jego porywczosć, którą niejednokrotnie mu wytykała, z braku innych dowodów stała się okolicznością obciążającą. Najbardziej jednak obciążał go fakt, że Johnny jako ostatni widział Marybeth żywą. O nikim innym w każdym razie nie wiadomo. Pomimo zakazu rodziców dziewczyna wymknęła się w nocy z domu, aby się z nim spotkać. Johnny temu nie zaprzeczał. Przyznał nawet, że się kochali na tylnym siedzeniu należącego do jej ojca Lincoln, który stał na podjeździe przed domem. Utrzymawał, że rozstali się o drugiej w nocy i po raz ostatni widział ją w chwili, gdy zmierzała w stronę kuchennego wejścia do budynku. Nie zczekał, a wejdzie do środka, tylko wskoczył na motocykl i odjechał.

Nazajutrz rano Marybeth została znaleziona w odległości półtora kilometra od domu Edwardsów. Leżała w przydrożnym rowie, a jej zakrwawione ciało było pokryte kwiatami złotokapu.

Johnny przysięgał wielokrotnie, że jej nie zabił. Ale mu nie uwierzono. Nie należał do ludzi, którym dawano wiarę. Z

pewnością tacy jak on nie mogli liczyć na zrozumienie w Tylerville.

Intymne stosunki z Johnnym nie wchodziły w rachubę. Nawet gdyby nie został skazany za morderstwo, związek starszej o pięć lat kobiety z jej własnym uczniem był nie do pomyślenia. Skandal wstrząsnąłby opinią publiczną miasta. Matka umarłaby ze wstydu.

– Jesteś dzisiaj bardzo milcząca – zauważył Rob, muskając

ustami jej ucho. Obejmował Rachel ramieniem. Szli skąpaną w blasku księżyca ścieżką nad jeziorem. Aleją spacerowały również inne pary. Powietrze było ciepłe, pod nogami skrzypiał wir, a czarowny widok zamglonego odbicia nieba w spokojnej tafli jeziora uciszał nawet najbardziej rozbiegane myśli.

Rachel stanowczo postanowiła wyrzucić z głowy Johnny'ego Harrisa. Przysunęła się bliżej do Roba.

– To pewnie dlatego, że jestem trochę zmęczona.

– Moemy w każdej chwili pojechać do mnie i... trochę odpocząć.

Rachel doskonale wiedziała, do czego Rob zmierza, i była pewna, że nie ma to nic wspólnego z odpoczynkiem. Jeszcze niedawno również dążyłaby do takiego zakończenia wieczoru. Ale teraz ten pomysł nie wydawał się jej pociągający. „Sypiaj ze mną, a nie z nim”. Miała wrażenie, że w cichym zawodzeniu wiatru słyszy bezgłośny szept Johnny'ego. Zadrżała w objęciach Roba.

– Zimno ci?

– Nie.

– To dobrze. – Korzystając ze schronienia, jakie dawała rozłożysta sosna, Rob zboczył ze ścieżki,

ciągnąc za sobą Rachel.

Wziął ją w ramiona i pocałował w usta. Rachel zmusiła się, eby odpowiedzieć na pieszczotę. Objęła go za szyję. Po raz pierwszy jego język był intruzem w jej ustach. Miała ochotę instynktownie odwrócić głowę.

Upominała się w myślach, e Rob jest jej przyszłością. W

niewielkim mieście Tylerville trudno było o kogoś lepszego na mę a i ojca.

103

– Hej, wy tam, gruchające gołąbki, przerwicie na moment.

Mamy pewną propozycję.

Głos nale ał do Dave'a Henleya, miejscowego dentysty. Oboje z oną towarzyszyli im na koncercie. Dave był kumplem Roba.

Rachel lubiła go, a jeszcze bardziej Susan, z którą się znała od czasów szkoły podstawowej. Zaprzyjaźniona para miała nadzieję, e Rachel z Robem te się pobiorą. W czwórkę tworzyli zgraną paczkę.

– Zje d aj, Henley. Nie widzisz, e jesteśmy zajęci? – zabrzmiał

pogodnie głos Roba, gdy wypuszczał Rachel z objęć. Z ulgą przyjęła pojawienie się znajomych. Odsunęła się od Roba i podeszła do Susan, która uśmiechała się do niej znacząco.

– Co to za propozycja? – spytała Rachel Dave'a, nie mogąc odpowiedzieć na uśmiech kole anki w sposób, który by ją zadowolił.

– Przy autostradzie 21 otworzyli nową knajpkę, „Pod Huraganem O'Shea", o ile dobrze zapamiętałem nazwę.

Prawdopodobnie mają tam dobrą muzykę. Będzie mo na potańczyć i...

– I trochę się wstawić – dokończyła entuzjastycznie Susan, jak gdyby polecała im coś zupełnie wyjątkowego. W Tylerville obowiązywała prohibicja. Nic dziwnego,

e alkohol stanowił

pokusę, której nie sposób było się oprzeć.

– Ho, ho! – zawołała Rachel, śmiejąc się z zapału Susan.

– Masz ochotę się tam wybrać? – spytał Rob, podchodząc do Rachel i biorąc ją za rękę. Uśmiechał się do niej, a ona pomyślała chyba po raz setny od czasu, kiedy zaczęła się z nim spotykać, e 104

jest godnym szacunku człowiekiem. Dlaczego była na tyle głupia, e do tej pory go nie usidliła? Tylko w księżkach dzwonią dzwony, strzelają sztuczne ognie i śpiewają chóry anielskie, gdy kobieta znajduje Odpowiedniego Mę czyznę. A w prawdziwym yciu większość kobiet zadawała się Mę czyzną Wystarczająco Dobrym.

– Pewnie, dlaczego by nie? – Przynajmniej będzie miała jeszcze godzinę lub dwie na podjęcie decyzji, czy pójdzie dzisiaj z Robem do łó ka. Uświadomiła sobie z poczuciem winy, e w tej chwili instynktownie próbowałyby tego uniknąć.

Jazda autostradą zajęła im dwadzieścia minut. Gdy dotarli do parkingu przed knajpką „Pod Huraganem O'Shea”, Rachel stwierdziła, e nie ma wolnych miejsc. Wcale jej to nie zdziwiło. W

okolicy Tylerville niewiele było lokali, gdzie toczyło się nocne ycie. Nawet w kinach ostatnią projekcję filmów rozpoczęto o dziewiątej.

Nim zdą yli dojść do drzwi, uderzyły ich dźwięki głośnej muzyki.

„Wybrałaś odpowiedni moment, eby mnie porzucić, Lucille!

Ty dziwko, ty szmato, ty ulicznico!”

Rachel szeroko otworzyła ze zdumienia oczy, gdy dobiegły ją nieznane słowa piosenki, radośnie skandowane przez wiele gardeł.

W czwórkę wymienili ze sobą spojrzenia.

– Wygląda na to, e jest tu dość hałaśliwie. – Dave uśmiechnął

się szeroko i pchnął drzwi. Rob wzruszył ramionami i wszyscy razem weszli do środka.

Rachel stwierdziła, e lokal został przerobiony z warsztatu 105

samochodowego. Ściany z betonowych bloków pomalowano na czerwono, a sufit z odsłoniętymi przewodami elektrycznymi oraz hydraulicznymi rurami tonął w mroku. Wielopoziomą podłogę pokrywał dębowy parkiet. Świetlne neony na ścianach reklamowały przeboje od Millera po Beatlesów. Przy bliźniaczych fortepianach zasiadali dwaj krzykliwi piosenkarze, a długonoga blondynka w jaskrawo óltej satynowej sukni czuwała nad przebiegiem akcji niczym wodzirej.

– Krzyczcie! No, dalej, dzieciaki!

Ochryple intonując piosenkę, poderwała wszystkich na nogi.

Dopiero co przybyła czwórka prześliznęła się chyłkiem wzdlu ściany na najwy szym z czterech poziomów sali, zatłoczonej przez wrzeszczących, tupiących oraz wymachujących rękami gości. Na parkiecie panował ścisk entuzjastycznie podrygujących ciał.

– Tych ludzi ogarnęło prawdziwe szaleństwo! – stwierdziła Susan.

– Nie da się ukryć – przyznał Dave.

Rob chwycił Rachel mocno za rękę, jak gdyby się obawiał, e mo e mu zginąć w tym zamęcie. Szczęśliwym trafem przechodzili obok stolika, od którego właśnie wstawali goście. Dave rzucił się w jego stronę z okrzykiem radości.

– Co mogę państwu podać? – zapytała kelnerka, która zjawiała się przy nich z tacą i bloczkiem rachunkowym w chwili, gdy zajmowali miejsca.

Zło yli zamówienia. Rachel nie nale ała do osób trunkowych.

Wybrała koktajl daiquiri, który dość lubiła. Wiedziała jednak z doświadczenia, e zadowoli się jednym drinkiem i będzie go saczyć 106

przez cały wieczór.

Czekając na kelnerkę, Rob krzywił się z powodu ogłuszającego hałasu. Rachel słuchałaby z większą przyjemnością muzyki, gdyby nie była a tak głośna, jednak przyłapała się na tym, e wystukuje rytm stopą. Dave chrupał pra oną kukurydzę i popijał ją burbonem z cocą, a Susan, podobnie jak Rachel, obserwowała z zainteresowaniem ludzi. Niektóre kobiety były dziwacznie ubrane.

Miały na sobie mikro-minispódnice, siatkowe pończochy i mieniące się bluzki. W błyskach reflektorów cekiny migotały jak błyszczące, kolorowe klejnoty.

– Wielkie nieba, czy wło yłabyś na siebie coś takiego? Susan wrzasnęła Rachel do ucha, wskazując na smukłą i wywijającą na parkiecie dziewczynę o odblaskowomiedzianych włosach, ubraną w minispódnicę ze skóry. Szczególnie zdumiewająca wydała się Susan bluzka kobiety. Była czarna i nie licząc kilku cekinów umieszczonych w strategicznych miejscach – niemal zupełnie przezroczysta. Nie ulegało wątpliwości, e rudowłosa nie ma pod spodem bielizny.

Rachel pokręciła głową i skierowała wzrok na kobietę po drugiej stronie parkietu, która bez reszty oddawała się tańcowi. Z

ogromnym

zainteresowaniem

przyglądała

się

ywiółowym

wywijasom, gdy nagle jej uwagę zwrócił wysoki, szczupły i dobrze umięśniony partner blondynki. Para wirowała w zmysłowym zapamiętaniu. Przypominało to bardziej grę miłosną ni taniec.

Błysk reflektorów na kilka sekund oświetlił parkiet. Ta chwila wystarczyła Rachel. Miała wra enie,

e ktoś wymierzył jej cios w oładek. Rozpoznała w owym męczyźnie Johnny'ego Harrisa.

107

Kruczoczarny kucyk, tak nie pasujący do Tylerville, szerokie bary oraz wąskie biodra – to mógł być tylko on. Gdy ponownie rozblęły światła, Rachel rozpoznała równie jego partnerkę. Była nią Glenda, kelnerka z restauracji „Pod Zegarem”.

108

Rozdział 11

– Muszę was na chwilę przeprosić – Rachel nie mogła spokojnie siedzieć i patrzeć, jak Johnny kocha się na parkiecie z Glendą.

Zawsze się cieszył powodzeniem u kobiet, pomyślała, kierując się w stronę wąskiego, ciemnego korytarza, który prowadził do toalet. Ju w czasach liceum nie brakowało dziewczyn, które się za nim uganiały. I nawet te z porządnych domów, którym nie pozwalano nawet rozmawiać z Johnnym, wodziły za nim rozmarzonym wzrokiem.

Rachel równie uważa,

e jest bardzo pociągającym

męczyznę. Uczciwie musiała się do tego przyznać przed samą sobą i dołączyć własne nazwisko do długiej listy jego wielbicielek.

Mała toaleta była pomalowana na czerwono, podobnie jak korytarz, a ściany z cegły tłumili nieprzerwany szturm dźwięków.

Pomieszczenie opuściła jedyna przebywająca w środku osoba i Rachel stwierdziła z ulgą, e jest sama. Przez chwilę myła ręce, pozwalając, by zimna woda spływała po nadgarstkach. A potem nadstawiła dłonie, eby zaczerpnąć wody do picia. Z powodu daiquiri, hałasu albo silnego wzburzenia zrobiło się jej niedobrze.

Do kabiny weszła jakaś kobieta. Rachel wytarła ręce w papierowy ręcznik. Chciała jak najprędzej opuścić lokal, tłumacząc się złym samopoczuciem.

Naprzeciwko damskiej znajdowała się toaleta męska, dlatego Rachel nie zdziwił widok zbliżającego się mężczyzny. Pogryzł on w mroku korytarz rozjaśniało migające światło w wejściu. Rachel przyłgnęła do ściany, mijając się z mężczyzną. Niespodziewanie 109

chwycił ją za ramię. Pisnęła zatrwoona.

Podniosła wzrok i zobaczyła Johnny'ego Harrisa.

– Przyszłaś z wizytą charytatywną? – prychnął pogardliwie.

– Za to nie ma wątpliwości, e ty przybyłeś tu w innych celach –

odparła lodowatym tonem.

– To rozumiałe. Ja jestem u siebie – przyznał. Palcami lewej dłoni mocno objął jej nadgarstek. Czują rozplływające się po całym ciele ciepło jego dotyku. W drugiej ręce trzymał piwo.

– Jestem zdumiony, e narzeczony przyprowadził cię tutaj.

Sprawia wra enie Bogusia, a tacy nie potrafią korzystać z uciech ycia.

– Pozwól mi przejść, ebym się mogła do niego przyłączyć i kontynuować naszą nudną zabawę.

– Nie mówiłem o tobie, Rachel, lecz o nim. W tobie kryją się ogromne... mo liwości. – Przeciagle wymówił ostatnie słowo. Jego oczy, które przez moment zatrzymał na jej twarzy, a potem skierował na dekolt sukni, rozbłysły.

Rachel rozgniewała się.

– Czy mo esz mnie puścić? – zapytała szorstko.

Podniósł puszkę z piwem, przełknął kolejny haust, a potem powoli zaprzeczył ruchem głowy. Uśmiechnął się szeroko, a w pulsującym czerwonym świetle błysnęły nieprawdopodobną bielą jego zęby.

– Nie puszcze cię, dopóki ze mną nie zatańczysz. Jeszcze ani razu dzisiaj nie tańczyłaś.

Zaniepokoiła się, słysząc, e obserwował ją. Przełknęła ślinę i pokręciła przecząco głową.

110

– Dziękuję, ale nie skorzystam z zaproszenia. Muszę wracać do przyjaciół, tak jak i ty zapewne powinieneś dołączyć do swoich.

Glenda jest wyrozumiałą dziewczyną, a poza tym panuje tu dzisiaj straszliwy tłok. Nie odczuje mojej chwilowej nieobecności.

A jeśli nawet, to nie stanie się nic wielkiego. Jeśli niepokoisz się z powodu narzeczonego, to niepotrzebnie. Tutaj cię nie zobaczy.

Zostaniemy na samym brzegu parkietu, spowitego w przytulną ciemność.

Złapał ją za nadgarstek i pociągnął w stronę wyjścia. Próbowwała stawić mu opór.

– Nie, Johnny.

Zatrzymał się, wzruszył ramionami, splótł jej palce ze swoimi i uśmiechnął się.

– No cóż. Domyślam się, a nie pozostaje mi nic innego, jak odprowadzić cię do twojego towarzystwa.

– Nie! – zawołała. Wzdrygnęła się wyobrażając sobie, co by się mogło zdarzyć, gdyby Rob stanął oko w oko z Johnnym.

– W takim razie zatańcz ze mną, Rachel. Będzie miło. A potem pozwolę ci odejść. Obiecuję. – Patrzył na nią roziskrzonym wzrokiem, drocząc się i kusząc. Propozycja wydawała się jej niezwykle nęcąca. Nie była w stanie wymówić słowa. Johnny, przekonany, a otrzymał milczące przyzwolenie, mocno chwycił ją za rękę i ruszył w stronę parkietu, wciągając ją w otchłań nocnego klubu.

Była

zaniepokojona,

wystraszona,

a

jednocześnie

tak

zachwycona perspektywą zatańczenia z nim, a nie odmówiłaby sobie tej przyjemności, nawet gdyby ją teraz zechciał usłyszeć.

111

Przezornie spojrzała w kierunku najwyższego rzędu, gdzie siedzieli wszyscy znajomi. Ale tłum skandujący na stojąco słowa piosenki

„Straciłaś moje uczucie” oraz panujące ciemności nie pozwoliły jej zlokalizować ich stolika.

– Wcale nie lubię tańczyć – zaprotestowała, gdy Johnny odstawił puszkę na najbliższy zastawiony stolik i poprowadził ją w stronę podrygującej masy ludzkiej. Przebój zespołu „Righteous Brothers” zakończył się, a jeden z discjockeyów zawołał:

– Czy przypadkiem nie jest wam tam na dole za jasno?

Padła głośna odpowiedź: „Tak!” i błyskające w górze światło zastąpiła połyskująca kula, która przesuwała po sali delikatnie pulsujące czerwone i purpurowe punkty.

– Ach, jaki romantyczny nastrój – westchnął spiker do mikrofonu i zaintonował pierwsze takty piosenki zespołu

„Ronettes”: „Bądź moim dzieckiem”.

– Pewnie dlatego, e nie tańczyłaś jeszcze z odpowiednim mę czyzną. – Johnny poło ył jej ręce na swoich ramionach, objął ją w talii tu powy ej pasa i przyciągnął blisko.

Nie cofnęła dłoni, lecz delikatnie je oparła na szerokich muskularnych barach. Johnny miał na sobie jak zwykle biały podkoszulek. Przez cienką bawełnę wyczuwała napięte mięśnie i ciepło jego skóry. Nawet na wysokich obcasach była od niego znacznie ni sza. Nie mogła się zdecydować, czy podoba się jej to, e czuje się przy nim bezbronna.

– Za którego się pewnie uwa asz? – zadrwiła. Pachniał piwem i potem. Rachel stwierdziła, e ma kłopoty z pozbieraniem myśli i prowadzeniem sensownej rozmowy. Tańcząc z nim zachowywała 112 przyzwoity dystans i tylko chwilami ocierali się o siebie, ale jego bliskość działała elektryzująco na jej zmysły.

– Być mo e. – Matowe brzmienie jego głosu sprawiło, e podniosła wzrok. On te na nią patrzył. Był powa ny. Na moment, nie dłu ej, jego zamglone oczy pociemniały. A potem przygarnął ją mocno do siebie, wcisnął udo pomiędzy jej nogi i zaczął nią wywijać w rytm gorącej, słodkiej muzyki.

„Bądź moim... bądź moim małym dzieckiem” – zawodził

piosenkarz.

Rachel jeszcze nigdy nie tańczyła w ten sposób. Johnny ją okręcał, odchyłał do tyłu, przyciągał i na nowo brał w ramiona. Gdy jego udo ocierało się o jej nogi, czuła, e traci kontrolę nad sobą.

Nie stawiała ju dalszego oporu. Porwał ją ze sobą do niebios lub piekieł. Nie wiedziała, gdzie, ale w tym momencie było jej wszystko jedno. Liryczna piosenka, bliskość mę czyzny i własne pragnienia tworzyły niebezpieczne połączenie, które pozbawiało rozumu.

Muzyka umilkła, ale Rachel jeszcze przez chwilę nie odrywała się od Johnny'ego. Stała z zamkniętymi oczami, oparta czołem o jego piersi. Kurczowo zaciskała palce na ramionach mę czyzny, a on mocno obejmował ją w talii. Skromna sukienka do kolan pod naporem jego nogi opięta się wysoko na jej udach.

– Rozumiesz teraz, co miałem na myśli? – mruknął jej do ucha.

W górze ponownie rozbłysły pulsujące światła.

Sprowadzona nagle na ziemię oderwała głowę od jego piersi.

Zamrugnęła powiekami, patrząc w figlarnie błyszczące oczy.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, e stoją w bardzo intymnej 113

pozie. Gwałtownie cofnęła ręce, jak gdyby mu nagle na ramionach wyrosły kły, wyrwała się z jego objęć i zrobiła krok do tyłu. Była bardzo wzburzona i niezdolna do działania. Wpatrywała się w niego ze zdumieniem. Otoczenie wydawało się jej nierealne. Biały podkoszulek arzył się

nieziemskim blaskiem, który podkreślał

szerokość ramion Johnny'ego i śniadość skóry. Jego twarz, podobnie jak i sylwetka, była szczupłą, mocna, męska i niebezpiecznie urodziwa. Johnny utkwiał w Rachel drapieżne, nieruchome spojrzenie. Jego pełne, zmysłowe usta nie uśmiechały się. Patrząc na nie, Rachel nie mogła złapać oddechu.

Ciche na początku takty „Wielkich Kuli Ognia” Jerry'ego Lee Lewisa stawały się z każdą chwilą głośniejsze. Pary wokół Rachel i Johnny'ego zaczęły ywiołowo wywijać.

– Muszę ju iść – stwierdziła, unikając jego oczu.

Na widok jej zmieszania uśmiechnął się.

– Może sobie pani uciekać, dokąd pani chce, profesorko, ale i tak nie zdoła się pani przede mną ukryć. – Jego łagodny głos kusił i drwił, groził i obiecywał. Johnny wyciągnął ręce najwyraźniej z zamiarem ponownego przygarnięcia jej do siebie.

– Nie!

Odwróciła się gwałtownie i przepychając się przez falujący tłum, usiłowała zejść z parkietu. Johnny podążył za nią. Czowała go za plecami, chociaż ani razu nie obejrzała się za siebie.

Nie odezwała się do niego ju ani słowem. Zaczęła się przedzierać przez ciemności w stronę miejsca, w którym jak sądziła

– powinien znajdować się stolik przyjaciół. Gdy wspinała się w górę, drżały jej kolana i czowała ucisk w ołładku. Wyglądziła 114

sukienkę na udach. Wolała nie przypominać sobie okoliczności, w jakich została pognieciona. Rozsądniej było ostatni kwadrans wymazać z pamięci.

Wiedziała jednak, że nigdy się jej to nie uda.

Poddając się nieznannej sile, obejrzała się po raz ostatni w nadziei, że go jeszcze zobaczy. Ale pulsujące światło utrudniało identyfikację osób. I pewnie by go nie dostrzegła, gdyby nie biały podkoszulek z ową dziwną purpurową poświatą. A może jej oczy i tak by go odnalazły, reagując na niego nieomylnie, tak jak i całe ciało. Wypatrzyła go. Lecz jego widok przyprawił ją o skurcz serca.

Był znowu na parkiecie, demonstrując szczególny rodzaj erotycznej lambady z Glendą.

Rachel pocieszała się w myślach, że przynajmniej wie, na czym stoi. Z jakiegoś powodu zagiął na nią parol. Chciał, aby go pragnęła. I gdy ona doświadczała nieznanego dotychczas uczucia, nim kierowała tylko żądzą – ta sama dokładnie jak wobec rzeszy innych kobiet. Przecie wcale tego przed nią nie ukrywał.

Mobilizując resztki godności, weszła po schodach na górę i nie spojrzała ju więcej za siebie. Musiała niemal okrążyć klub, aby trafić do swojego stolika. Rob rozmawiał z Dave'em i na jej widok

zmarszczył brwi, a Susan zerwała się na równe nogi. Rachel skierowała się w ich stronę.

Postanowiła nie wracać myślami do tańca z Johnnym.

– Wybaczcie, e nie było mnie tak długo – mruknęła, zajmując miejsce obok Roba. Podniósł jej rękę do ust.

– Sądziłeś ju , e przepadłaś na dobre – oświadczyła z uśmiechem Susan, z powrotem sadowiąc się na krześle.

115

– Susan chciała ju iść za tobą. Trochę się niepokoiłiśmy. – W

tonie Roba mo na było wyczuć ślad dezaprobaty. – Dobrze się czujesz?

Rachel skwapliwie skorzystała z okazji.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo. Musiałam się nabawić jakiejś infekcji. – Która nazywa się Johnny Harris, nasunęła się jej nieproszona myśl. – Czy nie pogniewacie się, jeśli poproszę, ebyśmy ju stąd wyszli?

Rob spojrział na parę przyjaciół. Skinęli głowami, wyrażając zgodę.

– Oczywiście e nie. Muzyka jest tu trochę za głośna jak na mój gust. Chodźmy – powiedział.

Gdy opuszczali klub, podą ała za Robem, mocno ściskając go za rękę. I nie spojrzała ju w stronę parkietu.

116

Rozdział 12

Z miejsca w pobliżu parkietu, ukrytego w pulsującej światłami ciemności, obserwator wodził oczami za Johnnym Harrisem, który najwyraźniej nie wyczuwał przyciągającej siły spojrzenia, gdy ani razu nie popatrzył w jego kierunku.

Pomimo ciepła bijącego od ciał stłoczonych na niewielkiej powierzchni i kropli potu nad brwiami obserwatorem wstrząsnął

dreszcz. Zaczęła w nim stopniowo od ywać dawno zapomniana złość, a zawładnęła nim całkowicie i zaćmiła wzrok niczym mroźna szara mgła.

Po raz wtóry Johnny Harris prosił się o nauczkę. Obserwator postanowił dopilnować, eby tę następną dobrze zapamiętał.

117

Tu po godzinie drugiej tej samej nocy Johnny pędził na motorze opustoszałymi ulicami miasta. Był w paskudnym nastroju.

Ryk maszyny, który wskazywał na konieczność wymiany tłumika, sprawiał mu przewrotną przyjemność. Noc była piękna – ciepła i niemal bezchmurna. Johnny wyraźnie widział drogę, oświetloną łagodnym blaskiem księżyca. Uliczne latarnie okazały się dzisiaj całkiem zbyteczne. Zresztą i tak Tylerville nie mogło się poszczycić wieloma. Było zapadłą miejsciną. Johnny nie miałby nic przeciwko temu, gdyby najbardziej szacowni obywatele nie chępli się tym, a chęć, by miasto pozostało prowincjonalną dziurą. Johnny postanowił, a gdy tylko się pozbędzie бага u przeszłości, który dźwigał przez ostatnie dziesięć lat, ucieknie jak najdalej stąd. Zanim stanie się podobny do tutejszych mieszkańców.

Delektował się pędem powietrza na twarzy i na gołych ramionach. Maszyna była szybka, silna i należała wyłącznie do niego. Miał miłe wrażenie sytości, choć prawdopodobnie wypił

trochę więcej piwa, niż powinien. I spędził wieczór z kobietą w łoku. Dlaczego więc czuł się podle?

Znał odpowiedź na to pytanie, ale fakt ten wcale mu nie poprawiał humoru.

Kochał się nie z tą kobietą, której pragnął. Glenda była przyjaciółką z okresu wczesnej młodości i miała ładne ciało. A on po tylu latach celibatu nie odrzucił nadarzającej się okazji. Ale to nie Glenda podniecała go samym swoim widokiem.

118

Tylko Rachel. Panna Grant. Profesorka. Miał do niej słabość już w liceum. Przez łaby szok, gdyby mogła poznać myśli kilkunastoletniego chłopaka, którego uczyła angielskiego. Spędzał

niemal każdą lekcję, a tak a wiele bezsennych nocy, wyobrażając sobie, jak wygląda rozebrana. I co wtedy czuje. Jakie wydaje odgłosy podczas orgazmu. Jeśli go w ogóle czasami przeżywa.

Ale był wtedy zaledwie chłopcem i nie ośmielił posunąć się poza własne wyobrażenia. Bez zastrzeżeń pogodził się z myślą, a jest dla niego nieosiągalna. Poza tym sądził, a prędzej by stanął na Księżycu, niż wzbudził w niej pożądanie. Oczywiście w grę wchodziła wówczas niezgodność wieku. Gdy się ma szesnaście, siedemnaście czy nawet osiemnaście lat, pięć lat wydaje się niemal wiecznością. Na dodatek Rachel była jego nauczycielką. Już sam ten fakt czynił ją nietykalną. Jednak do największych przeszkód, wręcz nie do pokonania, Johnny zaliczał ich nierówną pozycję społeczną. Rodzina Rachel miała pieniądze. Grantowie posiadali olbrzymi dom, luksusowe samochody, byli wykształceni i zatrudniali ogrodnika oraz służącą. O ile się orientował, właśnie to najbardziej liczyło się dla jego kolegów. A Johnny pochodził z białej biedoty, na którą całe miasto patrzyło z góry. Inne dzieci wyśmiewały się z rodziców alkoholików, podartego ubrania i brudnej szyi chłopca. Nigdy nie zapraszały go na urodziny do swoich domów. Gdy wyrósł na tyle, a się potrafił o siebie zatroszczyć i stał się na tyle bezwzględny, by nauczyć swoich rówieśników manners, zaczęli się odnosić do niego z respektem. Ale ci, którym rodzice sprawdzali szkolne zadania i którzy zamierzali w przyszłości iść

na studia, nadal stronili od niego. Z braku innych 119

mo liwości zaczął się obracać w złym towarzystwie. A skoro ju w nie popadł, postanowił, e będzie najgorszy ze wszystkich.

Rachel Grant z pewnością nie zawróciłaby sobie głowy kimś takim jak on.

Johnny uśmiechnął się krzywo na wspomnienie swojego dzieciństwa. Miał wtedy wielkie plany. Zamierzał wyjechać z Tylerville zaraz po maturze. Chciał wyruszyć w szeroki świat, eby się dorobić fortuny. Nigdy nie zastanawiał się, w jaki sposób tego dokona. W tamtym czasie szczegóły nie miały znaczenia. Wa ne było tylko to, e wróci jako bogaty człowiek, będzie z pogardą traktować snobów z miejscowego klubu i zdobędzie względy panny Rachel Grant. Był gotów w razie konieczności siłą wedrzeć się w jej łaski. Z młodzieńczym optymizmem patrzył w przyszłość. Ani przez moment nie wątpił w urzeczywistnienie własnych marzeń.

Ale nieprzewidziane koleje losu rzucają ludzi na kolana. Johnny nie był wyjątkiem. Nieoczekiwanie został ograbiony z dziesięciu lat ycia. I teraz nie zamierzał zmarnować ju ani jednej minuty.

Pragnął doświadczyć wszystkiego, co go ominęło. Chciał się do syta najeść i napić. Miał ochotę czytać, pracować i kochać się do woli. Jego marzenia, choć ju nie tak wygórowane jak dawniej, wciąż pozostały aktualne. Nadal planował zrealizować część z nich.

Do jego głównych pragnień zaliczało się uwiedzenie Rachel Grant. Sądząc po tym, jak przytulała się do niego w tańcu dzisiaj wieczorem, spodziewał się, e prędzej czy później ją zdobędzie.

Mo e nie był dla niej odpowiednim partnerem przy stole, ale niewątpliwie mógł ją wiele nauczyć w łó ku.

120

Motocykl rycząc, mknął Main Street. W polu widzenia pojawił

się sklep z artykułami

elaznymi. Johnny zobaczył przed

budynkiem samochód policyjny. Nie zauwa ył go wcześniej, gdy stał na zgaszonych światłach. Johnny zmru ył oczy i przez moment się zastanawiał, czy nie dodać gazu i nie przemknąć obok. Ale w Tylerville nie było dokąd uciec. Nawet gdyby udało mu się gdzieś przemocować, to i tak nazajutrz rano policja znałaby miejsce jego kryjówki.

Wjechał na parking i zahamował. Nie wyłączył silnika, który nadal pracował na zwolnionych obrotach. Johnny siedział na motocyklu, podpierając go jedną nogą. Z samochodu wyszedł

policjant i ruszył w jego stronę. Trzymał w ręce długą metalową latarkę, która mogła te pełnić funkcję pałki, o czym Johnny nieraz przekonał się na własnej skórze.

Funkcjonariusz był roslym krzepkim mę czyzną. Gdy podszedł

bli ej, Johnny stwierdził, e ma przed sobą samego szefa policji, Wheatleya. Tego samego, który stał na czele miejscowego posterunku, gdy Johnny został aresztowany pod zarzutem popełnienia morderstwa. Naczelnik nie nale ał do ludzi wyjątkowo błyskotliwych, ale miał opinię uczciwego człowieka. Johnny przynajmniej nie musiał się obawiać, e zostanie pobity bez powodu.

– Czego pan ode mnie chce? – zapytał ostrym tonem.

– Czy mo esz wyłączyć silnik? – Wheatley poparł gestem słowa, które zagłuszał ryk motoru.

Gdy polecenie zostało niechętnie wykonane, zaległa cisza.

Johnny zsiadł z maszyny i oparł ją na podpórcie. A potem zdjął

121

kask, wetknął go pod ramię i spojrzał na szefa policji.

– Nie przypominam sobie, ebym złamał prawo.

– Piłeś alkohol?

– Być mo e. Ale nie jestem pijany. Jeśli chce mnie pan poddać testowi, to nie mam nic przeciwko temu.

Wheatley pokręcił głową.

– Nie sądzę, ebyś był na tyle głupi. Chocia ju raz tak myślałem.

Przez chwilę obaj mę czyźni milczeli, podejrzliwie mierząc się wzrokiem. Johnny'ego zastanowiło dziwne onieśmienie w zachowaniu policjanta. Zdą ył ju przywyknąć do pogró ek i skwapliwości, z jaką silni przedstawiciele prawa zwykli znęcać się nad bezbronnymi.

– Czy ma mi pan coś do powiedzenia? A mo e przyszedł pan tu tylko poobserwować gwiazdy?

– Straszny z ciebie dowcipniś, co? – Wheatley wykrzywił usta, uderzając latarką o nogę. – Mam dla ciebie złe nowiny.

– O co chodzi?

– Zdarzył się wypadek.

– Wypadek? – Rachel. Natychmiast ona przyszła mu na myśl.

Ale zaraz sobie uzmysłowił, e gdyby cokolwiek złego się jej przytrafiło, byłby ostatnią osobą, którą by o tym powiadomiono.

– Tak. I to powa ny. Chodzi o twojego ojca.

– O mojego ojca? – Tak.

Johnny miał wra enie, e z płuc uchodzi mu całe powietrze.

Ostatkiem tchu wydusił z siebie pytanie.

– Nie yje?

122

– Tak. Bardzo mi przykro. Został przejechany przez pociąg w miejscu, gdzie tory przecinają drogę. Wygląda na to, e był pijany, ale nie mamy całkowitej pewności.

– O Bo e! – Johnny nie zamierzał nawet w najmniejszym stopniu zdradzać się ze swoimi uczuciami, a tym bardziej wobec policjanta. Ale nie potrafił się opanować. Wiadomość dotknęła go do ywego. Odsłonił się i krwawił, jak gdyby przecięto mu tętnicę.

Przecie chodziło o jego ojca, nawet jeśli był tylko samolubnym draniem.

Zacisnął usta. Zmusił się, eby wciągnąć nosem głęboki wdech.

ywie nauczyło go, jak nale y zachowywać się w krytycznych momentach. Wiedział, e jeśli zdoła przez chwilę równo i głęboko oddychać, kryzys minie.

– Jest mi przykro, e muszę cię o to poprosić, ale potrzebujemy kogoś, kto zidentyfikowałby ciało... To zwykła formalność. Nie mamy wątpliwości co do osoby denata, ale...

– Oczywiście.

– Podwiozę cię. Chodź.

Po raz pierwszy Johnny jechał policyjnym wozem nie w charakterze aresztanta.

123

Rozdział 14

Rachel usłyszała wiadomość nazajutrz rano w kościele.

– Twierdzę, e Bóg słusznie pokarał tę grzeszną rodzinę.

– Och, nie mów tak, Idell!

– A właśnie e będę! Wszyscy Harrisowie są złymi ludźmi. Bóg w swojej mądrości zamierza uwolnić od nich świat. Zabiera jednego po drugim, eby przyzwoity człowiek mógł się czuć bezpiecznie. W

ka dym razie mam taką nadzieję. Będę sypiała o wiele lepiej, gdy ju nie będzie adnego z nich.

– Jak mo esz wygadywać tak straszliwe rzeczy?

– To nieładnie z mojej strony, e o tym mówię, wiem. Ale nic na to nie poradzę, e nie czuję ani odrobiny alu. Nic by mu się nie stało, gdyby nie był nałogowym pijakiem. Tak jak większość grzeszników, sam ściągnął na siebie nieszczęście.

– Ale śmierć pod kołami pociągu...

Cała krew odpłynęła z twarzy Rachel. Nie bacząc na to, e wielebny Harvey dotarł do punktu kulminacyjnego swojego kazania i grzmiał o spokoju ducha tych, których Bóg obdarzył dostatkiem, odwróciła głowę i zagadnęła szepczącą kobietę:

– Pani Skaggs, o kim pani mówi? – Niecierpliwość w jej głosie spowodowała, e obie panie podniosły siwe głowy i otworzyły ze zdumienia usta, a siedząca obok matka wymierzyła jej ostrego kuksańca pod ebro. Ale Rachel nie zwracała uwagi na to, e ponad jej głowę wciąż huczy głos wielebnego Harveya, a zgromadzeni wokół wierni obrzucają ją pełnymi dezaprobaty spojrzeniami. – O

kim? – domagała się odpowiedzi.

124

Pani Skaggs zamrugła powiekami.

– O Willie'em Harrisie.

Rachel poczuła ogromną ulgę, gdy poznała to samość zmarłego.

– Nie yje? – zapytała ju znacznie ni szym tonem. – Tak.

– Rachel, na miłość boską – Elisabeth upomniała córkę. Rachel usiadła prosto, starając się na nowo przyjąć pozę cichego skupienia.

Ale nadal nie docierało do niej ani jedno słowo kazania.

Willie Harris nie ył. Jakie to mogło mieć znaczenie dla Johnny'ego? Chyba nie był szczególnie blisko związany z ojcem.

Przypuszczała jednak, e utrata rodzica, zwłaszcza w tak nagłych i strasznych okolicznościach, musi być dla niego nie lada wstrząsem.

I całym sercem współczuła Johnny'emu.

Msza zdawała się nie mieć końca. Po nabo eństwie wierni wylegli na trawnik przed kościołem. Matka Rachel, jak zwykle elegancka, w jedwabnej kobaltowej sukni i w niewielkim kapeluszu o tej

samej barwie, zamierzała poplotkować ze swoimi przyjaciółkami. Rachel przyłączyła się do grona znajomych, eby wysłuchać najnowszych plotek i jak najwięcej dowiedzieć się o śmierci Willie'ego Harrisa.

– Zamierzają pochować go rano na cmentarzu Calvary powiedziała Kay Nelson przyciszonym głosem.

Rachel stanęła obok niej, eby cierpliwie poczekać na matkę.

Zdziwiła się słysząc, ile szczegółów związanych ze śmiercią i pogrzebem Willie'ego Harrisa przyjaciółka siostry zdążyła ju poznać. Telefony w mieście musiały się pewnie urywać od samego świtu.

– To strasznie prędko – zauważyła malutka bratowa Kay, Amy.

125

W jej głosie zabrzmiało prawdziwe współczucie dla ofiary. Amy nie pochodziła stąd. Przybyła do Tylerville niespełna dwa lata temu, gdy poślubiła młodszego brata Kay, Jima. Nic dziwnego, e nie była wtajemniczona w towarzyskie układy i nie miała rozeznania, kto jest kim w tym mieście. Gdyby zginął w tragicznych okolicznościach jakiś wany obywatel, z pochówkiem mo na by się było wstrzymać pięć, a nawet sześć dni, eby mu wyprawić okazały pogrzeb. Ale w przypadku Willie'ego Harrisa jakakolwiek zwłoka była zbyt duża.

Jim Nelson wzruszył ramionami.

– Równie dobrze mógłby zostać pogrzebany ju dzisiaj. Nie przypuszczam, eby na uroczystość ałobną przyszedł ktoś oprócz Johnny'ego. Chyba e pojawi się Buck albo córka Harrisa. Ale nie licz na du e dochody ze sprzedaży wieńców, Kay.

Wypowiedź Jima przypomniała Rachel, e brat Kay chodził do jednej klasy z Johnnym. I jeśli nie zawodziła jej pamięć, on równie umawiał się na randki z Marybeth Edwards.

– Nie mów takich rzeczy. Z pewnością nie traktuję ka dej śmierci w naszym mieście jako okazji do wzbogacenia się zaprotektowała Kay z półuśmiechem, uderzając brata pięścią w ramię. – A smutno pomyśleć, e nikt nie przyjdzie na pogrzeb nieszczęśnika.

– Ja pójdę – oświadczyła niespodziewanie Rachel.

Jim Nelson spojrzał na nią z góry. Podobnie jak siostra, był

mocnej budowy. W garniturze z prą kowanego materiału jego sylwetka prezentowała się imponująco. Wygląd Jima w pełni odpowiadał zajmowanej przez niego pozycji społecznej: cieszącego 126

się powodzeniem małomiasteczkowego prawnika.

– Zawsze miałaś słabość do Johnny'ego Harrisa, prawda, Rachel? Przymykałaś oczy na takie jego

wybryki, których nam nigdy nie puściłabyś płazem.

–

Sytuacja

rodzinna

Johnny'ego

w

pewnym

stopniu

usprawiedliwiała jego złe zachowanie. Natomiast dla was nie było okoliczności łagodzących – odparła Rachel, a Jim przyjął jej wyjaśnienie z szerokim uśmiechem.

Tylko nie próbuj mi wmówić, e pracowałaś jako nauczycielka, gdy Jimmy uczęszczał do liceum! I tak w to nie uwierzę! – Tym razem Amy obrzuciła Rachel taksującym i zaciekawionym wzrokiem, w którym kryło się pytanie: ile wobec tego masz lat? Ale była dobrze wychowana i nigdy by się nie ośmieliła zapytać o to wprost.

– Oczywiście e pracowała. I na dodatek była prawdziwym tyranem. – Jim wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Zresztą, z tego, co słyszałem, jest nim nadal.

– Jimie Nelson, przywołuję cię do porządku! – W głosie Kay zabrzmiało zgorszenie. – Jak mo esz wygadywać takie rzeczy?

Dobrze wiesz, e Rachel jest bardzo miła. On tylko się z tobą droczy, Rachel.

– Wcale nie. Mo e Rachel jest miła. Ale za to panna Grant była postrachem całej klasy. Wszyscy się jej baliśmy. Nawet Johnny Harris liczył się z nią bardziej ni z kimkolwiek innym.

– Przyjaźniłeś się z nim? Sądziłam... – Amy zawiesiła głos, patrząc pytająco na mę a. Jim pokręcił głową.

– Nie. Nie nale ał do naszej paczki. Gdy my grywaliśmy w 127

tenisa i w golfa, on ze swoimi kole kami włamywał się do domów.

Kay spojrzała z wściekłością na brata.

– Wcale nie był a taki zły. Czasami kosił nam trawę, gdy ciebie zbyt pochłaniały sportowe rozgrywki. I zawsze zachowywał się bez zarzutu w stosunku do mnie i do mamy. A teraz pracuje dla Rachel.

Chyba o tym nie zapomniałeś? – zapytała z naciskiem.

Jim ze zdumienia uniósł w górę brwi.

– Ale skąd. Oczywiście e pamiętam. – Jim przeniósł wzrok na Rachel. – Nie rozumiem, jak mogłaś go zatrudnić po tym, co zrobił

biednej, małej Marybeth. Powinni go skazać na karę śmierci.

Dziesięć lat więzienia za zbrodnię, której się dopuścił, to czysta kpina. Jestem zdania, e nie powinno być dla niego miejsca w Tylerville.

– Jim! – Kay spojrzała z zakłopotaniem w stronę Rachel.

– Nic nie poradzę, ale tak uwa am. Czułbym się jak hipokryta, gdybym nie powiedział tego otwarcie.

– Ka dy ma prawo do własnej opinii. – Rachel uśmiechnęła się chłodno. – Według mnie to nie Johnny Harris zamordował

dziewczynę, ale ktoś inny.

– Och, Rachel, bardzo chciałabym w to wierzyć. Ale kto mógłby to zrobić? – zapytała Kay z nutą niedowierzania w głosie.

Jim odezwał się równocześnie z siostrą:

– Zawsze miałaś do niego słabość, Rachel. Według mnie jego wina nie budzi cienia wątpliwości.

– Hej, Jim-Bob, czy masz dzisiaj po południu czas, eby zagrać w golfa? – spytał Wiley Brown, który właśnie do nich podszedł.

Był rówieśnikiem Jima i został niedawno wybrany sędzią 128

okręgowym. Poklepał kolegę po ramieniu i uklonił się reszcie towarzystwa. – A mo e ta mała kobietka przywiązała cię do siebie trokami swojego fartucha?

Amy lekko się zarumieniła. Jim artobliwie wykręcił jej ucho i powiedział do przyjaciela:

– Mam czas. Spotkajmy się w klubie o drugiej, zgoda? Zdą ę przedtem zjeść obiad.

– Zgoda.

Dalej rozmowa potoczyła się na temat golfa. Rachel widząc, e matka skończyła pogawędkę z jedną ze swoich przyjaciółek, przeprosiła wszystkich i pospieszyła w jej kierunku. Chciała ją dogonić, nim zrobi to kto inny. Czasami rola kierowcy matki była bardzo uciążliwa.

W czasie krótkiej jazdy do domu Elisabeth udzieliła córce reprimendy.

– Jak mogłaś tak głośno zachowywać się w kościele, Rachel?

Jeszcze nigdy w swoim życiu nie czułam się równie zażenowana.

– Wybacz mi, mamo. Ale pani Skaggs rozmawiała z panią Ashton za naszymi plecami i przypadkiem usłyszałam coś, co mnie zaskoczyło.

Nowinę o śmierci owego Harrisa, o ile się nie mylę? – domyśliła się Elisabeth. A gdy odezwała się ponownie, w jej głosie zabrzmiało wyzwanie: – Pewnie wybierasz się na pogrzeb, jak sądzę?

– Tak, wybieram się. – Rachel zacisnęła palce na kierownicy.

– Wiedziałaś. Zawsze byłaś najbardziej krnąbrnym dzieckiem pod słońcem! Widzę, e robisz wszystko, by powa nie uwikłać się

w sprawy tej hołoty! – Elisabeth spojrzała gniewnie na córkę.

Rachel zacisnęła zęby. Nie zdając sobie z tego sprawy, przycisnęła mocniej pedał gazu. Samochód ze świstem pomknął

wąską drogą, mijając stada pasących się na polach koni i bydła.

– Zwolnij, na miłość boską! – krzyknęła matka, czepiając się kurczowo uchwyty, gdy maxima zbyt ostro weszła w zakręt.

Rachel przypomniawszy sobie, gdzie się znajduje, i zdjęła nogę z pedału gazu. Zaczepnęła głęboko powietrza i starała się skupić na prowadzeniu pojazdu. Od lat nie sprzeczała się z matką. To było bezcelowe. Elisabeth nigdy nie zmieniała zdania, bez względu na to, jak wiele faktów przemawiało przeciwko jej opinii. Ale tym razem Rachel nie zamierzała pozostawić irytującej uwagi Elisabeth bez komentarza.

– Kogo masz na myśli, mamo, mówiąc o hołocie? Biednych ludzi? W takim razie gdyby tata umarł, kiedy ja i Becky byłyśmy małe, to te byśmy się nią stały, prawda? – Pomimo złości Rachel mówiła opanowanym głosem. Spojrzała w stronę matki i stwierdziła, e Elisabeth jest ura ona.

– Doskonale wiesz, e nie. Pieniądze nie mają z tym nic wspólnego.

– Co zatem ma? Czy Tildę i J.D. również zaliczysz do hołoty?

– Rachel Elisabeth Grant! Tilda i J.D. to przyzwoici ludzie! A kolor skóry nie ma tu nic do rzeczy. Są czyści, uprzejmi i uczciwi.

A co wa niejsze, zawsze mo na na nich polegać! I ty dobrze o tym wiesz!

– A co powiesz o Wileju Brownie? Jest co prawda sędzią, ale –

jak ci wiadomo – nadużywa alkoholu. I w dniu ukończenia studiów 130

upił się tak, e chrapał głośno podczas uroczystości. Czy to go nie deklasuje? A Bowensowie? Pani Bowens uciekła przecie do Europy i zostawiła dzieci. A co sądzisz o Walshesach? On jest lekarzem pediatrą, a ona pielęgniarką. Ale pani Walshes wiecznie chodzi z podbitym okiem, gdy – jak utrzymuje – nieustannie wpada na drzwi. Czy uwa asz ich za hołotę? A Roba? Jest przecie rozwiedziony. Czy fakt ten nie spycha na margines społeczeństwa?

– Rachel, na miłość boską, ty naprawdę doprowadzisz mnie kiedyś do szału! Wiesz bardzo dobrze, e ci wszyscy ludzie nie są hołotą!

– Zatem mi wytłumacz, jakimi nale y się kierować kryteriami, eby zaliczyć kogoś do hołoty, skoro ani ubóstwo, ani czarny kolor skóry,

pijaństwo

ani

porzucenie

własnych

dzieci,

bicie

współmał onki ani rozwód nie decydują o tym. Wyjaśnij mi, chcę to wiedzieć.

– Nie umiem tego zdefiniować – spieniła się Elisabeth. Męty społeczne umiem rozpoznać na pierwszy rzut oka. I powiem więcej!

Ty te to potrafisz!

Rachel dr ała. Matce udało się całkowicie wytrącić ją z równowagi. A to nieczęsto się zdarzało.

– Posłuchaj mnie, mamó – powiedziała spokojnym głosem. –

Jestem ju zmęczona wysłuchiowaniem obelg, jakimi zarówno ty, jak i inni ludzie w tym mieście obrzucacie Johnny'ego Harrisa.

Dopóki mi nie wytłumaczysz, dlaczego uwa asz go za wyrzutka, proszę cię, nie wyra aj się o nim w ten sposób.

– Chyba zapominasz, e się zwracasz do matki, Rachel!

– Przepraszam cię, mamó. Ale powiedziałam tylko to, co myślę.

Elisabeth

zacisnęła

usta

i

spojrzała

na

córkę

spod

wpółprzymkniętych powiek.

– W mieście wiele się mówi o tobie i o tym chłopaku. Nie zwracałam na to większej uwagi, ponieważ jesteś moją córką i zawsze cię uczyłam, ebyś kierowała się w yciu rozsądkiem. Ale zaczynam podejrzewać, e w owych plotkach jest coś z prawdy.

Twój ojciec w młodości, jeszcze zanim mnie poślubił, miewał

szalone pomysły. Był nierozważny i miał talent do wplątywania się w kłopoty. Z przykrością stwierdzam, e stajesz się do niego podobna.

Równoczesna krytyka Rachel i mę a była ulubionym docinkiem Elisabeth. Rachel coraz bardziej traciła panowanie nad sobą.

Wjechała na podjazd i obrzuciła matkę zimnym spojrzeniem.

– Mam nadzieję, mam. Wolę to ni podobieństwo do drugiego z rodziców.

Elisabeth pobladła, szeroko otworzyła oczy i zdumiona skierowała wzrok na córkę. Rachel uniosła brodę. Nie zamierzała przeprosić matki. Minęła bramę wjazdową i zahamowała z gwałtownym szarpnięciem.

– Wjedź na parking. – Elisabeth tak jak wszyscy nie miała wielkiego mniemania o umiejętnościach Rachel jako kierowcy.

– Muszę załatwić jeszcze kilka spraw.

– Kilka spraw! Chyba nie zapomniałaś, e zaprosiliśmy gości na niedzielny obiad? Mają przyjść na drugą.

– Wrócę na czas. A teraz, proszę cię, wysiądź ju , mam.

Elisabeth prychnęła i wyszła z samochodu, starając się cicho zamknąć drzwiczki. To robiło większe wrażenie niż trzaśnięcie. A 132

potem zajrzała do środka przez boczne okno.

– Jedziesz do miasta, eby się spotkać z tym chłopakiem, prawda?

– Tak, mam. Właśnie mam taki zamiar. I mo e przywiozę go na obiad.

– Rachel!

Spojrzała matce w oczy. Tak mocno zacisnęła ręce na kierownicy, e zbieła jej kłykcie palców.

– A jeśli nie będziesz dla niego miła i nie przyjmiesz go tak jak ka dego innego gościa, to daję słowo, e się spakuję i wyprowadzę do miasta.

– Rachel!

– Naprawdę to zrobię, mam. A teraz proszę, zejdź mi z drogi.

Muszę ju jechać.

– Rachel! – Elisabeth wyprostowała się i zrobiła krok do tyłu. W

jej głosie zabrzmiał ból i uraza.

Rachel wrzuciła wsteczny bieg, zatoczyła szeroki łuk i spojrzała we wsteczne lusterko. Drobną postać samotnie stojącej matki na tle olbrzymiego białego domu oraz falistych zielonych pól wydała się jej wyjątkowo krucha. Na jej twarzy malowało się zdumienie. Ale Rachel postanowiła po raz pierwszy w swoim yciu nie dopuścić do tego, eby matka obudziła w niej poczucie winy. Tym razem zamierzała postawić na swoim.

Okazało się jednak, e sprzeczka z matką nie była potrzebna.

Gdy Rachel przyjechała do sklepu z artykułami elastycznymi,

stwierdziła, e Johnny'ego nie ma w domu. Zajrzała do „Longa”, jednego z dwóch domów pogrzebowych w mieście, gdzie 133

świadczono ostatnie posługi mniej zamożnym obywatelom miasta.

Dowiedziała się jednak, e Johnny'ego tam równie nie było i nie zostały poczynione przygotowania do wystawienia zwłok, chocia pogrzeb był zaplanowany na godzinę dziesiątą rano następnego dnia.

Podziękowała

Samowi

Munsonowi,

przedsiębiorcy

pogrzebowemu, i wyszła. W głowie kołatało się jej pytanie: gdzie jest Johnny? Pomyślała o Glendzie i nagle obraz samotnego i pogrą onego w alu Johnny'ego uległ gwałtownemu przeobra eniu.

Oczywiście. Johnny jest u Glendy. I wcale nie potrzebuje Rachel.

Dała za wygraną. Ze ściśniętym sercem ruszyła w drogę powrotną do domu. Wyraz ulgi w oczach Elisabeth na widok córki, która zjawiała się sama i zdą yła na obiad, był solą na jej ranę.

134

Rozdział 15

Doczesne szczątki Willie'ego Harrisa spoczywały w zamkniętej szarej trumnie, która została wystawiona w domu pogrzebowym.

Przed nabo eństwem

ałobnym ustawiono w niewielkim,

wyło onym boazerią pomieszczeniu czterdzieści rozkładanych krzeseł w pięciu rzędach. Po mszy zwłoki miały być poddane kremacji.

Rachel siedziała w czwartym rzędzie obok Kay Nelson, która przybyła na pogrzeb tu po rozpoczęciu się uroczystości.

Najwidoczniej nękały ją wyrzuty sumienia po wczorajszej rozmowie w kościele. Oprócz Rachel i Kay we mszy uczestniczyło pięciu innych ałobników: dwie biednie ubrane młode kobiety o twardym spojrzeniu, których Rachel nie znała, Don Gillespie, właściciel domu wynajmowanego od wielu lat przez Harrisów, oraz Glenda Wright Watkins z synem Jeremym.

Johnny się nie pokazał. Ani pozostała dwójka dzieci zmarłego.

Rachel ze zdumieniem odnotowała obecność Glendy bez Johnny'ego. Od czasu wczorajszej wizyty wielokrotnie telefonowała do jego mieszkania. Pojechała tam nawet ponownie późnym wieczorem i jeszcze raz dzisiaj rano, jednak na pró no. Nie zastała Johnny'ego w domu. Sądziła, e jest u Glendy. Ale kelnerka siedziała z pochyloną głową dwa rzędy przed nią, trzymając za rękę swojego kilkuletniego syna.

Jeśli Johnny nie był razem z nimi, to gdzie się wobec tego podziewał?

Rachel nie mogła się doczekać końca uroczystości, eby

135

porozmawiać z Glendą. Gdy uczestnicy pogrzebu zaczęli opuszczać salę po odśpiewaniu ostatniej pieśni, Rachel wstała. Kay równie podniosła się z miejsca.

– Czy to nie najsmutniejsza ceremonia w jakiej uczestniczyłaś?

– szepnęła do Rachel. – Nie przybyło adne z jego dzieci. Pewnie Harris musiał być dla nich niedobry, gdy dorastały, nie sądzisz?

– Nie mam pojęcia – odparła Rachel, co niezupełnie odpowiadało prawdzie. W pierwszej klasie liceum szesnastoletni Johnny często przychodził do szkoły z podbitym okiem i z pękniętą wargą. Rachel podejrzewała, że jest maltretowany przez ojca.

Zaniepokojona, zaczęła się baczniej przyglądać pozostałym dzieciom Harrisa. Mocno zbudowany, rosły i dwa lata starszy od Johnny'ego Buck, porzucił szkołę kilka lat wcześniej, dlatego nie miała okazji go widywać. Ale zarówno Grady – szczupły, spokojny chłopiec, trzy lata młodszy od Johnny'ego – jak i Sue Ann, która w tamtym czasie chodziła jeszcze do szkoły podstawowej, te regularnie nosili siniaki na całym ciele. Gdy Rachel próbowała wypytać Johnny'ego, czy nie znęcają się nad nimi w domu, zaśmiał

się jej prosto w twarz i zaprzeczył. Odpowiedź chłopaka nie rozproszyła jej podejrzeń. Zwróciła się o radę do ojca, ale Stan rzekł

krótko: „Nie wtrącaj się”. Jego zdaniem nie powinna ingerować w to, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami rodzinnych domów.

Stanowisko ojca w tej sprawie stało się przyczyną jednej z ich nielicznych kłótni.

Postanowiła, nie zważając na radę Stana ani na zaprzeczenia Johnny'ego, powiadomić instytucję zajmującą się ochroną praw dzieci w ich okręgu, gdy tylko ponownie zauważy u któregoś z 136

dzieciaków Harrisa ślady pobicia.

Ale ju nigdy niczego takiego nie dostrzegła. Z czasem doszła do przekonania, że być może wyciągnęła zbyt pochopne wnioski. A teraz zastanawiała się, czy to może być jej zainteresowanie, o którym Johnny zapewne doniósł ojcu, powstrzymało Willie'ego przed dalszym znęcaniem się nad dziećmi. Miała nadzieję, że tak.

– Kim są te dziewczyny? – szepnęła Kay, wskazując głową dwie młode kobiety. Jednej z nich spływały po twarzy łzy, gdy odwróciła się tyłem do trumny, kierując się do przejścia pomiędzy krzesłami.

– Nie znam adnej z nich. Przepraszam cię, Kay. Muszę z kimś porozmawiać.

Rachel dogoniła Glendę w chwili, gdy razem z synem dotarła do drzwi wyjściowych.

– Dzień dobry, Jeremy. Dzień dobry pani... Watkins, jeśli się nie mylę? Pamięta mnie pani? – Rachel ukradkiem przyglądała się kobiecie.

Glenda miała na sobie wrzosowy kostium o pastelowym odcieniu. Ubranie było uszyte z taniego poliestru, ale kobieta wyglądała w nim bardzo stosownie na tę okazję, a prosty krój znakomicie podkreślał jej figurę. Gęste włosy związała w węzeł na karku czarną welurową wstążką. Rachel musiała niechętnie przyznać, że Glenda prezentuje się lepiej, niż się tego spodziewała.

Być może w oczach mężczyzny uchodziła za kobietę bardziej atrakcyjną niż ona. Była wysoką i szczupłą blondynką o miłej powierzchowności. Miała piersi wielkości melonów. Rachel zaczęła się nawet zastanawiać, czy są prawdziwe. Ale zaraz skarciła się w myślach za złośliwość.

137

Jeremy nie powiedział ani słowa. Patrzył na Rachel z niepokojem. Miał na sobie czyste, lecz bardzo sprane dżinsy i odprasowany podkoszulek, co wskazywało na to, że w

przeciwieństwie do Glendy nie posiada wizytowego stroju. Pewnie przypuszczał, że Rachel zatrzymała matkę po to, aby się na niego poskarżyć. Jej uspokajający uśmiech nie przyniósł zamierzonego efektu. W oczach chłopca nadal pozostał wyraz nieufności.

– Oczywiście że poznaję. Panna Grant, prawda? – Glenda pokiwała serdecznie głową, a na jej drobnej twarzy pojawił się uśmiech, brudząc policzki setkami zmarszczek spowodowanych nadużywaniem słońca. Nagle kobieta wydała się Rachel o wiele starsza. – Była pani kiedyś nauczycielką Johnny'ego. Nie wiedziałam, że zna pani mojego syna.

Chłopiec rzucił w stronę Rachel spojrzenie wyzywające i błagalne zarazem.

– Kiedyś Johnny przedstawił nas sobie, prawda, Jeremy? I zdążyliśmy się już nawet nieźle poznać. – Rachel ponownie uśmiechnęła się do chłopca. – Czy nie wie pani przypadkiem, co się dzieje z Johnnym? Zamierzałam mu złożyć kondolencje, ale nie zdołałam go nigdzie znaleźć – zwróciła się do Glendy.

Kelnerka zaprzeczyła ruchem głowy.

– Widziałam go po raz ostatni w sobotę wieczorem. Wróciliśmy do mojego mieszkania późno w nocy. Oboje mieliśmy nieźle w czubach. A potem Johnny pojechał prosto do siebie. Nigdy się nie zgadzam, aby jakkolwiek mężczyzna nawet najlepszy przyjaciel –

nocował u mnie, gdy dzieci są w domu. Niedziele mam wolne i zwykle spędzam je razem z nimi. Dlatego dopiero wczoraj 138

wieczorem dowiedziałam się o starym Harrisie. Postanowiłam przyjść na pogrzeb, ponieważ znamy się z Johnnym od dawna, a wiem, że nie ma teraz wokół siebie zbyt wielu przyjaznych ludzi. –

Wzruszyła ramionami. – A tymczasem on się nie zjawiał. Nie powiem, aby ten fakt mnie szczególnie zaskoczył.

– Nie? Dlaczego?

– Mo emy ju iść, mamó? – wtrącił się Jeremy, ciągnąc matkę za rękę. – Obiecałaś, e pójdziemy do „Burger Kinga”.

– Za chwilę, Jeremy. Wiesz, co sądzę na temat przerywania rozmowy starszym. – Glenda uśmiechnęła się przeprasza­jąco do Rachel. – Ach, te dzieciaki. Jest pani nauczycielką i sama pani wie, jakie z nimi utrapienie. A co do Johnny'ego, to wcale go nie winię za nieobecność na pogrzebie. Stary Harris był dla niego w dzieciństwie naprawdę podły, zresztą jak i dla wszystkich swoich dzieci. Nie sposób zliczyć, ile razy dostały od niego baty. Wiem, e nie powinno się mówić źle o zmarłych – skinęła głową w kierunku trumny – ale nie zamierzam ukrywać prawdy.

Rachel zaparło dech.

– Podejrzywałam kiedyś, e te dzieci są bite. Ale gdy spytałam o to Johnny'ego, zaprzeczył.

Glenda się roześmiała.

– To do niego całkiem podobne.

– Mamó... – W głosie Jeremy'ego pojawiła się płaczliwa nuta.

– Zaczekaj jeszcze moment, Jeremy.

Nagle podeszła do nich Kay i uśmiechnęła się zdawkowo do Glendy.

– Przepraszam cię, Rachel. Czy mogłabyś mnie podrzucić do 139

sklepu? Tutaj podwiózł mnie Jim. – Kay i Glendę dzieliła społeczna przepaść, z której obie zdawały sobie sprawę. Kay, podobnie jak i Rachel, należała do miejscowego klubu, podczas gdy Glenda była osobą nie zauważaną przez wpływowych obywateli miasta.

– Podrzucę cię z przyjemnością. – Rachel z trudem starała się ukryć zniecierpliwienie. Była niezadowolona, e kole anka siostry wtrąciła się do rozmowy. Jeśli Glenda zamierzała wyjawic więcej faktów z młodości Johnny'ego, to teraz, gdy dołączyła do nich Kay, na pewno zmieniła zamiar. Rachel nie miała co do tego wątpliwości, a pragnęła wiedziec jak najwięcej o dzieciństwie Johnny'ego Harrisa. – Kay, pewnie nie miałaś jeszcze okazji poznać Glendy Watkins oraz jej syna Jeremy'ego. Glendo, to jest Kay Nelson.

Kay skinęła głową, gdy Rachel dokonała prezentacji.

– Czy jest pani zaprzyjaźniona z rodziną Harrisów?

– Jestem przyjaciółką Johnny'ego – sprostowała Glenda, jak gdyby obawiała się, by nie posądzono jej o zbytnią za yłość z ojcem Johnny'ego.

– I ty to nazywasz przyjaźnią, mamó? – zachichotał Jeremy, a w jego oczach zamigotały iskierki złościwości. – Widziałem przedwczoraj w nocy, jak trzymał ręce na twoim...

– Jeremy Anthony Watkins! – Glenda zakryła dłonią usta chłopca i mocno się rumieniąc, spojrzała w stronę kobiet z wyrazem za enowania. – Muszę czym prędzej nakarmić chłopca, zanim stanie się prawdziwym potworem. Głodne dzieci potrafią być niezdolne. Cieszę się, e mogłam ponownie panią spotkać, panno Grant. Miło mi było panią poznać, panno Nelson.

140

Rachel i Kay wymamrotały słowa po egnania, a Glenda chwyciła syna za rękę i pospiesznie wyszła z sali.

– Ciekawa jestem, za co ją trzymał? – zastanawiała się głośno Kay, najwyraźniej ywo zainteresowana tematem. Dwie obce

kobiety, które uczestniczyły w uroczystości ałobnej, zmierzały w stronę samochodu.

– Nie mam pojęcia – odparła Rachel tonem, który nie zachęcał

do dalszych pytań. Nie miała najmniejszej ochoty myśleć, a co dopiero dyskutować na temat stosunków łączących Johnny'ego z Glendą Watkins.

– Spróbuję odgadnąć. – Kay chichocząc, wsiadła do maximy.

Ale po chwili spojrzała w stronę Rachel, która właśnie wkładała kluczyk do stacyjki, i dodała: – Zresztą wolę nie zgadywać. Choć muszę przyznać, e jestem zdumiona. Nie przypuszczałam, e Johnny Harris znajdzie sobie w naszym mieście kobietę. Nawet taką jak ona. Sądziłam, e wszystkie będą się go bały.

– Myślę, e znają się z Glendą od bardzo dawna – skwitowała jej uwagę Rachel. Chciała jak najprędzej pozbyć się towarzystwa Kay. Była rozproszona. Nie spostrzegła betonowej wypukłości na jezdni i samochód podskoczył w górę. Zaciśnęła usta, przyrzekając sobie, e będzie bardziej uwa na. Włączyła się do ruchu, skupiając się na prowadzeniu pojazdu.

– Wiesz, kim były owe dwie dziewczyny? – Kay a pojaśniały oczy, gdy się odwróciła w stronę Rachel, eby jej przekazać plotki.

– Dowiedziałam się od Dona Gillespie'ego. To prostytutki.

Prawdziwe prostytutki. Wyobra asz sobie?

– Ale Kay. – Rachel oderwała wzrok od jezdni i spojrzała z 141

powątpiewaniem na kole ankę siostry. – Prostitutki?

– Don mi powiedział, e stary Willie Harris regularnie jak w zegarku dwa razy w miesiącu spotykał się z jedną z nich w Louisville. Podobno figłował z dziewczyną od czasu, gdy miała dwanaście lat.

– Dwanaście lat? Och Kay, wprost trudno mi w to uwierzyć!

Kay wzruszyła ramionami.

– Don twierdzi, e Willie Harris się tym przechwalał. Wielkie nieba! Uwa aj, Rachel! Zje d amy z drogi!

Opony maximy zaczęły podskakiwać na wirowej nawierzchni wąskiego przesmyku pośrodku jezdni. Przestraszona Rachel gwałtownie rzuciła kierownicą w lewo i pojazd z powrotem znalazł

się na swoim pasie.

– Becky zawsze twierdziła, e jesteś okropnie złym kierowcą –

mruknęła Kay, potrząsając głową.

– Becky jest tak doskonała we wszystkim, co robi, e przejawia zbytne skłonności do krytykowania innych – odparła słodkim tonem Rachel.

– Ho, ho! Kto by powiedział? Takie oddane sobie siostry! – Kay wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Cieszę się, e mam tylko braci.

Zatrzymaj się, Rachel. Właśnie minęłaś mój sklep!

Maxima rzeczywiście śmignęła obok małego budynku z cegły, gdzie Kay prowadziła kwiaciarnię, nad którą widniał szyld:

„Kwiaty są wymowniejsze ni słowa". Rachel zacisnęła zęby, zawróciła pojazd i zajechała pod sklep.

Kay otworzyła drzwi i obejrzała się na Rachel.

– Wybierasz się dzisiaj wieczorem na spotkanie Towarzystwa 142

Ochrony Zabytków?

– Nie sędę. Ale moja matka z pewnością na nie pójdzie.

– Twoja matka jest cudowna – uśmiechnęła się Kay. – Czy wiesz,

e doło yła pieniądze, aby uzupełnić fundusz na przywrócenie dawnego wyglądu starym ogrodom cementarnym przy kościele baptystów? Jesienią będę mogła zacząć je porządkować i zasadzić trochę cebulek, a pozostałe prace zakończę na wiosnę.

Postaram się, by wyglądały naprawdę okazale.

– Nie będę się mogła doczekać, eby je zobaczyć – powiedziała uprzejmie Rachel.

– Wiem, wiem. Nie wszyscy interesują się kwiatami tak jak ja. –

Kay zachichotała. – Ale to będzie warte obejrzenia, obiecuję ci. –

W jej głosie nagle zabrzmiała powaga. – Kocham to miejsce i boli mnie, gdy widzę, e jest zaniedbane.

– To wielkie szczęście dla towarzystwa, e ma w twojej osobie tak oddaną członkinię – zauważyła Rachel.

– Prawda? – uśmiechnęła się promiennie Kay. – Nie będę cię dłużej zatrzymywać. Dziękuję za podwiezienie. Przypomnij mamie o dzisiejszym zebraniu.

Wysiadła z samochodu, zatraskując za sobą drzwi. Rachel odjechała, machając jej ręką na pożegnanie. Chociaż w pełni popierała decyzję Towarzystwa Ochrony Zabytków Tylerville o potrzebie odnowy Pierwszego Kościoła Baptistów, to w tej chwili nie przejawiała wielkiego zainteresowania wysiłkami, jakie były podejmowane w celu przywrócenia dawnego wyglądu i uporządkowania terenu wokół najstarszej świątyni w mieście. Zbyt pochłaniały ją poszukiwania Johnny'ego.

143

Zamierzała zajrzeć do „Granta”, eby sprawdzić, czy czasami Johnny nie stawiał się do pracy.

Przy kasie siedziała Olivia. Zapytana, potrząsnęła przecząco głową.

– Nie było go dzisiaj od rana. Ben twierdzi, e nie telefonował i nie uprzedzał o swojej nieobecności.

W sklepie przebywał tylko jeden klient. Wertował arkusze z próbkami farby i stał na tyle daleko, e nie mógł słyszeć, jak bezmyślna Olivia publicznie roztrząsa kolejny wewnętrzny problem firmy. Rachel wiedziała,

e w końcu będzie musiała zganić

ekspedientkę za nadmierną gadatliwość. Teraz jednak nie byłaby w stanie upomnieć jej w łagodny sposób. Szczerze niepokoiła się o Johnny'ego. Skoro nie było go u Glendy i nie zastała go w pracy, to gdzie się w takim razie podziewa?

– Czy mógłbym zamienić z tobą dwa słowa? – Ben wystawił

głowę z magazynu, gdy usłyszał głos Rachel. Najchętniej by mu odmówiła, ale kierownik już zmierzał w stronę swojego gabinetu.

Wzdychając w duchu, ruszyła za nim.

Oparł się o kant biurka i założył ręce na piersi. Rachel zamknęła za sobą drzwi i spojrzała na niego pytająco.

– Johnny Harris nie pokazał się dzisiaj w pracy.

– Dzisiaj rano odbył się pogrzeb jego ojca – wyjaśniła Rachel, nie kwapiąc się z poinformowaniem Bena, e Johnny w nim nie uczestniczył.

– Powinien był zatelefonować i uprzedzić nas, e go nie będzie.

– Jest na pewno nerwowo rozstrojony. Ben prychnął.

– Mo e gdyby zaciągnęli go przed pluton egzekucyjny, byłby 144

nerwowo rozstrojony. Ale nic innego nie jest go w stanie poruszyć, wierz mi. Jego obecność w sklepie źle wpływa na interesy. Połowa klientów otwarcie odmawia, eby ich obsługiwał, a pozostali przychodzą tylko po to, eby go zobaczyć. Jest nieuprzejmy i nieposłuszny. A swoim wyglądem przypomina członka gangu

„Aniołowie Piekła”. Uprzedziłem cię w sobotę, e rzucę pracę, jeśli wypuścisz dzieciaka bez zawiadomienia policji. Pozwoliłaś mu odejść, wobec tego przyjmij moją rezygnację.

Mówiąc to Ben wziął z biurka kopertę i podał ją Rachel.

– Och, Ben. Chyba nie mówisz powa nie? – Odebrała wymówienie i spojrzała kierownikowi w oczy.

– Jak najpowa niej, Rachel. Ten człowiek działa mi na nerwy za ka dym razem, gdy na niego patrzę. Pracując z nim nabawiłbym się wrzodu ołładka. Zostanę tylko pod warunkiem, e się go stąd pozbędziesz.

– Nie mogę, Ben. Jeśli nie będzie miał pracy, to go odeślą z powrotem do więzienia. Wiem, e czasami potrafi być trochę nieopanowany, ale...

– Trochę nieopanowany, dobre sobie – zadrwił Ben.

– Jeśli zdobędziesz się na odrobinę cierpliwości, to z nim porozmawiam.

– Rozmowa z nim jest równie bezcelowa jak porywanie się z motyką na słońce. Mówię powa nie, Rachel. Jeśli nie chcesz albo nie mo esz go stąd wyrzucić, to ja składam rezygnację. Otrzymałem propozycję kierowania działem z artykułami elastycznymi w domu handlowym „Wal-Mart”.

Zdumiona Rachel przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu.

145

Przepraszający wyraz twarzy, a zarazem upór w jego spojrzeniu świadczyły, e Ben rzeczywiście zamierza postąpić tak, jak mówi.

– Mam nadzieję,

e wyświadczysz mi tę grzeczność i

przystaniesz na dwutygodniowy okres wypowiedzenia umowy o pracę – powiedziała oficjalnym tonem.

Ben zacisnął usta.

– Przecie wiesz, e tak. – Umknął wzrokiem w bok. Po chwili znowu spojrzął na Rachel. – Jest mi naprawdę przykro, Rachel.

– Mnie te – powiedziała.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z gabinetu z kopertą w dłoni.

Gdy przechodziła obok schodów, które prowadziły do mieszkania Johnny'ego, zawahała się, czy nie wejść na górę i nie zapukać. Nie chciała jednak, eby Ben się domyślił, e nie widziała Johnny'ego rano. Ale przecie mogła pójść po to, eby sprawdzić, czy ju wrócił z pogrzebu.

– Harrisa nie ma w domu – dobiegł ją z tyłu głos kierownika. –

Nie dalej jak dziesięć minut temu dobijałem się do jego drzwi.

Niemal ich nie rozwalilem. Sądziłem, e mo e wyleguje się w łó ku.

– Ach tak. No có ... – Ale zanim zdą yła dokończyć zdanie, Ben poło ył jej rękę na ramieniu. Odwróciła się do niego twarzą. Stał ze zmarszczonymi brwiami.

– Wiem, e to nie moja sprawa, ale zauwa yłem, w jaki sposób Harris na ciebie patrzy i niepokoję się o ciebie, Rachel. To niebezpieczny człowiek, wierz mi. Dla własnego dobra powinnaś go stąd wyrzucić, nawet jeśli miałyby z tego powodu z powrotem trafić do więzienia. Przynajmniej ty będziesz bezpieczna.

146

– To miło, e się o mnie troszczysz, Ben. – Rachel poklepała dłoń spoczywającą na jej ramieniu, zapominając o urazie, jaką jeszcze przed chwilą czuła do kierownika sklepu. Ale nie boję się Johnny'ego. Jego groźny wygląd jest złudny. Nigdy by nikogo nie skrzywdził.

– Słynne ostatnie słowa – mruknął pod nosem, gdy odchodziła.

Uwaga wywołała na twarzy Rachel krzywy uśmiech. Ale nie było jej do śmiechu dwanaście godzin później, gdy nie wiadomo po raz który zajechała pod sklep, eby sprawdzić, czy Johnny wrócił i w końcu dostrzegła światło w jego oknie. Ulga przerodziła się najpierw w oburzenie, a potem w bezgraniczną złość. Zaparkowała samochód, weszła na górę przeciwpo arowymi schodami i, kipiąc z wściekłości, zapukała do mieszkania.

Odpowiedziało jej zajadłe szczekanie psa. Nim zdą yła otrząsnąć się ze zdumienia, drzwi otworzyły się na oście . Stał w nich, słaniając się na nogach, Johnny. Kurczowo trzymał się klamki, zapewne

eby utrzymać równowagę. Nie ulegało

wątpliwości, e jest w sztok pijany.

147

Rozdział 16

Kogo ja widzę, panna Grant! – rzekł Johnny z drwiną, wykrzywiając usta w pijackim uśmiechu.

Otworzył szerzej drzwi, zapraszając zamaszystym gestem, by weszła do środka. Zrobił krok do tyłu i o mało się nie przewrócił, potykając się o dywan. Cicho zaklął pod nosem i mocniej chwycił

się klamki, eby odzyskać równowagę. Olbrzymi ciemnobrązowy pies za jego plecami przestał szczekać, odsłonił kły i zaczął groźnie warczeć na Rachel. Zamarła z przerażenia. Serce waliło jej jak szalone. Zszokowana, zupełnie zapomniała o złości.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedział Johnny, podążając za jej wystraszonym spojrzeniem. Machnięciem ręki odprawił

śliniące się zwierzę. – Ju dobrze, Wolf. Le eć!

Ale pies zupełnie zignorował komendę, jak gdyby w ogóle nie padła. Warczał nadal, utkwivszy w Rachel czarne, okrągłe jak paciorki ślepie. Cofnęła się o krok, a Johnny zmarszczył brwi.

– Niedobry pies – stwierdził bez wielkiego przekonania. Bestia wciąż wydawała złowieszcze pomruki. Johnny mamrocząc coś pod nosem puścił klamkę i chwycił psa za skórę na karku, zamierzając zaciągnąć go do łazienki. Szedł niepewnym krokiem, chwilami przechylając się na boki. Utrzymywanie pozycji pionowej zawdzięczał podporze, jaką stanowił potężny psi grzbiet. Rachel bez trudu wyobraziła sobie, jak zwierzę się wrywa, robi w tył

zwrot i skacze jej do gardła. Przywarła plecami do balustrady na górnym podejściu schodów i nie ruszała się z miejsca, dopóki Johnny nie wepchnął psa do łazienki i nie zatrzasnął za nim drzwi.

148

Dopiero wtedy weszła do mieszkania.

– Skąd się wzięła ta bestia? – spytała, gdy Johnny z trudem szedł przez salon, trzymając się jedną ręką ściany. Uwięziony pies nie wydawał ju adnych dźwięków. Złowrobną cisza działała na Rachel na nerwy jeszcze bardziej ni ujadanie.

– Ach, pewnie masz na myśli Wolfa? To moja scheda. Jedyne spadek, jaki otrzymałem po ojcu. – I Johnny zaczął rechotać, zanosząc się pijackim śmiechem. Gdyby Rachel miała choć odrobinę zdrowego rozsądku, z pewnością by stamtąd czym prędzej uciekła.

Johnny cię ko opadł na brązową pluszową kanapę.

– Jesteś pijany. – Zganiła go surowym spojrzeniem, zatrzasnęła za sobą drzwi i weszła do pokoju. Uderzył ją zapach whisky. Na stoliku obok lampy przy kanapie zobaczyła butelkę wypełnioną w jednej czwartej.

– To prawda – przyznał. Oparł niedbale głowę o zagłówek kanapy i wyciągnął długie nogi w d insowych spodniach na be owym dywanie. Był bez butów. Miał na sobie brudne białe sportowe skarpetki i w takim samym kolorze podkoszulek, którego brzeg wysunął się zza paska spodni. Rozpuszczone włosy sięgały mu niemal ramion. Utkwił w Rachel swoje niebieskie oczy, w których błyszczał niepokój. Szczecina na brodzie wskazywała na to, e się nie golił od czasu, gdy go widziała po raz ostatni. Wyglądał

jak włóczęga, i to bardzo pociągający włóczęga.

Rachel odkryła ze zdumieniem, e ani trochę się go nie boi. W

oczach Johnny'ego dostrzegła prawdziwy ból.

149

– Słyszałaś o moim starym? – spytał obojętnym tonem. Sięgnął

po butelkę, przytknął ją do ust, pociągnął solidny łyk i otarł twarz wierzchem dłoni. A potem z przesadną ostro nością odstawił

whisky na stół. – Cholerny pociąg zrobił z niego siekany kotlet.

Byłam dzisiaj rano na jego pogrzebie – wyznała Rachel, nie spuszczając z Johnny'ego wzroku. – Uroczystość bardzo się udała.

Johnny ponownie się roześmiał, ale tym razem jego śmiech zabrzmiał fałszywie.

– Och, z pewnością. Czy byłaś jedyną uczestniczącą w niej osobą?

Rachel zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, przyszło jeszcze kilka osób. Kiedy ostatnio coś jadłeś?

Johnny wzruszył ramionami.

– Czy śpiewali pieśni i modlili się? Skinęła głową.

– Nie miałbyś ochoty na jajecznicę z grzankami? Zareagował

gwałtownym gestem.

– Czy mogłabyś nie mówić tyle o jedzeniu? Chcę się dowiedzieć, kto był na pogrzebie. Czy Buck się zjawił?

– Nie. – Rachel obeszła nogi Johnny'ego, dyskretnie zabrała butelkę whisky i skierowała się do kuchni, gdzie zniknęła na dziesięć minut.

Uwijała się, sma ąc jajecznicę, robiąc grzanki i parząc kawę.

Wiedziała, jakie produkty ma do dyspozycji, ponieważ podczas ostatniej wizyty ubiegłej nocy u ła zapasowego klucza i weszła do środka. Lękała się, co mo e zastać w mieszkaniu, ale było puste.

Kromka chleba na stole i pozostawione na wierzchu łatwo psujące 150

się artykuły spo ywcze sugerowały, e Johnny wyszedł tylko na chwilę i zaraz wróci. Tymczasem nie było go przez całe dwa dni.

Gdy Rachel zjawiała się w salonie z pełnym talerzem w jednej dłoni i fili anką czarnej kawy w drugiej, zastała Johnny'ego w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła. Nadal le ał rozwalony na kanapie z odrzuconą do tyłu głową. Ale miał zamknięte oczy. Przez minutę sądziła, e zasnął.

– Pojechałem do Detroit, eby zawiadomić Sue Ann odezwał się niespodziewanie i otworzył powieki w chwili, gdy stawiała talerz na stoliku, na którym przedtem znajdowała się butelka. Trzęsła mu się ręka, gdy odbierał od Rachel fili ankę, i rozlał parujący płyn, obryzgując sobie spodnie. Zaklął pod nosem i przejechał dłonią po wilgotnej plamie. Rachel zdołała ocalić resztkę kawy, odbierając mu fili ankę. – Nie ma telefonu. Twierdzi, e ją nie stać na taki luksus. Korzysta z zasiłku dla bezrobotnych i wychowuje trójkę dzieci. A obecnie znowu jest w cią y, o, w takiej – zademonstrował, wykonując

gest

ponad

własnym

brzuchem.

Mieszka

w

dwupokojowym mieszkaniu z nieczynną toaletą. Poznałem faceta, który jej zrobił dziecko. To nicpoń i wyrzutek. Siostra i dzieciaki potwornie się go boją. Miałem ochotę stłuc go na kwaśne jabłko.

Ale nie zrobiłem tego. To by się na nic nie zdało. O Bo e, ona ma zaledwie dwadzieścia cztery lata. – Mówił krótkimi, urywanymi zdaniami. Musiała się dobrze wsłuchiwać, eby go zrozumieć.

Znowu oparł głowę o zagłówek i wbił wzrok w sufit.

Rachel podsunęła mu fili ankę do ust.

– Proszę, napij się – powiedziała uspokajającym tonem. Lecz Johnny nie zwracał na nią uwagi.

151

– Dałem jej wszystkie pieniądze, jakie miałem przy sobie. Mój Bo e, niewiele tego było. Dzieciaki są bardzo zabiedzone, sama skóra i kości. Zresztą ona te jest przeraźliwie chuda, z wyjątkiem olbrzymiego, sterczącego brzucha. W mieszkaniu jest okropnie gorąco i a się roi od much, ponieważ w okiennej moskitierze porobiły się dziury. I tylko pomyśleć, e narzekałem na moje warunki. Tamto miejsce było kurortem w porównaniu z norą, w jakiej yje moja siostra. – Gorzko się zaśmiał.

Rachel wywnioskowała, e nawiązuje do swojego pobytu w więzieniu. Dotknęła jego ramienia. Główną jej troską w tej chwili było nakłonienie go,

eby cokolwiek zjadł i jak najprędzej

wytrzeźwiał. Podejrzewała, e nie miał niczego w ustach przez cały dzień, a mo e nawet przez dwa dni, choć na pewno siostra czymś go poczęstowała.

– Wypij to, Johnny, proszę cię. Kawa dobrze ci zrobi. Skierował

na nią wzrok. Jego oczy były ponure jak burza gradowa.

– Nie masz nawet pojęcia o tym, co mi jest potrzebne. Bo i skąd? Czy kiedyś czegoś ci brakowało? Nie! Co ktoś taki jak ty, kto mieszka w wielkim domu, u ywa wyszukanych słów i ma bogatych rodziców, mo e wiedzieć o takich ludziach jak ja?

– Wiem, e cierpisz – powiedziała łagodnym tonem, ale jej słowa najwyraźniej sprawiły mu przykrość.

Wykrzywił szyderczo usta.

– Tak, to prawda. Cierpię. Dlaczego nie? Jestem przecie takim samym człowiekiem jak inni. Mam do tego prawo.

Ponownie zaklął, zerwał się na równe nogi i z furią wywrócił

jednym ruchem stojący przy kanapie stolik. Mebel runął z łoskotem 152

na ziemię. Johnny odwrócił się do Rachel i spojrzał na nią dzikim wzrokiem. Chocia się słaniał na nogach, to gdy pochylał się nad nią, zaciskając i rozprostowując palce opuszczonych wzdłu ciała dłoni, wyglądał groźnie.

Z udawanym spokojem wytrzymała jego spojrzenie.

– Czy teraz czujesz się lepiej?

Patrzył na nią zdumiony. Z jego oczu powoli zniknęła wściekłość. Przejechał dłonią po włosach i

zaklął pod nosem.

– Dlaczego się mnie nie boisz? Powinnaś się bać, tak jak wszyscy – stwierdził. Teraz, gdy mu przeszła złość, nagle nie był w stanie utrzymać się na nogach. Pochylił się do przodu, zachwiał i ciężko opadł na podłogę, siadając tyłem do Rachel.

– Nie boję się ciebie, Johnny, i nigdy się nie bałam – rzekła.

Sądziła, że właśnie te słowa chciał usłyszeć. Poza tym były zgodne z prawdą. Obejrzał się i na moment, nie długo, w jego zmęczonych oczach pojawił się uśmiech. Odchylił do tyłu głowę i oparł ją o kolana Rachel.

– Nie mogę pojąć dlaczego – wymamrotał.

Patrzyła z góry na zmierzwioną czarną czuprynę. Czowała ciężar głowy, jedwabistość włosów i ucisk twardej czaszki, opartej o jej gołe nogi. Ogarnęło ją bezgraniczne i niemal bolesne współczucie.

Odstawiła filiżankę z kawą na stolik przy lampie obok talerza z jajecznicą i delikatnie zaczęła go głaskać po ciemnych kosmykach.

– Ogromnie mi przykro z powodu twojego ojca, Johnny. Znowu się zaśmiał chrapliwie.

– Sue Ann powiedziała, że nie poszłaby na jego pogrzeb, nawet gdyby mieszkał tu obok. Nienawidziła starego drania. Brat te go 153

nienawidził. Zawiadomiłem Bucka telefonicznie o śmierci ojca. W

pełni dzielam ich uczucia. Niech go piekło pochłonie!

Coś w głosie Johnny'ego chwyciło Rachel za serce. Nadal głaskała go po głowie. Pragnęła ukoić jego ból, wodząc dłonią po splątanych i rozsypanych wokół swoich kolan włosach. Nie miała pojęcia, czy Johnny czuje jej dotyk. Wciąż wyrzucał z siebie potoki słów ochryłym i zduszonym głosem.

– Grady... Grady zwykł obrywać od niego największe ciężki.

Buck wyrósł na potęgę chłopaka, ja stałem się zbyt hardy, a Sue Ann była dziewczynką. Wciąż mam przed oczami obraz biednego, małego Grady'ego. Jak wiesz, był drobnym, chudym dzieciakiem z bujną czarną czupryną. Wciąż widzę, jak stary ściąga mu portki i okłada pasem. I słyszę jego wrzask oraz zalegającą potem ciszę.

Stary dopóty tłukł jego głową o ścianę, dopóki chłopak nie zamilkł.

Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego ojciec spośród wszystkich dzieci jego nienawidzi najbardziej. Nie mógł obok niego przejść, by go nie zdzielić po twarzy. Grady zwykle się chował do szafy, jeśli nie zdążył wybiec z domu przed powrotem ojca.

Johnny umilkł, chrapliwie chwytając powietrze. Rachel się nie odzywała. Słuchała w milczeniu, nie przestając go łagodnie głaskać po włosach. Zapatrzył się w przestrzeń przed sobą. Nie była nawet pewna, czy nie zapomniał o jej obecności.

– Och, Grady. Zawsze byliśmy ze sobą blisko, pamiętasz?

A oni nawet nie pozwolili mi pójść na twój pogrzeb! Nigdy nie uwierzyłem w twoje utonięcie – załkał ochryple i ałośnie. –

Dzieciak pływał jak ryba. Tylko w sporcie był naprawdę dobry.

Myśle, e chciał umrzeć. Sporo czytałem w więzieniu. Nie miałem 154

nic innego do roboty. Zapoznałem się z wieloma podręcznikami z psychologii. Większość nadawała się do przerobienia na papier toaletowy, ale niektóre teorie miały sens. Grady często doznawał w dzieciństwie urazów. Miał więcej połamanych kości ni my wszyscy razem. A kiedyś bawiąc się zapalniczką o mało się nie spalił. Niewiele brakowało, a by się zwęglił na skwarek. Ale ojca to zupełnie nie wzruszyło. Nie zaprowadził go nawet do lekarza i dzieciakowi zostały na nogach i plecach paskudne blizny. Grady okropnie prze ywał to, e porzuciła nas matka i e ojciec go nienawidzi. Przypuszczam, e właśnie dlatego się utopił. Chciał

umrzeć. Mnie zamknęli za morderstwo, a mojemu staremu nawet włos z głowy nie spadł. Grady do tego stopnia się go bał, e wystarczyło jego jedno groźne spojrzenie, a chłopak robił w portki.

Nawet gdy był ju nastolatkiem. Ktoś powinien był zabrać go z domu tego starego drania. Ale nikt nawet nie kiwnął palcem, eby pomóc mojemu bratu.

Johnny umilkł gwałtownie, zacisnął szczęki i zamknął oczy.

Rachel czuła cię ar jego głowy na swoich kolanach. Przera ona tym, co usłyszała, siedziała w bezruchu, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Podejrzewała, e Harris znęcał się nad dziećmi, ale potworna prawda, którą niespodziewanie wyjawiał Johnny, przeszła jej

najśmielsze

wyobra enia.

O

patologicznym

zjawisku

społecznym, takim jak maltretowanie dzieci, słyszała na zajęciach z socjologii. Tymczasem ból Johnny'ego był przeraźliwie realny.

– Jak sądzę jest w tym trochę i mojej winy, gdy nikogo o tym nie powiadomiłem. adne z nas ani słowem nie poskar yło się na ojca. Pamiętam, jak mnie kiedyś spytałaś, czy nikt nas w domu nie

krzywdzi? Roześmiałem ci się w twarz. Wstydzilem się wyjawić prawdę. Ludzie uwa ali nas za hołotę. Nie zamierzałem nikogo utwierdzać w tym przekonaniu. Nie znosiłem, gdy ci wszyscy bajecznie zamo ni obywatele patrzyli na nas z góry. Gdyby poznali fakty, zadarliby nosy jeszcze wy ej. Ojciec nałogowo pił i znęcał

się nad nami. Nie chcieliśmy, eby ktokolwiek o tym wiedział.

Byliśmy bandą cholernie tchórzliwych dzieciaków.

Jego oddech stał się bardziej chrapliwy. Usiadł nagle prosto, dźwignął głowę z kolan Rachel i, oglądając się za siebie, spojrzał jej w oczy. Zahipnotyzowana wymową jego nieskładnej spowiedzi, milczała. Nie przychodziło jej na myśl nic, co by mu mogła powiedzieć. Utkwiła w nim przera ony i pełen współczucia wzrok.

– Czy wiesz, e byłaś jedyną nauczycielką, która się tym zainteresowała? Nasze ciała były zwykle pokryte siniakami i bliznami jak bo onarodzeniowa choinka ozdobami, ale nigdy nikogo to nie zastanowiło. A wiesz dlaczego? Poniewa byliśmy dziećmi miejscowego plebsu i nasz los nic a nic nie obchodził

szanowanych obywateli Tylerville. Tylko ty jedna wyraziłaś swój niepokój. O Bo e, nie zniósłbym myśli, e o tym wiesz. Byłaś taka... – Johnny zamilkł gwałtownie, jak gdyby nagle zdał sobie sprawę z tego, co mówi. Dopiero po upływie kilku sekund podjął

wywód. – Tamtego dnia wróciłem do domu i rzuciłem się na ojca, gdy zaatakował Grady'ego. Stoczyliśmy ze sobą nie lada bójkę. Nie chodziłem do szkoły prawie przez cały następny tydzień, pamiętasz? Nie twierdzę, e wygrałem. Ale ojciec zrozumiał, e dłu ej nie pozostanę bierny. I od tamtej pory nie był ju tak skory do u ywania pięści i pasa. Ograniczył się do chłostania nas

słowami. Czasami bolały nawet jeszcze bardziej. Chłopców zwykł

nazywać cholernymi pedałami, a Sue Ann dziwką. Za wszelką cenę starałem się mu udowodnić, e nie jestem zbrodźcą.

Johnny znowu zamilkł. Oddychał chrapliwie. Mocno zacisnął

dłonie na spódnicy Rachel. Wpił się w jej twarz rozognionym wzrokiem.

– Był draniem i wszyscy go nienawidziliśmy Oprócz mnie.

Myślałem tylko, e go nienawidzę, ale gdy go zobaczyłem, jak le y posiekany na stole...

Wstrząśnięta Rachel stwierdziła, e Johnny łka.

– Zrozumiałem, e pomimo wszystko kochałem starego łotra.

Niech się usma y w piekle!

Zacisnął zęby w niewypowiedzianym bólu, a potem zwiesił

głowę i ukrył twarz w jej kolanach. Wił się, tarmosząc w palcach sukienkę, jak gdyby ju nigdy nie zamierzał Rachel wypuścić.

Szerokie ramiona unosiły się i opadały. Serce Rachel rozdarły stłumione, rozpaczliwe dźwięki. Poczwała napływające do oczu łzy.

Zaczęła głaskać Johnny'ego po głowie, po ramionach i plecach, mrużąc uspokajające słowa, które nie przynosiły mu ulgi.

– Ju dobrze. Ju teraz wszystko będzie dobrze – powtarzała bez końca. Sprawiał wra enie, e jej nie słyszy. Wtulił mocniej głowę w jej kolana, z niepohamowaną siłą ściskając w dłoniach materiał

sukienki. Rachel pochylila głowę, dotykając policzkiem ciemnych kosmyków. Otoczyła ramionami jego plecy i przytuliła go do siebie. Próbowwała go pocieszyć.

Rozpacz powoli zaczęła mijać. Le ał bez sił z głową na jej kolanach, a ona głaskała go po włosach, po uchu i po pokrytej 157

szczecina twarzy.

Przez długą chwilę trwał w tej pozycji, a potem poczuła, e stara się wziąć w garść. Uniósł głowę i skierował na nią zaczerwienione, wilgotne oczy. Wyra ały całą udrękę duszy. Poło yła dłonie na szerokich ramionach Johnny'ego, ale jego płomiennie spojrzenie sprawiło, e zmieszala się i cofnęła ręce.

– Czy wiesz, o czym marzyłem w więzieniu? – Zapytał niskim i nieco gardłowym głosem. – O tobie. Byłaś jedyną uczciwą, przyzwoitą i lojalną osobą, jaką spotkałem w yciu. Dlatego marzyłem o tobie. Zastanawiałem się, jak wyglądasz nago.

Wyobra ałem sobie, e cię powoli rozbieram z kolejnych części garderoby i e kocham się z tobą. Prawdę mówiąc, myśl o tobie nie dawała mi spokoju ju w czasach liceum. Poczawszy od czternastego roku ycia prawie ka dej nocy zasypiałem, marząc o tobie.

Rachel była wstrząśnięta. Serce dudniło jej jak szaloni i miała wrazenie suchości w gardle.

– Ale ju mi się znudziły marzenia – oświadczył gwałtownie.

Wsunął ręce pod jej spódnicę, chwycił Rachel za biodra, ściągnął ją na dół i posadził sobie na kolanach.

158

Rozdział 17

Nagle znalazła się na nim. Siedziała okrakiem na jego udach.

Dłonie opierała płasko o jego pierś. Szeroko rozłożyła zgięte w kolanach nogi, gdy ją mocno do siebie przyciągnął. Cienka spódniczka

– bezużyteczna część garderoby z zielonej wzorzystej bawełny w absurdalne truskawki – była zadarta niemal do pasa. Tylko cienkie rówe majtki ze sztucznego jedwabiu osłaniały ją przed szorstkim dżinsowym materiałem spodni i twardym metalowym zamkiem oraz pokąźną wypukłością pod spodem.

– A więc niech mi pani nie mówi tylko, że się nie zgadza, profesorko – rzekł, gdy ich spojrzenia się spotkały. Mocno obejmował dłońmi jej biodra. Czowała pod dłonią stalowe mięśnie klatki piersiowej, a pod pośladkami twarde uda i hipnotyzującą sztywność wzniesienia.

Nie mogła mu zabronić. Nie była w stanie. Zbyt mocno go pragnęła. Wyglądało na to, że przez większość swojego życia miała na niego ochotę.

Refleksja była szokująca. Ale jej ciało płonęło żądzą.

– Johnny – szepnęła bezradnie. Spuściła oczy i zatrzymała wzrok na ustach. Były wydatne, czułe, bardzo męskie i piękne.

Widok ich zmysłowego wygięcia zapierał dech.

Rachel – odpowiedział cicho, przyciągając ją mocniej. Dłonie leżące płasko na piersi nie próbowały go nawet powstrzymać. Jego zmysłowe usta były tak blisko, że ich obraz stał się zamazany.

Dzieliły je ju tylko milimetry od jej twarzy.

– Och, Boże. – Nie potrafiła z tym walczyć. Nie umiała 159

przeciwstawić się ogarniającej ją fali uniesienia. Jej rozchylone wargi, suche i rozpalone, chwyciły powietrze nierównymi haustami.

Czowała wilgoć pod różowym materiałem bielizny, zakrywającej drżące ciało.

– Ostatnia szansa – powiedział Johnny, z trudnością wymawiając słowa. Niemal czowała jego oddech

na swoich ustach.

Ale jej nie pocałował. Uniosła powieki i napotkała jego oczy.

Błyszczała w nich obietnica niewypowiedzianej rozkoszy. Rachel nie mogła oderwać od niego wzroku, gdy przesunął ręce z bioder w dół pleców, wsunął je pod elastyczny brzeg majteczek i zamknął

dłonie wokół jej pośladków. Obejmował je szeroko rozpostartymi palcami. Lekko przyciskał gładkie, krągłe ciało. Dotyk jego dłoni był najbardziej erotycznym przeżyciem, jakiego doświadczyła w całym swoim życiu.

Chwycił ją mocniej i zaczął przesuwając wzdłuż wypukłości w dół pleców. Rachel czuła, że jest bliska szaleństwa. Jej oddech stał się urywany. Wbiła palce w podkoszulek na piersi i wygięła się w łuk.

– Profesorko, jesteś moja – mruknął z triumfem, lecz jej porządanie było zbyt silne, by mogła się tym przejąć.

Zmienił pozycję i trzymając Rachel blisko siebie, oparł ją plecami o kanapę, a potem sięgnął do jej brzucha. Przez chwilę wodził rozpaloną dłońią po delikatnym i drżącym ciele, by w końcu przesunąć się niżej.

Gdy jego palce pieściły kędzierzawe włosy, porastające delikatne wzniesienie, z ust Rachel dobył się jęk. Ten dźwięk wydał

się jej obcy, jak gdyby pochodził od kogoś innego. Czuła się niemal tak, jak gdyby mogła z zewnątrz obserwować to, co się z nią teraz dzieje.

dzieje.

Odchyłona do tyłu, siedziała na udach Johnny'ego, a jej szeroko rozwarte gołe kolana obejmowały jego odziane w dżinsy biodra.

Wyglądała szczupło i niepozornie. Miała na sobie malinowy podkoszulek i zieloną spódnicę, która była zadarta do samego pasa.

Odsłaniała pępek, gładką i białą jak lody waniliowe skórę brzucha, a także ładne, nieco spuszczone w dół, równe majtki, nad którymi rysowała się górna linia trójkąta rdzawoczerwonych włosów.

Długie palce jego opalonej na brąz dłoni, ukryte pod różowym materiałem, pieściły i badawczo dotykały.

Szokujący obraz. Szczególnie, że dopełniały go rumieńce na jej policzkach, nienaturalny blask orzechowych oczu, i malująca się w nich krew. Rachel rozchyliła usta, wyginała się w łuk, drżała i wiała się w konwulsjach z rozkoszy, gdy dotykał intymnych miejsc.

Miała wrażenie, że umrze, jeśli Johnny cofnie rękę.

Widziała tak e jego. Patrzył na nią powa nym i baczny m wzrokiem. Był całkowicie pochłonięty zaspokojeniem jej

pragnienia. Woń powietrza, parnego i nagrzanego od ich rozpalonych ciał, mieszała się z delikatnym zapachem jej kwiatowych perfum.

Był nie ogolony, niewykształcony i nieokrzesany, podczas gdy ona otrzymała staranną edukację i zawsze chodziła zadbana – od czubka głowy po wypolerowane i pomalowane na ró owo paznokcie u stóp. Wszystko w jej aparycji, począwszy od prostej fryzury na pazia, delikatnych cieni na powiekach i ró owej szminki, po nienaganną i kosztowną bieliznę, świadczyło o pieniądzech i wysokiej pozycji społecznej. Tymczasem jego wygląd – zbyt długie 161

włosy, umięśniony tors pod białym podkoszulkiem, który był jego wyjściowym strojem, zbyt opięte d insy oraz słu ące mu za tarczę obronną pełne agresji spojrzenie – mówił o borykaniu się z yciem, a tak e o kryminalnej przeszłości.

A teraz Johnny Harris trzymał dłonie w jej majtkach. A ona za nic w świecie nie zmieniłaby tej sytuacji.

Niespodziewanie wyswobodził ręce, wyszarpnął podkoszulek zza paska spódnicy i ściągnął go jej przez głowę. Zaskoczona, odruchowo nakryła dłońmi koronkowy ró owy biustonosz. Nie zrobiła tego z powodu wstydu, lecz nie chciała, by Johnny zobaczył,

jak

ubogo

została

wyposa ona

przez

naturę.

Przypomniała sobie obfite wdzięki Glendy Watkins. Poczwała zazdrość. Potrząsnęła przecząco głową, gdy Johnny sięgnął do haftki na plecach, eby rozpiąć stanik.

– W porządku – powiedział, zdumiewająco posłuszny. Rachel zastanawiała się, co ma oznaczać jego zachowanie, gdy nagle chwycił ją w pasie, bez najmniejszego wysiłku dźwignął w górę i posadził na kanapie. Pchnął ją delikatnie do tyłu. Zanim zdołała się zorientować, ściągnął z niej majtki i odrzucił je na bok.

– Co ty...? – chciała spytać, podciągając się z trudem na łokciu.

Nie dokończyła jednak zdania. Jego zamiar był a nadto oczywisty.

Ukląkł tu przed jej kolanami, które instynktownie zacisnęła.

Zatrzymał przez moment błyszczące oczy na jej twarzy, a potem opuścił wzrok, skupiając uwagę na jej udach.

– Podczas lekcji zwykłem się zastanawiać, co nosisz pod sukienką: rajstopy czy pończochy – zaczął ochryplym głosem, a Rachel z coraz większym trudem próbowała skoncentrować uwagę 162

na jego słowach. Mówiąc, przesuwał dłonie w górę jej ud i zanurzał

je głęboko pod spódnicę, która teraz zakrywała najbardziej intymne części jej ciała. – A gdy stałaś na katedrze, lubiłem wyobrazić sobie, że masz na sobie czarne podwiązki i pończochy i że jesteś bez majtek.

– artujesz. – Rachel była wstrząśnięta.

– Nie, wcale nie – odparł, patrząc jej prosto w twarz. Rachel zrozumiała, że to, co powiedział, jest absolutną prawdą. Zadrżała na myśl o tym, że podczas lekcji wzbudzała w kilkunastoletnim Johnnym seksualne fantazje. Musiał wyczuć jej reakcję, gdy skierował spojrzenie na jej nogi i niespodziewanie przesunął dłonie wzdłuż wewnętrznej strony ud. A potem ściągnął Rachel za kolana w dół, a pośladki znalazły się na krawędzi kanapy i rozłożyły jej nogi.

– Johnny – wyszeptała. Poczowała lekkie zaenowienie, gdy otworzył jej ciało w tak bezceremonialny sposób, ale nie miała siły ani ochoty bronić się przed nim. Całkowicie zawładnęło nią narastające podniecenie.

– Często wyobrażałem sobie, że się z tobą Kocham. Słyszałem dźwięki, jakie wtedy wydajesz.

– Och, proszę cię. – Rachel nie bardzo wiedziała, o co właściwie go prosi. Obrazy wywoływane jego zwierzeniami obezwładniały ją.

Przyglądała mu się szklistym wzrokiem. Drżała na całym ciele, gdy ponownie zadarł w górę jej spódnicę. Jego silne i długie palce, opalone na brązowo i pocętkowane czarnym zarostem, przesunęły się w dół brzucha i parząc dotykami, spoczęły po wewnętrznej stronie ud. Oddech Rachel stał się urywany pod wpływem 163

obudzonej

pieszczotą

ądzę,

a

tak e

pełnego

zniecierpliwienia. Johnny pochylił głowę. Wiedziała, co zamierza zrobić. Pragnęła tego. Płonęła, marząc o tym. A równocześnie była trochę skrępowana.

Zesztywniała, czując dotyk jego ust. Z trudem chwytała powietrze. Opadła na poduszki, zamknęła oczy i z całej siły zacisnęła palce na obiciu kanapy. Był delikatny, rozkosznie delikatny. Jego język, poszukujący wra liwego jądra jej kobiecości, parzył. A gdy dotarł do celu i zapoznawał się z nim, jej ciałem wstrząsnęły dreszcze. Była niemal nieprzytomna z podniecenia.

Palce u nóg zacisnęły się na płaskich skórzanych podeszwach sandałów, pośladki uniosły się ponad kanapą, a kręgosłup wygiął

się w łuk. I wtedy Johnny wsunął język w głąb niej. Nigdy dotychczas nie przeżyła równie szokującego doznania. Wplątała dłonie w jego włosy. Próbowwała oderwać od siebie jego usta.

Chciała odwlec moment, w którym pochłonie ją czarna czeluść. Ale on nie przerywał. Krzyknęła, tracąc resztkę kontroli nad sobą, i zapadła się w ciemność.

Gdy odzyskała świadomość, poczuła jego usta pomiędzy nogami i język, który nie przerywał intymnej pieśczości. Teraz, gdy rozpalona do czerwoności ądza została zaspokojona – gdy ju pochwyciła ją w swoje władanie, eksplodowała w środku i pozostawiła bez sił – Rachel mogła się bardziej skupić na tym, co robi Johnny. Niestrudzona wyobraźnia podsunęła jej obraz ich dwojga i wywołała rumieńce na twarzy. Rachel próbowała usiąść, odepchnąć go od siebie i złączyć nogi. Jego nie ogolone i szorstkie niczym papier ścierny policzki drapały jej delikatną skórę.

164

– Och, nie – mruknął, kierując w jej stronę krótkie zmysłowe spojrzenie, i chwycił ją za biodra, przytrzymując w odpowiedniej pozycji.

– Ale ja... – zaczęła i zamilkła. Zaczerwieniła się jeszcze bardziej, zastanawiając się nad sposobem powiadomienia go, e z jej punktu widzenia nie ma potrzeby kontynuowania gry miłosnej.

– Wiem, e miałaś orgazm – powiedział z lekką zadyszka, gdy w końcu oderwał od niej głowę. Rachel zarejestrowała matowy tembr jego głosu, płomienny błysk w oczach, wilgoć na ustach oraz twardy ucisk klatki piersiowej i ramion napierających na jej szeroko rozwarte uda. Poczowała przyspieszone uderzenia pulsu. – Sądzisz, e mo na to ukryć? Chcę, ebyś przeżywała to wciąż od nowa.

Chwycił ją w pasie, ściągnął na podłogę i ułożył na wznak na be owym dywanie. Trzymała się kurczowo jego ramion. Rozszerzył

jej nogi i uklął pomiędzy nimi. Ku własnemu zdumieniu zapomniała o biuście. Zanim zdołała sobie o nim przypomnieć, wsunął jej rękę pod plecy, odczepił haftkę i zdjął stanik.

– Och, nie! – Instynktownie zasłoniła się dłońmi i próbowała mu się wyrwać, ale jej nie puścił. Przytrzymał ją, dopóki nie przestała wierzgać, a potem skierował uwagę na splątana w pasie

spódnicę.

Zdała sobie sprawę z tego, że oprócz sandałów jest to jedyna część garderoby, która zakrywa jej nagość. Tymczasem Johnny wciąż miał na sobie kompletny strój. Zrobiło się jej wstyd, a policzki przybrały barwę truskawek ze wzoru na spódnicy.

– Jak się zdejmuje tę cholerną rzecz? – spytał wyraźnie zakłopotany. Jego palce na próżno szukały z tyłu haftki.

– Rozpięcie znajduje się z przodu. – Do paska były przyszyte 165

dwa duże ozdobne guziki w kształcie truskawek. Zdziwiła się, że ich nie zauważyła.

– Poka mi, gdzie.

Opuściła ręce, by spełnić jego prośbę. Zrozumiała, że wpadła w zastawioną przez niego pułapkę w chwili, gdy objął jej odsłonięte piersi.

– Nie! – Złapała go za nadgarstki i próbowała odciągnąć. Miała mały biust. Nosila staniki o rozmiarze niewiele większym niż zero.

Jego dłonie leżały niemal płasko na jej sutkach.

Pozwolił jej oderwać od nich ręce, ale tylko po to, aby ją rozłożyć na łopatkach. Splótł palce z jej dłońmi i przycisnął je do dywanu. Taksującym wzrokiem obrzucił białe wypukłości z małymi, różowymi brodawkami. Rachel niemal skuliła się w obawie, że Johnny odkryje jej braki.

– Czy byś była speszona, Rachel? – spytał, patrząc na nią czule.

Jej serce mocniej zakolało. Wstrzymała oddech i leżała bez ruchu, gdy się pochylił i pocałował najpierw jeden, a następnie drugi sztywniejący koniuszek sutka. Zadrżała pod wpływem dotyku jego wilgotnych i ciepłych warg. Zamknęła oczy, gdy powoli wciągnął

do ust wierzchołek wzniesienia. Reakcja przeszła ciało dreszczem.

Jej piersi, chociaż drobne, niewątpliwie były unerwione jak nalewy.

Rachel z trudem chwytała oddech, zupełnie bezradna wobec ogarniającej ją rozkoszy. Ponownie się wygięła ponad ziemię, całkowicie oddając się jego pieczy.

Pochylał się nad nią, dotykając tylko ustami jej piersi, gdy palce miał nadal splecione z jej dłońmi. Czuli się bezbronni. Była całkowicie w jego rękach, jak gdyby ją przykuł do ziemi. Leżała 166

pod nim szeroko otwarta, odkryta przed jego wzrokiem i dotykiem ust. Na nowo drżała z podniecenia. Znowu nie potrafiłaby mu niczego odmówić. Lizał brodawkę, ssal ją i dopóty delikatnie przygryzał, dopóki oniemiała ze zdumienia Rachel zaczęła się zwijać w konwulsjach i wyzbywając się wstydu, ze zniecierpliwieniem domagała się zaspokojenia. Uniósł ją w górę biodra, ocierając się nimi o jego

twarde jak elazo nogi w d insowych spodniach.

– Och, Rachel – usłyszała i po raz pierwszy poczuła na sobie ciężar jego ciała. Wgniał ją w miękki dywan. Szukał jej ust, drapiąc szorstkim zarostem policzki. Całkowicie poddała się uczuciu rozkoszy. Objęła Johnnego za szyję i odwzajemniła namiętny pocałunek.

Zaledwie przez kilka sekund była w stanie jasno myśleć.

Zdała tylko zarejestrować fakt, że Johnny jest ciężki, o wiele większy niż ona i zadziwiająco silny. Twarda jak beton wypukłość w jego dżinsach raniła, gdy nieustępliwie napierał na nią ciałem.

Zapach whisky, który zwykle wydawał się jej odrażający, teraz działał na nią odurzająco i pobudzał zmysły. Johnny całował ją zachłannie, jak gdyby nie mógł się nią nasycić. Jego język wypełniał jej usta i zachęcał, by robiła to samo. W jednej chwili wyzbyła się jakichkolwiek zahamowań. Chwyła go kurczowo za szyję, splotła mu nogi na plecach i jęczała ze zniecierpliwienia, gdy rozsuwał zamek. W końcu wyswobodził się ze spodni i zanurzył się w niej. Czowała w głębi siebie jego olbrzymi, twarde i gorący członek.

Wypełniał ją i rozrywał. Ciężko dysząc, wbiła Johnny'emu paznokcie w plecy. Chwilę potem, gdy z niepohamowaną ywiolowością wzbijał się razem z nią w przestworza, nie była już

zdolna do myślenia i nie kontrolowała swoich odruchów.

I to ona krzyczała w momencie szczytowego uniesienia. Johnny przejął go w milczeniu, z zaciśniętymi ustami. A potem zwałił się na nią, przygniatając ją swoim ciężarem. Objęła go i wodząc palcem po jedwabistym czarnym zarostie ramion, w jednej chwili zapadła w głęboki sen.

168

Rozdział 18

Czowała do siebie niesmak. Po dwóch minutach leżała pod Johnnym, który chrapał jej do ucha, wracając nieczystością spotęgowało się. Nie miała na sobie nic oprócz owiniętej wokół

pasa spódnicy oraz sandałów, których

brakowało z nich nie

potrafiła się zdjąć. Była przesiąknięta jego potem i przepelniona jego sokami. Dławił ją kwaśny smak whisky w ustach. Powietrze cuchnęło wonią alkoholu pomieszanego z zapachem seksu. Nie miała pojęcia, jak długo spała. Równie dobrze mogło to być kilkanaście minut, jak i kilkanaście godzin. Wiedziała tylko, że jest bezgranicznie zmęczona, boła ją wszystkie mięśnie i czuje się nieświeżo.

Zmieszała się na wspomnienie tego, co z nią robił i na co mu przyzwalała z zachwytem. A gdy przypomniała sobie, z kim wyprawiała te wszystkie bezceństwa, pragnęła umrzeć ze wstydu.

Johnny Harris. Były uczeń, kilka lat od niej młodszy.

Kryminalista warunkowo zwolniony z więzienia. Kochanek Glendy Watkins i Bóg jeden wie ilu jeszcze innych kobiet.

Przyznał, e marzył o niej jeszcze w czasach, gdy go uczyła angielskiego. Wyrażając zgodę na ów epizod, sprawiła, e ziszcili się jego pragnienia wieku szczenięcego. Prawdopodobnie Johnny niczego więcej od niej nie chciał. I nie powinna na nic więcej liczyć. Bo czego mogła się spodziewać? Trwałego związku z Johnnym Harrisem? Kiepski dowcip.

Płakał w jej ramionach. To wspomnienie poruszyło serce Rachel. Musiała niechętnie przyznać, e to, co czuje do Johnny'ego, 169

wykracza poza granice współczucia i pożądanego. Zależało jej na nim, chociaż ona wcale go nie obchodziła. Widział w niej tylko swoją powierniczkę, na której ramieniu mógł się wypłakać. W pełni zdawała sobie z tego sprawę.

Miał na nią ochotę, jak się wyraził. Obawiała się, e tylko do tego sprowadza się jego zainteresowanie jej osobą. A teraz, kiedy już dostał to, czego chciał...

Przypomniała sobie wyświechtany frazes, z którym często spotykała się w książkach. Została wychowana na damę. Był to kolejny

banal,

a

nawet

anachronizm,

ale

w

małych

prowinjencjonalnych miastach na południu kraju nadal dzielono eńską część społeczności na damy oraz kobiety, które się do nich nie zaliczają. I kiedy wiedział, e gdy męczyzna zbyt łatwo zdobywa dziewczynę, wykorzystuje ją i zaraz rozgląda się za następną, niczym motyl fruający z kwiatka na kwiatek.

Słowo „łatwa" było w mniemaniu Rachel zbyt łagodnym dla niej określeniem. Nie mogła znaleźć dla siebie dostatecznie dosadnego epitetu pomimo bogatego zasobu słów, jaki posiadała.

Bała się poruszyć, eby się nie obudził. Pewnie nie zniosłaby jego spojrzenia.

Musiała jednak dźwignąć go w górę. Coraz bardziej czuła jego ciężar i coraz silniej dawał jej znać o sobie ból kręgosłupa. A poza tym Rachel pragnęła jak najprędzej wydostać się stąd.

Zepchnęła z siebie jego lewe ramię i delikatnie się spod niego wysliznęła. Johnny spał nadal, nieświadomy jej poczynań. Stała na drgających nogach i patrząc na niego z góry, próbowała doprowadzić do ładu swoją wymiętą spódnicę. Chrapanie stało się

dość donośniejsze. Mocny sen Johnny'ego nie był skutkiem zaspokojenia seksualnego, lecz alkoholowego zamroczenia. Przez moment walczyła ze sobą, aby go nie kopnąć.

Leżał z wyciągniętymi do przodu rękami. Miał złączone nogi, prawdopodobnie z powodu ściągniętych do połowy ud dżinsów i slipek. Jędrne i krągłe pośladki były o kilka odcieni jaśniejsze od muskularnych ud – opalonych i pokrytych ciemnym owłosieniem.

Mocno opięty na torsie biały podkoszulek Johnny'ego uniknął losu jej potwornie wymiętej spódnicy. Nagle Rachel dostrzegła ramię ramiączka stanika, zdradziecko wystające spod szerokich barów.

Schyliła się po biustonosz, aby go wydostać, musiała podnieść bezwładne ramię. Nigdy by nie przypuszczała, że szczupły i dobrze umięśniony mężczyzna może być taki ciężki.

Roztrzęsionymi dłońmi podjęła dwie bezskuteczne próby zaczepienia haftek stanika. A gdy wreszcie odniosła sukces i umieściła górną część bielizny na właściwym miejscu, uświadomiła sobie, że Johnny wcale nie był rozczarowany rozmiarami jej piersi.

Wręcz przeciwnie, pieścił ją i całował z entuzjazmem, na wspomnienie którego Rachel poczuła napływającą do głowy falę gorąca. Jak miała spojrzeć mu w twarz po tym, co się dzisiaj wydarzyło? Wiedziała, że nie zdobędzie się na to. A w każdym razie nieprędko.

Zdawała sobie sprawę z tego, że nie zdoła w nieskończoność robić przed nim uników – nie była aż tak naiwna. Łudziła się jednak, że uda się jej wystrzeżać spotkania z nim przynajmniej przez kilka tygodni. W czwartek, a więc już za dwa dni, rozpoczynał się rok szkolny. Miała więc wymówkę, aby przez

jakiś czas nie zaglądać do sklepu. Musiała co prawda zatrudnić nowego kierownika, ale miała nadzieję, że nakłoni Bena, aby został nieco dłużej, a jeśli nie, to na początku Olivia będzie musiała dawać sobie radę sama.

Niech diabli porwą Johnny'ego Harrisa! Od chwili powrotu do miasta konsekwentnie komplikował jej życie.

Rachel wiedziała, że czas przytępi nawet najbardziej dręczące wspomnienia. Pragnęła tylko, aby nastąpiło to wcześniej, nim się ponownie natknie na zamglone błękitne oczy.

Podkoszulek w malinowym kolorze leżał w rogu kanapy, nie opodal stóp Johnny'ego. Rachel podniosła i wciągnęła na siebie bawełnianą bluzkę, pospiesznie wepchnęła ją w spódnicę i rozejrzała się za ostatnią brakującą częścią garderoby: za majtkami.

A gdy przypomniała sobie okoliczności, w jakich się ich pozbyła, miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Dolna część bielizny przepadła jak kamień w wodę. Gdy staranne przeszukanie pokoju zakończyło się fiaskiem, Rachel doszła do wniosku, że majtki leżą pewnie pod Johnnym. Przez moment kusiło ją nawet, aby zaniechać dalszych prób odnalezienia zguby. Jej strój zewnętrzny był kompletny. Mogła pojechać do domu i nikt by się niczego nie domyślił. W każdym razie do momentu, kiedy Johnny Harris nie zdecydowałby się zwrócić jej majtek przy świadkach. Nie wątpiła w to, że jest do tego zdolny.

Nie mogła ryzykować.

Uklękła i dźwignęła jego ramię. Nie obudził się. Mruknął tylko przez sen i na chwilę przestał chrapać. Był za ciężki, by go mogła przesunąć, a co dopiero przewrócić na plecy.

172

Z tyłu dobiegły ją odgłosy węszenia i skowyt. Śliniąca się bestia czaiła

się

za

cienkimi

drewnianymi

drzwiami

sypialni.

Niebezpieczeństwo zelektryzowało Rachel. Nie mogła liczyć na to, że nieprzytomny Johnny się obudzi, nawet gdyby w jego obecności pies rozszarpał ją na kawałki. Wolała nie zastanawiać się nad swoim losem w sytuacji, gdyby zwierzę wydostało się na wolność.

Spróbowała jeszcze raz dźwignąć ramię Johny'ego. Uniosła je tylko na centymetr w górę, ale zaraz zważyło się na ziemię z głuchym łoskotem. Johnny jęknął i ponownie rozległo się przeciągłe wycie psa. Rachel dała za wygraną. Nie było sposobu, aby bezwładne ciało ruszyć z miejsca. W każdym razie ona nie potrafiła tego dokonać.

Usłyszała groźne warczenie. Pies czując jej obecność, w sposób nie budzący wątpliwości dawał wyraz swojej niechęci. Rachel postanowiła nie szukać dłużej brakującej części bielizny i jak najszybciej wynieść się z mieszkania, dopóki to jeszcze jest możliwe.

Zmierzając w stronę drzwi, dostrzegła swoje majtki pod stołem.

Wyłowiła je, wciągnęła na siebie i wyszła, nie oglądając się na Johny'ego.

Chociaż noc była ciepła, Rachel dręła w drodze powrotnej do domu. Bądź co bądź ostatnie godziny skrajnie ją wyczerpały, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym. Najpierw Johnny przypuścił szturm na jej uczucia, a potem zaatakował ciało.

Jej kapitulacja była bezwarunkowa. Nic dziwnego, że nie od razu mogła przyjść do siebie.

Nocą Tylerville było pogryzione w ciemnościach jak cmentarz.

173

Blade światło sierpu księżyca nie rozpraszało wzbudzających grozę cieni, które snuły się wokół wąskiej i krętej drogi. Szosę pośród opustoszałych pól znaczyły po obu stronach wysokie sosny. Rachel przejeżdżała tędy codziennie, a niekiedy nawet kilkakrotnie w ciągu dnia i starała się nie dopuścić, aby teraz zawładnęła nią nadmiernie pobudzona wyobraźnia.

Mieszkańcy Tylerville znali wiele mrocznych krew wylanych opowieści, związanych z różnymi miejscami w okolicach miasta.

Gdyby ktoś w to nie uwierzył, nigdy po zapadnięciu zmierzchu nie wyszedłby samotnie z domu. Tak jak wszystkie legendy, część z nich bazowała na faktach. Problem Rachel polegał na tym, że nie wiedziała, które z nich są prawdziwe.

Jej cioteczna babka Virginia zwykła opowiadać historię o starym i od dawna nie uczęszczanym kościele baptystów, który to Kay razem z innymi członkami Towarzystwa Ochrony Zabytków ochoczo upiększała. Świątynia ze strzelistą wieżą wycelowaną w niebo była usytuowana nieopodal Walnut Grove. Rachel przejeżdżała obok niej za każdym razem, gdy wybierała się do miasta, i prawie nigdy nie myślała o duchu zmarłej organistki, która

– jak niektórzy utrzymywali – wciąż grywała tam na organach. Ale gdy dzisiaj Rachel zbliżyła się do kościoła, mimo woli przypomniawszy sobie starą opowieść i mocniej przycisnęła pedał

gazu. Biel ścian zajaśniała w ciemności. Rachel nie mogła oderwać wzroku od budynku.

Podanie głosiło, że organistka – młoda kobieta, której nazwiska od dawna nikt nie pamiętał – miała romans z pastorem. Jego ona, założyła ogród, który Kay z takim zapałem przywracała do dawnej

świątyni, w jakiś sposób dowiedziała się o wiarołomstwie swojego współmałżonka. Postanowiła się zająć i przyłapać na gorącym uczynku występłą parę. Najbardziej szokujący był fakt, że kochankowie uprawiali grzeszny proceder w samym kościele.

Pewnego wieczoru pastor został wezwany do chorego. Śliczna organistka na próżno czekała w świątyni na swojego kochanka.

Zamiast niego zjawiała się pastorowa, zamordowała rywalkę i w sobie tylko wiadomy sposób pozbyła się ciała. Nikt jej o nic nie podejrzewał. Może jedynie pastor czegoś się domyślał.

Zniknięcie młodej kobiety należało do tych tajemniczych wydarzeń, które przez wiele lat są źródłem

inspiracji dla krą ących po mieście plotek. Pastorowa spędziła długi i na pozór przykładowy ywot u boku swojego mał onka i nikomu nawet przez myśl by nie przeszło, e dopuściła się zbrodni, gdyby nie popełniła błędu.

Okazało się bowiem, e prowadziła pamiętnik, w którym wiernie relacjonowała ka dy swój dzień. Przepisy kulinarne przeplatały się tam z problemami kościoła, historią morderstwa i jego następstwami. Stąd właśnie wzięła swój początek niniejsza opowieść. Oczywiście potem dziennik gdzieś się zagubił w niewyjaśnionych okolicznościach.

Jedynym świadectwem tej historii było odkrycie w latach trzydziestych naszego stulecia szkieletu kobiety, spoczywającego bez trumny w podziemnej krypcie za kościołem. Ale wtedy pastor i jego ona od dawna ju nie yli i przera ające znalezisko z towarzyszącą mu legendą o wiarołomstwie i zbrodni zostało przyjęte bardziej jako wzbudzające grozę wydarzenie ni ekscytujący skandal. Rachel przypuszczała, e wszystko poza 175

odnalezieniem szkieletu jest czystym wymysłem. Opowieść miała bowiem swój dalszy ciąg. Otó miejscowi gawędziarze utrzymywali, e w deszczowe noce, takie jak ta, podczas której dokonano zbrodni, mo na wciąż jeszcze usłyszeć, jak duch dziewczyny w oczekiwaniu na swojego partnera w grzechu gra na organach.

Cioteczna babka Vir, która uchodziła za osobę prawdomówną, twierdziła, e będąc dzieckiem sama słyszała upiorną muzykę.

Zakradła się kiedyś na cmentarz w towarzystwie wystraszonych i rozchichotanych kole anek, eby na własne oczy zobaczyć ducha.

Gdy dziewczęta wdrapały się na jedno z kościelnych okien, ich uszu dobiegły dźwięki organowej interpretacji „Zdumiewającej łaski”.

Uciekły stamtąd w popłochu, śmiertelnie wystraszone.

Wiele lat później, gdy ciotka Vir po raz setny opowiadała o swoich prze yciach siostrzenicom, wpatrującym się w nią szeroko otwartymi oczami, historia wciąż wzbudzała grozę.

Kościelna wie a skąpana w blasku księ yca jarzyła się w ciemnościach. W mroku otaczającym budynek poruszyła się upiorna postać. Rachel kilkakrotnie spojrzała w stronę świątyni przekonana, e naprawdę coś tam dostrzega.

I choć wiedziała, e to tylko złudzenie, wjechała w zakręt z nadmierną prędkością, o włos unikając zderzenia z drzewem.

To tylko wytwór wybujałej wyobraźni, powtarzała sobie w myślach. Po chwili przestały się jej pocić dłonie. Gdy dotarła do bramy Walnut Grove i znalazła się na długim podjeździe, jej serce pracowało ju prawie w normalnym rytmie. W ka dym razie do momentu, kiedy spostrzegła, e prawie cały dom jest oświetlony.

Światło paliło się niemal w każdym oknie na parterze i w większości okien na piętrach. Tylko w sypialni ojca było ciemno.

Coś się musiało stać. Rachel wpadła w panikę. Zahamowała z piskiem hamulców, wyskoczyła z samochodu i co tchu popędziła w stronę frontowych drzwi. Otworzyły się, zanim zdążyła położyć rękę na klamce.

– Gdzie się tak długo podziewałaś, na miłość boską? spytała matka groźnym szeptem. A gdy obrzuciła Rachel spojrzeniem, jej oczy stały się całkiem okrągłe.

– Co się stało? Czy to ma związek z tatą? – Rachel przecisnęła się obok Elisabeth w przejściu. Miała pobladłą twarz, a jej serce przepelniała trwoga, a usłyszy złe wieści.

– Ojciec ma się dobrze. – Głos matki zabrzmiał ponuro.

Ponownie zmierzyła córkę wzrokiem. Dzięki lampie w głównym hallu jej uwagi nie uszedł aden szczególnie w wyglądzie Rachel, począwszy od wymiętej zielonej spódnicy, po rozczochrane włosy i lekko opuchniętą dolną wargę. – Chodzi o Becky. Przyjechała godzinę temu razem z dziewczynkami. Bez przerwy płacze i nie mogę doszukać się sensu w tym, co mówi. Nie mam pojęcia, w czym tkwi problem. Mo e ty zdołasz się czegoś od niej dowiedzieć.

– Becky – powtórzyła Rachel z uczuciem niewypowiedzianej ulgi w głosie. Jakaś sprawa gnębiła siostrę, ale przynajmniej nikt nie umarł. Zatrwożyła ją myśl o takiej ewentualności. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, e ojciec nigdy nie wyzdrowieje, a jego stan psychiczny i fizyczny stopniowo się pogarszał, a w końcu śmierć stanie się dla niego prawdziwym wybawieniem, a pomimo to przypuszczenie,

e jego

ycie dobiegło końca,

177

przyprawiło ją o rozpacz.

– Gdzie ona jest? – spytała, odpędzając od siebie ponurą refleksję.

– W bibliotece. Rozpaliłam w kominku i przygotowałam dla niej gorącą czekoladę. Ale ona nie chce ze mną rozmawiać. Nic, tylko płacze.

– Pójdę do niej.

– Chwileczkę. – Elisabeth chwyciła córkę za ramię. Chciałabym się najpierw dowiedzieć, skąd wracasz. aden lokal w mieście nie jest otwarty do tak późna. I tylko mi nie mów, e byłaś z Robem, ponieważ telefonował, eby cię zaprosić na piknik z okazji Święta Pracy.

Ponownie obrzuciła córkę taksującym spojrzeniem. Rachel zeszywniała i poczuła, jak fala gorąca oblewa jej kark i policzki.

– Jestem dorosłą kobietą, mam. I jeśli mam ochotę wracać po północy do domu, to wyłącznie moja sprawa.

Na twarzy Elisabeth pojawiło się napięcie, które podkreślało jej ładne rysy, ale jednocześnie zdradzało prawdziwy wiek.

– Nie rozumiem cię, Rachel – stwierdziła. – Zawsze byłaś rozsądna, praktyczna i mo na było na tobie polegać. Ale ostatnio mam wra enie, e wcale cię nie znam. Zmieniłaś się nie do poznania od czasu, kiedy ten chłopak Harrisów wrócił do miasta.

Pewnie z nim spędziłaś dzisiejszy wieczór, prawda?

Elisabeth spojrzała córce prosto w oczy, jak gdyby chciała wyczytać z nich ukryty sekret.

– A jeśli nawet, mam? – odparła cicho Rachel. – Czy to naprawdę a tak cię przera a?

178

Nie czekając na odpowiedź wyswobodziła ramię z uścisku i skierowała się w stronę biblioteki, eby porozmawiać z siostrą.

179

Rozdział 19

Gdy Rachel przystanęła na moment w drzwiach biblioteki, przekonała się, e matka wcale nie przesadzała, relacjonując fakty.

Becky le ała z podwiniętymi pod siebie nogami w kącie jasno óltej kanapy i łkała z twarzą wciśniętą w poduszkę. Jej czarne loki były rozrzucone na pluszowym obiciu oparcia. Pokój oświetlał łagodny blask porcelanowej lampy w kształcie kobiecej figurki, która stała na solidnym biurku ojca, i migotliwe płomienie z kominka. Tapety w kolorze holenderskiej ceramiki oraz białe aluzje w oknach na całą ścianę stwarzały przytulny nastrój pomimo przytłaczającego wra enia, jakie robił olbrzymi kryształowy yrandol zawieszony wysoko nad ziemią. Wszystkie meble w królestwie ojca były ogromne, masywne i zaprojektowane z myślą o wygodzie postawnego mę czyzny. Trzydziestoletnia Becky, drobna tak jak matka i siostra, wyglądała w tej scenerii niemal jak dziecko. Jej stan zatrwo ył

Rachel.

Becky

zawsze

miała

do

wyolbrzymiania yciowych kłopotów, jednak obecna rozpacz była nawet dla niej czymś niezwykłym.

– Co się stało, Beck? – spytała z troską, podchodząc do siostry i kładąc jej rękę na plecach.

– R-Rachel. – Becky podniosła zapuchnięte od płaczu oczy, usiadła i spróbowała się nawet uśmiechnąć. Jednak jej wysiłki nie przyniosły zamierzonego efektu.

Rachel opadła ciężko na kanapę przerażona tym, co dostrzegła w oczach siostry. W drzwiach zjawiła się matka i z troską spojrzała na córki.

180

– O co chodzi? Czy zachorowała któraś z dziewczynek? Snucie domysłów było śmieszne i bezcelowe. Mogło przecie istnieć nieskończenie wiele powodów do rozpacz.

Uroczą twarz Becky, niemal replika twarzy Elisabeth z młodości, wykrzywiła się w płaczu.

– To nie o dziewczynki chodzi. – Potrząsnęła głową. Po policzkach spływały jej łzy. Bezgłośnie poruszała ustami.

– A mo e o Michaela?

– Och, Rachel! – Becky zaczęła rozdzierająco szlochać, zakrywając twarz dłońmi.

Rachel objęła ją i mocno przytuliła do siebie. Chocia Becky czasami bywała nieznośna, to w takich chwilach jak ta Rachel widziała w niej tylko młodszą siostrę – tę samą kędzierzawą dziewczynkę, która dreptała za nią, stawiając niepewnie swoje pierwsze kroki.

– Becky, co się stało? Proszę cię, powiedz. – Kołysała ją w ramionach.

– Michael... Michael chce się rozwieść. – Becky drąc, mówiła tak cicho, e Rachel przez chwilę nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

– Chce się rozwieść? – upewniła się, ogłuszona nowiną.

– Chce się rozwieść? – Elisabeth chwyciła się za gardło, powtarzając jak echo za Rachel.

– Zawiadomił mnie o tym dzisiaj. Przez telefon. Pojechał w interesach do Dayton. Zadzwoił do domu i powiedział, e chce się rozwieść. Tylko tyle. Dacie wiarę? – Becky podniosła głowę i spojrzała najpierw na matkę, a potem na siostrę.

181

– Ale dlaczego? – spytała Elisabeth słabym głosem.

– Przypuszczam, e ma dziewczynę. I pewnie chce się z nią...

o enić.

– Och, Becky! – Rachel współczuła siostrze całym sercem.

Becky utkwiała w niej wzrok.

– Jestem... załamana. Jeszcze nie zawiadomiłam o tym dziewcząt, ale domyślają się, e coś jest nie tak. Poradźcie mi, co mam robić? – zawodziła, trzymając głowę na ramieniu siostry.

Rachel poklepała ją po plecach w poczuciu bezsilności.

– Zostaniesz z nami. Zaopiekujemy się tobą – oświadczyła, a matka opadła ciężko na drewniane krzesło w pobliżu drzwi i skinęła głową.

– Och, Rachel, tak bardzo mi was wszystkich brakowało.

Ciężko jest mieszkać z dala od domu i samotnie wychowywać córki. Michael bardzo często wyjeżdżał. Wiedziałam, e coś jest nie w porządku, ale nie wiedziałam co. A do dzisiaj... – I Becky ponownie wybuchnęła płaczem. Rachel przygarnęła ją mocniej do siebie.

– Dlaczego wcześniej nie powiedziałaś nam o swoich podejrzeniach, kochanie? – spytała z wyrzutem Elisabeth.

– Nie chciałam was martwić. A poza tym znam twoją opinię na temat nietrwałości związków małżeńskich, mamo.

Elisabeth

była

zagorzałą

przeciwniczką

rozwodów.

Zdecydowanie potępiała współczesną tendencję do rozchodzenia się z byle powodu. Teraz jednak energicznie zaprzeczyła głową, ujawniając, e jej poglądy w tej kwestii nie dotyczą ukochanej córki.

182

– Bzdura – oświadczyła stanowczym tonem, wyrzekając się yciowych zasad w obliczu zgrzyoty własnego dziecka. Dobrze wiesz, e ojciec, Rachel i ja staniemy po twojej stronie bez względu na to,

co postanowisz. Będziemy zawsze mieli na uwadze tylko twoje dobro oraz dobro dziewczynek.

Ciałem Becky wstrząsnął spazm.

– Dzieci uwielbiają ojca. Zupełnie nie wiem, jak mam im o tym powiedzieć.

– Nie musisz im na razie mówić – zasugerowała Rachel.

Zaczekaj, dopóki nie porozmawiasz z Michaeliem. Mo e wcale nie myśli powa nie o rozwodzie, a tylko z jakiegoś powodu chciał dać wyraz swojemu niezadowoleniu.

– Obawiam się, e mówił o tym jak najbardziej powa nie. –

Patetyczny ton i dr enie w jej głosie chwyciło Rachel za serce.

Becky

oddychała

nierówny,

spazmatycznie.

Nagle

się

wyprostowała i oderwała od siostry. – Och, Rachel. Tak bardzo ałuję, e to nie z tobą się o enił.

Szczere westchnienie wywołało grymas na twarzy Rachel.

– Wielkie dzięki.

Becky zaśmiała się przez łzy i otarła oczy.

– To strasznie głupio zabrzmiało, prawda? Ale wiesz, co miałam na myśli. Jesteś silna. Z pewnością lepiej ode mnie potrafiłabyś poradzić sobie z tym problemem. Czuję się jak skończona idiotka.

Od kilku lat Michael bardzo du o podró ował. Podejrzewałam, e się z kimś spotyka, ale ilekroć chciałam się czegoś dowiedzieć, mówił mi,

e postradałam zmysły. Niemal mu uwierzyłam.

Tymczasem okazało się, e miałam rację. Oszukiwał mnie od lat, a 183

ja skwapliwie akceptowałam jego wyjaśnienia. A teraz domaga się rozwodu. Przez niego zrujnowałam sobie ycie! Nie był tego wart!

Z jej oczu rzęsiście trysnęły łzy.

– Twoje

ycie wcale nie jest jeszcze zrujnowane –

zaprotestowała Rachel. – Wszystko się dobrze ułoży, zobaczysz.

Znowu

będziesz

szczęśliwa.

Znajdziesz

sobie

innego,

wartościowszego męża. Pomogę ci przez to przejść.

Becky uśmiechnęła się do siostry. Wciąż drżały jej usta, lecz w oczach pojawił się ciepły blask.

– Cieszysz się, że zdołałaś tego uniknąć?

– Ogromnie – przyznała szczerze Rachel.

Bezwiednie pomyślała o Johnnym i o szalonej namiętności, jaką w niej wzbudzał. Poruszona do głębi uświadomiła sobie, że Michael zupełnie jej nie znał od tej strony. Po raz pierwszy od czasu, kiedy to Michael Hennessey wybrał Becky zamiast niej, Rachel zrozumiała, że jej miłość do niego nie była niczym więcej jak dziewczęcym zadurzeniem. Od tamtej pory bardzo wydorosłała.

Zegar ścienny nad spiernią w kuchni wybił godzinę.

– Mój Boże! Już druga w nocy. Czas iść do łóżek! –

wykrzyknęła Elisabeth.

– Już idziemy, mamo – powiedziała posłusznie Rachel, zrywając się z kanapy i ciągnąc za sobą siostrę.

Katie obudzi się pewnie o świcie – zawyrokowała ponuro Becky, mówiąc o swojej najmłodszej siostrze. – A Loren i Lisa też wstają wcześniej.

– Zaopiekujemy się nimi z Tildą. Ty się musisz wyspać oświadczyła Elisabeth, gdy córki zrównały się z nią w drzwiach.

– Cieszę się, e znowu jestem w domu. – Becky przytuliła się do matki i przyciągnęła do siebie Rachel. Przez chwilę trzy kobiety obejmowały się nawzajem, stykając się czołami i jednocząc w chwili kryzysu. – Bardzo was kocham.

Rachel pierwsza oderwała się od nich.

– No, dosyć tego, bo za moment wszystkie się rozplączemy –

powiedziała. – Idźcie na górę, a ja pozamykam drzwi i pogaszę światła.

Rozdział 20

Obserwator tylko częściowo przebywał duchem w aktualnie zajmowanym ciele. Jechał, zaciskając kurczowo ręce na kierownicy. Utkwił zamyślane spojrzenie w bezkresnej nocy.

Wspomnienia, które nie miały adnego związku z jego obecnym yciem, zamigotały mu nagle w pamięci.

Niosły ze sobą ból i narastającą wściekłość. Nie rozumiał w pełni ich znaczenia. Obrazy sprzed co najmniej stu lat przesuwwały się w myślach jak w kalejdoskopie. Po lewej stronie wyłonił się Pierwszy Kościół Baptystów. Obserwator nie był w stanie oderwać od niego wzroku. Ale samochód wjechał w zakręt i kościół zniknął.

Widok budynku wpłynął jednak pobudzająco na umysł i obserwator nagle oprzytomniał.

Śledził wydarzenia sprzed wielu lat, które rozgrywały się w tak zawrotnym tempie, jak gdyby miały miejsce obecnie. Trząsał się z bólu i niepohamowanego gniewu. To, co widział, działo się teraz, a nie sto lat temu. Był tego pewien. Historia z przeszłości powtarzała się raz jeszcze, teraz i tutaj.

Przez nikogo nie zauważył i nikomu nie znany pomknął dalej w noc. Nie szukał zemsty, lecz straszliwego sposobu wymierzenia sprawiedliwości. Miejsce przeznaczenia było ciemne i opustoszałe.

Nikogo by tam nie zastał.

Wiedział, e dzisiejszej nocy nie poleje się krew. Był to kolejny powód frustracji, która potęgowała jego furię. Ale choć skierował

się z powrotem w stronę miasta, miał pewność, e wróci tu innej nocy. I to ju wkrótce.

I zaczął się na swoją ofiarę.

Rozdział 21

W ciągu następnych dwóch dni Rachel poświęcała tak wiele czasu Becky i swoim trzem siostrzenicom, że trzymanie na uwięzi myśli o Johnnym nie było trudne. Poranki spędzała na zabawach z dziewczynkami. Najstarsza z nich, siedmioletnia Lisa, filigranowa z kruczoczarnymi włosami, przypominała swoją matkę. Pięcioletnia Loren i dwuletnia Katie odziedziczyły urodę po ojcu, który był

wysoki i miał jasne włosy. Cała trójka entuzjastycznie odnosiła się do odwiedzin u ciotki i dziadków. I jeśli nawet znały powód wizyty w Walnut Grove, to adna z nich, nawet Lisa, w najmniejszym stopniu nie dała tego po sobie poznać.

"Rachel przez dwa kolejne dni stołowała się w klubie razem z matką i siostrą, a po obiedzie szła do szkoły, aby przygotować się do nowego roku nauki. W liceum przeprowadzono w ostatnim czasie generalny remont – między innymi zało ono klimatyzację.

Doprowadzenie do porządku klas wymagało niemałych nakładów pracy.

Początek roku szkolnego jak zwykle bardzo ożywił Rachel. Za każdym razem

razem

odczuwała

taki

sam

entuzjizm,

choć

przepracowała w tym zawodzie już wiele lat. Swoją pracę wykonywała z ewangeliczną niemal gorliwością. Znała nie tylko swoich uczniów, ale również ich rodzeństwo, rodziców, dziadków, kuzynów, a nawet domowe zwierzęta. Potrafiła przewidzieć, kto będzie miał kłopoty z nauką, a z kim nie będzie żadnych

problemów. Wiedziała, dla kogo szkoła stwarza jedynie możliwość uprawiania sportów albo jest okazją do towarzyskich spotkań, a dla

których z wychowanków mają prawdziwą potrzebę zdobywania wiedzy. Tych ostatnich ceniła najbardziej. Niestety, stanowili zdecydowaną mniejszość.

Pierwszy dzień nauki zmęczył Rachel. Z westchnieniem ulgi przyjęła dzwonek oznajmiający zakończenie ostatniej lekcji.

Przysiadła na moment za biurkiem,

eby starannie poskładać

książki i notatki, podczas gdy uczniowie wykrzykując chórem słowa po eggnania, pośpiesznie opuszczali klasę.

– Czy w tym semestrze będziemy pisać rozprawkę poświęconą twórczości Elisabeth Browning, pani profesor? – zapytała Allison O'Connell. Razem z dwiema najbliższymi przyjaciółkami zagadnęła nauczycielkę w chwili, gdy ta nieśpiesznie wychodziła z budynku.

Rachel zaprzeczyła ruchem głowy.

– W ubiegłym roku pisaliśmy o Elisabeth Barret Browning.

Tym razem zajmiemy się kimś innym.

– Wielka szkoda! – nadąsała się Allison.

– Lubisz jej wiersze? – Rachel obrzuciła ją zdumionym spojrzeniem. Kilka centymetrów od niej wysza, ładna i ciesząca się duym powodzeniem u chłopców dziewczyna nie dała się poznać jako miłośniczka ksiądek. Prawdę mówiąc Rachel się zdziwiła, e uczennica w ogóle słyszała o Elisabeth Barret Browning.

– Allison dostała zeszłoroczną rozprawkę od Briana Paxtona –

wyjaśniła z szatańskim uśmiechem Gretta Ashley, otrzymując za to kuksańca pod ebro od przyjaciółki.

– Wcale nie! – zawołała Allison i zarumieniła się. – To prawda, e czytałam jego pracę, ale z pewnością nie zamierzałam jej wykorzystać! – poprawiła się, napotkawszy spojrzenie nauczycielki.

189

– Jestem przekonana, e nie zrobiłabyś tego – stwierdziła z powagą Rachel, a Gretta i Molly Fox, nierozłączne przyjaciółki Allison, prychnęły z powątpiewaniem.

– Chciałabym napisać pracę poświęconą twórczości kogoś interesującego, na przykład Michaela Jacksona – oświadczyła Molly.

– Przecie Michael Jackson nie jest poetą ani nawet pisarzem. –

W głosie Gretty zabrzmiało zgorszenie.

– A właśnie e jest. Czytałam jego książkę. Sama mi ją poyczyłaś, nie pamiętasz?

– Miałam na myśli to, e nie jest wybitnym autorem; nikim na tyle znaczącym, eby panna Grant

wybrała jego twórczość na temat rozprawki. Prawda, pani profesor?

– Chyba masz rację – przyznała z uśmiechem Rachel.

– A zatem będziemy zajmować się kimś nudnym –

zawyrokowała ponuro Allison.

Chodnik przed budynkiem ju opustoszał. Przechodziły obok trzech

ółtych szkolnych autobusów, w których tłoczyli się rozwrzeszczani licealiści. Gdy tylko zdały minąć pojazdy, pierwszy z nich ruszył z miejsca, a za nim odjechały pozostałe.

– Jak zamierzacie wrócić do domów? – spytała Rachel.

– Allison dostała samochód pod koniec wakacji. I ma ju prawo jazdy – odpowiedziała Gretta.

– To wspaniale – ucieszyła się Rachel, pojmując nareszcie, dlaczego uczennice towarzyszą jej w drodze na szkolne parkingi.

Większy z nich był przeznaczony dla uczniów, a z drugiego, który znajdował się tu obok, korzystali nauczyciele.

190

– Tak ałuję, e... – Gretta nie dokończyła zdania, patrząc przed siebie szeroko otwartymi oczami. – Kto to jest?

– Gdzie? – zapytały chórem kole anki, a Rachel zachwiała się na nogach, gdy podąyła za wzrokiem uczennicy. Musiała stoczyć ze sobą walkę, by nie zawrócić i w popłochu nie rzucić się do ucieczki.

Na końcu parkingu przeznaczonego dla pedagogów dostrzegła wielki czerwono-srebrny motocykl, którego koła dotykały wymalowanego na ółto krawę nika. O pojazd opierał się Johnny.

Stał z załonymi na piersi rękoma. Czarne włosy miał związane w kucyk. Wydawał się bardzo wysoki i muskularny w swoich obcisłych dżinsach i czarnej skórzanej kurtce. Bez uśmiechu wpatrywał się w Rachel.

Zacisnęła zęby, w pełni świadoma zdumienia uczennic, które przenosiły wzrok z Johnny'ego na nią. Powoli odzyskiwała równowagę. Zmusiła się,

aby iść dalej. Wciągnęła szybko

powietrze, starając się opanować i za wszelką cenę odsunąć od siebie wspomnienie ich ostatniego spotkania. Nie potrafiłaby spojrzeć mu w oczy, gdyby głęboko poruszające ją obrazy rozgrywały się właśnie na ekranie jej wyobraźni.

– Świetny facet – szepnęła Allison, a Gretta wymierzyła jej łokciem kuksańca pod ebro.

– Nie wiesz, kto to jest? To przecie Johnny Harris – syknęła.

– Och, mój Bo e – Allison zapało dech. Molly sprawiała wra enie przestraszonej.

– Co on tutaj robi? – zapytała.

Wlokąc się z tyłu za uczennicami, Rachel ywiła gorącą 191

nadzieję, e pytanie Molly pozostanie na zawsze bez odpowiedzi.

Ale wyglądało na to, e jej yczenie się nie spełni. Johnny na widok swojej ofiary opuścił ręce i oderwał się od motocykla. Dziewczęta przebiegły chyłkiem obok niego, posyłając mu ukradkowe i bojaźliwe spojrzenia. Rachel powitała go bezosobowym uśmiechem i kiwnięciem dłoni. Najchętniej te by go ominęła i poszła za swoimi uczennicami, ale zatrzymał ją, wyciągając w jej stronę zagięty wskazujący palec.

– Panno Grant – powiedział słodkim głosem. Rachel boleśnie świadoma wybałuszonych oczu dziewcząt, zrozumiała, e jeśli chce uniknąć sceny, nie mo e ratować się ucieczką.

192

Rozdział 22

Podeszła do niego.

– Dzień dobry, Johnny – powiedziała z największym opanowaniem, na jakie mogła się zdobyć. Jego czarne włosy połyskiwały w jasnych promieniach słońca, a błękitne oczy ładnie kontrastowały z brązem opalonej skóry. Jego uroda zwałiłaby z nóg ka dą nastolatkę. Na szczęście Rachel nie była ju podlotkiem. I chocia dr ały jej kolana, zdołała utrzymać się na nogach. – Czy nie powinieneś być w pracy?

– Dzisiaj po południu wziętem wolne. Zeigler był zadowolony, e się mo e mnie pozbyć. – Johnny zmru ył oczy, widząc, e postanowiła zachowywać się w sposób nonszalancki.

Rachel z trudem wytrzymała jego taksujące spojrzenie. To nieprawdopodobne, ale czuła się jak kilkunastoletnia dziewczyna, idiotycznie młodo, niczym Allison, Gretta i Molly, które właśnie pochylały w trójkę głowy nad ółtym Subaru – zapewne nowym samochodem Allison. Uczennice naradzały się ze sobą, obserwując nauczycielkę w towarzystwie najbardziej znanego w mieście przestępcy. Ale w tym momencie Johnny wydawał się doroślejszy ni ona i to on bardziej panował nad sytuacją. Rachel uświadomiła sobie ze zdenerwowaniem, e układ sił między nimi całkowicie się zmienił.

– Nie odpowiadasz ostatnio na telefony? – Wyraz jego oczu przeczył miłemu tonowi głosu.

– Co takiego? – Rachel ze zdumienia zmarszczyła brwi.

Dzwoniłem do ciebie co najmniej ze sześć razy od momentu, 193

kiedy się obudziłem i stwierdziłem, e wyfrunęłaś z gniazdka. Nie zastałem cię w domu nawet o dziesiątej wieczorem. Trudno mi było w to uwierzyć.

– Nic nie wiedziałam o twoich telefonach – powiedziała zgodnie z prawdą.

– Miło mi to słyszeć. – Napięcie wokół linii jego ust nieco złagodniało. – Przypuszczam, e twoja matka niezbyt mnie lubi, prawda?

– Rozmawiałaś z moją matką?

– Jeśli mo na to nazwać rozmową. Nasza wymiana zdań była krótka. Ja mówiłem: „Tu Johnny Harris. Czy mógłbym rozmawiać z Rachel?” A ona odpowiadała lodowatym tonem: „Nie ma jej w domu” i odkładała słuchawkę. Martwiłem się, e robi to na twoje yczenie.

– Nie wiedziałam, e telefonowałeś – powtórzyła.

– A więc nie unikałaś mnie celowo?

Rachel podniosła wzrok i przez moment wytrzymała badawcze spojrzenie jego błękitnych oczu. Westchnęła, wahając się z odpowiedzią.

– No có , mo e trochę.

– Tak te sobie pomyślałem. – Johnny skinął głową i zało ył ręce na piersi. Stał zamyślony, nie odrywając od niej wzroku. –

Zastanawiam się tylko, z jakiego powodu. Czy dlatego, e tamtej nocy zrobiłem z siebie głupca, czy te dlatego, e kochaliśmy się? –

zapytał bez ogródek, patrząc jej w oczy.

Jej twarz oblała się purpurą. Wbrew obojętności w jego głosie Rachel wyczuła, e wspomnienie chwili słabości, gdy wypłakiwał

194

się wtulony w jej kolana, musiało go wprawiać w głębokie zakłopotanie. Nie mogła dopuścić, eby ałował swoich zwierzeń.

– Wcale nie zrobiłeś z siebie... głupca – oświadczyła stanowczym tonem.

– Uf. – Powoli się rozjaśnił. Jego ciepły, zmysłowy uśmiech dziwnie na nią działał. Zanim zdą yła się zorientować, Johnny przejął z jej rąk stos ksią ek i notatek.

– Co robisz? – spytała, gdy umieszczał jej rzeczy w siatce za skórzanym siodełkiem motocykla i umocowywał je grubymi sznurkami.

– Wsiadaj. – Uporawszy się z zadaniem, podał jej błyszczący srebrny kask.

Odruchowo przyjęła od niego ochronne nakrycie głowy i przez chwilę przyglądała mu się w zdumieniu, a potem spojrzała na motocykl i na Johnny'ego takim wzrokiem, jak gdyby postradał rozum.

– Co takiego? Nie ma mowy!

– Wsiadaj, Rachel. A mo e wolisz, ebyśmy dokończyli naszą interesującą rozmowę tutaj, w obecności twoich chichoczących uczennic.

– Nie namówisz mnie, ebym odjechała na tym ryczącym wehikule!

– To tylko motocykl, Rachel. Nigdy nie jechałaś na motorze?

– Oczywiście e nie!

Pokręcił głową i sięgnął po własny kask, który wisiał na kierownicy.

–

Biedna,

zahukana

nauczycielko.

Potraktuj

to

jako

195

doświadczenie naukowe. Wsiadaj.

– Powiedziałaś, e nie wsiądę. Na miłość boską, jestem przecie w spódnicy!

– Zauwa yłem. Bardzo mi się podoba. Chocia moim zdaniem mogłabyś trochę ją skrócić. Masz zabójcze nogi stwierdził, wkładając kask.

– Johnny...

– Czy wszystko w porządku, panno Grant? Nie potrzebuje pani pomocy? – zawołała Allison. Dziewczęta tłoczyły się przy jednej z szyb ółtego subaru, a na ich twarzach malował się prawdziwy niepokój. Obserwowały Johnny'ego i Rachel, co chwila naradzając się ze sobą.

– Wszystko w porządku, Allison, mo ecie jechać. Pan Harris był kiedyś moim uczniem! – odkrzyknęła Rachel.

Johnny nie wspierał jej w wysiłkach uspokojenia uczennic, lecz obrzucił je drwiącym uśmiechem.

– Myślą, e chcę cię porwać.

– A nie chcesz? – odcięła się zgryźliwie.

Przez chwilę sprawiał wra enie zaskoczonego jej pytaniem, a potem się uśmiechnął.

– Chyba chcę. Nie wsiądziesz? Bardzo cię proszę! Pomyśl, jakie to miałoby znaczenie dla mojej opinii, gdybyśmy się znowu pokazali razem w mieście.

– Nigdzie nie pojedę na motocyklu. Nawet gdybym miała na to ochotę i była odpowiednio ubrana. Nie myślisz chyba, e się wdrapię na siedzenie za tobą i na oczach moich uczeń – nic jak 196

gdyby nigdy nic odjadę z rykiem sprzed budynku szkoły. Moi koledzy nigdy by mi tego nie wybaczyli, nie mówiąc ju o panu Jamesie.

– Czy nadal jest dyrektorem? – Tak.

– Ach te szychy! Tylko porządni ludzie umierają młodo.

Rachel...

– W porządku – westchnęła. – Zgadzam się, e powinniśmy ze sobą porozmawiać. Ale nie wsiądem na motor. Albo pojedziemy moim samochodem, który stoi na parkingu, albo się nigdzie stąd nie ruszę.

Johnny spojrział na nią, wzruszył ramionami i ściągnął kask.

– Samochód to kółka i motor to kółka, co za ró nica? Rachel przyjęła uwagę z krzywym uśmiechem.

– Jako jeden z moich najlepszych uczniów powinieneś u ywać bardziej precyzyjnych sformułowań.

– Ćwiczenia językowe nigdy nie były moją najmocniejszą stroną, zapomniałaś? Zawsze byłem lepszy... w innych dziedzinach.

Aluzja wywołała rumieniec na twarzy Rachel. Na szczęście Johnny odwrócił się do niej tyłem, eby zabrać rzeczy umocowane za siodełkiem motocykla, i nie zauwa ył jej zmieszania.

– Nadal pisujesz wiersze? – spytał przez ramię, zajęty odwiązywaniem sznurków.

Zamarła w bezruchu, wpatrując się w plecy odziane w czarną skórzaną kurtkę. Zupełnie zapomniała o tym, e w czasach, gdy był

jej uczniem, tak wiele powiedziała mu o sobie.

– Jestem zdumiona, e o tym pamiętasz – odparła, wa ąc słowa.

Odwrócił się do niej twarzą. W ramionach trzymał jej ksią ki.

197

– Naprawdę? Nie powinnaś się dziwić. Nie zapomniałem ani jednego szczegółu dotyczącego pani osoby, droga profesorko.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Poruszona do głębi Rachel ruszyła w stronę samochodu.

Zdawała sobie sprawę, e jej trzy uczennice z bezgranicznym zdumieniem śledzą ka dy ich krok. Na szczęście parking dla nauczycieli był prawie tak samo wyludniony jak parking dla uczniów. Rachel zdrętwiała na myśl, e miałyby przedstawić Johnny'ego któremuś ze swoich skorych do krytyki kolegów.

Dla odzyskania równowagi wzięła kilka głębokich oddechów i zapuściła motor. Johnny zdjął z siebie kurtkę, odsłaniając jeden z ulubionych białych podkoszulków i rzucił ją na tylne siedzenie. A potem usiadł obok Rachel. Wołałaby przez chwilę zostać sama, eby się podmalować. Wiedziała z doświadczenia, e pod koniec dnia zwykle nie ma ju śladu po makija u. Nie wierzyła jednak, by to mogło mieć większe znaczenie. Odrobina szminki i pudru nie wyma e ani jednego dnia z jej trzydziestoczteroletniego ycia ani nie wpłynie na to, by wydała się Johnny'emu piękniejsza. Jej strój, na który składała się biała bawełniana bluzka w amarantowe ró e na wysokości biustu oraz plisowana spódnica do połowy łydek z granatowej bawełny, ozdobiona tym samym wzorem co sweter, nie był mo e ostatnim krzykiem mody, ale znakomicie nadawał się do pracy. Podobnie jak granatowe pantofle na niskim obcasie i małe kolczyki z perełkami w uszach i prosta fryzura. Rachel prezentowała się skromnie i elegancko, tak jak przystało na trzydziestoparoletnią

nauczycielkę

angielskiego

w

prowincjonalnym liceum. Siedzący obok niej Johnny zdawał się nie 198

na swoim miejscu, podobnie jak jego motocykl zaparkowany obok staromodnej niebieskiej maximy.

Opuścili parking, machając oniemiałym dziewczętom.

– Nie powinieneś przyje d ąc pod szkołę – zauwa yła Rachel, włączając się do ruchu. Dobrze wiedziała, e od jutra ka dy jej krok będzie na cenzurowanym.

– Skoro Mahomet nie przyszedł do góry... – powiedział, wzruszając ramionami. – Wstydzisz się mnie, Rachel? – dodał, świadomie u ywając lekkiego tonu. Nie zdołał jednak ukryć powagi zawartej w pytaniu.

Poruszona brzmieniem głosu Johnny'ego, spojrzała na niego.

Zrozumiała, e odpowiedź ma dla niego bardzo du e znaczenie.

Widziała jego profil na tle wpadających przez szybę promieni słonecznych. Nigdy dotychczas nie zauwa yła, jak doskonale są jego rysy. Dumne czoło, wysokie kości policzkowe, prosty i długi nos z wąskim grzbietem, a tak e regularne, kwadratowe linie uchwytu i brody były niemal klasycznie piękne. Jego nadzwyczajną urodę uwypuklały ładnie ukształtowane i zmysłowo wygięte usta oraz iskrzące się, lekko zamglone błękitne oczy pod gęstymi kruczoczarnymi brwiami. Był niezwykle atrakcyjnym mę czyzną, i to nie tylko dlatego, e Rachel porównywała go w myślach z innymi mieszkańcami Tylerville.

– Stój! – wrzasnął niespodziewanie, kierując wzrok z jej twarzy na drogę i czepiając się tablicy rozdzielczej. Zahamowała tak gwałtownie, e tylko pasy uchroniły ich przed wyrzuceniem z siedzeń.

– Co się stało? – spytała skonsternowana, rozglądając się wokół

199

siebie. Stwierdziła, e w ostatniej chwili zatrzymali się przed skrzy owaniem naprzeciwko sklepu sieci „7-Eleven”, niedaleko szkoły. Przed nimi z ró nych stron mknęły pojazdy, w tym szkolny autobus i cię arówka z węglem. Odpowiedź Johnny'ego była zbyteczna.

– To prawdziwy cud, e nas nie zabiłaś – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Przesiadaj się. Będzie lepiej, jeśli ja poprowadzę.

– To mój samochód i ...

– Przesiadaj się. – Ju był na zewnątrz. Zatrzasnął za sobą drzwi i obszedł pojazd dookoła.

Rachel patrzyła na niego z wściekłością przez przednią szybę.

W porę przypomniała sobie jednak o innych czekających na zmianę świateł kierowcach. Przygryzła wargę, odpięła pasy i podniosła się z miejsca. Przecisnęła się niezdarnie ponad skrzynią biegów. Gdyby próbowała wyklócać się ze stojącym na środku jezdni Johnnym, zaraz by się znalazł ktoś usłu ny i zawiadomił policję.

– Chcesz się czegoś napić? – spytał Johnny, sadowiąc się za kierownicą i wskazując głową sklep. Przegapili zielone światła.

Kierowcy w samochodach za nimi zaczęli trąbić.

– Nie, dzięki. – Była ura ona, e pozbawił ją prawa panowania nad własnym pojazdem i postanowiła

dać mu to do zrozumienia.

– A ja się napiję. – Znowu zmienił się kierunek jazdy. Johnny przemknął przez skrzyżowanie, wjechał na parking przed sklepem i zahamował. Manewr został wykonany tak szybko, że Rachel musiała chwycić się oparcia fotela.

– Krytykujesz mnie... – zaczęła z wymówką, ale Johnny już wysiadł z samochodu. Przyglądała mu się, kipiąc gniewem, dopóki

nie zniknął w sklepie.

Kilka minut później zobaczyła go przez szybę. Podszedł do kasy, aby zapłacić. Wydawało się jej, że dowcipkuje z kasjerem.

Podziwiała jego wysoką sylwetkę sportowca. Jej złość powoli zaczęła mijać. Nagle w postawie Johnny'ego pojawiło się nieokreślone napięcie, a wymiana zdań z mężem czyzną w kasie najwyraźniej przestała być artobliwa.

Rzucił coś na ladę, zabrał swoje zakupy i wyszedł ze sklepu, kierując się w stronę samochodu. Rachel bez słowa przyjęła produkty, które wetknął jej przez okno: dwie puszki z cocą i dwa opakowania paluszków. Nie udzielając jej żadnych wyjaśnień, uruchomił pojazd, zawrócił szerokim łukiem i z piskiem opon włączył się do ruchu. Rachel skrzywiła się.

– Co się stało? – spytała, gdy już mknęli z zawrotną szybkością po szosie, która na szczęście na tym odcinku była prosta.

– A skąd przypuszczenie, że coś się stało? – Spojrzał na nią z ukosa.

Dostrzegła złowroby błysk w jego oczach i poruszające się poniżej ucha mięśnie mocno zaciśniętej szczęki.

– Nazwij to kobiecą intuicją.

Odpowiedź wywołała kolejne nieufne spojrzenie, które tym razem było nieco mniej surowe od poprzedniego.

– Ten dupek nie chciał przyjąć ode mnie pieniędzy.

– Och. – Rachel nagle przypomniała sobie, że kasjerem jest Jeff Skaggs. Rozpoznałaby go natychmiast, gdyby tylko przyjrzała mu się uważnie, zamiast skupiać całą uwagę na swoim dawnym uczniu. Co prawda i tak nie powiedziała o nim Johnny'emu, skoro

go wcześniej sam nie rozpoznał. Johnny był dumnym mężem czyzną, a obywatele miasta na każdym kroku okazywali mu wrogość. Wiele lat temu Rachel miała okazję się przekonać, do czego są zdolni. Z

lękiem myślała o tym,

e pewnego dnia Johnny wybuchnie

gniewem. Miała nadzieję, e będzie wtedy w pobliżu i zrobi, co w jej mocy, by złagodzić skutki owej eksplozji.

Nie zabiłem Marybeth – oświadczył z wściekłością, utkwivszy wzrok w drodze przed sobą. – Jestem niewinny. Tylko nikogo to nic a nic nie obchodzi. Czy mówiłem ci, e zrobiłem maturę, gdy byłem w pudle? Tak, z literatury porównawczej, choć sam nie wiem, co mi z tego przyjdzie. Prowadziłem te bardzo lukratywne interesy.

Wyrzucałaś mi kiedyś, e jestem palaczem, pamiętasz? Otóż skończyłem z tym nałogiem, ponieważ papierosy są w więzieniu twardą walutą. Gromadziłem je, a potem sprzedawałem, kupowałem następne i odsprzedawałem z zyskiem. Świetnie mi się powodziło. Zarabiałem pieniądze i oszczędzałem, eby mieć za co się utrzymać, gdy wyjdę na wolność. Jakoś przeżyłem krzywdę, którą mi wyrządzili. Na pewno dałoby się jej uniknąć, gdyby ludzie widzieli coś więcej niż czubek własnego nosa. Nie mogę być w ich mniemaniu przyzwoitym człowiekiem, ponieważ nazywam się Harris. Z tego samego powodu według nich jestem zdolny do morderstwa. I dlatego, e byłem ostatnią osobą, która widziała Marybeth, musiałem ją zabić. Tylko e ja tego nie zrobiłem.

Zjechał z szosy na wąską, wijącą się drogę, która ginęła w gęstwinie. Po kilku minutach jazdy wyłonili się z groźnych zarośli i z piskiem opon stanęli nad brzegiem małego jeziora. Pływały po nim kaczki. Zimny błękit połyskującej wody, mieniające się barwami

teńczy zielone i brązowe upierzenie ptactwa, skąpane w słońcu jaskrawozielone wierzchołki drzew i ścielące się w głębi pod sosnami tajemnicze cienie wszystko razem tworzyło zachwycający obraz. Johnny i Rachel powinni się wstydzić, e pograeni w rozmowie nie dostrzegli jego piękna.

Johnny wciąż siedział zamyślony i kurczowo zaciskał ręce na kierownicy. Rachel milczała i patrzyła na niego z czułością, lecz ani razu nie spojrział w jej stronę.

– Gdy mnie zamknęli, miałem dziewiętnaście lat. Byłem jeszcze chłopcem, zrozumiiałem i tak bardzo przerażony, e zbierało mi się na wymioty, gdy szedłem po raz pierwszy przez blok, a potem usłyszałem odgłos zatraskiwanych za mną metalowych drzwi.

Więźniowie wołali coś do mnie, gwizdali i tupali. Pewnie nie wiesz, e pisywały do mnie kobiety. Proponowały mi wszystko, z małżeństwem włącznie. Regularnie co tydzień otrzymywałem na przykład listy od pewnego kociaka, który się podpisywał „twoja na wieki”. Najwidoczniej uważały,

e odsiadanie wyroku za

morderstwo jest czymś wspaniałym. Czasami odnosiłem wrażenie, e niektóre z nich biorą mnie za gwiazdora rocka.

Umilkł i głęboko zaczerpnął powietrza. W zamyśleniu wpatrywał się w jezioro. Rachel przygryzła usta, ale nadal się nie odzywała. Czuli, e Johnny ma nieprzepartą potrzebę opowiedzenia jej wszystkiego o sobie.

– Czy wiesz, co było dla mnie najgorsze w więzieniu?

Dyscyplina. Od momentu, kiedy wstawaliśmy, do chwili, gdy zamykali nas w celach i gasili światła, czas przeznaczony na poszczególne czynności był ściśle określony i jakiś bubek zawsze

nam mówił, co mamy robić. Dawał mi się tak e we znaki brak intymności. Nigdy człowiek nie był sam. Nie miałem dla siebie ani jednej wolnej minuty.

Tym razem umilkł na dłu ej. A gdy Rachel miała ju ochotę poło yć mu rękę na ramieniu, by przypomnieć o swojej obecności i dać do zrozumienia, e mu współczuje, prześliznął się po niej wzrokiem. Ale zaraz odwrócił oczy i znowu utkwiał je w jeziorze.

– Do diabła, to jeszcze wcale nie było najgorsze. Chcesz znać prawdę? Gdy mnie zamykali, sądziłem,

e jestem silny. Nie

przypuszczałem, e ktoś mo e mnie skrzywdzić. Ale się myliłem.

To się zdarzyło trzeciego dnia mojego pobytu w więzieniu. Gdy brałem prysznic, otoczyło mnie czterech facetów. Przygnietli mnie do ziemi i zgwałcili. Powiedzieli potem, e od tej pory będę ich dziwką. Zostałem cię ko poturbowany, najpierw mnie skatowali.

Byłem chory na duszy. Cierpiałem, jak tylko mo e cierpieć dzieciak, któremu przytrafia się coś, co mu odbiera całą jego godność i poczucie męskości. I byłem przera ony. Ale kiedy wylizałem się z ran, postanowiłem nie dopuścić do tego więcej, nawet gdybym miał to przypłacić yciem. A gdy podjąłem decyzję, przestałem się bać. Wiedziałem, e albo zwycięię, albo zginę.

Ukradłem ły kę z kuchni i dopóty ją ostrzyłem, dopóki nie stała się ostra jak brzytwa. I czekałem. A gdy dranie otoczyli mnie ponownie, śmiejąc się i czule do mnie przemawiając, byłem gotów.

Waliłem szpikulcem w ich głowy jak w dynie. Od tamtej pory zgraja łotrów nie niepokoiła mnie ju więcej.

Znowu wciągnął głęboko powietrze, tłumiąc spazm. A potem obejrzał się na Rachel. Wciąż zaciskał dłonie na kierownicy.

204

– Teraz ju wiesz – stwierdził po prostu, ale w jego oczach kłębiło się morze uczuć. Był tam ból i wstyd, a tak e znu enie, czujność i duma.

Rachel pękało serce. W jednej chwili zapomniała o rozsądku i instynkcie samozachowawczym.

Odpięła pasy, uklękła na siedzeniu i odwróciła się przodem do Johnny'ego. Dla równowagi przytrzymała się jego ramienia, przechyliła głowę i niezdarnie zło yła wilgotny pocałunek na jego ustach.

Gdy oderwał ręce od kierownicy, eby ją objąć i przygarnąć do siebie, podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Teraz ju wiesz – powiedziała.

205

Rozdział 23

– O czym mam wiedzieć? – przekomarzał się, ale w jego głosie wyraźnie zabrzmiało napięcie. Obydwoje mieli zamknięte oczy i prawie stykali się nosami. Wyglądali niemal śmiesznie, ale to, co się pomiędzy nimi działo, było jak najbardziej powa ne.

– O tym, e szaleję za tobą – wyznała prawie szeptem Rachel.

Zupełnie nie czuła, e kierownica wpija się jej w plecy, a lewarek od skrzyni biegów w udo.

–

Pomimo

wszystko?

–

spytał

ochrypłym

głosem.

Wywnioskowała, e nie jest pewien, jak odebrała jego spowiedź.

– Tak.

Pochwycił ją w pasie, uniósł w górę i przeniósł ponad skrzynią biegów. Nagle znalazła się na jego kolanach. Plecami opierała się o drzwi. Zarzuciła mu ręce na szyję.

– Ja te za tobą szaleję, profesorko – powiedział cicho i pocałował ją.

Jego usta były bardzo gorące i pachniały miętą. Wtuliła się w muskularne ramię, którym ją obejmował. Niewielka szczecina na brodzie delikatnie drapała jej policzek. Musiał się golić kilka godzin temu, pomyślała. Wchłaniała jego zapach, który był mieszaniną woni mydła i mięty.

Serce jej dudniło, gdy zamknąwszy oczy oddawała mu namiętny pocałunek. Jej palce odnalazły gumkę, którą miał związane na karku włosy. Jednym szarpnięciem zerwała ją i zanurzyła dłonie w poskręcanych, czarnych kosmykach.

– Ojej! – zawołał, odchylając się nieco do tyłu, gdy jej palce

natrafiły na splątany pukiel.

– Kłania ci się fryzjer. Powinieneś się ostrzec – stwierdziła, ponownie zbliżając do niego twarz.

– Tak sądzisz? A ja uważam, że ty powinnaś zapuścić włosy.

Lubię, gdy moja kobieta jest długowłosa. – Znowu dotykał jej warg, składając na nich krótkie, zmysłowe pocałunki.

– Naprawdę? – Uwaga zirytowała ją, lecz nie na tyle, by Rachel oderwała się od jego ust, które teraz przesuwały się wzdłuż jej policzka. – Czy mam przez to rozumieć, że mogę się uważać za jedną z twoich kobiet?

– Nie – odparł lekko stłumionym głosem, gdy właśnie penetrował językiem wnętrze jej ucha.

– Nie? – Podążanie za wątkiem rozmowy stawało się coraz trudniejsze. Rachel kręciło się w głowie, a przez ciało przepływały pierwsze rytmiczne skurcze poądania.

– Może uważać się za moją jedyną kobietę. Jeśli chcesz. –

Całował i przygryzał delikatną wypukłość na szyi, pod którą przebiegała tętnica. Rachel ułatwiła mu zadanie, przechylając na bok głowę i nieco unosząc do góry brodę.

– Johnny... – Nagle nasunęły się jej na myśl wszystkie powody, dla których nie mogła zostać jego kobietą. Różnica wieku i stylu życia, jej zawód, szanowana rodzina i jego niesława. Jednak wszelkie przeszkody przestały się liczyć równie prędko, jak się pojawiły, gdy Rachel poczuła jego usta na swoich wargach. Jego pocałunek był powolny, zmysłowy i narkotyczny. Johnny całował

ją coraz niżej, wtulając twarz w miękkie wgłębienie pod szyją. Była zupełnie zamroczona. Zapomniała niemal, gdzie się znajduje.

207

– Tak – mruknęła sennie.

– Co tak? – Delikatnie odchylił kołnierzyk bluzki i dotknął

ustami kości obojczyka. Rachel podwinęła palce w bucie. Z pięty zsunął się jej zgrabny niebieski pantofel.

– Zgadzam się na wszystko, o cokolwiek mnie poprosisz odpowiedziałam po dłuższej chwili.

– Przenieśmy się do tyłu, dobrze? Tutaj nie ma zbyt wiele miejsca.

Zanim zdążył dotrzeć do niej sens jego słów, Johnny otworzył

drzwi i nie wypuszczając jej z objęć, wysliznął się z samochodu.

Pantofel, który obluzował się na nodze, spadł na ziemię, ale Rachel się tym nie przejęła. Przywarła do Johnny'ego, mocno obejmując go za szyję. Wyprostował się i podniósł ją bez trudu, trzymając na rękach jak dziecko. W jego silnych ramionach delectowała się cudownym poczuciem bezpieczeństwa i kobiecej kruchości.

Świadomość, że się poddaje takim wzruszeniom, wprowadziła ją w zaenowianie.

– Zało ę się,

że nie waży nawet czterdziestu pięciu kilogramów – zauważył nagle.

– Wa ę dokładnie pięćdziesiąt kilo – wyjaśniła.

– Musisz więcej jeść. – Zatrzasnął nogą przednie drzwi. A potem nachylił się, po omacku natrafił na klamkę i otworzył tylne.

Wsunął się do środka i usiadł, trzymając Rachel na kolanach.

– Jak będę gruba, przestanę ci się podobać.

artobliwie uszczypnął ją w nos i posadził w wygodniejszej pozycji, aby mogła się oprzeć plecami o jego piersi. Położyła mu głowę na ramieniu, a on objął ją w talii. Podniosła wzrok i

stwierdziła, że utkwione w niej spojrzenie jest bezchmurne i gorące jak sierpniowe niebo.

– Czy wciąż tego nie rozumiesz, profesorko? Nigdy nie przestaniesz mi się podobać, bez względu na tuszę. Poza tym zało ę się, że z zaokrąglonymi kształtami będziesz bardzo ponętna. Jak mała pulchna klusieczka.

– Urocze porównanie – zaśmiała się z lekką zadyszka, całkowicie oddając się rozkoszy przebywania w jego uścisku. W

jego objęciach było wygodnie, przytulnie i cudownie swojsko.

Rozpierała ją radość i podniecenie. Wiedziała, że postępuje głupio, ale rzeczywistość dowiodła, że głupota okazuje się czasem zupełnie nie docenianym dobrem. Na cóż bowiem zdał się jej rozsądek, którym kierowała się w życiu a do tej pory?

Na tylnym siedzeniu było im bardziej przestronnie niż z przodu, ale dla mężczyzny postury Johnny'ego wciąż brakowało miejsca.

Zapewne doszedł do tego samego wniosku, ponieważ otworzył

drzwi i wystawił jedną nogę na zewnątrz. Do środka wtargnęło gorące powietrze, wypierając chłód utrzymujący się dotychczas dzięki klimatyzacji. Szum liści w lekkich powiewach wiatru, który

kołysał wierzchołkami drzew, delikatny szmer wody obmywającej skalisty brzeg i skrzekliwe odgłosy walczących ze sobą kaczek słyszeli tak wyraźnie, jak gdyby kochali się w trawie.

Jego dłonie przesunęły się w górę w poszukiwaniu jej piersi. A gdy napotkały swój cel, zaczęły je ugniatać i ścisnąć. Ciało Rachel zareagowało bolesnym dreszczem, chociaż funkcjonujący jeszcze umysł radził zachować powściągliwość.

Chwyciła go za nadgarstki.

209

– Nie sądzę, eby to był dobry pomysł, Johnny – stwierdziła chrapliwie. – Jest całkiem widno. Ktoś mo e nas zobaczyć.

Z trudem dobywała z siebie głos, przedstawiając mu swoje obiekcje. Ale gdy zaczął całować jej brwi, skronie i policzki, nie przerywając przy tym rozkosznego torturowania piersi, dalsze oponowanie stało się całkiem niemo liwe. W końcu Johnny wypuścił z dłoni jedną z ofiar, lecz zanim Rachel zdą yła się zorientować, czy wyzwolenie napawa ją zadowoleniem czy te smutkiem, wsunął rękę pod bluzkę, i przesuwał ją w górę po gołym brzuchu, z powrotem odnalazł swą zdobycz. Dotyk jego ciepłej i mocnej dłoni, którą od piersi dzielił tylko koronkowy stanik, wywołał mrowienie na skórze Rachel. Czowała, e pod wpływem jego pieszczot błyskawicznie traci resztki zdolności rozumowania.

– Masz najbardziej seksowny na świecie biust – szepnął jej do ucha, wsuwając drugą rękę pod bluzkę. Leniwie wodził kciukiem wokół brodawki. Wydał z siebie gardłowy okrzyk zadowolenia, gdy nabrzmiała pod jego palcem. Rachel nie mogła złapać tchu.

Uwielbiała sensacyjne uczucie, jakie wywoływał w niej jego dotyk.

Była przekonana, e gdyby natura wyposa yła ją hojniej, Johnny mógłby czerpać z pieszczoty taką samą przyjemność jak ona.

– Nie jestem zbyt imponująco zbudowana... – ostatnie wypowiedziane szeptem słowa zostały stłumione, ponieważ Rachel ukryła twarz w zagłębieniu pomiędzy jego szyją a ramieniem. Nie była w stanie dłu ej znosić połączenia psychicznej tortury z uczuciem fizycznej rozkoszy. Mocniej oplotła dłońmi jego szyję, a długie palce Johnny'ego przesuwały się po gołej skórze jej pleców.

210

– Masz doskonałą budowę. Jesteś kobietą, jakiej zawsze pragnąłem. Czy nigdy nie słyszałaś o tym, e najkosztowniejsze prezenty znajdują się w małych opakowaniach? Pocałował ją w policzek, a jego dłonie odnalazły i odpięły haftkę stanika. Rachel biernie obserwowała zsuwające się ramiączko. Wzdychając, poddała się bez słowa zabiegom Johnny'ego. Zabrakło jej woli, eby stawiać mu opór. I tak nie mogła zmienić swoich wymiarów, w ka dym razie nie w najbliższym czasie. Musiał ją wziąć lub porzucić taką, jaka była.

Ale nic nie wskazywało na to, e zamierza ją porzucić. Jednym szarpnięciem zadarł w górę bluzkę,

która zatrzymała się pod pachami z powodu splecionych na jego szyi rąk. Rachel wypuściła go z objąć i ułatwiła mu zadanie, wyciągając w górę ramiona. Jej dłonie lekko drżały. Była w pełni świadoma grzeszności swojego postępku, ale pozwoliła, by stanik spadł na ziemię i odsłonił ją do pasa. Gdy ośmieliła się ponownie spojrzeć w stronę Johnny'ego, stwierdziła,

że przygląda się jej piersiom. Dostrzegła gorące pragnienie w jego oczach, na które rozmiar jej biustu najwyraźniej nie miał wpływu. Ogarnęło ją jeszcze silniejsze podniecenie.

Johnny podniósł wzrok, czując na sobie jej spojrzenie. Jego oczy zaiskrzyły się humorem.

– Poza tym u kobiety najbardziej interesuje mnie jej tyłek –

oświadczył i uśmiechnął się, rozbawiony zaskoczeniem Rachel. I chociaż w spojrzeniu, które znowu było utkwione w jej biuście, nieomylnie malował się wyraz uznania, Johnny na potwierdzenie swoich słów sięgnął pod spódnicę i ścisnął Rachel za pośladki. – A ty masz najśliczniejszy mały tyłeczek, do jakiego miałem okazję się

wyciu dobrać.

– Johnny!

Jej protesty, po trosze artobliwe, a po trosze wynikające z oburzenia, zostały w jednej chwili uciszone, gdy Johnny pochwycił

w usta różową brodawkę. Wygięła plecy w łuk. Leżała w jego objęciach, gdy pochylony nad jej ciałem, ssał ją. Jego włosy ocierały się o jej skórę, drażniąc drugą pierś. W końcu podniósł

głowę, a obwódki jej sutków były pomarszczone z pragnienia.

Brodawki – jedna błyszcząca od wilgoci jego ust, a druga sztywną i błagającą o uwagę – zmysłowo pociemniały, przybierając barwę intensywnego różu i stały się twarde jak kamienie.

Johnny zmienił pozycję i po chwili oboje leżeli na tylnym siedzeniu. Rachel mocno wciskała się plecami w pluszowe oparcie.

Johnny jedną ręką obejmował jej ramiona, a drugą mocował się z długą spódnicą. Dotyk nacierającej dłoni, która przesuwiała się w górę nóg w cienkich rajstopach, przeszywał Rachel rozkosznym dreszczem. Johnny zatrzymał się pomiędzy jej udami, naciskając, pocierając i pieszcząc z wprawą. Z głębi gardła Rachel dobył się jęk, a jej uda rozsunęły się przed nim.

– Rachel – powiedział niskim, nieco chrapliwym głosem.

Odpowiedziała mu nieprzytomnym spojrzeniem. Uniósł się nad nią, mocno zapierając się dłonią o pluszowe oparcie, eby nie

przynieść jej swoim ciężarem.

– Mam dosyć wykonywania całej roboty.

– Co takiego? – Nie rozumiała go. Zmarszczyła brwi i mrugając ze zdumienia, patrzyła prosto w błyszczące oczy.

– Rozepnij mi zamek.

212

Wypowiedziane gardłowym głosem słowa podziały na nią podniecająco. Zaskoczona, z trudem chwyciła oddech. Drżała.

Przez moment nie była zdolna do działania. Patrzyła na Johnny'ego szeroko otwartymi oczami i dopiero po chwili, gdy jego polecenie dotarło do niej, zrobiła to, o co ją prosił.

Metalowy guzik przy spodniach był mocno zapięty i dopiero za którąś kolejną próbą zdołała go uwolnić. Niezdarnie szukała suwaka. Materiał dżinsowy był sztywny i szorstki w dotyku, a mały metalowy suwak chłodny i twardy. Powoli ściągnęła go na dół, ani na moment nie tracąc z oczu wypukłości, która wypełniała powiększający się otwór w spodniach. Sztywniejący członek napierał i domagał się uwolnienia. Białe slipy ukrywały go przed jej wzrokiem i dotykiem. Zafascynowana Rachel przyglądała się chwilę

wybrzuszeniu,

po

czym

dotknęła

je

swoim

wypielęgnowanym palcem.

Penis pod miękką bawełną był twardy jak stal. Poruszył się konwulsyjnie, gdy przesunęła po nim różowym paznokciem.

Johnny nie wydał z siebie adnego dźwięku. Ale coś w jego postawie spowodowało, być może napięcie i gwałtowna reakcja ciała, a Rachel podniosła oczy. Dostrzegła jego zamglony wzrok i wyraz silnego podniecenia na twarzy. W jednej chwili pojęła, a jej dotyk sprawił mu rozkosz przekraczającą granice wytrzymałości.

– Zaczekaj! – poprosił.

Gdy zamierzała zrobić to ponownie, Johnny podjął wysiłek, aby ją powstrzymać. Jej ręka na ułamek

sekundy zawisała w powietrzu, ale Rachel nie miała ju na nią wpływu. Palce poruszały się samowolnie, masując go przez bawełnianą bieliznę i 213

naciskając...

– Rachel! Zaczekaj na miłość boską! – odskoczył od niej gwałtownie i zgiął się w pół. Zanim odwrócił się tyłem, dostrzegła kropelki potu na jego czole i ponad górną wargą. Przyglądała mu się ze zdumieniem, gdy szperał w kieszeni i z czymś się szamotał.

A potem dobiegł ją odgłos rozdzieranego opakowania.

– Co ty robisz, na Boga? – spytała zdziwiona, usiłując usiąść, co nie było łatwe, ponieważ szerokie plecy w białym podkoszulku krępowały jej ruchy.

– Prezerwatywa – niemal odburknął, odwracając się do niej przodem i z powrotem rozciągając ją na pluszowym siedzeniu. –

Byłbym draniem, gdybym kochał się z tobą bez tego. Chyba nie jesteś na tyle nierozsądna, eby mi na to pozwolić? Ostatnim razem nie byłem w stanie myśleć, ale teraz...

I w jednej chwili znalazł się na niej. Całował ją zachłannie, jak gdyby był spragniony smaku jej ust. Podwinął spódnicę do pasa i jednym szarpnięciem rozdarł rajstopy. A potem ściągnął majtki, rozrywając je w strzępy, i z furią wszedł w głąb. Krzyknęła.

– Och, Johnny, Johnny – zawodziła. Zaciskała nogi na jego pośladkach. Obejmowała go rękami za szyję. Jego klatka piersiowa mia d yła jej piersi, a otaczające ją ramiona uwierały niczym elazne obręcze. Zanurzył twarz we wgłębieniu pomiędzy jej szyją a obojczykiem. Chrapliwie dyszał, dźwigając się w górę, by zaraz znowu się w niej zagłębić, i jeszcze raz, i jeszcze raz.

– Och, Johnny! – krzyknęła, gdy jej ciałem targnęła eksplozja.

Mocno przywarła do niego, pozwalając się porwać fali uniesienia.

Johnny słysząc jej krzyk, zacisnął zęby, po raz ostatni zagłębił

214

się w nią i znalazł własne zaspokojenie.

Wyczerpani, przez długą chwilę le eli nieruchoma, dopóki ich oddechy nie stały się znowu równomierne, a ciała nieco nie ochłonęły.

Rachel nie mogła ani chwili dłu ej wytrwać w bezruchu. Miała wra enie, e się dusi pod jego cię arem. Johnny uniósł głowę.

Napotkała jego wzrok tu nad sobą.

Spojrzała głęboko w jego niebieskie mądre oczy i poczuła, że się rumieni. Teraz, gdy patrzyła na to trzeźwym okiem, myśl o tym, co razem robili, była enująca.

– Czy może ze mnie zejść? – poprosiła.

215

Rozdział 24

– To nie zabrzmiało zbyt romantycznie.

– Przepraszam cię, ale przygniatasz mnie i nie mogę oddychać.

Jego twarz powoli rozjaśniła się w uśmiechu.

– Tyle wspaniałych rzeczy, co? – zapytał. Pochylił się i pocałował ją w usta. A potem zsunął się z niej i przycupnął obok.

Rachel przyglądała się jego umięśnionym pośladkom zatopionym w miękkim pluszu i stwierdziła, że są bardzo pojętne. Ich powab działał na nią nawet teraz, gdy dopiero co zdążyła ochłonąć z niesienia. Uzmysławiając sobie tę prawdę, nie poczuła się ani trochę lepiej.

Johnny siedział odwrócony do niej tyłem. Nie mogła dostrzec, co robi, i była z tego zadowolona. Pomyślała z zakłopotaniem, że pora wrócić do brutalnej rzeczywistości. Usiłowała doprowadzić do ładny swój wygląd. Była do połowy naga, a zrolowana na biodrach spódnica straszliwie się wymięła. Rajstopy miały w kroku ogromną dziurę, a podarte majtki trzymały się na udach tylko na skrawku elastycznego materiału. Była bosa i nie wiedziała, gdzie przepadł jej drugi but. Miała pokaleczone i opuchnięte usta. A spoglądając do wstecznego lusterka, stwierdziła, że jej włosy przypominają ptasie gniazdo. Czowała się nieświeżo. Była brudna, spocona i niezadowolona.

Tyle wspaniałych rzeczy, pomyślała kwaśno.

Johnny wciągnął slipy i dżinsy. Usłyszała, jak zasuwa błyskawiczny zamek. Zaczęła się rozglądać za swetrem i stanikiem.

Johnny wyglądał już całkiem przyzwoicie, podczas gdy ona wciąż

była prawie całkiem naga.

– Chodź, popływamy na golasa.

– Co takiego?

Propozycji towarzyszył szatański uśmiech. Johnny mierzył ją wzrokiem. Zaniemówiła. Zasłoniła dłońmi piersi i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Nigdy nie słyszałaś o kąpaniu się nago?

– Nawet nie chcę o tym słyszeć!

Roześmiał się. Był to spontaniczny wybuch wesołości.

Dostrzegła w utkwionych w niej oczach isierki dobrego humoru.

– Czy zawsze jesteś zrzędliva po chwilach wspaniałego seksu, profesorko?

Wyraz dezaprobaty w jej wzroku jeszcze bardziej się pogłębił, chociaż stwierdziła z niezadowoleniem, że zaczyna się jej udzielać artobliwy nastrój.

– Skąd mam to wiedzieć? – odparła i pokazała mu język.

– Ach tak? – Uśmiechnął się promiennie.

– Czy mógłbyś wysiąść? Chciałabym w spokoju doprowadzić się do porządku. Bardzo cię proszę, zajmij się sobą. Mo e byś coś przegryź?

– Dobry pomysł. – Zanim wysiadł, sięgnął pomiędzy przednimi siedzeniami po słodycze i cocę. Twarz ponownie rozjaśniła mu się w uśmiechu, gdy spojrzał na Rachel, a potem ruszył nad brzeg jeziora w stronę stołu piknikowego, który został ustawiony z myślą o wycieczkowiczach.

Rachel patrzyła za oddalającym się Johnnym. Przez moment podziwiała jego długie nogi, szerokie bary i zwinny krok, a potem

skoncentrowała się na własnych, pilnie wymagających rozwiązania problemach. Rajstopy i majtki nadawały się do wyrzucenia. Nie bez alu zdarła z siebie to, co z nich zostało. Miała słabość do ładnej bielizny. A majtki były bladoniebieskie i idealnie pasowały do koronkowego stanika, który się gdzieś zawieruszył pod jednym z przednich siedzeń. Natrafiła na niego dłonią pod fotelem pasa era, wyłowiła i włożyła na siebie. Podniosła te z podłogi bluzkę. Pod siedzeniem kierowcy znalazła torebkę. Przecisnęła się ponad skrzynią biegów i wydobyła ją spod fotela. Doczekała się w końcu kilku upragnionych minut na osobności na poprawienie makijażu.

Prędko przeczesła włosy, z zadowoleniem stwierdzając, że

przywrócenie im połyskliwej gładkości okazało się prostym zadaniem. Schowała szczotkę do torebki, wyciągnęła puder i szminkę, a potem badawczo przyjrzała się sobie w lusterku. Po makijażu nie było ani śladu. Zdziwiła się, stwierdzając, że w ostrym popołudniowym świetle wygląda bardzo młodo. Przypudrowała sobie nos i powlekła wargi cienką warstwą różowej pomadki.

Doszła do wniosku,

że ową młodzieńczą powierzchowność

zawdzięcza błyskowi oczu, różowym policzkom oraz zaczerwienionym i lekko opuchniętym ustom. Gotowe. Wyglądała tak jak zwykle, a może nawet lepiej. Była szczęśliwa, a wymięte ubranie nie psuło jej beztróskiego nastroju. Gdy zamknęła puderniczkę i wrzuciła ją do torebki, uświadomiła

sobie, e jej namiętny

romans

z

Johnnym

jest

najlepszym

środkiem

kosmetycznym ze wszystkich dotychczas stosowanych. Pomyślała, uśmiechając się krzywo, e zbiłaby na nim fortunę, gdyby tylko zdołała zamknąć go w butelce. Odszukała wzrokiem Johnny'ego.

218

Siedział na blacie stołu, opierał na ławce nogi i rzucał kawałki ciastek walczącym o nie kaczkom. Wspaniały seks? Och, tak. Ale nie zamierzała się do tego przyznawać. Nie przed nim. W tych sprawach miał i tak zbyt wielkie mniemanie o sobie.

Dostrzegła niebieski pantofel na podłodze. Jeśli nie zawodziła jej pamięć, drugi od pary zgubiła na zewnątrz. Pewnie le ał gdzieś na

wirze. Wysiadła z samochodu, podniosła z ziemi but i balansując jak bocian na jednej nodze, wło yła go na stopę.

Następnie zmieniła pozycję i zrobiła to samo z drugim butem.

Uformowała małą kulkę ze zniszczonej bielizny, podeszła do najbliższego kosza na śmiecie i wrzuciła ją do środka. A potem ruszyła w stronę Johnny'ego. Przez cały czas była świadoma, e nie ma bielizny pod spodem.

– Kromka chleba, dzbanek wina i ty – powiedział, oglądając się przez ramię, gdy podeszła do stołu.

– Raczej paczka Twinkies i puszka coca-coli – zauwa yła.

Wdrapała się na blat, usadowiła obok Johnny'ego i przyjęła ofiarowany poczęstunek.

– Ale to ju brzmi mniej poetycko, nie sądzisz? – Uśmiechnął

się do niej.

– Nie jadłam takich rzeczy od czasu, gdy byłam małą dziewczynką. – Próbowwała otworzyć paczkę paznokciami, ale plastikowe opakowanie było bardzo mocne.

– Pozwól, e ja to zrobię. – Johnny wziął od niej paluszki i bez trudu rozerwał torebkę zębami. Poczęstował ją złotym ciasteczkiem, a sam wziął drugie i odgryzł olbrzymi kęs.

– Hej, to moje! – surowo zmarszczyła brwi, delikatnie skubiąc 219

zębami koniec paluszka.

– Umieram z głodu. Podzieliłem się moją porcją z kaczkami. –

Płaczliwy ton jego głosu rozśmieszył ją. Johnny wetknął palec w kółko na wieczku puszki, otworzył ją i podał ją Rachel.

Posłusznie przełknęła łyk płynu.

– Rozchoruję się, jeśli zjem to świństwo – oświadczyła, odgryzając kolejny kęs.

– Niebezpieczeństwo dodaje yciu pikanterii.

– Jak równie wiele innych przyjemniejszych rzeczy.

– To prawda.

Ponownie ugryzł ciastko, a pozostały kawałek rzucił

zgrupowanym na brzegu wody kaczkom. Trzy z nich zbiegły się z krzykliwym piskiem i biciem skrzydeł, a czwarta – szczęściara –

sprytniejsza od rywalek, pochwyciła przysmak i czym prędzej z nim umknęła.

Johnny pociągnął łyk napoju, odstawił puszkę na stół i otarł usta wierzchem dłoni.

– Rachel?

– Słucham.

– I co teraz będzie?

Dokończyła ciastko, delikatnie dotknęła opuszkami palców kącików ust, eby się upewnić, czy nie pozostały tam adne okruchy i spojrzała pytająco na Johnny'ego.

– Co masz na myśli?

– Co dalej będzie z nami?

– Z nami?

– Tak. Zakładając, e w ogóle mogę mówić o mnie i o tobie w liczbie mnogiej. Nie zniósłbym tego, gdybyś mnie traktowała jako jedną ze swoich kolejnych łatwych zdobyczy.

Słowa były artobliwe, lecz Rachel wyczuła w jego głosie powagę. Nerwowo zmieniła opakowanie po ciastkach w kulkę.

– Mówiąc szczerze, nie zastanawiałam się nad tym.

– Mo e powinnaś.

Wbiła paznokcie w zwarty zwitek, nie zwracając uwagi na to, e palce stają się od niego lepkie i spojrziała Johnny'emu prosto w oczy.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, e zamierzasz umawiać się ze mną na randki?

– Randki. – Wydął usta. – Coś w tym rodzaju.

– Mo emy razem jadać kolacje. – Słowa niemal więzły jej w gardle. Marzyłaby o tym, eby móc się z nim związać na dobre i na złe. Jednak wspólna przyszłość dla nich dwojga była nie do pomyślenia. Rachel wzdrygnęła się.

Dobry pomysł. Na początek. – Zwinnie zeskoczył ze stołu, zwrócił się do niej twarzą, chwycił ją w pasie i podniósł. Rachel zapiszczała, niespodziewanie szybując w powietrzu na jego wyprostowanych rękach. Dla podtrzymania równowagi kurczowo uczepiła się palcami jego muskularnych ramion. Szeroko się do niej uśmiechał. Najwyraźniej utrzymywanie jej w górze nie nastręczało mu najmniejszej trudności. Rachel raz jeszcze uzmysłowiła sobie, o ile jest od niej silniejszy. Na jego twarzy igrały złote promienie popołudniowego słońca, u yczając ciepłego blasku szaroniebieskim oczom. A śniada cera podkreślała biel odsłoniętych w uśmiechu 221

zębów. Był w tym momencie nieziemsko przystojny. Patrzyła na niego jak urzeczona. Z bolesnym uciskiem w oładku uświadomiła sobie, e jest w nim zakochana.

– Postaw mnie na ziemi – poprosiła chrapliwym głosem.

– Zaraz – dra nił się z nią, nadal trzymając ją wysoko w powietrzu. I na dowód całkowitej nad nią władzy ruszył w stronę samochodu, nie opuszczając rąk nawet o centymetr. – Jedziemy na kolację.

– Proszę cię, postaw mnie na ziemi. – Wpadła w panikę. Myśl o tym, e jest zakochana w Johnnym przeraziła ją śmiertelnie. I nic nie mogła na to poradzić.

– Przekonaj mnie, e powinienem to zrobić.

– Puść mnie!

Zareagował natychmiast na ostry ton jej głosu. Zmarszczył brwi i postawił ją na ziemi. Sądziła, e mocny grunt pod stopami poprawi jej samopoczucie. Ale tak się nie stało.

– O co chodzi? – spytał z troską w głosie. Ale Rachel ju odwróciła się na pięcie i zmierzała w stronę samochodu. Zdawała sobie sprawę z tego, e zachowuje się nietaktownie, a pomimo to szła dalej.

– Rachel!

Chciała zostać sama. Potrzebowała czasu na przemyślenie niepokojącego przebiegu wydarzeń. Przed podjęciem decyzji o ich wspólnej przyszłości musiała rozpatrzyć wszystkie alternatywne rozwiązania. Ju sam fakt, e go po ądała, ogromnie komplikował

jej ycie. A co dopiero mówić o miłości i wszelkich wynikających z niej konsekwencjach.

222

– Przyjechała moja siostra. Nie mogę pójść z tobą na kolację.

Muszę wrócić do domu. Zupełnie o niej zapomniałam – rzuciła przez ramię urywanym głosem, otwierając samochód i wsiadając do środka.

– Nie rozumiem, co wspólnego ma przyjazd twojej siostry z naszą kolacją? – Johnny pochylił się nad Rachel, opierając się o dach i uniemo liwiając jej zamknięcie drzwi. Miała przed sobą jego przystojną twarz, niezadowolone niebieskie oczy i poczuła silny impuls, eby przystać na wszystko, o co ją prosi. Była jak odkrywca, który nieroztropnie wdepnął w rejon lotnych piasków.

Miała wra enie, e tonie.

– Jej mą , Michael, domaga się rozwodu. Jest wytrącona z równowagi. Muszę do niej pojechać. Nie powinna być teraz sama.

– Ten sam Michael, w którym się zakochałaś wiele lat temu?

Spojrzała na Johnny'ego ze zdumieniem.

– Skąd o nim wiesz?

– Pamiętam, jak go przywiozłaś tamtego lata. A wiesz, dlaczego? Poniewa byłem zazdrosny. Optymizm wstąpił we mnie dopiero wtedy, gdy Michael porzucił cię dla twojej siostry.

– Nie wierzę.

– Uwierz. To prawda. – Zacisnął usta i przez minutę przyglądał

się jej wnikliwie. – Pragnałem cię od dawna, Rachel. Bez względu na to, ile miałem dziewczyn, zawsze myślałem o tobie i zastanawiałem się, co te w tej chwili mo esz robić. A więc zgadzasz się na wspólną kolację? „U Gino” podają wspaniałe zębacze.

– Nie mogę. Becky jest taka zrozpaczona... – umilkła zmieszana.

Wyznanie Johnny'ego dowodziło jedynie tego, o czym ju wiedziała: e ich sytuacja stała się o wiele powa niejsza, ni się mo na było tego spodziewać.

Jeszcze przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. A potem wyprostował się, zamknął drzwi od strony kierowcy, obszedł

samochód dookoła i zajął miejsce obok Rachel.

Uruchomiła silnik.

– Bzdura – powiedział, gdy wjechała na drogę. Zawróciła, zataczając szeroki łuk, i skierowała się w stronę autostrady.

– Co takiego? – Nerwowo spojrzała w jego stronę. Miał

zaciśnięte usta, a brwi niemal łączyły się w jedną linię nad nosem, nadając jego twarzy wyraz niezadowolenia.

– To co słyszałaś. Powiedziałem, e mówisz bzdury.

– Wcale nie. Becky naprawdę przyjechała do domu i ...

– Mo e i jest w domu, a jej mąż domaga się rozwodu, tylko e to nie ma nic wspólnego ze sposobem, w jaki na mnie patrzysz... a właściwie unikasz mojego wzroku. – Wywa one słowa, które wypowiedział spokojnym tonem, były bardziej wymowne ni otwarty wybuch gniewu.

Rachel przygryzła wargę i skoncentrowała się na prowadzeniu samochodu. Spojrzała na Johnny'ego dopiero wtedy, gdy włączyła się do ruchu na autostradzie, wyje d ając z wąskiej leśnej drogi.

– Nie doczekałem się odpowiedzi na moje pytanie, Rachel –

stwierdził spokojnym tonem, zanim zdą yła cokolwiek powiedzieć.

Odwrócił się w jej stronę, eby zajrzeć jej w oczy.

– Na jakie pytanie?

– Na miłość boską! Patrz przed siebie!

Przez chwilę milczał, gdy posłusznie skupiła uwagę na jezdni. A potem odezwał się tak cicho, e musiała dobrze nadstawić ucha, eby go dosłyszeć.

– Wstydzisz się mnie, Rachel?

– Nie! – Jej spojrzenie znów pomknęło w stronę Johnny'go. –

Nie! – zaprzeczyła jeszcze gwałtowniej, zdumiona, e mogła mu przyjść do głowy podobna myśl.

– Nie wierzę ci – powiedział brutalnie.

– Ale to prawda! – Minęli właśnie sklep „7-Eleven” i skręcili w ulicę, która prowadziła do szkoły. Rachel wiedziała, e jest mu winna wyjaśnienie, ale najpierw musiała uporządkować swoje własne uczucia. Miłość do Johnny'ego Harrisa nie była sprawą prostą, szczególnie w Tylerville. Mogła pociągnąć za sobą niewyobrażalne wprost następstwa.

– Jesteś pewna?

– Nie przeczę, e sytuacja jest skomplikowana – wybuchnęła. –

I ty dobrze o tym wiesz. Uczę w szkole. A kiedyś byłam twoją nauczycielką. Czy wiesz, e mogę zostać zwolniona z pracy za złe prowadzenie się? A wcale nie jestem pewna, czy romans z tobą nie zostanie potraktowany jako uchybienie zasadom moralnym. Poza tym jesteś młodszy ode mnie o pięć lat. Jak to wygląda? A na dodatek wszyscy cię uwaają... – urwała. Nie potrafiła powtórzyć mu opinii, jakie mieli o nim mieszkańcy miasta.

– A na dodatek wszyscy mnie uwaają za kryminalistę i wyrzutka – dokończył za nią. – Jestem wystarczająco dobry do pieprzenia się na boku, ale ju nie na tyle, eby prawdziwa dama

mogła się publicznie pokazać w moim towarzystwie.

Rachel przygryzła wargi. Ogarnęła ją bezsilność.

– Chryste! Uwaają na drogę! – warknął i chwycił za kierownicę w samą porę, by samochód nie zjechał na sąsiedni pas.

Przez długą chwilę milczeli oboje, dopóki Rachel bezpiecznie nie zjechała pod szkołę i nie zatrzymała się obok motocykla.

Wrzuciła sprzęgło na luz i nie zdejmując rąk z kierownicy, odwróciła się twarzą do Johnny'ego.

– Uwierz mi, Johnny. Wcale się ciebie nie wstydzę. Potrzebuję tylko trochę czasu.

– Trochę czasu. – Wykrzywił usta, napotykać jej wzrok. A potem chwycił za klamkę i wysiadł. A gdy ju był na zewnątrz, pochylił się w otwartych drzwiach i spojrzał na Rachel.

– Nie spiesz się z podejmowaniem decyzji, profesorko. Daj mi znać, gdy ju postanowisz, jak mają wyglądać nasze wzajemne stosunki, dobrze? – Słowa wypowiedziane lodowatym tonem smagnęły Rachel niczym bicz.

– Johnny... – zaczęła błagalnie, nie wiedząc dokładnie, co mu właściwie zamierza powiedzieć.

Ale nie dał jej szansy na dokończenie zdania. Zatrzasnął

przednie drzwi, otworzył tylne i sięgnął po kurtkę. A potem podszedł do motocykla, włożył kask i błyskawicznie dosiadł

maszyny.

Wciąż próbowała sformułować w myślach to, co mu chciała powiedzieć, gdy kopnięciem pobudził motocykl do życia i z rykiem silnika odjechał, nie oglądając się na nią ani razu za siebie.

226

Rozdział 25

Piątek był jednym z najgorszych dni w jej życiu. Tak jak się tego spodziewała, w szkole rozeszła się wiadomość o jej spotkaniu z Johnnym. Z chwilą wejścia do klasy poczuła na sobie zafascynowane spojrzenia uczniów. Przekonanie, że jest obiektem plotek, stało się jeszcze silniejsze, gdy rozprawiające w grupach nastolatki, a nawet niektórzy nauczyciele milkli na jej widok, gdy ich mijala na korytarzu albo wchodziła do pokoju nauczycielskiego lub stołówki. Nie była jednak tego całkiem pewna a do momentu, gdy po ostatniej lekcji w drzwiach pomiędzy cisnącymi się do wyjścia uczniami pojawił się sam pan James.

Rachel pakowała rzeczy, które zamierzała zabrać ze sobą do domu na weekend. Przerwała tę czynność na widok pryncypała i spojrzała na niego pytająco.

– Masz jakieś plany na sobotę i niedzielę, Rachel? – spytał, wchodząc do klasy. Był już bliski wieku emerytalnego, lecz jego surowe i pozbawione poczucia humoru zachowanie sprawiało, że wydawał się znacznie starszy. Z gęstymi, gładko zaczesanymi do tyłu szpakowatymi włosami, kręłą budową ciała i skłonnością do mamrotania przywodził Rachel na myśl Marlona Brando w „Ojcu chrzestnym”.

– Nic szczególnego. – Uśmiechnęła się, gdy podszedł do katedry i obrzucił wzrokiem uczniowskie prace, które czekały na sprawdzenie. – A pan?

Dyrektor wzruszył ramionami.

– Razem z Bess – Bess była jego oną od czterdziestu lat –

227

zamierzamy spędzić wolny czas w domu. adne z naszych dzieci nie wybiera się do nas z wizytą.

– To brzmi obiecująco – stwierdziła Rachel. Zebrała już ostatnie papiery, teczki i książki, które były jej potrzebne do przygotowania się do lekcji w przyszłym tygodniu i stała w wyczekującej pozycji.

Pan James nigdy nie rozpoczynał rozmowy bez powodu. Odszukał

ją celowo, a ona nie miała wątpliwości, jaki kierował nim zamysł.

– Nie mo emy się wprost doczekać weekendu. – Odchrząknął i Rachel nie miała wątpliwości, e zaraz się dowie, jaka sprawa go tutaj sprowadza. – Kilka uczennic opowiedziało dzisiaj pani Wylie bardzo niepokojącą historię. – Pani Wylie była wychowawczynią dziewcząt.

Rachel uniosła w górę brwi.

– Doniosły, e wczoraj przyjechał po panią do szkoły ten chłopak Harrisów. I e razem odjechaliście pani samochodem.

– Johnny Harris był kiedyś moim uczniem – wyjaśniła Rachel chłodno. Prowadzenie tego typu rozmowy, choć Rachel była na nią przygotowana, złościło ją i budziło wewnętrzny sprzeciw. Nie potrafiła pogodzić się z tym, e musi tłumaczyć się ze swoich poczynań. A pogardliwe nazywanie Johnny'ego „tym chłopcem Harrisów”, z którym to określeniem stykała się na ka dym kroku, bezgranicznie ją irytowało.

– A więc to prawda? – Dyrektor przyglądał się Rachel badawczo, a jego oczy błyszczały groźnie zza szkieł w czarnej oprawie.

– To, e przyjechał po mnie i e odjechaliśmy razem moim samochodem? Tak.

228

– Mam nadzieję, e to się więcej nie powtórzy. Nie mo emy dopuścić, eby ktoś taki jak on kręcił się w pobli u naszej szkoły.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „ktoś taki jak on”? – Zapytała ostrym tonem Rachel, nie potrafiąc pohamować złości.

Na twarzy pana Jamesa odmalowało się zdumienie.

– Myślę o mę czyźnie, który napastował nieletnie dziewczyny.

To oczywiste. Mam obowiązek wobec rodziców...

– Johnny Harris tak samo napastował nastolatki jak ja! Znam go od czasu, gdy był małym dzieciakiem. I święcie wierzę w to, e jest niewinny. Ma tyle wspólnego ze śmiercią Marybeth Edwards, co pan, przepraszam, e u yję tego porównania. On...

– Został oskar ony o morderstwo i skazany przez sąd na wiele lat więzienia. To, e spłacił dług wobec społeczeństwa, w adnym stopniu nie zwalnia nas z obowiązku, jaki mamy wobec naszych uczniów i ich rodziców. Musimy chronić dzieci powierzone naszej opiece. Nawet jeśli byłoby to sprzeczne z wewnętrznym przekonaniem ka dego z nas, e dziesięć lal temu Johnny'ego Harrisa spotkała niesprawiedliwość.

Łagodny ton dyrektora sprawił, e reprimenda zabrzmiała mniej surowo. Pomimo to Rachel ogarnęła niepohamowana wściekłość.

– Czy moja posada jest zagrożona, jeśli Johnny Harris ponownie przyjedzie po mnie do szkoły, panie dyrektorze? spytała.

– Dobrze pani wie, e obowiązuje nas okres umowy o prace. Nie przyszedłem tu po to, by straszyć panią zwolnieniem z posady.

Chciałem zaapelować tylko do pani sumienia.

– Mam czyste sumienie, zapewniam pana. A teraz proszę mi wybaczyć.

229

– Oczywiście. Przykro mi, e panią niepokoiłem. Ale jest pani przecie inteligentną osobą. Wierzę, e ponowna rozmowa na ten temat oka e się zbyteczna.

–

yczę panu miłego weekendu. – Rachel sztywno skinęła głową i przeszła obok dyrektora, kierując się w stronę drzwi.

Ochłonęła nieco w drodze do domu. W końcu mogła się spodziewać takiej reakcji pana Jamesa. Doszła do wniosku, e jego upomnienie jest dodatkowym powodem, dla którego nie powinna utrzymywać stosunków z Johnnym, dopóki się powa nie nad nimi nie zastanowi. Pod bramą wjazdową stał zaparkowany lśniący czarny samochód marki Lexus. Rachel odzyskała pogodny nastrój.

Michael zamierzał pewnie zabrać Becky z dziewczynkami do domu.

– Przyjechał Michael – oznajmiła matka, gdy tylko Rachel weszła do domu.

Z podwórza dobiegały piski i wybuchy śmiechu siostrzenic.

Odkładając na stół książkę, Rachel zobaczyła przez okno spiarni, e Tilda towarzyszy dziewczętom w wesołej grze w badmingtona.

– Dzieci wiedzą? Elisabeth skinęła głową.

– Tilda zajęła dziewczynki zabawą, eby nie przeszkadzały.

Myślę, e Michael chce zabrać Becky do domu.

– A czego chce Becky? – Rachel otworzyła lodówkę i sięgnęła po jeden z kartonów z sokiem pomarańczowym. Kupiony z myślą o dziewczętach, stał się natychmiast ulubionym napojem wszystkich domowników. Rachel wsunęła do środka rurkę i pociągnęła kilka łyków.

Elisabeth pokręciła głową.

– Nie wiem. Ju od godziny siedzą w bibliotece. Nie dochodzą stamtąd adne odgłosy. Chciałam być w pobliżu na wypadek, gdyby Becky mnie potrzebowała. Sama wiesz, e ostatnio łatwo poddaje się przygnębieniu. Mam nadzieję, e Michael odzyskał

rozsądek. Jestem przekonana, e gdyby tak się stało, Becky by mu przebaczyła.

Rachel skrzywiła się z powątpiewaniem i pociągnęła kolejny łyk soku.

– Pójdę na górę się przebrać i przywitać z tatą. Zawołajcie mnie w razie potrzeby.

Elisabeth skinęła głową.

– Rob telefonował wczoraj wieczorem, gdy ju się położyłaś do łóżka. Powiedziałam mu, e dzisiaj się z nim skontaktujesz. Szukał

ciebie równie Ben.

Ju w drzwiach Rachel zawahała się i obejrzała przez ramię.

– Czy poza tym nikt do mnie nie dzwonił?

– Nikt. – Matka pokręciła przecząco głową.

Rachel przypomniała sobie o zdradzieckim postępowaniu Elisabeth w sprawie telefonów Johnny'ego. Odwróciła się twarzą do matki i zmierzyła ją surowym spojrzeniem.

– Jesteś tego pewna?

– Oczywiście.

– Widziałam się wczoraj z Johnnym Harrisem. Twierdzi, e wielokrotnie próbował się ze mną porozumieć telefonicznie, ale za każdym razem odpowiadałaś, e nie ma mnie w domu.

– Skoro tak mówiłam, to z pewnością tak było. – Elisabeth przyjęła postawę obronną.

– Nie zadałaś sobie nawet trudu, eby mnie o tym powiadomić, mamo.

– Prawdopodobnie zapomniałam. To mi się ostatnio coraz częściej zdarza. Dziwię się, e w tym całym zamieszaniu o czymkolwiek w ogóle jestem jeszcze zdolna pamiętać. Elisabeth bezradnie rozłożyła ręce, lecz Rachel dobrze znała sztuczki swojej matki i ani przez moment nie uwierzyła w jej niewinność.

– Wiesz dobrze, e nigdy o niczym nie zapominasz. Jestem ju dorosła, mamo. I to wyłącznie moja

sprawa, kto do mnie telefonuje albo z kim się spotykam. Sądzę, e ju kiedyś dostatecznie jasno wyraziłam swoje zdanie na ten temat.

– Spodziewasz się telefonu od tego chłopaka Harrisów? zapytała ostrym tonem Elisabeth.

– Nie w tym rzecz, mamó.

– A ja myślę, e właśnie w tym. Cóż byłaby ze mnie za matka, gdybym się o ciebie nie martwiła? Jesteś moją córką, bez względu na to, ile masz lat, Rachel. Nie zamierzam spokojnie patrzeć, jak się pakujesz w tarapaty.

– Wcale nie pakuję się w tarapaty – westchnęła Rachel. – Sądzę, e sypiając z tym chłopakiem Harrisów, jesteś na dobrej do tego drodze.

– Mamó! – Rachel była szczerze wstrząśnięta zarówno bezceremonialnymi słowami matki, jak i jej przenikliwością.

Zdumienie Rachel odmalowało się w jej szeroko otwartych oczach, w chwili gdy napotkały stanowczy wzrok Elisabeth.

– Sądziłaś, e o tym nie wiem, Rachel? Nie jestem głupia i potrafię dodać dwa do dwóch.

232

Rachel czuła,

e się rumieni, ale nie spuściła wzroku i wytrzymała spojrzenie matki.

– Mo e temu zaprzeczysz? – spytała Elisabeth.

– Niczemu nie zaprzeczam – odparła Rachel, odzyskując panowanie nad sobą – ani niczego nie potwierdzam. To nie twoja sprawa, mamó.

– Nie moja sprawa, e moja córka ma romans z mordercą!

Myślisz, e będę biernie patrzeć, jak ci przystawia nó do gardła?

– Johnny nigdy...

– Cicho bądź! – przerwała jej matka. Była silnie wzburzona. –

Nie wiesz tego na pewno, tak jak i ja nie jestem w stanie przewidzieć, czy się poprawi stan zdrowia twojego taty. Gorąco w to wierzę, ale moje pragnienie mo e się okazać tylko pobo nym yczeniem. I podobnie ma się sprawa z tobą.

Obie milczały przez kilka sekund, gdy słowa prawdy zawisły pomiędzy nimi w powietrzu. Rachel zacisnęła usta.

– Pójdę się przebrać, mam – powiedziała i ruszyła na górę.

Gdy pokonała jedną czwartą drogi, otworzyły się drzwi do biblioteki.

Rachel obejrzała się przez ramię. Dostrzegła sylwetkę Michaela w przejściu. Za nim stała Becky. Miała pobladłą twarz, ale nie było widać na niej śladów łez. Elisabeth też się odwróciła w stronę zięcia.

Michael w milczeniu zmierzył je wzrokiem. Wyglądał znacznie starszej niż podczas ostatniej wizyty w czasie świąt Bożego Narodzenia. Nie mógł przyjechać do Walnut Grove na Wielkanoc ani na święto Czwartego Lipca, kiedy to Becky przywiozła

dziewczętą na tydzień do dziadków i ciotki.

Ciemne obwódki pod jego oczami świadczyły o nie przespanych nocach, a szare pasma włosów na skroniach przypomniały Rachel, że w czerwcu ubiegłego roku skończył czterdzieści lat. Miał bladą cerę, jak przystało na człowieka, który unika słońca, a przebijający przez skórę ciemny zarost na kwadratowej szczęce nadawał jego twarzy surowy wyraz. Wysoki, szczupły i przystojny był typowym okazem wywodzącego się z Anglosasów wpływowego prawnika.

Rachel wprost nie mogła uwierzyć w to, że kiedyś była w nim zakochana.

Sądząc po jego minie, konfrontacja z teściową i szwagierką nie sprawiła mu przyjemności.

– Witaj, Rachel – powiedział w końcu. Z Elisabeth widocznie przywitał się już wcześniej.

Rachel skinęła mu głową, omijając go wzrokiem i przyglądając się siostrze. Becky stała z oczami utkwionymi w plecach męża i była

najwyraźniej

przygnębiona.

Z

jej

postawy

Rachel

wywnioskowała,

e rozmowa nie za egnała mał eńskiego

konfliktu.

Pomimo uczucia, jakim kiedyś darzyła Michaela, była całą duszą po stronie Becky.

– Czy napijesz się kawy albo zjesz kanapkę, Michaelu? spytała zdenerwowana Elisabeth. W przeciwieństwie do Rachel nie widziała swojej młodszej córki, którą zasłaniała sylwetka zięcia.

– Nie, dziękuję, Elisabeth. Jestem umówiony na obiad.

Po egnam się tylko z dziewczętami i wyruszam w drogę.

– Po egnam się z dziewczętami! – Becky roześmiała się 234

histerycznie i klasnęła w dłonie na wysokości swoich drobnych piersi. Michael odwrócił się do niej twarzą. Z dogodnego punktu obserwacyjnego na schodach Rachel dostrzegła pełne nienawiści spojrzenie, jakie siostra posłała swojemu mężowi. Dziesięć lat temu Becky była śmiertelnie zakochana w Michaelu. Jej twarz rozjaśniała się na sam dźwięk jego imienia. Ten kontrast rozżłościł i zasmucił

Rachel. Czy w życiu nie ma nic trwałego?

– Powiedziałeś to z takim spokojem! Czy nie pomyślałeś, jakim cię kim przez życie będzie dla nich nasz rozwód? spytała piskliwie Becky.

– Dzieci bez trudu przystosują się do nowej sytuacji – odparł

Michael. Cała jego postawa świadczyła o ogromnym napięciu.

Rachel zdziwiła się, kiedy zauważyła jego dłonie zaciśnięte w pięści. Był zawsze bardzo opanowany. Nie pamiętała, aby kiedyś dał się ponieść emocjom. Ale przecie знаła go bardzo krótko, i to w sytuacji, gdy zalecał się do niej. Być może młody mąż czyzna, w którym się kiedyś zadurzyła, był tylko wytworem jej fantazji.

– Jesteś ich ojcem! – Krzyk pochodził z głębi serca Becky.

Michael zeszytniał, a potem gwałtownie obrócił się na pięcie, minął bez jednego słowa teściową i szwagierkę i trzasnąwszy kuchennymi drzwiami, wyszedł na podwórze.

Przez chwilę trzy kobiety stały nieruchomo. Pierwsza otrząsnęła się Rachel i pospieszyła, by pocieszyć załamana siostrę. Ale Elisabeth wyprzedziła ją i przygarnęła do siebie młodszą córkę.

– Przyszedł się dowiedzieć, co sądzę o sprzedaży domu zawodziła Becky. – Spędzi noc w hotelu i jutro tu wróci, eby o tym porozmawiać. Powiedział... powiedział, e gdy się wyśpię, 235

mo e spojrzę na całą sprawę innym okiem.

– A to skurwysyn! – zawołała gwałtownie Elisabeth. Rachel nigdy przedtem nie słyszała przekleństwa w ustach matki. Skinęła głową, całym sercem dzieląc jej opinię o Michaelu. Pełna współczucia pochyliła się w milczeniu nad Becky, która wybuchnęła płaczem.

236

Rozdział 26

W dorocznym pikniku z okazji Święta Pracy, który odbywał się w sobotni wieczór, uczestniczyli tak jak zwykle niemal wszyscy mieszkańcy Tylerville. Uroczystość rozpoczęła się punktualnie o szóstej defiladą, a miała zakończyć się o dwunastej pokazem ogni sztucznych. Na placu w centrum miasta lokalny zespół muzyczny grał rozmaite melodie – od muzyki country po klasykę rocka.

Kilkunastoletnie wyrostki porozsiadały się na kocach wokół estrady albo porozkładały się na trawie i wykrzykiwały swoje życzenia dotyczące repertuaru. Na pobliskich ulicach, które dzisiaj były zamknięte dla ruchu, biegały młodsze dzieci, zwinnie wymykając się zirytowanym rodzicom. Dorośli zapełnili gara nowej remizy strażackiej przy samym placu. Atrakcjami wieczoru, które ufundował Klub Miasta Tylerville, było pieczenie prosięcia i przelot balonem za symboliczną cenę jednego dolara.

Gdy Rachel za kwadrans siódma przybyła na uroczystość, kolejka chętnych do przejazdu ki liczyła co najmniej ze sto pięćdziesiąt osób. Najwidoczniej nikt nie zraał się tym, e

przywiązany balon unosił się zaledwie na wysokość siedmiu metrów i zaraz z powrotem ściągany był na ziemię dla następnej grupy wycieczkowiczów.

Rachel przyszła na piknik w towarzystwie Roba, Becky, dziewczynek i matki. Nie była pewna, czy ma przyjąć zaproszenie farmaceuty, ale gdy elegancko zaproponował swoją eskortę równie i pozostałym członkom rodziny, nie widziała powodu, dla którego miałyby je odrzucić. Uznała,

e Becky dobrze zrobi trochę

237

rozrywki, a jej dziewczynki, bardziej ni zwykle rozbrykane z powodu kryzysu rodzinnego, będą miały okazję, eby dać upust rozpierającej je energii. I chocia serce Rachel pękało z tęsknoty za Johnnym,

postanowiła nie rozpamiętywać swojego bólu. Pocięła się, e z czasem minie – musi minąć. Słowa matki o pobo nych yczeniach które dotyczyły nie tyle kwestii niewinności Johnny'ego, co perspektywy ich dalszych stosunków – padły na podatny grunt i zasiały w niej ziarno zwątpienia.

– Ciociu Rachel, czy mo emy się wybrać na przeja d kę balonem? – Podekscytowana pięcioletnia Loren szarpała Rachel za rękaw.

– Potem, gdy zjemy – wtrąciła się Becky, zanim siostra zdą yła wyrazić zgodę.

Rachel zabrała starsze dziewczynki do kina wczesnym popołudniem, eby Becky i Michael mogli spokojnie ze sobą porozmawiać. Elisabeth została w domu z dwuletnią Katie i poinformowała Rachel po powrocie, e rozmowa nie doprowadziła do porozumienia. Ju po piętnastu minutach od chwili jej rozpoczęcia zapłakana Becky pobiegła na górę do swojego pokoju, a Michael zapowiedział lodowatym tonem, e wróci nazajutrz. Ale gdy przyjechał Rob, eby je zabrać na piknik, Becky ju całkiem panowała nad sobą. Gdyby nie lekko zaczerwienione oczy nikt by się nie domyślił,

e prze ywa mał eński kryzys. Rob,

powiadomiony o sytuacji przez Rachel, uznał postawę Becky za godną podziwu. Przez całą drogę do miasta paplał jak najęty, opowiadając stare dowcipy i próbując poprawić jej humor. A gdy się przyłączyli do tłoczących się przy zastawionych stołach ludzi, 238

Rachel pomyślała, e wyleje Robowi mro oną herbatę na głowę, jeśli będzie musiała wysłuchać bodaj jeszcze jednego idiotycznego kawału.

Ale Becky sprawiała wra enie zadowolonej, a gadanina Roba wywołała nawet uśmiech na jej twarzy. Rachel przyszło na myśl, e być mo e grozi jej utrata kolejnego mę czyzny na rzecz siostry.

Doszła jednak do wniosku, e tym razem zupełnie by się tym nie przejęła.

– Nie ruszaj, Katie! To gorące! – Powstrzymała najmłodszą siostrzenicę, która sięgała w stronę srebrnego dzbanka z kawą stojącego na końcu długiego, uginającego się od potraw stołu.

Chwyciła dziewczynkę w ostatniej chwili, posadziła ją sobie na biodrze i uspokoiła ciastkiem skradzionym ze stołu z deserami.

Kosztowało dwadzieścia pięć centów, ale kolejka do kasy była długa. Rachel postanowiła zapłacić za nie później, gdy będzie regulowała nale ność za własne danie.

– Pozwól, e ją wezmę – mruknęła Becky, gdy Rachel dołączyła do grupy. Katie zaprotestowała, wykrzywiając w uśmiechu umorusaną czekoladą buzię i energicznie pokręciła głową.

– Katie zostanie z ciocią Rachel – oświadczyła kategorycznie.

Rachel roześmiała się i przytuliła do siebie siostrzenicę. Nie wzięła małej za złe, e poklepuje ją po policzku lepką rączką.

Becky cmoknęła, dając wyraz swojej dezaprobacie, i zaczęła zbierać papierową serwetką czekoladę z ust dziecka. Wkrótce bibuła stała się tak brudna, że wytarcie nią policzka Rachel tylko by pogorszyło sprawę.

– Masz czekoladę na twarzy – szepnął Rob, gdy Becky zaczęła 239

rozmawiać z matką.

– Nic nie szkodzi. To jest zmywalne.

Rob uył własnej serwetki, wycierając umazany policzek Rachel. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

– Dzieci twojej siostry są naprawdę bardzo miłe – oświadczył.

– Te tak uważam. – I na dowód ucałowała pulchną buzię Katie.

Wszyscy przyjaciele i sąsiedzi pozdrawiali trzy kobiety z rodziny Grantów. Dopytywali się, dlaczego Becky tak rzadko przyjeżdża do Tylerville. Wyglądała bardzo ładnie w słonecznej sukni do kostek, mocno wyciętej na ramionach i plecach. Rachel zdecydowała się dzisiaj na granatowe szorty i jaskrawo ółty podkoszulek. Nie uszło jej uwagi, że siostra skupia na sobie spojrzenia wszystkich mężczyzn. Pomyślała, że nawet jeśli Michael stracił zainteresowanie nią, to Becky nie grozi samotność i z pewnością nie będzie długo wypłakiwać oczu. Z zadowoleniem stwierdziła, że bardziej ją cieszy, niż rani pociąg, jaki siostra wzbudza w płci przeciwnej.

Rachel rozmawiając ze wszystkimi wokół, odpowiadała na mnóstwo pytań dotyczących Katie. Dziewczynka wzbudzała powszechny zachwyt. Z zagadkowych przyczyn postanowiła być grzeczna. Śmiała się, klaskała w małe dłonie i mówiła „cześć” do każdego, kto ją zagadnął. „Mały aniołek”, „prawdziwa laleczka” i

„spójrz, co za słodkie dziecko” – oto niektóre z komentarzy, jakie były

kierowane

pod

jej

adresem.

Rachel

artowała

z

komplementów, nieustannie odczepiając małe paluszki z różnych zachłannie chwytyanych

przedmiotów. Doszła do wniosku, e

balansowanie z kręcącą się na biodrze dwuletnią Katie i 240

jednoczesna próba napełnienia sobie talerza jest zadaniem przerastającym jej mo liwości. Na szczęście Rob, widząc jej kłopotliwe poło enie, wziął od niej talerz i zaczął nakładać potrawy, na które miała ochotę. Lisa i Loren były na tyle du e, e radziły sobie same, korzystając co jakiś czas z pomocy babci i mamy. W

końcu udało się zgromadzić całą czeredkę przy jednym z kilkunastu ustawionych pod drzewami stołów.

Rachel usiadła i z ulgą postawiła Katie na ziemi. Miała wra enie, e dziecko, choć niewielkie, wa y tonę. Na dworze było jeszcze widno. O tej porze roku zmierzch zapadał dopiero o dziewiątej wieczorem. Ale upał znacznie zel ał, a kontakt ciepłego powietrza ze skórą sprawiał Rachel przyjemność. Lekkie podmuchy wiatru zwiewały włosy z jej twarzy. Pomyślała, e miło jest odpoczywać w towarzystwie rodziny i przyjaciół, słuchać dobiegającej z daleka muzyki i przyglądać się roześmianym dzieciakom, które bawiły się w berka i w chowanego po drugiej stronie placu.

– Chcę jeszcze jedno ciastko – oświadczyła Katie, patrząc krzywo na talerz przed sobą.

– Jak zjesz – obiecała Rachel, krojąc szynkę na małe kawałki.

– Nie, chcę teraz!

– Bądź grzeczna, Katie – wtrąciła się siedząca po drugiej stronie stołu Becky.

– Mam nadzieję, e Katie nie zacznie się wściekać mruknęła Lisa. Podobnie jak reszta rodziny doskonale znała skłonności swojej najmłodszej siostry do napadów złego humoru, gdy coś przebiegało nie po jej myśli.

241

– Ciastko!

– Skończyłam, ciociu. Czy mo emy się teraz przelecieć balonem? – Loren obeszła stół dookoła i stanęła przy Rachel.

– Najpierw pozwól cioci zjeść, kochanie – rzekła Becky.

– Ciociu Rachel...

– Polecimy, moja droga. Obiecuję. Ale umieram z głodu i jeśli zaraz czegoś nie zjem, wyschnę na wiór i porwie mnie wiatr.

– Wcale cioci nie porwie!

– Idź się pobawić, Loren. – W głosie Becky zabrzmiał lekki niepokój.

– Ciastko!

– Katie, kochanie. Zrób przyjemność babci i zjedz swoją szyneczkę. A co powiesz na odrobinę makaronu z serem? Elisabeth wyciągnęła przez stół własny napełniony widelec.

– Ciastko! – wrzasnęła Katie, patrząc groźnie na babkę.

– Uspokój się, Katie, i jedz. – Zdenerwowana Becky zmarszczyła brwi, upominając swoją najmłodszą latorośl.

Katie zajmowała miejsce pomiędzy Rachel i Robem. Pomimo wysuniętej do przodu dolnej wargi i skrzy owanych na piersi w wyrazie buntu małych rączek wyglądała zachwycająco z jasnymi włosami związanymi w kucyki i w niebieskim fartuszk w kratkę.

Zarówno siedząca naprzeciwko niej Lisa, jak i podskakująca wokół

stołu Loren obrzuciły ją identycznymi, pełnymi dezaprobaty spojrzeniami.

– Ciastko! Ciastko! Ciastko! – rozległ się przeraźliwy pisk.

Ludzie przy sąsiednich stolikach zaczęli odwracać głowy.

– Czy pozwolisz mi, mamó? – zapytała cicho Lisa, wiercąc się 242

na krześle.

Loren stanęła nieruchomo, przyglądając się widowisku.

– Dostyc ju tego, Katie Lynn Hennessey! Młode damy nie zachowują się w ten sposób. – Elisabeth próbowała stłumić gniew swojej upartej wnuczki, przybierając srogi ton i z niezadowoleniem kręcąc głową.

– Proszę cię, mamó. Pozwól mi, zanim ona wpadnie w furję –

ponowiła prośbę Lisa.

– Co mam dla ciebie zrobić? – zapytała Becky, cedząc słowa. –

Uwa aj, Rachel! – krzyknęła po chwili.

Ostrze nie padło jednak za późno. Katie kopnęła napełniony talerz. Potoczył się po stole i wylądował na kolanach Roba.

– Och, nie! – Rachel ze zgrozy zapało dech w piersiach.

– O Bo e! – jęknęła Elisabeth.

– Katie Hennessey! – syknęła Becky.

– Do diabła! – ryknął Rob.

Zerwał się na równe nogi i próbował zetrzeć plamę ze swoich idealnie

odprasowanych

spodni

khaki.

Rachel

chwyciła

rozwrzeszczaną i wierzgającą Katie,

eby zapobiec dalszym

nieszczęściom. Przeraziła się na widok wyrządzonej szkody.

Szynka, ziemniaki puree, sos, makaron z serem, galaretka wiśniowa i owoce z sałatki – wszystko razem przyłgnęło do drogiej tkaniny.

– Wstydz się! – powiedziała Becky, obchodząc stół, eby odebrać z rąk siostry swoją najmłodszą, rozbrykaną pociechę.

Rachel zdumiała się, dostrzegając wściekłość w spojrzeniu Roba, skierowanym w stronę siostrzenicy. Przecie Katie była tylko małą dziewczynką. I zachowywała się w sposób typowy dla dzieci 243

w jej wieku. A szkoda z całą pewnością nie została wyrządzona rozmyślnie. Rachel po raz pierwszy ogarnęły wątpliwości, czy mę czyzna, z którym spotykała się od dwóch lat, będzie kiedyś dobrym i ciepłym ojcem.

– Strasznie mi przykro – Becky przeproszała Roba, starając się jednocześnie utrzymać na rękach dziecko, które wpadło w szal.

Elisabeth usiłowała przyjść Becky z pomocą i pogroziła palcem Katie.

– Jesteś nieznośna – szepnęła.

Starsze dziewczynki, najwyraźniej zawstydzone wybrykami siostry, niepostrzeżenie zniknęły z pola widzenia.

– Nie przejmuj się. To przecie nie twoja wina – powiedział

uprzejmie Rob, przypominając sobie o dobrych manierach. Z

ponurym wyrazem twarzy rozmazywał ligninową chustką plamę na spodniach.

Rachel zwilżyła wodą ze szklanki swoją serwetkę i uklękła, eby mu pomóc.

Ryk silnika za szlabanem, który blokował ulicę przy parkingu strażniczym, zwrócił uwagę Rachel. Zdziwiła się, e usłyszała motor pomimo panującego hałasu – głośnego łkania Katie, kocięj muzyki kapeli, syku rozgrzanego powietrza w balonie oraz paplaniny ludzi przy sąsiednich stołach. Nie miała wątpliwości, e to warkot motocykla Johnny'ego. Johnny zawrócił, zataczając szeroki łuk przed szlabanem i odjechał otwartą dla ruchu ulicą, zostawiając za sobą hałaśliwą biesiadę. Za nim siedziała kobieta.

Kask zakrywał jej twarz, ale Rachel dostrzegła jej figurę oraz rozwiane na wietrze jasne pasma włosów. Rozpoznała w 244

towarzyszce Johnny'ego Glendę Watkins.

Poczuła rozpacz.

245

Rozdział 27

– Czy masz jeszcze trochę piwa? – Johnny wyciągnął się wygodnie na zniszczonej kanapie w wagonie mieszkalnym Glendy.

Był zniecierpliwiony.

Odbiornik telewizyjny grał przeraźliwie głośno. Emitowano film z cyklu „Dziki Królestwo”, o motylach trucicielach znad Amazonki albo o czymś w tym rodzaju. Jeremy patrzył w telewizor jak zahipnotyzowany, leżąc na podłodze i podpierając na ręce głowę.

Na kolanach Johnny'ego siedział czteroletni Jake i te spoglądał w ekran, chocia Johnny był pewien, e dzieciak, podobnie jak i on, nie ma pojęcia, co się tam dzieje.

– Jest w lodówce – odparła Glenda. Kąpała w łazience swoje dwie dziewczynki.

Wagon był tak mały, e do salonu dobiegał plusk i chichot.

Johnny nie mógł zrozumieć, jak Glenda nie oszaleje, zajmując z czwórką dzieci tak niewielką powierzchnię mieszkalną. Składały się na nią dwie małe sypialnie, salon, w którym mieściły się zaledwie tapczan, jeden fotel i telewizor, maleńka kuchnia i równie mała łazienka.

– Jeremy, czy mógłbyś wyświadczyć mi przysługę i podać piwo? – Johnny zwrócił się do chłopca.

Odpowiedziało mu milczenie. Jeremy nie słyszał go, zbyt pochłonięty programem. Johnny w

pierwszej chwili zamierzał

powtórzyć prośbę głośniej, ale dał dzieciakowi spokój.

– No, stary, zmykaj! – powiedział do Jake'a, który pozwolił mu się zsadzić z kolan. Johnny wstał, przeciągnął się i poszedł w 246

skarpetkach do kuchni po piwo. Jego buty leżały gdzieś pod kanapą, zdjęte wcześniej przez dzieciaka, który zdradzał wielkie zainteresowanie sznurowadłami.

Gdy otworzył drzwi lodówki, zdziwił się widząc tylko jedno opakowanie z sześcioma puszkami piwa. Mógłby przysiąc, że były dwa. Czy by ju wypił a tyle?

Zresztą, czy to miało jakieś znaczenie? Otworzył kolejną puszkę.

– Hej, Johnny, rzuć mi cocę! – zawołał Jeremy przez ramię.

– adnej coki! – krzyknęła Glenda z łazienki.

Jeremy wzruszył ramionami, a Johnny nalał chłopcu szklankę mleka. Szczerze był poruszony faktem, że Glenda tak bardzo się stara być dobrą matką. Choćby to, że nalegała, by dzieci piły mleko zamiast musujących napojów. Codziennie wieczorem kąpała całą czwórkę. Młodszym czytała książki na dobranoc, chociaż – o ile Johnny się orientował sama nie brała do ręki adnej, z wyjątkiem kucharskiej. I nieodmiennie o szóstej wieczorem sprawdzała, czy Jeremy i starsza córka, Ashley, odrobili już lekcje. Glenda nie była wychowywana z taką troską. Wiedział, że jej dzieciństwo, podobnie jak i jego, było trudne. Szanował ją za to, że próbuje swoim dzieciom stworzyć lepsze warunki życia.

Od czasu kiedy zaczęli się ze sobą spotykać, pilnował, by lodówka Glendy nigdy nie była pusta. Sam jako dzieciak zbyt często chodził głodny, by myśleć ze spokojem o tym, że jej dzieci nie mają nic do zjedzenia.

– Uch – jęknął Jeremy, nie podnosząc wzroku, gdy Johnny postawił obok niego szklankę na podłodze.

247

– Proszę bardzo – odparł sucho Johnny i popijając piwo, z powrotem zajął miejsce na kanapie.

Mały Jake w jednej chwili wdrapał mu się na kolana i oparł

główkę na jego piersi. Biedny dzieciak niewiele widywał swojego ojca i najwyraźniej był spragniony męskiej uwagi.

– Opowiedz nam bajkę, opowiedz nam bajkę! – Ashley i jej młodsza siostra wypadły z łazienki, kilkoma suszami pokonały krótki korytarz i dopadły Johnny'ego. Świeżo wykąpane, z blond włosami upiętymi na czubkach głów i w słodkich koszulkach z koronkowymi abotami wyglądały tak uroczo, że Johnny wybaczył

im rozlane piwo.

– Ale eby nie była straszna – poprosiła go trzyletnia Lindsay, sadowiac się obok Jake'a na drugim wolnym kolanie.

– O potworach – zaproponowała złośliwie Ashley, która te przycupnęła mo liwie jak najbli ej Johnny'ego.

– Będę się bała! – wrzasnęła Lindsay, odpychając siostrę.

– Czy mogłybyście się uciszyć? – głośno upomniął je Jeremy.

– Marsz do łó ek! – Glenda wyszła z łazienki i klasnęła w dłonie. Miała przemoczony z przodu podkoszulek. Była bez stanika.

Johnny stwierdził to bez zainteresowania. Co się, u licha, z nim działo? Świadomość, e zna odpowiedź na to pytanie, nie poprawiła mu humoru. To nie Glenda była tą, której pragnął.

Tamta kobieta uczestniczyła w miejskim pikniku, z którego pewnie by go przegonili, gdyby się ośmielił na nim pokazać.

Przybyła w towarzystwie innego mę czyzny. Szanowanego obywatela miasta. I skończonego osła.

Johnny pociągnął jeszcze jeden solidny łyk piwa.

248

– Ojej, mamó! – zaprotestowała zgodnym chórem cała czwórka.

– Mówię powa nie. Czas do łó ek! Liczę do trzech... kto będzie ostatni, jutro w drodze do kościoła zajmie środkowe miejsce na tylnym siedzeniu.

Jej słowa odniosły natychmiastowy skutek. Cała trójka posłusznie zaczęła gramolić się z kanapy. Nawet Jeremy wstał z podłogi i wyłączył telewizor.

– To tylko twój wybieg, mamó. Wiem, e i tak będę musiał tam siedzieć, eby dzieciaki się ze sobą nie biły – stwierdził ponuro.

Zawsze jesteś ostatni w łó ku – odparła Glenda i przechodząc obok niego, zmierzwiła mu ręką włosy. Skierowała się do sypialni, która przylegała do salonu i którą dzieliła razem z dziewczętami.

Z korytarza dobiegło płaczliwe wołanie Jake'a:

– Boję się, mamó!

– Idź do niego, Jeremy – rzuciła Glenda przez ramię.

– Muszę?

– Tak!

– Cholera! – mruknął chłopak pod nosem, ale na jego szczęście matka ju tego nie usłyszała.

Johnny wypił do końca piwo i słysząc, e Glenda zaczyna czytać dziewczętom bajkę, otworzył kolejną puszkę. Z drugiej strony wagonu dobiegał głos Jeremy'ego. Chłopiec czytał

młodszeemu bratu. Od kiedy Johnny tu przychodził, zawsze tak było: Glenda czytała dziewczętom, a Jeremy małemu Jake'owi.

W końcu Glenda wyszła z sypialni, uśmiechnęła się do Johnny'ego i, cicho zamykając za sobą drzwi, przyłożyła palec do ust. A potem zajrzała do pokoju chłopców, eby powiedzieć im 249

dobranoc.

Johnny wysączył ostatnią kroplę płynu i udał się do kuchni po kolejny zapas. Sięgnął po puszkę i stwierdził, e nagle jest mu trudno wydobyć ją z plastikowego opakowania. Trzy ostatnie, razem zapakowane, spadły mu na palec u nogi.

– A niech to wszyscy diabli! – Piwo, które trzymał w ręce, z hukiem trzasnęło o ziemię i potoczyło się po podłodze.

Gdy Glenda wróciła z sypialni chłopców, Johnny podskakiwał na jednej nodze i głośno przeklinał. Spiorunowała go wzrokiem.

– Zachowuj się cicho!

– Uderzyłem się w palec u nogi!

– Mów ciszej!

Johnny podniósł opró nione opakowanie po sześciu puszkach.

Powiesił je sobie na palcu i ostro nie próbował postawić stopę na ziemi.

– Chcesz plaster? – spytała Glenda, nieczuła na jego ból.

Podeszła do telewizora i sięgnęła po wideokasetę.

Johnny mruknął coś w odpowiedzi, wcisnął trzy piwa z powrotem na półkę i podniósł swoją puszkę, która potoczyła się a pod szafkę. Zamknął lodówkę i utykając wrócił na kanapę. Przez grubą, białą frotową skarpetę zaczął sobie rozcierać palec. Obawiał

się, e jest złamany. Glenda wsunęła taśmę do magnetowidu, usiadła i przytuliła się do Johnny'ego.

Ju kiedyś widział ten film. Glenda patrząc w ekran, czule głaskała go po udzie. Zapewne na coś liczyła. Ale on nie miał na to najmniejszej ochoty. Dyskretnie sięgnął stopą pod kanapę w poszukiwaniu butów.

250

– Pójdę ju – oświadczył. Schylił się po obuwiu i wsunął je na nogi. Zawiązał sznurowadła, pociągnął ostatni łyk piwa i odstawił

puszkę na podłogę.

– Tak wcześnie? – zmarszczyła brwi.

– Wolf został sam w domu. Jeśli go nie wyprowadzę, zanieczyści mi pokój.

Wyprostował się z trudem. Stwierdził ze zdumieniem, e kręci mu się w głowie. Lekko się zachwiał.

– Ile piw dzisiaj wypiliśmy? – Glenda równie się podniosła i podtrzymała go w porę.

Wzruszył ramionami i cofając się przed nią, sięgnął do kieszeni po kluczyki.

Podeszła do lodówki, zajrzała do środka, wróciła i pokręciła głową.

– Nigdzie nie pojedziesz, przyjacielu – oświadczyła i zręcznie odebrała mu kluczyki.

– Oddaj mi to!

– Nie oddam! – Schowała je za siebie i zrobiła krok do tyłu. –

Za du o wypiliśmy i dobrze o tym wiesz.

– Wcale nie. Oddawaj. – Johnny podszedł do niej i otoczył ją ramionami, próbując wyrwać kluczyki z jej palców.

– Złapią cię za prowadzenie po pijanemu i z powrotem odeślą do więzienia.

Słowa Glendy na moment go ostudziły.

– Nie jestem pijany.

– Jesteś.

Zrezygnowany z powrotem opadł na kanapę.

251

– A więc spędzę noc tutaj – oświadczył, dobrze wiedząc, co ona sądzi o tym pomysle.

– Nie mo esz tego zrobić! Gdyby Tom się o tym dowiedział, wykorzystalby to na sprawie rozwodowej.

– A więc oddaj mi je.

Glenda stała przez chwilę niezdecydowana. Nerwowo obgryzała paznokiec. Zawiesiła kluczyki na palcu drugiej dłoni. Gdyby rzucił

się po nie, mógłby je odebrać, ale nie miał ochoty się z nią szamotać.

– Nie musisz sam prowadzić. Przecie mo esz zostać odwieziony do domu – stwierdziła po chwili.

Johnny zastanowił się nad tą zadziwiająco rozsądną propozycją.

Doszedł do wniosku, e pomysł z taksówką wcale nie jest zły. Tym bardziej e faktycznie miał trochę w czubie.

Glenda poszła do sypialni, eby zatelefonować.

Johnny oparł się o poduszki. Kanapa miała złamaną nogę. Stała podparta na słowniku oraz na jakiejś powieści miłosnej. Ale pomimo to była zdumiewająco wygodna. Zielona narzuta z kordonku słu yła równocześnie za przykrycie. Johnny walczył z sennością.

– Tylko nie zaśnij – upomniała go Glenda, cię ko sadowiąc się obok niego i z powrotem włączając telewizor. – Będę musiała sprowadzić dźwig, eby cię ruszyć z miejsca.

– Nie zasnę.

Przez jakiś czas oboje milczeli. Glenda oglądała film, a Johnny bezmyślnie patrzył przed siebie. Po chwili Glenda obrzuciła go wzrokiem.

252

– Jak to mo liwe, e nie masz ochoty?

– Na co?

– Dobrze wiesz, na co. Wzruszył ramionami i objął ją.

– Dlaczego sądzisz, e nie mam?

– Przecie widzę. – Przesunęła dłonią po jego kroczu. Jej gest nie miał w sobie nic prowokującego. Był trzeźwym stwierdzeniem faktu.

Johnny podskoczył jak oparzony, chwycił rękę Glendy i poło ył

ją z powrotem na jej kolanach.

– Być mo e jest tak, jak twierdzisz i faktycznie za du o wypięm.

– Przedtem nigdy ci to nie przeszkadzało.

– Byłem o jedenaście lat młodszy, Glendo.

Przez kilka minut nie odzywali się do siebie. Johnny pomyślał, e być mo e Glenda wciągnęła się w akcję filmu. Miał nadzieję, e usłyszał ju wszystko, co miała na ten temat do powiedzenia.

– Johnny?

– Słucham?

– Czy mogę cię o coś zapytać?

– Pewnie bym nie zdołał cię powstrzymać nawet wtedy, gdybym cię przydusił poduszką – odparł kwaśno. Domyślał się, e go zapyta, dlaczego nie jest podniecony, a właśnie o tym nie chciał

z nią rozmawiać. Było mu wstyd, e go zawodzi własne ciało. W

ubiegłym tygodniu, zanim się nie uwikłał w romans z Jej Wysokością Wielmo ną Nauczycielką, bez problemu mógł się kochać z Glendą. Po ądanie przychodziło zupełnie naturalnie, wtedy kiedy powinno.

253

– Czy łączy cię coś z panną Grant?

– Proszę? – niemal krzyknął, gwałtownie odwracając w jej stronę głowę. Jedenaście lat temu nie potrafiła czytać w myślach.

– Dobrze słyszałeś.

Upłynęła chwila, zanim odzyskał równowagę.

– Skąd się wzięło to przypuszczenie?

– Coś w brzmieniu jej głosu wydało mi się zastanawiające.

– W brzmieniu jej głosu? – Z pewnością za du o wypięł, gdy prowadząc tę rozmowę, poczuł się zamroczony.

– Tak. Odniosłam wra enie, e nie jest zachwycona twoją obecnością u mnie. Wydała mi się sztywna. Nie była tak jak zwykle miła i przyjacielska.

– Kiedy wydała ci się sztywna?

– Gdy z nią rozmawiałam.

Johnny zazgrzytał zębami. Zaczął nabierać podejrzeń. Były tak straszne, e bał się wypowiedzieć je na głos.

– A kiedy z nią rozmawiałaś?

– Przed chwilą. Poprosiłam, eby po ciebie przyjechała.

– Cholera jasna! – Zeskoczył z kanapy i spojrzał z wściekłością na Glendę. Pokój ponownie zawirował mu przed oczami, lecz zdołał się jakoś utrzymać na nogach.

– Co cię podkusiło, eby do niej telefonować? Myślałem, e dzwonicz po taksówkę!

Wiesz przecie , e w całym Tylerville są tylko dwie. A ich kierowcy z pewnością jeszcze nie wrócili z pikniku. Zupełnie o tym zapomniał.

– A niech to wszyscy diabli! – powiedział ze złością. Podszedł

254

do telewizora, chwycił kluczyki, które Glenda położyła na odbiorniku, i ruszył w stronę wyjściowych drzwi.

– Stój, Johnny. Nie mo esz odjechać!

– A kto mi zabroni?

Glenda wyszła za nim na dwór. Załamywała ręce.

– Ale ona ju tu jedzie. Będzie za kilka minut! Co sobie pomyśli, jeśli na nią nie zaczekasz? A poza tym jesteś pijany. Nie mo esz w takim stanie prowadzić motocykla.

– Mam w nosie, co sobie o mnie pomyśli szanowna pani profesor. I wcale nie jestem pijany.

Podszedł do maszyny i złożył podpórkę. Przez chwilę mocował

się z cię kim pojazdem, choć zwykle nie miał z tym problemu.

– Oddaj mi kluczyki!

Zeszła za nim na wysypany wiarem podjazd. ółta lampa przy bramie wjazdowej dawała nikłe światło. Pomimo to Johnny stwierdził, e Glenda naprawdę jest zdenerwowana.

Postawił motor z powrotem na podpórce i wziął ją w ramiona.

– Hej, nie martw się. Bezpiecznie dojadę do domu – uspokajał ją łagodnym tonem.

Przyglądała mu się przez chwilę bez słowa. Gdy dzienne światło nie demaskowało jej zmarszczek, wydawała się równie młoda, jak przed wielu laty. Wtedy ich związek równie bazował bardziej na

przyjacielskich uczuciach ni na miłości. Johnny poczuł nagle, e jest bardzo przywiązany do Glendy.

– Lubisz pannę Grant, prawda?

Zamierzał skłamać, ale był zbyt rozdrażniony, pijany i zmęczony, by nadal prowadzić z nią głupią grę.

255

– To prawda. Bardzo ją lubię.

– Rozumiem. To kobieta z klasą. Ale czy nie jest dla ciebie odrobinę za stara?

Johnny wzruszył ramionami.

– Oboje jesteśmy dorosłymi ludźmi.

– Sypiasz z nią?

Johnny wypuścił Glendę z uścisku i odwrócił się do niej tyłem.

– Chyba się nie spodziewasz, e odpowiem na to pytanie? –

Chwycił za kierownicę, złożył kopnięciem podpórki i dosiadł motocykla.

– Zaczekaj, Johnny! – Przywarła do niego zarzucając mu ręce na szyję.

Zmierzył ją niechętnym wzrokiem, nie ukrywając irytacji.

– Pozwól mi odjechać, Glendo.

– Zadając się z nią, narazasz się tylko na upokorzenia. Ona należy do innej sfery ni ty. Ni my.

– To moja sprawa, nie sądzisz? A teraz puść mnie, z łaski swojej, dobrze?

– Ale... – Glenda omiotła wzrokiem ciemną przestrzeń, a gdy znowu spojrzała na Johnny'ego, na jej twarzy malowała się rezygnacja. – Tak, masz rację. To twój problem. Bądź ostrożny, słyszysz? Nie chciałabym usłyszeć jutro rano, e zostałeś

aresztowany albo e miałeś jakiś poważny wypadek.

– Będę ostrożny, obiecuję. – Zaskoczony jej kapitulacją prędko pocałował ją w policzek i przekręcił kluczyk w stacyjce.

To prawda, e trochę szumiało mu w głowie, ale przecie potrafił prowadzić swoją maszynę nawet z zamkniętymi oczami.

Dlaczego miałby nie dojechać do domu?

Pomachał Glendzie na pożegnanie i odjechał z rykiem silnika w noc.

Rozdział 28

Glenda objęła się ramionami i patrząc za nim stała z posmutniałą twarzą. Nie widział tego, co ona: niebieskiego samochodu, który się wyłonił zza zakrętu i przejechał obok latarni na drugim końcu osiedla z wagonami mieszkalnymi. Należał do Rachel Grant. Zagraniczna marka pojazdu była nietypowa w Tylerville i Glenda od razu ją rozpoznała.

Johnny był na nią wściekły, a zatem dzwoniła do pani Grant.

Ale do kogo miała się zwrócić o pomoc? Nikt spośród znanych jej mieszkańców miasta nie wpuściłby Johnny'ego Harrisa do swojego samochodu. Większość z nich uważała, że to on zabił dziewczynę.

Glenda była jednak przekonana, że Johnny jest niewinny. Zнали się od dziecka. Nigdy nie widziała, aby podniósł rękę na kobietę. A człowiek, który nie jest zdolny do tego, aby uderzyć, tym bardziej nie może popełnić morderstwa. Byłaby skłonna dać wiarę, że podczas pijackiej bójki zabił drugiego mężczyznę, ale nigdy nie uwierzyłaby w to, że zamordował kobietę. A już na pewno nie w tak bestialski sposób. Takiej zbrodni mógł się tylko dopuścić jakiś szaleniec.

Przypuszczała, że Johnny będzie bardzo zły, gdy stwierdzi, że i tak nie zdoła uniknąć spotkania z panią Grant. Dojazd do osiedla z wagonami nie był na tyle szeroki, aby mogły przejechać obok siebie dwa pojazdy. Nie zauważyła, że nauczycielka zjechała na pobocze, przepuszczając Johnny'ego. Glenda uprzedziła ją, że jest jak skunks pijany i że może się zabić, nim przejedzie kilometr.

Johnny i pani Grant. Była zdumiona, że nie wpadła na to 258

wcześniej. Zawsze miał słabość do nauczycielki. Czytywał książki i pisał wspaniałe wypracowania, aby jej zaimponować. Zawsze w jej obecności zachowywał się nad wyraz poprawnie. A od chwili swojego powrotu spędzał z nią wiele czasu. Pani Grant zaoferowała mu nawet pracę.

Była ładną i bardzo zadbaną kobietą. Chociaż jej przesadnie staranny sposób ubierania się znacznie odbiegał od stylu, jakiemu hołdowała Glenda. I pani Grant prawie zupełnie nie miała biustu.

Za to, pomimo swojego wieku, mogła się poszczycić wyjątkowo dobrą cerą, a jej nieco wyniosły sposób bycia z pewnością wydawał

się bardzo podniecający mężczyźnie o niskim pochodzeniu. Glenda była przekonana, że Johnny traktuje ją jako wyzwanie.

Glenda nie wyrzekła się do końca swoich nadziei. Łudziła się, e pomimo wszystko zdoła Johnny'ego przy sobie zatrzymać.

Zale ało jej na nim, zresztą nie z powodu płomiennej miłości, ale dlatego, e był dobry dla dzieci.

– Glenda! – wyrwał ją z zadumy szept. Zaalarmowana rozejrzała się wokół, próbując przeniknąć wzrokiem otaczającą ją z trzech stron ciemność. Tylko z tyłu, za jej plecami, nikłe światło latarni rozpraszało mrok.

– Kto tam jest? – Z niewiadomego powodu ogarnął ją strach.

Skarciła się w myślach za własną głupotę. W Tylerville nie miała się czego obawiać. Nie licząc niegroźnych szkód, jakie sporadycznie wyrządzała

bezmyślna

młodzie , takich

jak

potłuczone latarnie czy poodrywane skrzynki na listy, nie dokonywano w tym mieście powa nych przestępstw. Od jedenastu lat nie zdarzył się tu aden akt przemocy.

259

– Czy mogłabyś mi podać rękę?

Szept musiał pochodzić od pana Janusky, słabowitego, osiemdziesięcioletniego staruszka, który mieszkał w sąsiednim wagonie. Pan Janusky przechodził właśnie grypę i pewnie dlatego jego głos miał nieco zmienione brzmienie. Ale co staruszek o tak późnej porze robił poza domem? Dochodziła dwunasta, a on zwykle ju o dziewiątej był w łó ku.

– Czy to pan, panie Janusky?

– Tak. Pospiesz się, Glendo.

Głos dobiegał z ciemności, z miejsca na lewo od wagonu, w którym stał zbiornik na odpadki. Być mo e staruszek wyszedł z domu, eby wyrzucić śmiecie, i stwierdził, e nie jest w stanie dosięgnąć do otworu pojemnika.

– Gdzie pan jest? – Glenda ruszyła w kierunku głosu, starając się nie poddawać uczuciu paniki.

– Tutaj.

Zrobiła kilka kroków zagłębiając się w ciemność i zamarła w bezruchu. Ogarnęło ją bezgraniczne przera enie. Ale zanim zdołała cokolwiek zrobić: rzucić się do ucieczki, krzyknąć, wykonać bodaj jeden ruch – coś twardego roztrzaskało się na jej głowie. Cios był

zadany z obezwładniającą siłą, która zwała ją z nóg. Tracąc świadomość, w ułamku sekundy zobaczyła przed oczami wszystkie gwiazdy.

Gdy odzyskała przytomność, poczuła ostry ból i paniczny strach. Ktoś dźgał ją nożem. I to wielokrotnie, w ataku dzikiej furii.

Zawyła, unosząc rękę w daremnym wysiłku odparcia napastnika. W

przebiegu świadomości pojęła, że jest mordowana.

260

W owej krótkiej chwili arliwie się modliła:

– Och, proszę cię, Boże, nie pozwól, abym osierociła dzieci!

Nie dopuść do tego, by zostały same!

A potem ponownie spowiała ją ciemność i oddzieliła od rzeczywistości niczym ciężka welurowa kurtyna.

261

Rozdział 29

Lepiej.

Obserwator

poczuł

się

lepiej.

Teraz,

kiedy

sprawiedliwości stało się zadość, miał wrazenie, że jest

oczyszczony. Wszędzie było mnóstwo krwi. Wchłaniał znajomy zapach z narastającym zadowoleniem i pocierając poplamione ręce, rozkoszował się ciepłem, wilgocią i śliskością płynu życia.

Podobnie jak tamta kobieta jedenaście lat temu, ta również zasłużyła sobie na śmierć. Obserwator napawał oczy widokiem ofiary. Leżała nieruchomo na ziemi, miała poszarpane i pokrwawione ciało, była teraz spokojna i niezdolna do walki. Nie czuł dla niej ani odrobiny współczucia.

Powoli ukląkł, sięgając po ciemnoczerwone ró e, które miały być hołdem dla odchodzącej duszy. Szybkim ruchem rozrzucił

lepkimi od krwi dłońmi aksamitne płatki po wciąż jeszcze ciepłym ciele.

Kwiat złotokapu dla jednej, która była młodsza, choć wcale nie niewinna. I lekko przekwitłe ró e dla drugiej.

Znakomite zestawienie, pomyślał obserwator, i zniknął w ciemnościach.

262

Rozdział 30

Rachel niemal w ostatniej chwili nacisnęła hamulec. Zaraz potem, gdy w jasnym snopie przednich świateł dostrzegła motocykl Johnny'ego, który zbli ał się do niej z zawrotną szybkością. Johnny musiał zauwa yć ją mniej więcej w tym samym czasie, ponieważ gwałtownie zwolnił i zjechał na lewą stronę, a jego pojazd wzbił się w górę i wyleciał z drogi.

Gdy Rachel wysiadła z samochodu, motocykl le ał przewrócony na trawie, kręciły się koła w powietrzu, a Johnny powoli zbierał się z ziemi. Był wściekły. Usiadł przy swojej maszynie i zaklął pod nosem.

– Dobry Bo e! Czy nic ci się nie stało? — Rachel podbiegła, pochyliła się nad nim, dotykając dłonią jego ramienia, i zajrzała mu w twarz ukrytą pod srebrnym kaskiem.

– Dziękuję, wszystko w porządku – mruknął, stając chwiejnie na nogach. Przez chwilę manipulował przy zapięciu koło ucha. W

końcu udało mu się ściągnąć kask.

– Jesteś pijany – stwierdziła Rachel, cofając się o krok. W

nozdrza uderzył ją odór piwa. – Gdy twoja przyjaciółka do mnie zatelefonowała, nie chciałam uwierzyć, e zamierzasz prowadzić motocykl po wypiciu dziewięciu piw. Ale widocznie jesteś głupszy, ni sądziłam.

– Wypiłem najwy ej sześć, mo e siedem – usprawiedliwiał się naburmuszony. – I wcale nie jestem pijany. Jestem tylko na lekkim rauszu.

– Ach tak? To dlaczego rozbiłeś motocykl? – spytała z 263

wściekłością.

– To przez ciebie zjechałem z drogi!

– Miałam włączone światła i poruszałam się z dozwoloną prędkością. Zobaczyłeś mnie zbyt późno

tylko dlatego, e jesteś pijany!

– Wcale nie jestem!

– Oczywiście e jesteś.

Przez moment niemal stykali się nosami. Rachel odrzuciła do tyłu głowę, wzięła się pod boki i nie ukrywając złości, zmierzyła Johnny'ego od stóp do głów. Odpowiedział jej równie nieprzyjaznym spojrzeniem. A potem skupił uwagę na swoim zniszczonym motocyklu.

– Spójrz tylko, co zrobiłaś – powiedział niemal płaczącym głosem. Odwrócił się od niej i pochylił nad pojazdem.

– Sam wyrządziłaś sobie szkodę. Ciesz się, e yjesz.

– To prawda. Mogłem zginąć, gdybym nie poło ył maszyny na bok. Czy widzisz tamten dąb? Zmierzałem prosto w jego stronę.

Rachel spojrzała we wskazanym kierunku i zadr ała. Johnny chwycił motocykl za kierownicę, podniósł go z ziemi, oparł na podpórcie

i

przyglądał

mu

się

uwa nie

z

wyraźnym

zaniepokojeniem. Woń rozlanego paliwa była jeszcze silniejsza ni odór piwa.

Johnny przykucnął przy tylnym kole.

– Cholera, złapałem gumę. – Niezadowolony podniósł się z miejsca. – A to pech!

Zawahał się, obrzucając Rachel zaczepnym spojrzeniem.

– Będziesz musiała mnie podwieźć do domu.

264

– Właśnie po to tu przyjechałam.

– Jutro wrócę po motocykl.

– Dobrze.

Rachel skierowała się w stronę samochodu, który stał na światłach na środku drogi i miał włączony silnik. Drzwi od strony kierowcy były szeroko otwarte. Rachel nie obejrzała się, eby sprawdzić, czy Johnny idzie za nią.

Kilka sekund później wsunął się do środka, zajmując miejsce obok niej i wrzucił na tylne siedzenie dwa kaski.

Zawróciła i bez słowa ruszyła w stronę miasta. Nie dawała jej spokoju myśl, e Johnny był przed chwilą w objęciach Glendy Watkins. Dręczyła ją zazdrość. Ale czego mogła się spodziewać po Johnnym Harrisie? Przecie wiedziała,

e jest nałogowym

kobieciarzem.

Przyłapała się na tym,

e rozumuje w sposób równie

stereotypowy jak reszta miasta. Johnny na pewno by się nie spotykał z Glendą, w ka dym razie Rachel miała taką nadzieję, gdyby sama nie dała mu odprawy. Myśl ta sprawiła jej ból.

Johnny włączył radio. Zespół Rolling Stones w jednym ze swoich starych przebojów ze złotej płyty zawodził o braku satysfakcji. Johnny spojrział groźnie na odbiornik, pokręcił gałką i znalazł ogólnokrajową stację.

– Dobrze bawiłaś się na pikniku? – spytał nagle. Spojrzała na niego z ukosa.

– Tak. Cisza.

– Przykro mi, jeśli zakłóciłem ci wieczór.

– Powinno ci być przykro, gdy istotnie tak się stało.

265

– Mam nadzieję, e narzeczony nie miał do ciebie pretensji?

– Nie, nie miał.

– Nadal z nim sypiasz? Spojrzała na niego z wściekłością.

– Przede wszystkim nigdy nie mówiłam, e z nim sypiam. A wiesz dlaczego? Bo to nie twoja sprawa.

– Nie moja? – Nie. Cisza.

– Czy miałaś jakieś nieprzyjemności za to, e przyszedłem wtedy po ciebie pod szkołę?

– A czy to ciebie w ogóle cokolwiek obchodzi? – Tak.

Zaskoczona, gwałtownie odwróciła głowę w jego stronę.

Spodziewała się jakiejś wymyślnej i pokrętej odpowiedzi, a nie spokojnego potwierdzenia.

– Niewielkie.

– Przykro mi. Powoli mijała jej złość.

– To nie twoja wina.

Doje d ali do przedmieść i Rachel skręciła w Main Street. Sklep z artykułami elastycznymi znajdował się trzy bloki dalej, po lewej stronie.

– Masz klucze? – spytała, zatrzymując się na parkingu.

– Tak. – Na dowód zadzwonił zawieszonym na palcu kompletem kluczy.

– Wobec tego yczę ci dobrej nocy.

Patrzył na nią, ale w ciemnościach nie mogła odczytać wyrazu jego twarzy. Nie wyłączyła silnika, dając mu do zrozumienia, e tylko czeka, by wysiadł.

– Rachel – powiedział cicho – wejdiesz na górę?

– Nie.

266

– Nadal potrzebujesz czasu?

Zacisnęła usta i z błyskiem w oczach spojrzała w jego stronę.

– Tak, potrzebuję. Potrzebowałyby go ka da kobieta przy zdrowych zmysłach. Spójrz tylko na siebie. Upiłeś się, i to nie po raz pierwszy! Rozbijasz się na motocyklu niczym jakiś wyrostek! I zachowujesz się tak, jak gdybyś szukał śmierci! Sypiasz z ró nymi kobietami, nosisz długie włosy, masz straszne maniery i jesteś pełen pretensji do całego świata! Twierdzisz, e zrobiłeś maturę. A czy pomyślałeś o tym, eby to jakoś wykorzystać? Nie sądzę. Spędziłeś wieczór ze swoją dziewczyną. Dobrze, e chocia ona miała tyle rozumu, e nie pozwoliła ci wracać po pijanemu do domu. A teraz masz czelność mnie prosić, ebym weszła z tobą na górę? Co masz mi do zaoferowania? No proszę, odpowiedz na to pytanie!

Po jej słowach zaległo długie, pełne napięcia milczenie. Rachel poczuła się nieswojo. Spostrzegła, e Johnny powoli sztywnieje.

– Wspaniały seks?

Pytanie zawisło pomiędzy nimi w powietrzu. Rachel poczuła, e narasta w niej złość, która za kilka sekund przerodzi się w atak furii.

Nigdy nie podejrzewała, e jest zdolna do tak silnego wzburzenia.

– Wsiadaj! – powiedziała cicho dr ącym z wściekłości głosem.

A potem, kipiąc gniewem, zaczęła coraz głośniej wykrzykiwać: –

Wynoś się z mojego samochodu! Wynoś się z mojego ycia!

Wynoś się! Wynoś!

Wyłączyła silnik i bezskutecznie próbowała wypchnąć Johnny'ego z pojazdu. Popłakała się pod wpływem własnej bezsilności. Miała ochotę kopać, wierzgać i wrzeszczeć jak Katie w napadzie złego humoru. Sama nie wiedziała, czego jeszcze mo e się 267

po sobie spodziewać, gdyby nie otworzył drzwi i nie wysiadł.

– Jak sobie yczysz, kochanie – powiedział z bezczelnym uśmiechem na ustach. A potem zatrzasnął drzwi i ruszył przed siebie z zadzierzystą miną.

Gdy zaczął wchodzić po schodach na górę, Rachel, dygocząc z oburzenia, wrzuciła wsteczny bieg i biorąc ostry zakręt, pośpiesznie odjechała z parkingu.

268

Rozdział 31

Szykowali się do kościoła, gdy zadzwonił telefon. Rachel była ju niemal gotowa. Musiała jeszcze tylko wło yć na siebie ró owy lniany kostium. Wpinała właśnie we włosy Loren kokardę o ywym odcieniu błękitu, a Becky usiłowała obuć wiercącą się Katie.

– Telefon do ciebie, Rachel – zawołała z dołu Tilda.

– Rob? – zainteresowała się Becky, unosząc w górę brwi.

Rachel wzruszyła ramionami i zbiegła po schodach. Chwilę potem, gdy odkładała słuchawkę, miała posępną minę.

– Kto to był, kochanie? – spytała Tilda, podnosząc wzrok znad zmywarki, do której wkładała naczynia po śniadaniu, i badawczo przyglądając się twarzy Rachel.

– Muszę pojechać na posterunek policji.

– Co takiego? – zaniepokoiła się Becky. Usłyszała oświadczenie siostry w chwili, gdy schodziła po schodach, niosąc na rękach swoją najmłodszą pociechę.

– Proszę, ebym natychmiast przyjechała. Nie wyjaśnili, co się stało. – Rachel była jednak pewna, e sprawa, w której została wezwana, ma związek z Johnnym. Z pewnością znowu się wpędził

w jakieś kłopoty. Czy by jeszcze dokądś wychodził w nocy?

– W niedzielę rano? – spytała z niedowierzaniem Becky. A co z kościołem?

– Postaram się zdążyć na czas. – Rachel spojrzała na zegar ścienny. Msza rozpoczynała się dopiero za godzinę.

Zawsze moesz pójść wieczorem ze mną i z J.D. – zauważyła Tilda, wlewając detergent do zmywarki. Tilda należała do innego 269

kościółka ni Grantowie, ale w przeszłości Rachel i Becky niejednokrotnie towarzyszyły jej w nabożeństwach. I chociaż wśród wiernych przeważali Murzyni, wszyscy byli tam mile widziani.

Poza tym ka dy wiedział, e dziewczęta Grantów są dla Tildy niczym jej własne córki. Czy wiesz, e teraz Tanya jest liderką chóru? – Tanya była najmłodszym dzieckiem Tildy.

– Naprawdę? Chciałabym ją usłyszeć. Ale mam nadzieję, e zdołam dołączyć w kościele do mamy i Becky.

– Czy sądzisz, e to moe mieć coś wspólnego ze sklepem...

albo z tym Harrisem? – spytała Becky. Posadziła Katie na podłodze i spojrzała zaniepokojona na siostrę.

Rachel wytrzeszczyła na nią oczy.

– Mama powiedziała ci o nim? – spytała wzdychając.

– Oczywiście.

Oczywiście. Rachel powinna pamiętać o tym, e Elisabeth zwierza się ze wszystkiego swojej młodszej córce.

– Prawdopodobnie chodzi o sklep. Mo e jakiś dzieciak rzucił

kamieniem w witrynę?

– Mo e.

Rachel wynioskowała z tonu Becky, e siostra sceptycznie odnosi się do jej domysłów. Wolała nie zastanawiać się nad tym, czego się dowiedziała od Elisabeth na temat stosunków łączących ją z Johnnym.

– Najlepiej zrobię, jeśli od razu tam pojadę i wszystkiego się dowiem.

Gdy odeszła, Becky i Tilda popatrzyły na siebie znacząco.

270

Kilka minut później, ju w stroju wyjściowym i z kluczykami w dłoni, Rachel zajrzała do nich do kuchni. Dziękowała Bogu za to, e Elisabeth wciąż jest na górze. Becky i Tilda pochylały głowy nad zmywarką. Przerwały rozmowę na widok Rachel.

– Beck, poinformuj mamę, dokąd pojechałam. Powiedz jej, e postaram się zdążyć na mszę. Gdyby to okazało się niemożliwe, wrócę prosto do domu. Postaraj się ją powstrzymać, gdyby chciała przyjechać na posterunek, dobrze? Bardzo cię o to proszę.

– Zrobię, co tylko będę mogła. – Becky pokręciła współczująco głową. – Ale dobrze wiesz, jaka ona jest.

– Tak, wiem doskonale. – Uśmiechnęły się do siebie z siostrzaną czułością, a potem Rachel odjechała.

Posterunek policji był usytuowany w małym budynku z czerwonej cegły na Madison Street – w odległości około ośmiuset metrów w kierunku południowym od sklepu z artykułami elastycznymi

– na samych obrzeżach śródmieścia. Rachel miała okazję zaledwie kilka razy przebywać w środku. Jak na niedzielne popołudnie na parkingu panował niespotykany tłok. A gdy Rachel weszła do biura oficera dyurnego, zdziwiła się, e a tak wielu funkcjonariuszy pełni dzisiaj służbę.

Podłoga pomieszczenia była wyłożona linoleum, a umeblowanie stanowiły krzesła z winylu. Rachel w pierwszej chwili nie zastanawiała się nad tymi wszystkimi szczegółami. Zauważyła je tylko i odnotowała w pamięci. Przypomniała sobie o nich dopiero potem.

– Dzień dobry. Poproszono mnie, ebym się tutaj stawiła –

zwróciła się do młodego oficera w okienku. Nie przypominała sobie 271

jego twarzy. Przypuszczała, e musiał przybyć do miasta niedawno.

– Panna Grant? – Tak.

– Chwileczkę. – Policjant podniósł słuchawkę telefonu, który stał z boku na pulpicie metalowego biurka, nacisnął guzik i powiedział: – Przyszła panna Grant.

– Czy może mi pan powiedzieć, o co chodzi? – spytała Rachel, gdy odłożył słuchawkę na widełki.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Musi pani zapytać o to samego szefa.

Zdumiona Rachel zamierzała się właśnie dowiedzieć, co pan Wheatley robi w niedzielę w pracy – nale ał przecie do tego samego kościoła, co Grantowie, i razem z oną nie opuścili ani jednej mszy – gdy naczelnik zjawił się we własnej osobie w drzwiach, które prowadziły do biur w głębi budynku i do cel więziennych.

– Rachel – uśmiechnął się do niej na powitanie. Wzmogła czujność. Zauwa yła, e szef policji wygląda na zmęczonego i e jest w ponurym nastroju. Dostrzegła worki pod jego oczami i szary odcień czerstwej zwykle cery.

– Co się stało?

– Chodźmy do mojego biura. Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Przytrzymał jej drzwi. Rachel, coraz bardziej zdenerwowana rozwa aniem ró nych mo liwości, prędko pokonała krótki korytarz i usiadła na twardym popielatym krześle, które stało w małym gabinecie szefa policji.

Naczelnik Wheatley zamknął za sobą drzwi i zajął miejsce za 272

biurkiem. Pomieszczenie miało tylko jedno okno, które wpuszczało do środka niewiele dziennego światła. W ostrym blasku neonowej lampy wszystko wyglądało niekorzystnie obskurne linoleum, brązowawy metalowy blat biurka i zmęczona, mizerna twarz naczelnika. Rachel mogła sobie jedynie wyobrazić swój własny wygląd w tym bezlitosnym oświetleniu.

– Co się stało? – powtórzyła, splatając dłonie na kolanach.

– Najpierw muszę ci zadać kilka pytań – oznajmił. – Czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli nagram twoje zeznania?

– Oczywiście e nie.

– Dziękuję. Nagranie mo e okazać się pomocne, gdyby w przyszłości wynikły jakieś nieporozumienia. – Naczelnik wydobył z dolnej szuflady biurka mały przenośny magnetofon i uruchomił go.

A potem rozparł się w fotelu, przyglądając się Rachel spod w półprzymkniętych powiek. Zało ył ręce na brzuchu, który, jak zauwa yła, w ostatnim czasie lekko się zaokrąglił. Wheatley musiał

być blisko sześćdziesiątki. Świadczyły o tym jego posiwiałe i przerzedzone włosy oraz obwisły podbródek.

– Byłaś wczoraj na pikniku z okazji Święta Pracy, prawda? –

zapytał.

Skinęła głową i przypominając sobie o magnetofonie, powiedziała na głos: – Tak.

– A co robiłaś potem?

– Wróciłam do domu. Dlaczego pan pyta?

– I to ju wszystko?

– Nie. Pojechałam jeszcze później po... znajomego, który za du o wypił i nie mógł sam prowadzić pojazdu.

273

– Co to za znajomy?

Rachel zrozumiała, e nie zdoła uniknąć wymienienia na głos nazwiska Johnny'ego.

– Johnny Harris.

– Pojechałaś po Johnny'ego Harrisa, poniewa za du o wypił i sam nie był w stanie prowadzić pojazdu, czy tak?

– Dokładnie tak.

– Dokąd po niego pojechałaś?

– Na osiedle wagonów mieszkalnych, za miastem, nad rzeką.

Zapomniałam nazwy.

– Appleby Estates?

Rachel skinęła głową i ponownie przypomniała sobie o magnetofonie.

– Tak – przytaknęła na głos.

– Czy to Harris do ciebie zatelefonował, ebyś go stamtąd zabrała?

– Nie. Poprosiła mnie o to Glenda Watkins.

– Ach tak. – Palce na brzuchu naczelnika drgnęły konwulsyjnie.

– O której to było godzinie?

– Około jedenastej, jak sądzę. Mo e trochę później. Dlaczego pan pyta?

– Zaraz do tego dojdziemy. Najpierw muszę poznać nieco więcej szczegółów. Czy podczas rozmowy nie odniosłaś wrażenia, że pani Watkins jest zdenerwowana?

– Nie.

– Czy pojechałaś po Harrisa, żeby go odwiedzić do domu?

– Tak.

274

– O której to było?

Rachel zastanawiała się przez chwilę.

– Zanim tam dotarłam, minęło prawdopodobnie jakieś pół

godziny, ponieważ przedtem musiałam się ubrać. Sądzę, że na miejscu byłam około jedenastej trzydzieści.

– Opowiedz mi dokładnie, co się wtedy wydarzyło, Rachel. To bardzo ważne, dlatego staraj się nie pominąć żadnego szczegółu.

Zacznij od rozmowy telefonicznej z panią Watkins. Powtórz jak najdokładniej wszystko, co wtedy powiedziała.

Rachel odtworzyła mu rozmowę, a potem mówiła po kolei o tym, jak się ubrała, pojechała na osiedle wagonów mieszkalnych, i w końcu, raczej niechętnie, o swoim spotkaniu z Johnnym. Jeśli wezwano ją tutaj z powodu jego jazdy po pijanemu, a podejrzewała, że tak właśnie jest, to nie chciała wpędzać go w jeszcze większe kłopoty. Chociaż w pełni sobie na niego zasłużył.

– A więc rozbił motocykl.

– Tak.

– Czy był pijany? Rachel zacisnęła usta.

– Tak, miał trochę w czubie.

– Czy był poczytalny? Czy w pełni zdawał sobie sprawę z tego, co robi? Czy wydawał ci się... całkiem normalny?

Rachel uniosła w górę brwi.

– Był tylko trochę wstawiony, ale zachowywał się normalnie.

– Co miał na sobie? Rachel nie ukrywała zdziwienia.

– Był w niebieskich dżinsach, podkoszulku i sportowych butach.

– Czy nie zauważyłaś na jego odzieży jakichś plam albo odbarwień?

275

– Nie. Przypuszczam, że musiał pobrudzić sobie spodnie od trawy podczas upadku, ale nie zwróciłam na to uwagi.

– A zatem nie zauważyłaś niczego niezwykłego ani w jego zachowaniu, ani w ubiorze?

– Nie zauważyłam.

– Dobrze. A co się stało potem, gdy wsiadł do twojego samochodu?

– Odwiozłam go do domu.

– Która mogła być godzina, gdy dojechaliście na miejsce, jak sądzisz?

– Przypuszczam, że było około północy. – I co się działo dalej?

– On poszedł do swojego mieszkania. A ja wróciłam do domu.

– Wszedł do swojego mieszkania około północy. Czy pamiętasz moment, gdy wchodził do środka?

– Nie. Po raz ostatni widziałam go, gdy był na schodach, które prowadzą do jego mieszkania.

– W porządku. A teraz pozwól,

że powtórzę przebieg

wypadków, żeby się upewnić, czy cię właściwie zrozumiałem.

Przerwij mi, jeśli popełnię jakiś błąd. Pani Watkins zadzwoniła do ciebie o jedenastej, żebyś przyjechała po Harrisa, gdy jej zdaniem sam nie był w stanie prowadzić motocykla. Przyjechała na miejsce około jedenastej trzydzieści. Harris, unikając zderzenia z tobą, zjechał z drogi przed osiedlem z wagonami mieszkalnymi.

Zostawił motor w rowie i wsiadł do twojego samochodu. Zjechałaś pod jego dom około północy. Czy jak dotąd wszystko się zgadza?

– Tak.

– Mam jeszcze tylko jedno pytanie. Czy widziałaś Glendę 276

Watkins, gdy przyjechałaś po Harrisa?

– Tak. Nie rozmawiałam z nią co prawda, ale widziałam ją z daleka. Stała przed swoim wagonem,

gdy wyjechałam zza zakrętu na Manslick Road i zbliżałam się do osiedla.

– Widziałaś ją? Jesteś tego pewna? – Naczelnik wyprostował się gwałtownie w fotelu i mierząc Rachel powa nym wzrokiem, poło ył dłonie na pulpicie biurka.

– Ale tak.

– Czy to na pewno była ona?

Rachel skinęła głową, zdumiona jego nagłym poruszeniem.

– Tak, jestem tego pewna.

– Co Glenda Watkins robiła w chwili, kiedy ją widziałaś? Czy wydawała ci się... całkiem zdrowa?

– Wyglądała zupełnie normalnie. Stała przed wagonem i patrzyła na drogę w tym kierunku, z którego przyjechałam.

– W jaki czas potem zobaczyłaś Harrisa jadącego na motorze?

– Niemal natychmiast. W niecałą minutę później, jak sędzę.

– Rachel, zastanów się. To bardzo wa ne. Czy nie straciłaś Harrisa ani na chwilę z oczu po tym, jak jego motocykl wypadł z drogi?

Rachel myślała przez chwilę, a potem pokręciła przecząco głową. – Nie. Dlaczego pan o to pyta? Co się stało? Czy coś złego przytrafiło się Johnny'emu? – Doszła do wniosku, e zwykle oskar enie o jazdę po pijanemu nie mo e być powodem stawiania a tylu pytań ani nie tłumaczy niezwyklej powagi w zachowaniu naczelnika. Obawiała się, e chodzi o coś innego. I to o coś znacznie gorszego.

277

Wheatley westchnął, nieco się odprę ył i wyłączył magnetofon.

– Pani Watkins została zamordowana ubiegłej nocy. Rachel na moment zaniemówiła.

– Co takiego?

Naczelnik ponuro skinął głową.

– Ale to jeszcze nie koniec. Zbrodnia jest dokładną repliką przypadku Marybeth Edwards, łącznie z kwiatami rozsypanymi na ciele ofiary. Tyle e zamiast złotokapu tym razem były to ró e.

Zebrane w pobliskim ogrodzie.

– Glenda Watkins została zamordowana? – zapytała z niedowierzaniem Rachel łamiącym się głosem.

Trzynaście razy dźgnięto ją no em. Pomiędzy jedenastą czterdzieści pięć w nocy a dwunastą dziesięć,

kiedy to syn, szukając jej, wyszedł na dwór. Twierdzi,

e dostrzegł jakiś ruch w

ciemnościach, przeraził się, wbiegł z powrotem do domu, zamknął

za sobą drzwi i zatelefonował po sąsiada. Sąsiad poszedł sprawdzić, co się dzieje, i znalazł ciało.

– Och, mój Bo e! – Rachel poczuła mdłości.

– Tak samo jak jedenaście lat temu. Johnny spotykał się z obiema zamordowanymi kobietami i jako ostatni miał z nimi kontakt.

Do wstrząśniętej Rachel pomału docierał sens słów naczelnika.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, to nie był on. Widziałam ją. Stała przed swoim wagonem tu potem, gdy Johnny odjechał na motorze. Widziałam ją ju po jego odjeździe. On nie mógł jej zamordować.

Naczelnik powoli skinął głową.

278

– Jesteś absolutnie pewna, e osobą, którą widziałaś, była Glenda Watkins?

– Oczywiście!

– Czy jesteś na tyle głęboko o tym przekonana, eby zeznawać pod przysięgą przed sądem?

– Mam niezachwianą pewność. Była widoczna z daleka. Stała w świetle lampy. Nie mogłam się pomylić.

Naczelnik Wheatley zacisnął usta, spojrzał na swoje splecione dłonie i z powrotem podniósł wzrok, przyglądając się badawczo Rachel.

– Rachel... Czy Harris nie skontaktował się z tobą, prosząc, ebyś zło yła takie zeznanie? Przyznaj się, jeśli tak było, a ta informacja zostanie pomiędzy nami.

Rachel wytrzeszczyła na policjanta oczy.

– Nie! – zaprzeczyła z oburzeniem. – Nic takiego nie miało miejsca!

– Wybacz mi, jeśli cię uraziłem – powiedział ze znu eniem. –

Ale mamy do czynienia z prawdziwie paskudnym morderstwem, które do złudzenia przypomina to, za które Harris został skazany jedenaście lat temu. Tylko e tym razem ma niepodwaalne alibi: ciebie. Co mamy o tym sądzić?

– e Johnny nie zamordował Marybeth Edwards! Zawsze o tym wiedziałam! – zawołała tryumfalnie Rachel, napotyając wzrok naczelnika.

Uniósł w górę dłoń.

– To tylko jedna z hipotez, którą musimy brać pod uwagę.

Druga natomiast jest taka, e ktoś umyślnie popełnił w identyczny 279

sposób morderstwo, eby obciążyć za nie winą Harrisa. Są trzy ewentualności, które tłumaczą ostatnią teorię. Pierwsza, to e ktoś, być mo e były mąż pani Watkins, chciał się jej pozbyć na dobre i korzystając z tego, e Harris wyszedł na wolność, dopuścił się morderstwa, stwarzając pozory obciążające Harrisa. Albo ktoś tak bardzo go nienawidzi, e zamordował kobietę, z którą się spotykał, eby z powrotem wsadzić Harrisa do więzienia, a mo e nawet narazić go na surowszy wymiar kary. To druga mo liwość. W tym wypadku sprawcą mógł być ktoś z rodziny albo przyjaciół

Marybeth Edwards. A trzecia okoliczność... jest najbardziej niepomysłna.

– Co pan przez to rozumie?

– Mógł to być na przykład jakiś szaleniec albo osoba, której motywy działania nie są nam znane. Ale z pewnością je poznamy.

Nie ma co do tego wątpliwości – w głosie naczelnika zabrzmiała determinacja.

Gwałtownie podniósł się z miejsca, spojrzał na Rachel, zawahał

się, a potem pochylił się nad nią, opierając się dłońmi o blat biurka.

– Nie zamierzam zarzucać ci kłamstwa, Rachel. Znam cię od czasu, gdy się trzymałaś matczynej spódnicy. Zawsze uwa ałem cię za osobę w stu procentach uczciwą i z wielkim poczuciem sprawiedliwości. Ale jak wiesz, mam dwie córki.

I widziałem, co się przytrafia młodym kobietom, które są pod urokiem mę czyzny.

Rachel domyśliła się, do czego naczelnik zmierza, i ju otworzyła usta, eby odeprzeć jego teorię jakimś pełnym oburzenia stwierdzeniem, ale policjant podniósł rękę do góry, prosząc, by go 280

wysłuchała do końca.

– Mówię o tym tylko dlatego, e chcę cię ostrzec. Musisz zdawać sobie sprawę z tego, e jeśli... jeśli powiedziałaś nieprawdę, nara asz siebie na śmiertelne niebezpieczeństwo. Tylko dzięki tobie Harris nie spędzi reszty ycia w więzieniu albo – w sytuacji gdy młodość ju nie mo e być dla niego okolicznością łagodzącą – nie skończy na krześle elektrycznym. Nie chciałbym być w twojej skórze, jeśli bronisz człowieka, który jest zdolny do popełnienia tak potwornych zbrodni.

– Powiedziałam prawdę, panie naczelniku – oświadczyła Rachel stanowczo.

Naczelnik wyprostował się.

– W porządku. Wierzę ci. Będziemy szukać sprawcy morderstwa. Przeprowadziliśmy sekcję zwłok pani Watkins i zamierzamy porównać wyniki z testami Marybeth Edwards. Próbki zostały już odesłane do laboratorium. Za tydzień, najdalej za dziesięć dni, będziemy wiedzieli, czy w obu wypadkach mamy do czynienia z tym samym zabójcą, czy te w przypadku śmierci pani Watkins w grę wchodzi naśladownictwo. Będę cię informował o przebiegu śledztwa.

– Dziękuję.

Naczelnik wyszedł zza biurka i skierował się w stronę drzwi.

Rachel zrozumiała, że przesłuchanie dobiegło końca.

– Co się stało z dziećmi... pani Watkins? – spytała. Poczowała ucisk w gardle na myśl o osieroconych przez matkę maluchach.

Jeremy zdawał się bardzo przywiązany do Glendy.

– Natychmiast wezwaliśmy ich ojca. Zaraz je zabrał do siebie, 281

jeszcze gdy prowadziliśmy dochodzenie na miejscu przestępstwa.

Szpecially dla najstarszego chłopca to był okropny wstrząs. Wciąż powtarzał, że widział coś w ciemnościach. Ale nic więcej nie potrafił powiedzieć. – Naczelnik pokręcił głową. – To potworna historia. Ale znajdziemy sprawcę zbrodni. Dałem na to temu dzieciakowi moje słowo, a teraz daję je tobie.

Otworzył przed Rachel drzwi.

– Czy chcesz zabrać stąd Harrisa, czy te mam mu powiedzieć, żeby wrócił do domu na piechotę?

Rachel nie dowierzała własnym uszom. Stała w przejściu i odwróciła się twarzą do szefa policji.

– Czy to znaczy, że zatrzymaliście Johnny'ego? Naczelnik skinął głową.

– Tak, młoda damo. Zabraliśmy go z domu około drugiej w nocy. Opowiedział nam tę samą historię, co ty, ale nie chciałem go zwolnić, dopóki jej nie potwierdzisz.

– Teraz może go pan już wypuścić! To nie on zabił Glendę Watkins!

– Na to wygląda – rzekł posępnie policjant. – Zaczekaj w poczekalni, dobrze? Dopilnuję, żeby został zwolniony.

Kwadrans później Johnny zjawił się w drzwiach oddzielających poczekalnię od innych pomieszczeń posterunku policji. Rachel, która dla zabicia czasu bezmyślnie wertowała stare magazyny, poderwała się na jego widok. Był nie ogolony, miał potargane włosy i wymizerowaną twarz. Jego gwałtowne ruchy i błyski w oczach świadczyły o tym, że jest wściekły. Na lewym policzku było widoczne wyraźne zadrapanie, a w kącie ust ślad zaschniętej krwi w kształcie przecinka.

– Został pobity – stwierdziła ze zdumieniem Rachel, zwracając się do Kerry'ego Yatesa, który podał za Johnnym i nie spuszczał z oka jego szerokich pleców.

– Stawiał opór podczas aresztowania. Ma szczęście, że go nie oskarżyliśmy o poturbowanie funkcjonariusza. Nieźle przyłożył

Skagssowi.

– Chodźmy, Rachel – rzekł Johnny. Zauważyła drgające mięśnie jego dolnej szczęki, gdy zmierzył Kerry'ego morderczym spojrzeniem.

– Ale przecie cię pobili! Powinieneś złożyć skargę – achnęła się oburzona, gdy ją energicznie ciągnął w stronę drzwi.

– Racja, profesorko – prychnął. – Na jakim ty świecie żyjesz?

Miałem prawdziwe szczęście, że mnie nie zastrzelili, zanim zaczęli zadawać pytania.

Otworzył przed nią drzwi i niecierpliwie czekał, aby jak najprędzej wyszła z budynku.

– Ale przecie nie zrobiłeś niczego złego! I oni już o tym 283

wiedzą! Są ci przynajmniej winni przeprosiny!

Przystanął i spojrzał w jej płonąca słusznym gniewem twarz.

Znajdowali się na parkingu przed niewielką kondygnacją schodów.

Gorące wrześniowe słońce na lazurowym niebie przypiekało bezlitośnie, a leniwe powiewy wiatru wprawiały w lekki ruch powietrze.

– Twoja naiwność czasami mnie zdumiewa – zauważył cierpko.

Wpuścił jej rękę i ruszył przed siebie. Przez chwilę myślała, że zamierza wrócić do domu na piechotę, lecz podszedł do samochodu i wsiadł do środka.

Gdy zajęła miejsce kierowcy, leżał wyciągnięty na siedzeniu obok i miał zamknięte oczy.

– Powiedzieli ci o Glendzie? – spytał, gdy uruchomiła silnik.

– Tak. To okropne. Biedna kobieta. I biedne dzieci.

– To prawda. – Umilkł.

Rachel spojrzała na niego bez słowa, włączając się do ulicznego ruchu. Sprawiał wraenie całkowicie wyczerpanego.

– Była porządną dziewczyną. I niezawodnym przyjacielem. Nie mogę myśleć o tym, e zginęła w tak okrutny sposób.

– Bardzo mi przykro.

– Mnie te . Cholernie przykro. Tylko e Glendzie to ju nic nie pomo e. – Zacisnął dłonie w pięści, wyprostował się nagle w fotelu, a jego oczy o ywiły się pod wpływem złości i bólu. – Bo e, to się musiało stać zaraz potem, gdy odjechałem. Gdybym wrócił, mógłbym zapobiec tragedii! A przynajmniej przyłapałbym drania na gorącym uczynku.

– Albo przypłaciłbyś to

yciem – dodała cicho Rachel.

284

Zaprzeczył ruchem głowy.

– On atakuje kobiety. Wątpię, czy odwa yłby się stanąć do walki z kimś roslým i silnym.

– Sądziysz, e to ten sam sprawca, który zamordował Marybeth?

– Tak. Nie wierzę w hipotezę z upozorowaniem identycznego zabójstwa. Jest mało prawdopodobne, eby w mieście o rozmiarach Tylerville było a dwóch szaleńców.

– Masz rację.

Rachel skręciła na parking przed sklepem i zatrzymała samochód. Johnny sięgnął do klamki i zawahał się, oglądając się przez ramię.

– Wyglądasz dzisiaj naprawdę ślicznie. Czy wybierasz się do kościoła? – spytał z niespotykaną dla siebie łagodnością.

– Wybierałam się.

– Jeszcze zdą ysz, jeśli się pospieszysz.

Rachel napotkała jego szaroniebieskie oczy. Dostrzegła w nich samotność, ból i pragnienie. Nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Od dziesięciu lat nie opuściłam ani jednej mszy. Myślę, e nic się nie stanie, jeśli raz nie dopełnię mojego chrześcijańskiego obowiązku.

– Spędzisz ze mną dzisiejszy dzień?

– Z przyjemnością.

Johnny powoli rozjaśnił się w uśmiechu. Widok jego pogodnej twarzy poruszył serce Rachel. W tym momencie zdała sobie sprawę z czegoś, co niczym zadra tkwiło dotychczas w jej podświadomości.

Chocia go zawsze broniła i wydawało się jej, e jest przekonana o jego niewinności, to zawsze istniał cień wątpliwości, który dopiero 285

w tym momencie został zupełnie rozwiany.

Poczuła niewypowiedzianą ulgę.

Rachel weszła na górę do mieszkania Johnny'ego. Niechętnie przywitała się z Wolfem, któremu została ponownie przedstawiona i który podobnie jak podczas jej pierwszej wizyty nie był skłonny do zawierania z nią przyjaźni. Gdy Johnny brał prysznic, pies obserwował Rachel z wyraźnym niezadowoleniem. W końcu Johnny wyłonił się z łazienki z ręcznikiem owiniętym wokół bioder i Rachel rzuciła mu się w ramiona. A potem po raz pierwszy kochali się w łó ku i byli oboje nadzy.

– Tęskniłem za tobą – wyznał potem.

Le ała wtulona w jego ramiona i wodziła palcem po czarnym zaroście na piersi.

– Ja te . – Uśmiechnęła się do niego, unosząc głowę i opierając podbródek na jego torsie. Obejmował ją ramieniem i leniwie głaskał. Skotłowana pościel le ała gdzieś w nogach łó ka.

– Myślałem o tym, co mi powiedziałaś wczoraj. O tym, e się upijam i e jestem roz alony na cały świat.

– Byłam wściekła.

– Wiem – powiedział i lekko się uśmiechnął. – Wyglądałaś ładniutko. Do twarzy ci w gniewie.

Wykręciła mu kosmyk na piersi tak mocno, e a krzyknął.

Odciągnął jej palce, potarł obolałe miejsce i spojrzał na nią z wyrzutem.

– To boli.

– I miało boleć. Nie znoszę, gdy mówisz, e jestem „ładniutka”.

– Stwierdzam tylko fakty. Jesteś najśliczniejszą dziewczyną, 286

jaką spotkałem w yciu. A twój ponętny...

Nie zdążył dodać: „tyłek”, gdy Rachel zatkała mu dłonią usta.

– Nie używaj mocnych słów – upomniała go.

Spojrzał na nią pytająco, z powrotem kładąc jej rękę na swojej piersi.

– Chcesz mnie zmienić na lepsze? – Tak.

– To dobrze. Prawdopodobnie jest mi to potrzebne. Właśnie przed chwilą próbowałem ci o tym powiedzieć.

– O czym?

– Zamierzałem przyznać, że wczoraj wieczorem rzeczywiście byłem pijany. Ale to się już więcej nie powtórzy.

– Na pewno?

Nie dowierzała własnym uszom. Johnny pokręcił głową.

– Masz przed sobą świeżo nawróconego abstynenta. Spojrzał

najpierw na Wolfa, który leżał w korytarzu i ciężko dysząc zazdrośnie go obserwował, a potem na Rachel. Stwierdziłem, że się zaczynam robić podobny do mojego ojca, który pił od rana do wieczora, jak daleko sięgam pamięcią. Nie zamierzam skończyć tak jak on.

– Cieszę się, że to mówisz.

– Szkoda na to życia.

– To prawda.

Umilkli oboje, wbrew własnej woli przypominając sobie o Glendzie. Po chwili Johnny spojrzał na Rachel.

– Czy naprawdę zależy ci na tym, abym ściął włosy? Rachel roześmiała się, z ulgą przyjmując zmianę tematu i otrząsając się z ponurego nastroju.

287

– Nie rób tego, jeśli nie chcesz. Masz piękne włosy.

– Dziękuję pani. – Zamilkł, a po chwili krzywo się uśmiechnął.

– Noszę taką fryzurę głównie dlatego, że cholernie drażni mnie... och, przepraszam, powinienem był powiedzieć... bardzo drażni wielu ludzi w naszym mieście.

- Wiem.
- Ale je zetnę, jeśli ci to sprawi przyjemność.
- Dziękuję. Nie mam zamiaru domagać się od ciebie a tak wielkich poświęceń. Na razie wystarczy mi to, e postanowiłeś wystrzegać się alkoholu.
- A więc nie będę musiał zrezygnować z motocykla? Rachel spojrzała na niego z błyskiem nagłego zainteresowania w oczach.
- A zrezygnowałbyś, gdybym cię o to poprosiła? Chwyił ją za rękę, podniósł do ust i złożył pocałunek po wewnętrznej stronie dłoni.
- Niewiele jest takich rzeczy, których bym dla ciebie nie zrobił, Rachel.

Nagle zadzwonił stojący przy łó ku telefon. Ostry sygnał był tak niespodziewany, e Rachel a podskoczyła. Johnny sięgnął po słuchawkę.

– Halo?

Przez chwilę słuchał ze zmarszczonymi brwiami i ze wzrokiem utkwionym w twarzy Rachel.

– Tak, proszę pani. Jest u mnie.

Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, gdy podał jej telefon.

– To twoja matka – wyjaśnił szeptem. Skrzywiła się, ale wzięła do ręki słuchawkę.

288

– Słucham, mamó – powiedziała zrezygnowana.

– Rachel Elisabeth Grant! Mo e mi wyjaśnisz, co robisz w mieszkaniu tego chłopaka Harrisów?

Była bliska wyjawienia matce prawdy, ale Elisabeth nie dopuściła

jej

do

słowa.

Mówiła

natarczywym

szeptem

prawdopodobnie po to, by rozmowa nie dotarła do uszu Johnny'ego.

– Czy słyszałaś o tej Watkins?

– Tak, słyszałam.

– I o tym, e została zamordowana ubiegłej nocy w taki sam sposób jak Marybeth Edwards?

– Tak, mamó. To straszna tragedia.

– A ty pomimo to do niego poszłaś? – Ton matki zdradzał, e nie podejrzewała Rachel o taką głupotę.

– To nie Johnny ją zamordował, mamó.

– Na miłość boską, Rachel. Czy on cię słyszy?

– Tak, oczywiście.

– O mój Bo e! Czy zostałam przez niego zatrzymana jako zakładniczka? Mo e powinnam wezwać policję?

– Nie, mamó. Nie zostałam przez nikogo zatrzymana i nie ma potrzeby wzywania policji. – Rachel była rozdrażniona, za to twarz Johnny'ego rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. – To nie on zabił

Glendę Watkins, mamó. Wiem o tym, poniewa był ze mną ubiegłej nocy, kiedy zostało popełnione morderstwo.

– Z tobą!? O tej porze le ałaś ju przecie w swoim łó ku!

– Mylisz się, mamó. – Rachel westchnęła. – Wszystko ci potem wyjaśnię, dobrze? Nie martw się o mnie, bardzo cię proszę.

Prawdopodobnie wrócę do domu dopiero późnym wieczorem.

289

Wybieramy się razem z Johnnym do miasta na obiad. Chyba e... –

I zakrywając dłonią słuchawkę, zwróciła się do Johnny'ego: – Czy masz ochotę pojechać do mnie na niedzielny obiad? Moja matka jest fantastyczną kucharką.

Johnny zaprzeczył głową z wyrazem komicznej trwogi na twarzy. Rachel nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Zjemy coś w mieście – powtórzyła, zdejmując dłoń ze słuchawki. A potem, drażniąc się z Johnnym, dodała: – Ale zgadnij, kto się do nas wybiera na obiad w przyszłą sobotę?

– Nie zrobisz tego, Rachel! – Elisabeth była przerażona.

– Oczywiście e zrobię, mamó. Nie martw się. Sądząc po jego minie, podobnie jak i ty z niewielkim entuzjazmem odniósł się do mojego pomysłu. Chciałabym jednak, ebyście się poznali.

– Ale z jakiego powodu, Rachel? – jęknęła Elisabeth.

– Poniewa jestem w nim bez pamięci zakochana, mamó wyjaśniła Rachel, patrząc Johnny'emu prosto w oczy.

Po drugiej stronie linii rozległo się zduszone łkanie. Ku zaskoczeniu Rachel Johnny odebrał jej słuchawkę.

– Córka zaraz do pani zatelefonuje, pani Grant – powiedział i delikatnie się rozłączył.

Le ała całkiem nieruchomo, gdy powoli się do niej odwrócił.

Podciągnął się na łokciu w górę i podłó ył ręce pod głowę, eby ją lepiej widzieć.

– Czy to, co powiedziałaś, jest prawdą, czy tylko chciałaś zrobić matce na złość?

Rachel spojrzała mu w oczy.

– Powiedziałaam jej prawdę.

290

– Ach tak? – Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Po chwili jego twarz rozjaśnił zachwyty. Przyciągnął do siebie Rachel i pochylił się nad nią.

– Czy mogłabyś to jeszcze raz powtórzyć? Tym razem tylko dla mnie?

Ogarnęła

wzrokiem

jego

śniadą,

przystojną

twarz,

szaroniebieskie oczy oraz wydatne, zmysłowe usta z niewielkim przecięciem w kąciku. Pieszczotliwie dotknęła wskazującym palcem blizny na policzku.

– Jestem w tobie zakochana – powiedziała cicho.

– Pominęłaś słowa „bez pamięci” – upomniał ją. – Chcę, ebyś powtórzyła całe zdanie.

– Jestem w tobie bez pamięci zakochana. – Jej usta wygięły się w tkliwym uśmiechu. Rozpierało ją uczucie szczęścia. Powiedziała to w końcu. Wyjawiała swój sekret. Nie miała ju przed nim adnych tajemnic. Odrzuciła konwenanse i była z tego zadowolona.

– Rachel. – W jego oczach malowało się zdumienie i po ądanie.

Wziął w dłonie jej twarz i pochylił się nad nią, szukając jej ust. Jego pocałunek – cudownie delikatny i zachwycająco intymny – zdradzał

uczucia, jakich Johnny dotychczas nie ujął w słowa. Zafascynowana zarzuciła mu ramiona na szyję, całkowicie oddając się czystej rozkoszy kochania się z nim.

Potem, gdy zaspokojona drzemała w jego objęciach, dobiegł ją niepokojący odgłos. Przez chwilę głowiła się, nie mogąc go zidentyfikować.

– Burczy ci w brzuchu! – stwierdziła w końcu, patrząc na Johnny'ego ze zdumieniem.

291

Skrzywił się.

– Umieram z głodu – wyznał. – Od wczoraj nie miałem nic w ustach.

– Powinieneś był powiedzieć mi o tym wcześniej!

– Musiałem wybierać pomiędzy po ywieniem dla ciała a pokarmem dla duszy i dusza wygrała. – Jego uśmiech oślepił

Rachel swoim urokiem. Wsunęła Johnny'emu rękę pod głowę, przyciągnęła go do siebie i namiętnie pocałowała w usta.

– O Bo e! – Przygarnął ją bli ej, wziął w ramiona, ponownie przewrócił na materac i przygniótł swoim ciężarem. Jego zamiary były a nadto oczywiste.

– Nic z tego – oświadczyła, wymierzając mu kuksańca pod ebrowe. – Musimy coś zjeść. Nie możemy spędzić całego dnia w łóżku.

– Miałbym na to wielką ochotę. – Ponownie zaburczało mu w brzuchu i Johnny niechętnie podniósł się z posłania.

Przez chwilę stał nagi obok Rachel. Napawała oczy jego widokiem. Doszła do wniosku, że jest najpiękniejszym mężczyzną, jakiego widziała w

yciu. Wysoki i szczupły, z wyraźnie

zarysowanymi muskularnymi ramionami i rękami oraz napiętymi mięśniami brzucha, wyglądał lepiej od niejednego mężczyzny na okładce czasopisma Playgirl, do którego czasami zaglądały z Becky, gdy

były nastolatkami. Stał nieruchomo, widząc, że jest obiektem oglądzin. Napotkała jego spojrzenie. Przypomniała sobie, że leży całkiem naga na wymiętym prześcieradle i z pełnym rozmysłem przeciągnęła się powoli, niczym rozleniwiony kot. Oczy Johnny'ego zapłonęły, przemierzając całą długość jej wygiętego w łuk ciała.

292

Była w pełni świadoma własnej zachwycającej grzeszności. I uwodzicielskiego zachowania. Wiedziała doskonale, że wzbudza w Johnnym ogromne pożądanie.

Znowu zaburczało mu w brzuchu.

– Dobrze. Wystarczy. Chodź, pójdziemy pod prysznic, zanim umrę z wyczerpania.

Wziął ją na ręce i przeszedł przez Wolfa, który pogardliwie obserwował rozwój wydarzeń, zaniósł do łazienki. Postawił ją w brodziku, odkręcił oba kurki, zbadał temperaturę wody, uruchomił

prysznic i stając za Rachel, zasunął za sobą kotarę.

293

Rozdział 33

Miała trzydzieści cztery lata i jeszcze nigdy nie była razem z mężem czyżną pod prysznicem. Gdy Johnny mył jej plecy, gdy jego ręce prześliznęły się pod pachami,

żeby namydlić jej piersi,

zrozumiała, co traciła. W czynności tej kryła się cudowna zmysłowość; erotyczny świat kobiety i męża, którego istnienia dotychczas nawet nie przeczuwała. Przelotne przygody miłosne z przeszłości nawet w przybliżeniu nie oddawały obecnych doznań. Gdy namydlone ręce Johnny'ego dotykały jej brzucha, bioder, ud i pośladków, Rachel pojęła, dlaczego tak się stało – tym razem słowo miłość było najważniejszą częścią określenia: uprawianie miłości.

Oto ona, Rachel Grant, zakochała się w Johnnym Harrisie. Myśl ta wydała się jej tak niedorzeczna, że Rachel zachichotała.

– Co cię tak śmieszy? – mruknął. Obrócił ją przodem do siebie i przybierając artobliwie surowy wyraz twarzy, przyjrzał się jej badawczo poprzez parujący strumień wody, który spływał po ich ciałach.

– Ty i ja. Kto by pomyślał?

Przeczesał dłonią jej namydlone włosy, rozdzielając kosmyki, tak by woda zmyła resztki szamponu. A potem objął dłońmi jej wąską kibić.

– Myślałem o tym od wielu lat. Niemal przez połowę mojego życia.

Gdy oddawała się miłemu zajęciu namydlenia mu torsu, jej ręka znieruchomiła nagle. Rachel zamyśliła się, zapominając o 294

podjętym zadaniu. Miał tak jak ona mokre i gładko zaczesane do tyłu włosy. Wyglądał inaczej niż Johnny, którego widywała na co dzień. Nie przyniosło to uszczerbku jego męskiej urodzie, ale wydał

się jej znacznie starszy i dojrzałszy. Nie pozostało w nim nic z wyrostka. Uświadomiła sobie, że jest teraz całkiem dorosły, tak jak i ona. A różnica w ich wieku stanowi nic nie znaczącą przeszkodę –

nie większą niż odmienny kolor ich włosów.

– Jak długo potrwa nasz miodowy miesiąc, teraz kiedy dostałeś ode mnie to, co chciałeś? – spytała artobliwie, aby się nie domyślił, w jakim napięciu oczekuje odpowiedzi. Nigdy nie wspominał przecież o miłości. Zawsze mówił o poądaniu. Jeśli zaleało mu tylko na tym, by zaspokoić młodzieńcze marzenia seksualne, to jego pragnienia zostały spełnione. Palce Rachel drgnęły gwałtownie, zataczając koła i nacierając mydłem skórę na piersi Johnny'ego.

– Nawet nie musiałem jeszcze powierzchni tego, czego chcę od ciebie, profesorko. – Uśmiechał się, a gdy spostrzegła wyraz jego oczu, serce zabiło jej mocniej. Nakrył dłońmi jej ręce, przerywając wykonywaną odruchowo czynność.

– Miną całe lata, zanim się zdołam tobą nasycić. Kto wie, może mi nawet nie starczy na to życia?

– Ach, tak? – Uśmiechnęła się mgliście poprzez zasłonę pary.

Pochylił się,

aby ją pocałować. Mydło niepostrzeżenie wysliznęło się jej z dłoni, rozbryzgując pianę pod ich stopami.

Zwlekali z opuszczeniem kabiny z natryskiem, dopóki nie spłynęła cała ciepła woda, a Johnny'emu ponownie nie zaburczało w brzuchu.

295

– A może zamiast gdzieś chodzić, przyrządzę kolację w domu?

Co o tym sądzisz? – spytał, gdy oboje wyszli z brodzika i, stojąc na chłodnej posadzce, trzęśli się z zimna.

Ty? – Rachel w prześcieradle kąpielowym owiniętym wokół

ciała przerwała na moment rozczesywanie włosów, które przedtem trochę osuszyła, i z niedowierzaniem przyglądała mu się w lustrze.

– Tak, ja. Dlaczego cię to tak dziwi? Umiem gotować. Skończył

wycierać włosy i oplótl się w pasie ręcznikiem.

– Potrafisz gotować? – Jej zdumienie było tak ogromne, e Johnny serdecznie się roześmiał.

– Rachel, kochanie, przykro mi, e muszę ci to wytknąć, ale masz szalenie stereotypowy sposób pojmowania świata. Dobry Bo e, dlaczego ludzie są skłonni myśleć o mnie tylko jak najgorzej?

Oczywiście e potrafię gotować. Bez tej umiejętności byłbym skazany na głodowanie, dorastając w takiej rodzinie jak moja.

– Umiesz gotować. – Wciąż nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia. Ogarnęła wzrokiem jego mocną, męską sylwetkę. W jej rodzinie zawsze matka zajmowała się kuchnią i to ona przekazała swoją kulinarną wiedzę dziewczętom. Rachel nigdy nie widziała, eby ojciec bodaj zamieszał zupę w garnku. Ale Johnny miał

oczywiście rację. Okazało się, e Rachel, tak jak wszyscy, ma o nim bardzo szablonowe wyobra enie.

– Co postanawiasz? – Odnalazł jej wzrok w lustrze. – Ale bardzo proszę, gotuj! Nie mogę się wprost doczekać.

Uśmiechnął się szeroko i wyszedł z łazienki, aby się ubrać.

Rachel weszła do salonu po torebkę, uwa ając przy tym, eby nie nadepnąć na Wolfa, który rozciągnął się w hallu i ze słu alczym 296

oddaniem wodził wzrokiem za swoim panem. Olbrzymie zwierzę wywróciło ślepiami i zawarczało, gdy niemal potknęła się o jego le ące pyskiem do ziemi cielsko.

U yła kilku kosmetyków, które zwykle nosiła w torebce szminki, pudru oraz nawil ającego kremu do rąk – roztrzepała prawie ju suche włosy i weszła do sypialni, eby się ubrać. W

kuchni Johnny trzaskał garnkami. Myśl o tym, e przyrządza dla niej posiłek, wydała się jej niezwykle ucieszna i wkładając ubranie uśmiechnęła się do siebie.

Chwilę później, prawie w kompletnym stroju – w wąskiej spódnicy od ró owego kostiumu, w białej jedwabnej bluzce z krótkimi rękawami, ze sznurem pereł na szyi i w be owych pantoflach – rezygnując jedynie z wło enia akietu skierowała się w stronę kuchni, by zapytać szefa, w czym mo e być pomocna.

Le ący przy drzwiach wyjściowych Wolf zmierzył ją ponurym spojrzeniem, które wprawilo ją w lekkie zdenerwowanie.

Przekraczając próg kuchni, przezornie nie spuszczała go z oka.

W garnkach kipiało, a z piekarnika dochodził smakowity zapach czosnku. Ale po Johnnym nie było ani śladu.

– Johnny?! – zawołała, rozglądając się dookoła. Pewnie poszedł do łazienki. Nie było innego miejsca w małym mieszkaniu, w którym mógłby się ukryć.

Nagle w drzwiach pojawił się Wolf i spojrzał na nią spode łba.

Nie wiedziała, co ma ze sobą począć. Pies blokował jedyne wyjście z kuchni.

– Johnny! – W jej głosie zabrzmiała panika.

Zwierzę było ogromne, a jego zwaliste cielsko pokrywały liczne

blizny, zapewne odniesione w zaciętych bójkach. Rachel nie potrafiła zidentyfikować jego rasy. Ale miała niewielkie doświadczenie z psami. Matka nigdy nie tolerowałaby obecności psa w swoim nienagannie utrzymanym domu. W jej rodzinie jedynie ciotka Lorraine hodowała kiedyś pudla-miniaturkę, ale tamto zwierzę diametralnie różniło się wyglądem od Wolfa.

Johnny nie odpowiadał. W psich ślepiach pojawiły się ostre błyski. Rachel czuła na sobie krwioerzce spojrzenie. Dobry Boże, czy to stworzenie zamierzało ją pożyć? Czy by szykowało się do ataku?

Zrobiła krok do tyłu i ku jej przerażeniu, Wolf ruszył w jej stronę.

Cofała się ostro nie, dopóki nie oparła się plecami o stół. Z

udawaną obojętnością, eby nie sprowokować psa, chwyciła się obiema rękami blatu i podciągnęła nogi w górę. Wolf zmierzał w jej stronę. Był już w kuchni. Od dyndającej w powietrzu stopy dzielił go nie więcej jak metr.

– Johnny! – zawołała z przerażeniem.

Wolf uniósł w górę łeb. Jego ślepia błyszczwały coraz bardziej złowrogo. Pospiesznie wgramoliła się na blat. Skuliła się i chwytając ze zlewozmywaka drewnianą łyżkę z długim trzonkiem, wyciągnęła ją przed siebie niczym namiastką oręża.

– Co się u diabła dzieje?...

Tak bardzo uradował ją głos Johnny'ego, e nawet nie wzięła mu za złe wyraźnie słyszalnej nuty rozbawienia. Pod wpływem ulgi o mało nie spadła na ziemię.

– Ratuj – poprosiła cicho. – Gdzie byłeś? – spytała.

298

Wolf na widok swojego pana postawił uszy i zamerdał ogonem.

Uradowany ocierał się o jego nogi. Johnny z wesołą miną wszedł do kuchni i otworzył lodówkę.

– W sklepie, na dole. Potrzebowałem trochę soli i przypomniałem sobie, że Zeigler przechowuje ją w swoim biurku.

Wydobył coś z głębi lodówki i rzucił Wolfowi, który w okamgnieniu po arł kasek i machając ogonem dopominał się o następny. – Na miejsce! – polecił mu Johnny i odprawił zwierzę machnięciem ręki.

Ku uldze i zdziwieniu Rachel stworzenie posłusznie się odwróciło i opuściło kuchnię.

– Miał ochotę na parówkę – Johnny podszedł do Rachel, zdjął ją ze stołu i wyjął jej z ręki drewnianą łykę.

– Parówkę? Jesteś pewien? – Wciąż rozdygotana pochyliła głowę i oparła się czołem o jego pierś.

– Oczywiście. A có innego mógłby od ciebie chcieć, twoim zdaniem?

– Chciał mnie po rękę – odparła z przekonaniem. Wybuchnął

śmiechem. Śmiał się dotąd, dopóki oburzona Rachel nie wyminęła go w przejściu, zamierzając wrócić do sypialni.

Zastopował ją Wolf, rozciągnięty na brzuchu przed drzwiami do kuchni/Popatrzyła na niego z niechęcią. Była gotowa przysiąc, że w psim spojrzeniu kryje się drwina.

– Proszę. Daj mi jedną.

Roztropnie powstrzymując wesołość, Johnny usiłował jej wcisnąć do ręki parówkę o nieświeżym wyglądzie.

– Nie ma mowy! Prędzej zgodziłabym się nakarmić krwioercze 299

ryby morską południową! – Założyła ręce na piersi, dając mu jasno do zrozumienia, że dalsze namowy są bezcelowe.

– Proszę cię! Bardzo mi zależy na tym, abyście się ze sobą zaprzyjaźnili.

Przymilne słowa mogłyby i przełamały jej wolę, ale nie były w stanie osłabić strachu. Pokręciła przecząco głową. Johnny westchnął.

– Zawrzyjmy umowę. Ty się postarasz zawrzeć przyjaźń z Wolfem, a ja spróbuję zjednać sobie twoją matkę.

Z niedowierzaniem wytrzeszczyła na niego oczy.

– Czy porównujesz moją matkę do tego kompletnie niewychowanego, dzikiego i olbrzymiego potwora?

Wzruszył ramionami.

– Jej osoba równie budzi we mnie śmiertelny lęk. Przyglądała mu się przez chwilę z namysłem.

– Zgoda – przystała niechętnie na propozycję i wyciągnęła rękę po parówkę.

Jeśli nawet nie zdołała pozyskać sobie przyjaźni psa, zanim Johnny skończył przyrządzać kolację, to była pewna, e

przynajmniej doprowadziła do zawieszenia broni. Półtorej paczki parówek stanowiło cenę rozejmu.

Rachel i Johnny niewiele ju robili do końca dnia. Zjedli, przespacerowali się z Wolfem po pustym parkingu naprzeciwko sklepu Grantów i odbyli przeja d kę samochodem w bli ej nieokreślonym kierunku. A po powrocie wyciągnęli się na kanapie.

Johnny le ał z głową na kolanach Rachel. Oglądali telewizję i rozmawiali o nieistotnych sprawach. Oboje z rozmysłem unikali 300

tematu Glendy.

O szóstej Rachel zaczęła myśleć z niechęcią o powrocie do domu. Nim wyszła, przyrządziła szybki posiłek z jajek i bekonu.

Nie mogła znieść myśli, e Johnny będzie jadł w samotności. Gdy napomknęła mu o powrocie, zachmurzył się, ale skinął głową.

– Tak, ju się robi późno.

Zostanę u ciebie na noc, jeśli nie chcesz być sam.

Wyładowywali w kuchni naczynia ze zmywarki. Łatwość, z jaką wspólnie wykonywali proste domowe czynności, takie jak gotowanie czy sprzątanie, zdumiała Rachel. Nie mogła się oprzeć wra eniu, e znała Johnny'ego przez całe swoje ycie. A gdy się głębiej nad tym zastanowiła, doszła do wniosku, e istotnie tak było. Uśmiechnęła się do tej myśli.

– Nie musisz.

Schowała do szafki wymyty rondel i obróciła się do Johnny'ego.

Stał opierając się o blat stołu i przyglądał się jej z uwagą. Jego twarz nie wyra ała adnych uczuć, lecz Rachel dobrze wiedziała, e Johnny myśli ze smutkiem o jej odejściu.

– Oczywiście e nie muszę. Pytam, czy chcesz, ebym została –

zapytała bez ogródek, próbując się przebić przez mglistą powłokę jego męskiej samowystarczalności. Czekwała. Z trudnością przychodziło mu wyznanie, e jej potrzebuje. Zbyt długo liczył

tylko na własne siły.

– Twoja matka prawdopodobnie ścigałaby mnie ze strzelbą –

powiedział z grymasem na twarzy. – A gdyby ktoś obcy się dowiedział, e zostałeś u mnie na noc, okrzyknięto by cię w mieście dziwką. Nie mówiąc ju o tym, e rada pedagogiczna, powołując się 301

na klauzulę o nieprzestrzeganiu zasad moralnych, wyrzuciłaby cię ze szkoły. Nie, nie mam zamiaru narać cię na to.

– To nie ma adnego znaczenia, jeśli naprawdę jestem ci potrzebna.

– Bardzo chciałbym, ebyś została, Rachel. Ale dam sobie radę.

Nie jestem do tego stopnia zdesperowany, ebym miał stawiać cię w tak przykrej sytuacji. Wrócisz grzecznie do domu, wyśpisz się w swoim łóku, a jutro znowu spędzimy wieczór razem, zgoda?

– Ugotujesz coś? – spytała z uśmiechem.

– Widzę, e ju cię zepsułem. – Rozpromienił się, wyciągnął

ramiona i mocno ją do siebie przygarnął, jak gdyby wbrew wszystkim wspaniałym oświadczeniom wcale nie miał zamiaru jej wypuścić.

Gdy wychodziła z jego mieszkania, dochodziła ósma.

Odprowadził ją do samochodu i stojąc na chodniku, patrzył za nią, gdy odje d ała.

Pozostawienie go sam na sam z upiornymi myślami było dla Rachel najtrudniejszym krokiem, na jaki się zdobyła w całym swoim yciu.

302

Rozdział 34

Kolejne dni były jednocześnie najlepszymi i najgorszymi w jej yciu. Do plusów zaliczała wieczory spędzane wspólnie z Johnnym.

Codziennie po zamknięciu sklepu zakradała się tylnym wejściem do jego mieszkania i zostawała tam do jedenastej albo do jedenastej trzydzieści w nocy. Wyprowadzali psa na spacer, tańczyli w salonie wolne tańce przy muzyce ze starych płyt, które Johnny przyniósł z domu swojego ojca, sprząтали mieszkanie, gotowali i kochali się.

Du o te rozmawiali ze sobą – o wszystkim i o niczym. Rachel po raz wtóry odkryła jego wra liwy, inteligentny i ądny wiedzy umysł, który kiedyś ją zafascynował. A to, e znajdował się teraz w ciele dorosłego mę czyzny, a nie chłopca, w ciele człowieka, w którym była do szaleństwa zakochana, uznała za dar od Boga.

Potrafiła dyskutować z Johnnym na rozmaite tematy, począwszy od ycia po śmierci, a skończywszy na zawilosciach kulinarnych sosu do spaghetti. Znał na pamięć cytaty z Henry'ego Wadswortha Longfellowa, a gdy się kochali, doprowadzał ją do utraty zmysłów.

Nigdy nie oczekiwała od ycia a tak wiele.

Prawdziwą jej zmorą było natomiast powszechne przekonanie mieszkańców Tylerville, wstrząśniętych wiadomością o śmierci Glendy Watkins, e zabójcą jest Johnny Harris. Wydarzenie to stanowiło wodę na plotkarski młyn miasta. Szerzyły się coraz to nowe pogłoski. Opowiadano najróżniejsze historie; w jednych Johnny był przedstawiany jako czciciel szatana, w innych jako maniak-zabójca, mordujący na tle seksualnym. Rachel pewnie by się śmiała z tych wszystkich nieprawdopodobnych wersji, gdyby 303

nie to, e dotyczyły jej ukochanego.

Nawet jej własna matka, pomimo zapewnień Rachel, e Johnny nie mógł tego zrobić, w głębi duszy uwa ała go za psychopatę. I głośno wyra ała nadzieję, e w obecności córki jego osobowość nie ulegnie przeobra eniu z Dr. Jekylla w Mr Hyde'a.

Tylko jedna Becky współczuła zakochanej siostrze. Zapewne dlatego, e sama równie prze ywała trudny okres. Michael wrócił

do Louisville bez jej podpisu na dokumentach, które by go upowa niły do sprzeda y domu. Odgra ał się jednak, e przyjedzie ponownie podczas przyszłego weekendu. Becky, choć boleśnie zraniona przez mę a, odsunęła na bok własne rozgoryczenie i wstawiała się za siostrą do matki. Rachel w zamian cierpliwie wysłuchiwała jej zwierzeń, ilekroć naszła ją na nie ochota. Kiedyś, w okresie dzieciństwa, Rachel i Becky były z sobą bardzo z yte.

Dopiero potem, wskutek wstrząsów wieku dojrzałego i mał eństwa Becky, w ich wzajemne stosunki wkradł się chłód. Teraz znowu się do siebie zbli yły. Rachel odkryła, e siostra w roli przyjaciółki i sprzymierzeńca jest dla niej wielką podporą. A Becky zdawała się odwzajemniać jej odczucia.

Pogrzeb Glendy Watkins został zaplanowany na sobotnie przedpołudnie – dokładnie tydzień po jej śmierci. Zwłokę w pochówku spowodowała dodatkowa sekcja zwłok. W czwartek w laboratorium wydziału kryminalistyki ustalono wstępnie, e zabójcą Glendy Watkins i Marybeth Edwards jest ta sama osoba. Z punktu widzenia prawa Johnny był zatem niewinny i powinien zostać zrehabilitowany. Ale plotki wciąż oskar ały go o zbrodnię i miasto a się trzęsło z oburzenia, e główny podejrzany przebywa na 304

wolności.

Naczelnik Wheatley uprzedził go o tym i radził, eby nie pokazywał się na uroczystości ałobnej. A jednak Johnny, chocia obiecał Rachel, e weźmie sobie ostrze enie do serca, przyszedł na pogrzeb Glendy Watkins. Rachel myślała, e spadnie z krzesła, gdy zobaczyła go w drzwiach

małego wyło onego boazerią

pomieszczenia w domu pogrzebowym „Long” – tym samym, gdzie niedawno została odprawiona msza ałobna za Willie'ego Harrisa.

Dziś zgromadziło się tu wielu ałobników. W większości byli to gapie, których przygnały sensacyjne okoliczności śmierci Glendy, a nie jej krewni czy przyjaciele. Na uroczystość przybył nawet dziennikarz miejscowej gazety „Tylerville Time”. Ale gdy fotograf, którego ze sobą przyprowadził, zaczął robić zdjęcia, pośpiesznie podszedł do niego Sam Munson i zaprotestował. Wywołało to głośną sprzeczkę, w rezultacie której zarówno dziennikarz, jak i fotograf zostali wyrzuceni z sali.

Na kilka minut zapanował spokój. Wnoszono coraz to nowe kwiaty. Z głośników zagrzmiiała ałobna muzyka. Bardziej

nerwowym uczestnikom pogrzebu serca podskoczyły do gardeł, ale zaraz ściszone nagranie. Ktoś zastanawiał się na głos, jak bardzo zmasakrowane są zwłoki, i oczy wielu spośród nieprzebranego tłumu spoczęły na zamkniętej trumnie. W ludzkich głowach a kipiało od niezdrowych domysłów dotyczących szczegółów morderstwa. Tylko co do jednego wszyscy byli zgodni: co do osoby sprawcy. Powszechnie mówiono o Johnnym Harrisie, choć ka dy wymawiał jego nazwisko szeptem.

Znowu wniesiono kwiaty i umieszczono za rzędem chryzantem, 305

lilii oraz goździków. Brakowało tylko ró . Jeśli nawet ktoś je przyniósł, Sam Munson taktownie je ukrył, gdy nigdzie nie było ich widać.

Atmosfera ceremonii pogrzebowej przed rozpoczęciem mszy ałobnej przywodziła raczej na myśl makabryczny cyrk ni religijny obrządek.

Rachel zajmowała miejsce pomiędzy Kay Nelson i Becky.

Dostrzegła zbli ającego się w przejściu pomiędzy ławkami księdza.

Nagle szepty stały się głośniejsze i przeszły w niemły pomruk.

Czy by przybyła rodzina zmarłej? Rachel obejrzała się, eby zbadać przyczynę niespodziewanego poruszenia i natknęła się wzrokiem na Johnny'ego. Stał z tyłu sali i opierał się o ścianę. Miał

na sobie tak jak zwykle d insy oraz podkoszulek. Rachel nie wiedziała dokładnie, kiedy wszedł, sądząc jednak po reakcji ludzi, musiało to mieć miejsce zaledwie kilka minut temu.

Pobladła, ale zanim zdą yła się ruszyć z miejsca i do niego podejść, przez salę przeleciał kolejny pomruk. W drzwiach pojawiła się czwórka dzieci Watkinsów. Towarzyszył im mę czyzna o ponurej twarzy. Miał około czterdziestki i Rachel domyśliła się, e jest ojcem dzieci. Zauwa yła te młodą kobietę (czy by to była dziwka, o której wspominał Jeremy?) oraz parę starszych ludzi.

Wszyscy usiedli w pierwszym rzędzie. Duchowny w czarnej sutannie cierpliwie odczekał, a zajmą miejsca, a potem wszedł na podest i rozpoczął mszę.

– Drodzy przyjaciele! Zgromadziliśmy się tu dzisiaj po to, eby się pomodlić za duszę naszej ukochanej zmarłej Glendy Denice Wright Watkins...

306

Nie było sposobu, eby Rachel mogła się teraz przedostać do Johnny'ego, by nie ściągnąć na nich oboje niepożądaną uwagę.

Becky i Kay, zaalarmowane jej wyraźnym poruszeniem, obejrzały się i te go dostrzegły. Podobnie jak i naczelnik Wheatley, który równie przybył na uroczystość ałobną z kilkoma swoimi ludźmi.

Policjant podniósł się dyskretnie z krzesła w ostatnim rzędzie i stanął obok Johnny'ego. Mężczyźni przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. Rachel nie zdołała nic więcej dostrzec, musiała odwrócić głowę. Ksiądz wezwał wszystkich do modlitwy.

Nabożeństwo było krótkie i nadzwyczaj wzruszające, w każdym razie w odczuciu Rachel. Łzy spływały jej po policzkach, gdy słuchała pochwał pod adresem zmarłej, hymnów oraz modlitw, i myślała o Jeremym, o jego bracie i siostrach. Strata matki jest prawdopodobnie największym nieszczęściem, jakie może dotknąć dzieci, i Rachel bolała nad ich losem w nie mniejszym stopniu jak nad tragedią, która spotkała Glendę.

Po mszy, gdy wszyscy wstali i szykowali się do wyjścia, Rachel uwięziona wśród ludzkiej ciżmy spostrzegła, e Johnny omija tłum i przesuwa się boczną nawą do przodu, w stronę otoczonej morzem kwiatów trumny. Naczelnik Wheatley, a także Kerry Yates i Greg Skaggs niestrudzenie podążali za nim. Młodzi oficerowie poruszali się sztywno, jak gdyby chcieli pokazać wszystkim, e niechętnie spełniają swój obowiązek.

– Mówiłaś, e nie przyjdzie – szepnęła Becky do Rachel na widok Johnny'ego z eskortą policji.

Becky chodziła tylko dwie klasy dalej od Johnny'ego i choć nie znała go osobiście, to wszystko o nim wiedziała. Rachel zauważyła, 307

e siostra obserwuje jej ukochanego mężczyznę, ale nie potrafiła nic wyczytać z wyrazu jej twarzy.

– Spójrzcie, tam jest Johnny Harris – odezwała się teatralnym szeptem Kay za plecami Rachel. – Nie mogę wprost uwierzyć, e miał czelność tutaj się pokazać! Patrzcie tylko, właśnie zmierza w stronę rodziny zmarłej!

Rachel szykowała się już, eby stanąć w jego obronie. Chciała powiedzieć, e jest niewinny, e lubił Glendę, a teraz opłakuje jej śmierć, ale jej uwagę całkowicie przykuła rozgrywająca się scena.

Johnny podszedł do Jeremy'ego, który stał odwrócony do niego tyłem, i delikatnie położył mu rękę na ramieniu. Chłopiec obejrzał

się, wybuchnął płaczem i podbiegł do Johnny'ego, a za nim pozostała trójka. Dzieciaki obstąpiły mężczyznę, obejmując go za uda i czepiając się jego bioder. Wyraźnie poruszony, przyklęknął i przygarnął je wszystkie do siebie.

– Dacie wiarę? – spytała Kay, nie mogąc się nadziwić. Zewsząd dobiegały podobne odgłosy zdumienia.

Rachel wydostała się wreszcie z przejścia i pospieszyła w stronę ukochanego. Był całkowicie pochłonięty dziećmi. Pomimo obecności naczelnika policji, który wraz ze swoimi ludźmi stał tu za nim, nie było nikogo, kto by go obronił przed pełnymi zjadliwości szeptami i nienawistnymi spojrzeniami tłumu.

Rachel dotarła do małej grupy zgromadzonej w pobliżu trumny.

Ostry zapach kwiatów przyprawił ją o zawrót głowy. Zauważyła, że w tej części sali, zapewne chłodzonej klimatyzacją, panuje przenikliwy ziąb. Skinęła na powitanie szefowi policji, a potem uklękła obok Johnny'ego. Nie odezwała się ani słowem, tylko 308

spojrzała na niego z wyrzutem. Ale widząc jego znieruchomiałą twarz oraz wyraźną sympatię, jaką okazywały mu nie odstępujące go dzieci, wybaczyła mu, że się świadomie naraża na afronty, a może nawet na poważne niebezpieczeństwo. Jeremy szeptał mu coś do ucha, młodszy chłopiec garnął się do jego kolan, a dwie dziewczynki – jedna sześciolatka, a druga w wieku zbliżonym do Katie – wtuliły głowy w jego pierś. Obecność Johnny'ego podnosiła jej na duchu. Rachel zrozumiała, że to z ich powodu zdecydował się tu przybyć.

Plakała tylko starsza dziewczynka – ładna, smukła blondynka w plisowanej i ozdobionej koronkowym kołnierzem białej sukience, która zapewne została kupiona na pogrzeb matki. Pozostałe dzieci pomimo bladych buzi miały suche oczy.

– Brzdące! – powiedział Johnny niemal normalnym tonem, na jaki Rachel nie byłoby stać w tym momencie. – To jest panna Grant. Przyjaźniła się z waszą mamą. Rachel, pozwól, że ci przedstawię Jake'a, Lindsay i Ashley. Jeremy'ego już znasz.

– Moja mama nie żyje – oświadczyła trzyletnia Lindsay, a potem wsadziła do buzi kciuk i utkwiała w Rachel swoje olbrzymie niebieskie oczy.

Rachel poczuła ucisk w gardle i nie była w stanie wymówić słowa. Zdobyła się tylko na to, aby delikatnie poklepać dziecko po pulchnym policzku.

– Ona o tym wie, głuptasie. Dlatego tu przyszła. – Jake, śmiały dzieciak, który obejmował Johnny'ego za nogę, gniewnie spojrzał

na siostrę.

– Czy może już przestać o tym mówić? – Ashley oderwała 309

się od Johnny'ego i z łkaniem przebiegła przez salę.

Rzuciła się w objęcia starszej pani, z którą tu przyszła i która stała teraz wśród tłumu, przyjmując kondolencje. Rachel domyśliła się, że jest babką dzieci. Kobieta otoczyła ramieniem chlipiącą dziewczynkę i obejrzała się przez ramię, by odszukać wzrokiem pozostałe wnuki, które nadal nie

odstępowały Johnny'ego.

Wyraźnie skonsternowana zwróciła się do ojca dzieci.

Pan Watkins odwrócił głowę i zrobił się purpurowy na twarzy.

310

Rozdział 35

Jake wziął Rachel za rękę. Uśmiechnęła się do malucha i delikatnie ścisnęła obejmujące jej dłoń pulchne paluszki. Dzieciak odpowiedział na jej pieszczotę szczerym uśmiechem.

– Jak się miewasz, Jeremy? – nadal trzymając Jake'a za rękę, zwróciła się ze współczuciem do starszego chłopca, który oglądał

się za siostrą. Jeremy podniósł na Rachel wzrok. Na jego mizernej buzi malowały się bolesne przeżycia ostatnich dni, a z oczu wyzierała szczerą rozpacz. Był to najsmutniejszy widok, jaki Rachel widziała w całym swoim życiu.

– Dziękuję, dobrze. Podobnie jak i Jake. – Umilkł. Zacisnął

mocno usta, opanowując ich drżenie. – Ale teraz, gdy zabrakło mamy, dziewczętom nie ma kto czytać ani czesać im włosów. Tata nie umie zaplatać warkoczy – stwierdził po chwili.

– Och, Jeremy. Tak mi przykro z powodu twojej mamy. Rachel miała tym większą ochotę krzyknąć i przeklinać, ale chłopiec był

opanowany.

– Panno Grant, ja... – powiedział prędko Jeremy półgłosem.

Przerwał nagle, gdy Becky stanęła za Rachel i dotknęła jej ramienia.

– Uważaj, Rachel – mruknęła, ostrzegając siostrę, ale zanim zdołała dodać coś więcej, podbiegł do nich z drugiego końca sali rozwścieczony ojciec dzieci. Nie zdawał sobie sprawy, albo nie dbał

o to, że skupia na sobie spojrzenia wszystkich obecnych ludzi.

Jedną ręką chwycił Jake'a i oderwał go od kolan Johnny'ego, a drugą pchnął męża czyżnę do tyłu.

311

– Trzymaj się z dala od moich dzieci, ty draniu! – ryknął. Złapał

Lindsay za ramię i ruchem głowy nakazał Jeremy'emu, aby się odsunął na bok.

Rachel instynktownie rzuciła się do przodu w obronie Johnny'ego. Obserwowała go, gdy się zbierał z

ziemi. Wstrzymała oddech, oczekując nieuchronnej awantury. Naczelnik Wheatley, który najwyraźniej podzielał jej obawy, przytrzymał Johnny'ego za jedno ramię, a Greg Skaggs obezwładnił drugie. Johnny jednak nie stawiał oporu, gdy mu krępowano ruchy. Stał tylko nieruchomo i przyglądał się wojownicznemu panu Watkinsowi ze złością, która w każdej chwili groziła wybuchem.

– Wystarczy, Watkins! – rzucił naczelnik Wheatley ostrym tonem.

– Dlaczego pan go nie zaaresztuje, zamiast go chronić? Moje dzieciaki straciły matkę, a pan staje w obronie łajdaka, który jest za to odpowiedzialny!

– Wygląda na to, e tym razem Harris jest tak samo niewinny jak pan. Mówiłem ju panu o tym, panie Watkins.

– Zabił ją. To on musiał to zrobić, nikt inny. Najpierw zamordował córkę Edwardsów, a teraz Glendę!

– Tato, Johnny by nie skrzywdził mamy! Oni... się całowali! A poza tym widziałem... widziałem... – Jeremy spieszył Johnny'emu na ratunek, lecz umilkł gwałtownie i mocno zacisnął usta. Stał z szeroko otwartymi oczami, ze spojrzeniem utkwionym w grupie otaczających ich ludzi.

– Co widziałeś, synu? – spytał naczelnik łagodnym tonem. –

Coś w ciemnościach. Coś... sam nie wiem – mruknął chłopak, 312

wbijając wzrok w szarą wykładzinę na podłodze. Po chwili zaświeciły mu się oczy. – Ale to nie Johnny! Wiem na pewno, e to nie był on! – oświadczył, odzyskując ducha.

– Idź do babci, Jeremy, i zabierz ze sobą Jake'a – polecił

chłopcu pan Watkins.

Jeremy spojrział niepewnie na ojca, posłusznie, choć z wyrazem wyrzutu w oczach wziął za rękę cicho popłakującego Jake'a i powoli się z nim oddalił.

Gdy znalazł się poza zasięgiem słuchu, pan Watkins, trzymając na rękach ssącą kciuk Lindsay, zwrócił się do Johnny'ego:

– Jeśli jeszcze raz zobaczę cię w pobliżu moich dzieci, to przysięgam Bogu, e cię zabiję.

A potem splunął Johnny'emu pod nogi i odszedł. Na wykładzinie dywanowej drąga błyszcząca bańka śliny. Ten widok przyprawił Rachel o mdłości. Prędko podniosła wzrok.

– Pozwoli mu pan odejść? Po tym jak groził Johnny'emu? –

zwróciła się do szefa policji, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać.

Trzęsła się z oburzenia.

– Dajmy mu spokój. Jest przecie ojcem dzieci. W obecnej sytuacji nie trzeba mu dokładać zmartwień – odezwał się Johnny znu onym głosem. Wyswobodził się z uścisku przytrzymujących go mę czyzn. Odstąpili od niego obaj najpierw szef, a potem, ociągając się, Greg Skaggs.

Rachel w milczeniu wzięła Johnny'ego za rękę, eby dodać mu otuchy i splotła jego palce ze swoimi. Zupełnie nie myślała w tym momencie o opinii publicznej. Dłoń Johnny'ego była ciepła i silna.

Kay Nelson podeszła za Becky do trumny. Dołączyła do nich 313

równie Susan Henley, zapewne po to, eby porozmawiać z Rachel.

Trzy oniemiałe ze zdumienia kobiety śledziły rozgrywającą się scenę. Za plecami Susan Rachel dostrzegła Roba, który zbli ył się do nich w towarzystwie Dave'a Henleya. Skrzywiła się w duchu na jego widok, ale nie wypuściła z dłoni ręki Johnny'ego. Rob nie odezwał się, ale w jego wzroku, który ogarnął złęczone dłonie i zatrzymał się na twarzy Rachel, wyraźnie malowała się wścickłość i zdumienie.

– Wybieramy się na obiad, Rachel – powiedziała Susan.

Myśleliśmy, e się do nas przyłączycie z Becky, a mo e i Kay będzie miała ochotę... – jej głos się załamał, gdy spostrzegła, w czyim uścisku znajduje się ręka Rachel.

Johnny uśmiechał się ironicznie. Rachel mocniej przytrzymała jego dłoń, na wypadek gdyby chciał ją wyrwać, i zaprzeczyła ruchem głowy.

– Dziękuję, Susan. Ale mamy z Johnnym inne plany. Znasz Johnny'ego Harrisa, prawda?

– Tak. Oczywiście – odparła Susan z nieszczęśliwą miną.

– Rachel, czy mógłbym przeprosić cię na minutę? – ton Roba był równie zimny jak wyraz jego twarzy.

Rachel spojrzała na Johnny'ego, niepewna, jak zareaguje na słowa rywala. Wypuścił jej rękę i zeszywniał, a w jego oczach pojawiły się wrogie błyski, ale nie próbował jej zatrzymać.

Czuła, e jeśli obaj mę czyżni pozostaną blisko siebie jeszcze przez kilka sekund, to nie zdoła zapobiec kolejnej przykrej scenie.

Spojrzała błagalnie na siostrę, a potem pozwoliła się Robowi wziąć pod ramię i zaprowadzić do kąta, gdzie oddzieleni od świata 314

sztucznym fikusem mogli porozmawiać ze sobą na osobności.

Zanim liście przesłoniły jej widok, stwierdziła z ulgą, e siostra przysunęła się bli ej do Johnny'ego. Wiedziała, e gdy będzie zajęta rozmową, Becky – oddany i lojalny przyjaciel w chwilach kryzysu

– osłoni ukochanego tarczą swojego dobrego imienia.

– Nie wierzę własnym oczom – syknął Rob z wściekłością, odwracając się do niej twarzą. – Jak możesz trzymać za rękę tego mordercę! I to na pogrzebie jego ofiary! Postradałaś rozum? –

Uniósł dłoń, nie dopuszczając Rachel do słowa. Nie zwa ałem na plotki, Rachel – podjął wywód bardziej pojednawczym tonem. –

Tłumaczyłem sobie, że się troszczysz o Harrisa jako pedagog i że kierują tobą szlachetne pobudki. Ale tym razem sprawy posunęły się za daleko! Albo natychmiast z nim zerwiesz wszelkie kontakty, albo możesz uważać naszą znajomość za skończoną.

– A zatem między nami wszystko skończone. – Ku własnemu zdumieniu Rachel powiedziała to niemal z zadowoleniem.

– Co takiego? – Rob zdawał się być ogłuszony odpowiedzią.

Nie ulegało wątpliwości, że nie takiej oczekiwał decyzji. – Chyba jesteś szalona! Nie brałem poważnie twoich słów, gdy mnie przekonywałaś,

że nie mógł zamordować Glendy Watkins,

ponieważ był w tym czasie z tobą. Jestem przekonany, że to on jest winien! Przemawia za tym zbyt wiele faktów! Przebywając z nim, naraziłem własne życie! Powiedziałbym to samo nawet wtedy, gdyby mi na tobie nie zależało. Kto wie, co go może doprowadzić do utraty przytomności?

– Johnny nie jest wariatem. Nigdy by na mnie nie podniósł ręki.

– Johnny – powtórzył Rob z goryczą. – Jaka ty jesteś głupia, 315

Rachel. I pomyśleć tylko, że miałem zamiar się z tobą ożenić!

Rachel obrzuciła go wzrokiem od czubka starannie uczesanej głowy po błyszczące okucia butów. Nie przeoczyła po drodze żadnego szczegółu. Bez alu ogarnęła spojrzeniem wzbudzącą szacunek twarz, klasyczny garnitur, nienaganny krawat oraz dostatek, którym emanowała cała jego postać. I pewnie by go uznała za idealnego kandydata na męża, gdyby nie fakt, że jej skala wartości uległa ostatnio zmianie.

– Myślę, że do siebie nie pasujemy, Rob – powiedziała łagodniejszym tonem, niż na to zasługiwał. Ale to nie z jego przyczyny odkryła dziką, hedonistyczną i impulsywną stronę własnej natury, której istnienia dotychczas nawet nie przeczuwała.

Nie mogła go te winić za to, że zwykł mówić o golfie, o rynku papierów wartościowych i o dniu spędzonym w aptece, gdy ona miała ochotę dyskutować o sensie życia i o twórczości Williama Blake'a. Nie powinna brać mu za złe, że inaczej niż ona wyobraził

sobie wieczór miło spędzony w domu. W jego marzeniach mała słodka kobietka gotowała mu kolację i sprzątała kuchnię, podczas gdy on oglądał w telewizji mecz piłkarski. W końcu to nie z jego winy

ich osobowości diametralnie różniły się od siebie i nie sposób było ich ze sobą pogodzić. Rob nie podejrzewał przecie, że Rachel w głębi duszy jest niepoprawną romantyczką. Nigdy nie pozwoliła mu wejrzeć w głąb siebie – pod konwencjonalną warstwę ogłady, którą zasłaniała się przed światem.

– Chyba masz rację. – W głosie Roba zabrzmiała złość.

Pomyliłem się co do ciebie, Rachel. Cieszę się, że w porę odkryłem twoje prawdziwe oblicze.

316

– Ja te się cieszę. – Jej jednomyślność najwyraźniej go rozsierdziła. Poczerwieniał na twarzy. Niemal słyszała, jak zgrzyta zębami.

– Zmieniłaś się – stwierdził. – To Harris cię odmienił. Masz z nim romans?

– Jesteśmy bratnimi duszami – wyznała. Zamierzała dać mu jakąś ciętą odpowiedź, ale dopiero, gdy dotarły do niej własne słowa, zrozumiała, że wyjawiała mu prawdę.

Rob prychnął pogardliwie.

– Czy może już iść, Rachel? – Niemal podskoczyła, słysząc za plecami cichy głos Johnny'ego.

Obejrzała się. Stwierdziła,

że mierzy Roba twardym i

powagnym wzrokiem. Wziął ją władczo za rękę. Dotyk jego ciepłej dłoni napełnił ją nagle tak wielką radością, że miała ochotę uśmiechnąć się. Zachwyciła ją myśl, że Johnny publicznie dochodzi swoich praw do niej. Miała dosyć przemykania się chyłkiem schodami przeciwpoziwymi do jego mieszkania.

– Oszalałaś, Rachel – stwierdził Rob chrapliwym głosem, odrywając wzrok od Johnny'ego i zatrzymując przez minutę spojrzenie na jej twarzy. Po chwili, gdy nie doczekał się żadnej reakcji, zacisnął usta i odszedł.

Rachel zauważyła, że Dave i Suzan Henlleyowie równie ruszyli do wyjścia. Oprócz Rachel i Johnny'ego na scenie pozostali jeszcze: Becky, Kay, naczelnik Wheatley i dwaj młodzi oficerowie policji, którzy z beznamiętnymi minami śledzili z odległości kilku metrów przebieg wydarzeń.

Na szczęście sala prawie zupełnie opustoszała. Sam Munson i 317

jego pracownicy krążyli dyskretnie wokół trumny, by po wyjściu wszystkich przenieść ją do karawanu i przetransportować na cmentarz. W dalszym obrządku miała uczestniczyć tylko najbliższa rodzina. Dla pozostałych ałobników pogrzeb się zakończył.

Rachel zrobiło się wstyd, że w miejscu ałoby czuje się bezgranicznie szczęśliwa. Pochyliła głowę i

pozwoiliła się Johnny'emu wyprowadzi z budynku.

318

Rozdzia 36

Na pogrzebie Glendy Watkins obserwator wrócił do swojego normalnego stanu, cho kłębily się w nim sprzeczne uczucia. Po raz pierwszy dominujaca część jego osobowości zaczęła wyczuwać wewnątrz własnego ciała obecność szkaradnej duszy obserwatora.

Codzienny, wszystkim dobrze znany, aspekt tej osobowości –

krańcowo różnił się od indywidualności obserwatora. Sprawiał

miłe, sympatyczne wrażenie. Zabiegał o tysiące drobnych spraw, jakie się składają na zwykłą egzystencję. Jaźń obserwatora cechowała bezpłciowość i bezgraniczne zło. Kipiała nienawiścią i wściekłością, a uczucia te rodziły w niej potrzebę zabijania.

Jeszcze godzinę temu codzienna osobowość nie przeczuwała, że przyło yła rękę do zabójstwa Marybeth Edwards i Glendy Watkins.

Ale widok czworga osieroconych dzieci szczególnie starszego chłopca, którego obserwator dostrzegł w przelocie w chwili morderstwa – przyciągnął wspomnienia o tamtym wydarzeniu do zewnętrznej świadomości. Były bardzo realne: widok krwi, jej lepkość i zapach. Odraza i przerażenie przyprawiły codzienną osobowość o zawrót głowy, ale ta jaźń nie chciała o niczym pamiętać. Wzbraniała się przed wspomnieniami. Narazem ona na konfrontację z obrazami, dźwiękami i zapachami tamtej nocy, bezwzględnie je odrzuciła.

Obserwator zjednoczył wysiłki z zewnętrzną jaźnią w przywołaniu słodkiej amnezji. Wiedział, co się może zdarzyć, gdy normalna część jego osobowości zda sobie sprawę z istnienia obserwatora i zamknie się w sobie. Przez krótki okres niezależne 319

myśli, uczucia i wspomnienia mordercy przestały niemal istnieć.

Zewnętrzna jaźń skupiła się na realiach: na ostrej krawędzi siedzenia pod zgiętymi kolanami, na uspokajającym miarowym brzmieniu głosu księdza i ciepłym dotyku ciał siedzących obok przyjaciół. Ohydne, wirujące obrazy, zapewne z jakiegoś dawno zapomnianego horroru, ustąpiły. Na szczęście rzeczywistość zwyciężyła.

Kilka chwil później obserwator bardzo ostro nie powrócił do życia. Odczuwał satysfakcję, uczestnicząc w pogrzebie kobiety, którą zamordował. Ale zanim ałobnicy opuścili salę, jeszcze raz ogarnęła go wściekłość. Zgładzenie Watkins, tak jak i jej poprzedniczki, okazało się daremne.

Johnny Harris znalazł sobie nową kochankę. Pojawiła się nowa ofiara, na którą obserwator musiał zapolować.

Palił się z niecierpliwości.

Ale zewnętrzna jaźń potrzebowała trochę czasu na odrzucenie błędzących wspomnień o morderstwie Glendy Watkins. Obserwator musiał te usunąć zagrożenie, które pojawiło się zupełnie nieoczekiwanie.

Przecież dzieciak widział coś w ciemnościach, czy nie tak?

Obserwatora ogarnął nagle czarny humor.

Postanowił zaczekać na sposobność i przyjrzeć się chłopcu z bliska.

320

Rozdział 37

Chociaż Rachel nie przejawiała najmniejszej ochoty, aby się z nim rozstawać, Johnny odesłał ją razem z przyjaciółmi do domu. A potem wsiadł na motocykl, który ostatnio został wyposażony w nowy komplet opon. Musiał się zastanowić nad kilkoma sprawami.

Prześladowały go twarze Glendy i jej dzieci. Nie dawała mu spokoju myśl, że mógł, a nawet powinien coś zrobić, by zapobiec nieszczęściu. Nie zabił Glendy, tak jak i nie zamordował Marybeth, a jednak w pewnym sensie czuł się odpowiedzialny za to, co się stało. Miał wrażenie, że ściągnął na obie kobiety śmierć.

Nie wiedział, skąd się wzięło owo wewnętrzne przekonanie ani kto dopuścił się zbrodni. Ale intuicja podpowiadała mu, że niestety, oba morderstwa mają niejasny związek z jego osobą.

Cofnął się myślami wiele lat wstecz. Marybeth była uroczą dziewczyną – ładną, szczupłą blondynką. Zawsze podobały mu się kobiety o urodzie tego typu. Rodzice Marybeth – wpływowi członkowie

miejskiego

klubu

–

stanowili

filar

lokalnej

społeczności. Rozpieszczali córkę – najmłodszą latorośl w rodzinie

– i spełniali wszystkie jej zachcianki. Do momentu, kiedy nie zapragnęła mieć Johnny'ego Harrisa.

Domyślał się, że sprzeciwili się jej wtedy po raz pierwszy. A Marybeth nie przywykła, aby ktoś jej czegoś odmawiał.

Ta miła nierozsądna dziewczyna marzyła o karierze aktorki, modelki albo stewardesy. W tamtym czasie Johnny był pod wrażeniem jej urody i determinacji, z jaką wymykała się na spotkania z nim za plecami rodziców, oraz niewinnej i gorącej 321

zmysłowości, którą wykorzystywał z egoizmem typowym dla młodego chłopaka.

Nie ulegało wątpliwości,

e utrzymywanie stosunków z

Johnnyem było jej pierwszym wykroczeniem wobec sprawowanej w aksamitnych rękawiczkach

rodzicielskiej

władzy.

Nieposłuszeństwo, dość powszechne w okresie dorastania, nie powinno jej kosztować

ycia. A jednak z jakiegoś powodu

dziewczyna zapłaciła za nie najwyższą cenę.

W przypadku Glendy sprawa miała się inaczej. Johnny nigdy nie stwarzał pozorów, e jest w niej zakochany. A i z jej strony w grę nie wchodziło burzliwe uczucie. Byli przyjaciółmi i towarzyszami zabaw w okresie dzieciństwa, a potem kochankami, gdy nie mieli nikogo innego, kto by mógł zaspokoić ich seksualne potrzeby.

Gdy Johnny wyszedł z więzienia, w dalszym ciągu utrzymywali przyjazne stosunki, a tak e od czasu do czasu sypiali ze sobą. Miała gorący temperament, podobnie jak i on. Nigdy się nie okłamywali, e pałają do siebie gorącą miłością. Ale zawsze byli sobie bliscy.

Glenda, tak jak i Marybeth, nie zasłużyła sobie na to, eby umrzeć. Nikt nie miał prawa pozbawiać jej dzieci kochającej matki.

A jakie były fakty? Dwie osoby zostały zamordowane przez tego samego zabójcę. Mordercę, który dwukrotnie zaatakował w odstępie jedenastu lat. W przerwie pomiędzy tragicznymi wydarzeniami Johnny korzystał z gościnności rządu. Co łączyło obie kobiety? W czasie, kiedy zostały zamordowane, Johnny z jedną i z drugą sypiał. Na myśl o tym krew odpłynęła mu z twarzy.

Teraz utrzymywał intymne stosunki z Rachel. Z Rachel, której 322

był gotów przychylić nieba. Z kobietą, której zachwycająca osobowość przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Seksualne marzenia wieku dorastania związane z ładną nauczycielką należały do świata fantazji. Rachel istniała naprawdę. Była miła, delikatna, odważna i bezgranicznie lojalna. Zafascynowała go. A jej miłość, wbrew jego woli, zdołała skruszyć jego zatwardziałe serce.

Rachel kochała go. Najpiękniejsza poezja nie mogła się równać z brzmieniem tych trzech słów. Czy z tego powodu miało jej teraz grozić niebezpieczeństwo? Czy jakiś pomylenieć zabijał kobiety, na których zaleało Johnny'emu? A mo e ofiary łączył inny, nikomu nie znany związek? Nie sposób się było doszukać logiki w owej koszarnej i nieprawdopodobnej historii.

Na myśl o tym, e Rachel mo e coś zagraać, Johnny miał

ochotę zawrócić motocykl i czym prędzej znaleźć się przy jej boku.

Ale powstrzymał go rozsądek. Obydwa morderstwa dzielił okres jedenastu lat. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, e kolejne zdarzy się w tydzień po ostatnim. I dlaczego miał zakładać, e w ogóle

będzie

następne?

Mo liwe,

e

Marybeth

została

zamordowana przez jakiegoś przypadkowo przebywającego w mieście psychopatę (ku tej teorii skłamała się Rachel), a zabójstwo Glendy zostało wiernie skopiowane. A mo e Tom Watkins był

sprytniejszy, ni na to wyglądał? Domysłów i przypuszczeń istniało nieskończenie wiele.

Nie, prawdę mówiąc, Johnny wcale nie uwa ał, eby Rachel groziło coś złego. Ale

ycie udowodniło,

e zawsze trzeba

zachować przezorność.

323

Jeśli nawet to rzeczywiście on był ogniwem łączącym oba morderstwa, to przecie nikt spoza rodziny Rachel nie domyślał się prawdy o nich dwojgu. Oczywiście wiedziała jej matka, którą znał

głównie ze wzbudającego lęk i pełnego dezaprobaty głosu w słuchawce, oraz Becky, która kiedyś cieszyła się największym powodzeniem u chłopców w swojej klasie. Była drobna, tak jak Rachel, ale miała bardziej ywiolowy temperament ni siostra i bardziej zdawała sobie sprawę z wra enia, jakie robiła na mę czynach. Johnny podziwiał ją w szkole z daleka, ale to Rachel zawsze była tą,

której pragnął. Od początku coś go w niej pociągało. Ju wtedy istniała między nimi nieporozumienie.

Bratnie dusze. Oto czym byli. Nawet w myślach określenie to zabrzmiało tak beznadziejnie romantycznie i głupio, a Johnny się skrzywił. Niejednokrotnie słyszał,

miłość rzuca silnych

na kolana, a z mózgu robi im papkę. Może się jeszcze powinien zastanowić, nim podejmie decyzję o ścięciu włosów.

Matka i siostra Rachel z pewnością nie chciały wyrządzić jej krzywdy. Istniało stokroć większe prawdopodobieństwo, że to jego będą skłonne zamordować.

Poza tym Glenda uchodziła za kobietę dobrze zbudowaną i silną. Zgładzenie jej w tak bestialski sposób wymagało ogromnej siły. Męskiej siły.

Czy by jakiś mężczyzna do tego stopnia nienawidził

Johnny'ego, że mordował kobiety, które pojawiały się w jego życiu, i w ten sposób rzucał na niego podejrzenie?

Ta refleksja wywołała niemal uśmiech na jego ustach. Do diabła, przy takim założeniu mogła to być większość obywateli

miasta.

Zagadkowa sprawa. Łamał sobie nad nią głowę, lecz nie przychodziło mu do głowy

adnego logicznego wyjaśnienia.

Niezaprzeczalny był tylko fakt, że dwie kobiety, na których Johnny'emu zależało, zostały w straszliwy sposób zamordowane.

Czy by do tragedii doszło z jego powodu? Jeśli ta teoria była prawdziwa, to Rachel groziło poważne niebezpieczeństwo.

Wiedział, że w tej sytuacji nie wolno mu się z nią spotykać. Był

gotów zrobić wszystko, aby ją ochronić. Ale gdy zastanowił się nad tym głębiej, doszedł do wniosku, że szkoda mu została wyrządzona. Trzymali się za ręce w publicznym miejscu, na oczach co najmniej jednej trzeciej miasta.

Nie miał złudzeń, że wiadomość o tym w okamgnieniu dotrze i do pozostałych obywateli. Sieć plotkarska w Tylerville była bezlitośnie sprawna.

Aby uciszyć własny niepokój, postanowił pojechać do szefa policji, zawiadomić go o niebezpieczeństwie grozącym Rachel i dowiedzieć się, co on o tym sądzi. Chociaż Wheatley

wykonywał

zawód, którym Johnny pogardzał, był niewątpliwie człowiekiem uczciwym i godnym zaufania. A poza tym, w przeciwieństwie do Johnny'ego, miał dostęp do informacji. Być może wiedział o innym powiązaniu dwóch zamordowanych kobiet, które wykluczyłyby z całej sprawy Rachel.

A jeśli faktycznie był ktoś taki, kto zabijał kobiety, które pojawiały się w życiu Johnny'ego?

Zostawił Rachel w towarzystwie siostry oraz jej przyjaciółki. Z

nimi była całkowicie bezpieczna. Postanowił, że czym prędzej 325

załatwi sprawę i wróci jeszcze przed zapadnięciem zmroku.

Ciemność niosła ze sobą śmiertelne zagrożenie. Johnny zamierzał

strzec Rachel jak źrenicy oka do nadejścia świtu, a nawet do końca życia, jeśli zajdzie taka konieczność.

Nazajutrz wypadała niedziela i ów piekielny obiad, który tak wiele znaczył dla Rachel. Johnny skrzywił się. Będzie musiał

siedzieć naprzeciwko jej matki przy stole zastawionym srebrami, porcelaną i kryształami. Podejrzewał,

że Elisabeth Grant nie

odmówi sobie przyjemności przyrządzenia mu liwie jak najbardziej wyszukanego dania po to, by go wprawić w zakłopotanie.

Tak, przygotuje się jak najstaranniej do jego wizyty. Lecz Johnny, chociaż za żadne skarby nikomu by się do tego nie przyznał, od dawna szykował się na tę okazję i od chwili gdy Rachel wkroczyła w jego życie, zgłębiał codziennie do późna w nocy „Poradnik Emily”.

Postanowił, że dołoży wszelkich starań, aby nie musiała się za niego wstydzić. Zwykle udawało mu się osiągać to, na czym mu naprawdę zależało.

A kiedy już to wszystko się skończy, o ile w ogóle nadejdzie taki moment, Johnny stanie przed swoją życiową szansą. Szef policji uwierzył nie tylko w to, że nie zamordował Glendy, ale że nie ma również nic wspólnego ze śmiercią Marybeth. Johnny zamierzał spotkać się w tej sprawie z adwokatem. I właśnie w tym celu wybierał się do Louisville. Chciał wymazać ze swojego życiorysu plamę wcześniejszego wyroku.

Miał wrażenie, że los, który ograbił go z tak wielu lat życia, zapragnął mu nagle zrekompensować straty.

Rozdział 38

Rachel była wciąż lekko obrażona na Johnny'ego, gdy razem z Becky podwoziły Kay do domu. Sądziła, że będzie potrzebował jej towarzystwa w ciężkich chwilach po pogrzebie Glendy. A on zostawił ją w towarzystwie siostry, podał jej rękę i oświadczył, że po południu musi załatwić kilka spraw. Nie miała pojęcia, co to mogą być za sprawy, skoro pracował u niej, a sklep został dzisiaj zamknięty z powodu pogrzebu. I nawet nie pocałował jej na pożegnanie.

Zawstydziała się na myśl o tym, że mu to bierze za złe. Przecież wiedziała, że ją kocha, chociaż nigdy nie wyraził tego słowami.

Czuła to całym sercem, umysłem i duszą. Dopiero co odkryta miłość była niewiarygodnie cudowna i Rachel łowiła każdą minutę spędzoną z dala od Johnny'ego.

Lecz on najwidoczniej nie odczuwał braku jej obecności.

– A może jednak wejdziecie do mnie na chwilę? Mam świetną herbatę ziołową. – Kay wysiadła z samochodu i uśmiechnęła się do sióstr.

Rachel przyjrzała się jej uważnie po raz pierwszy od wielu lat i stwierdziła ze zdumieniem, że Kay, która w wieku dorastania, a tak już jako dojrzała kobieta, podpierała ściany na wszystkich zabawach, wygląda dzisiaj kwitnąco. Na jej bladej twarzy pojawiły się rumieńce, jak gdyby zaczęła uprawiać sport i więcej przebywała na świeżym powietrzu. Miała makijaż, którego zwykle nie nosiła, i pachniała perfumami o duszącym zapachu. Swoim włosom o myśiej barwie nadała teraz kasztanowy odcień i była ubrana w

zgrabną zieloną sukienkę. Jej zaokrąglone kształty wydawały się bardziej pełne i nie ulegały wątpliwości, że Kay walczy z nadwagą. Rachel pochłonięta własnymi sprawami nie dostrzegła zachodzących wokół niej zmian.

– Nie, dziękujemy – odpowiedziały chórem siostry, wzdrygając się na samą myśl o ziołowej herbacie, a potem spojrzały na siebie i uśmiechnęły się porozumiewawczo.

Kay skinęła głową, pomachała im na pożegnanie i zniknęła w sieni budynku.

– Nie uważasz, że Kay świetnie wygląda? Zastanawiam się, czy nie jest zakochana – stwierdziła Becky, wyjeżdżając z parkingu i kierując się w stronę Walnut Grove. To ona prowadziła samochód Rachel. Siostra za kierownicą dostarczała jej zbyt mocnych wrażeń i Becky nie kwapiła się z zajmowaniem miejsca pasażera.

– Właśnie pomyślałam o tym samym. Becky roześmiała się.

– Kto to może być? Znam tylko dwóch kawalerów w mieście, lecz obaj smażą cholewki do ciebie.

– Masz na myśli Roba i Johnny'ego? Zapewne znajdzie się jeszcze niejedyn wolny mężczyzna w

Tylerville.

Becky zaprzeczyła ruchem głowy.

– Mam szeroko otwarte oczy, ale nikogo takiego nie zauważyłam. Ty na pewno nie zwracasz na to uwagi, ale ja dostatecznie długo przebywałam poza miastem, by nie dostrzec po powrocie zmian. Z Tylerville wyjechali wszyscy młodzi i ambitni mężczyźni. A jeśli wrócili, to razem z onami i dziećmi. –

Smutny uśmiech Becky przypominał Rachel, skąd się wzięło u siostry nagłe zainteresowanie kawalerami.

329

– Myślisz o pozostaniu w Walnut Grove, Beck? Potem... gdy sprawa się skończy?

– Chodzi ci o rozwód, prawda? Nie krępuj się. Nazwij rzecz po imieniu. Muszę się nauczyć z tym żyć. Wkrótce będę rozwódką.

Możesz w to uwierzyć? – Zaśmiała się z przymusem.

Rachel skinęła głową.

– Czasami nie sposób przewidzieć kolei losu, prawda?

– Tak. Ty zostałam w domu, chociaż zawsze marzyłam o podróżach, zwiedzaniu świata i o cudownych przygodach. A ja... ja sądziłam, że się zakocham, wyjdę za mąż i tutaj, w Tylerville, będę wychowywać swoje dzieci. Nigdy nie myślałam o opuszczeniu domu. Jak widzisz, nie sprawdziły się przewidywania żadnej z nas.

– Przecież wyszłam za mąż i masz dzieci.

– Mąż mój nie spełnił moich oczekiwań. Nawet wtedy, gdy sprawy pomiędzy mną a Michaeliem jeszcze dobrze się układały.

Cały świat kręcił się wokół niego. Wokół jego kariery, jego ubrań i towarzyskich spotkań.

– Nie wiedziałam o tym. Zawsze sądziłam, że jesteś bardzo szczęśliwa.

– Świadomie utwierdzałam was w tym przekonaniu. Chciałam, żeby wszyscy uważali moje małżeństwo za udane. Czułam się podle, że zabrałam ci Michaela. Bardzo go kochałaś?

– O wiele mniej, niż mi się wtedy wydawało.

Przez chwilę milczały, wspominając dawne czasy. A potem Becky figlarnie spojrzała na Rachel.

– Muszę przyznać, że masz oko do mężczyzn. Johnny Harris jest świetnym facetem.

– Świetnym facetem? – Rachel nie zdołała pohamować śmiechu.

Becky u ywała takich samych określeń jak jej uczennice.

– Wierz mi – obstawała przy swoim siostra. – Nie widziałam go ju tak dawno, e zapomniałam, jak wygląda. Był ode mnie o dwie klasy ni ej, lecz zawsze uwa ałam go z kole ankami za najprzystojniejszego chłopaka w szkole. Wyrósł na wspaniałego mę czyznę! Jest cholernie atrakcyjny, a sposób, w jaki na ciebie patrzy... Sama miałabym ochotę uciąć sobie z nim romans.

Rachel spojrzała na Becky i uderzyła się dłońmi w kolana.

– To mo e być coś więcej ni tylko romans, Beck. Prawdę mówiąc, jestem tego pewna.

– Czy znacznie więcej? – spytała Becky z powagą w głosie.

– O wiele. Jestem w nim nieprzytomnie zakochana.

– Chyba nie myślisz o mał eństwie? Rachel wzruszyła ramionami.

– Nie prosił mnie o rękę, więc nie wiem.

– Nie wymiguj się od odpowiedzi, Rachel Elisabeth. Za dobrze cię znam. Jesteś gotowa wyjść za niego za mą , prawda?

– Być mo e.

– Znasz wszystkie przeszkody równie dobrze jak ja.

– Tak.

– Wobec tego nie dodam ju nic więcej. Oprócz tego, e mał eństwo jest trudną próbą nawet wtedy, gdy wszystko za nim przemawia. A sędzę, e tak właśnie było w przypadku mojego związku z Michaeliem. Nie chciałabym być w twojej skórze i od samego początku borykać się z trudnościami.

– Wiem. Zaległo milczenie.

– Rachel?

– Słucham?

– Co się tyczy pytania, które zadałaś mi wcześniej, to sędzę, e zostanę w Tylerville przez jakiś czas. Obecność dziewczynek dobrze wpływa na mamę, a one z kolei mają okazję, by się nacieszyć babcią. Zresztą mnie te dobrze robi pobyt w domu. A zatem... gdybyś chciała dokądś wyjechać, nie ma ku

temu przeszkód. Będę podtrzymywać ognisko domowe, dopóki nie zdecydujesz się wrócić.

Rachel spojrzała zdumiona na siostrę.

– Przejrzałaś mnie na wylot, Beck.

– A jak inaczej mogłabyś poślubić Johnny'ego Harrisa? Nie jest typem człowieka, który by pasował do naszego świata. A gdyby nawet był, to i tak nie widzę dla niego możliwości ułożenia sobie tutaj życia. Jego niewinność nie ma znaczenia dla większości mieszkańców Tylerville. Uważają go za przestępcę i nikt ani nic nie zdoła wpłynąć na zmianę ich opinii.

– Wiem. Te o tym myślałam.

– Jeśli jesteś zdecydowana to zrobić, to niech cię przed tym nie powstrzymuje troska o mamę i tatę. Ty już się wywiązałaś ze swoich obowiązków wobec nich. Teraz kolej na mnie.

– Być może problem nigdy nie będzie istniał. Ale dziękuję.

– Bardzo proszę, zawsze do usług – Becky uśmiechnęła się do Rachel i z powrotem skupiła uwagę na prowadzeniu samochodu.

Kilka sekund później obrzuciła siostrę badawczym spojrzeniem.

– Rachel?

– Słucham?

332

– Czy masz pewność, że Johnny nie jest mordującym damy maniakiem w stylu Dr Jekyll – Mr Hyde, który lubi ze swoich kobiet robić siekane kotlety?

Rachel wyczuła powagę w na pozór lekkim tonie Becky.

– Jestem tego pewna – odparła cicho. Becky nie powiedziała już nic więcej.

Gdy przybyły do Walnut Grove, Rachel była zadowolona, że nie pojechała razem z Johnnym. Na podjeździe zauważyła czarny samochód marki Lexus oraz stojącego przy nim Michaela.

Dziewczęta obstępowały ojca, a za ich plecami Rachel dostrzegła Tildę.

Becky

zatrzymała

maximę.

Gwałtowne

szarpnięcie

dorównywało najgorszym wyczynom Rachel za kierownicą. Przez ułamek sekundy siedziała nieruchomo i przez przednią szybę w milczeniu przyglądała się swojej rodzinie.

– Na sam jego widok robi mi się niedobrze – wyznała. Rachel spojrzała ze współczuciem na siostrę, która zacisnęła zęby i wysiadła z samochodu.

Loren i Lisa zostawiły Michaela i podbiegły do matki. Tylko Katie została na rękach u ojca.

– Mamusiu, tatuś mówi, e się rozwodzie! – Loren zatrzymała się przed Becky i obrzuciła matkę pełnym wyrzutem spojrzaniem.

– Twierdzi, e musicie nas zapisać do tutejszej szkoły, poniewa przez jakiś czas zostaniemy u babci i u cioci Rachel! – Lisa wydawała się równie rozgoryczona jak siostra.

Rachel obesła samochód i stanęła obok Becky. Poczła się bezsilna na widok pobladłej twarzy siostry. Nie była w stanie jej w 333

niczym pomóc. Nie mogła nic zrobić, by złagodzić skutki zadanego ciosu.

– Rozwa amy tylko taką mo liwość. – Becky poła yła dłonie na ramionach dziewcząt. – Ale niczego nie postanowiliśmy jeszcze na sto procent. – Obrzuciła wściekłym spojrzeniem Michaela, który zbli ał się do niej, niosąc na rękach Katie.

– Będzie lepiej, jeśli im powiesz prawdę, Becky – zauwa ył.

Zacisnęła usta, a w jej oczach pojawiły się złowrogie błyski.

Posłała mę owi pełne nienawiści spojrzenie, ale zaraz z powrotem skupiła uwagę na dziewczętach.

– Wygląda na to, e prawdopodobnie się rozwiedziemy, dlatego lepiej zawczasu zapiszemy was tutaj do szkoły. To będzie zabawne, nie sądzicie? Zamieszkamy w Walnut Grove i będziecie chodziły do szkoły, w której uczy ciocia Rachel.

– Czy to znaczy, e ju nigdy nie wrócimy do domu? – spytała Loren, wytrzeszczając na matkę oczy.

– A co z naszymi kole ankami? – dopytywała się bliska łez Lisa.

– I z naszymi zabawkami!

– I z Rumsleyem! – Rumsley był kotem dziewcząt, którego zostawiły w domu z Michaeliem.

– Przywieziemy tutaj Rumsleya, to oczywiste. A tak e wszystkie wasze rzeczy. Nadal mo ecie utrzymywać kontakty ze swoimi kole ankami z Louisville i jednocześnie zawrzeć nowe przyjaźnie tutaj. – Becky rozpaczliwie próbowała robić dobrą minę do złej gry.

– Ja chcę wrócić do domu!

334

– Nie chcę, ebyście się rozwodzili z tatusiem!

– Czy ci na nas wcale nie zależy?

– Nienawidzę cię!

Lisa wybuchnęła płaczem i uciekła do lasu za domem. Loren równie zaczęła chlipać i pobiegła za siostrą.

– Znakomicie przeprowadziłaś tę rozmowę – zauważył cierpko Michael, podchodząc do ony i podając jej Katie.

Becky zeszywniała. Rachel nastroszyła się z powodu siostry, ale ugryzła się mocno w język, eby czegoś nie powiedzieć. Nie wolno jej było wtrącać się w cudze życie. Nic lepszego nie mogła wymyślić, jak tylko nabrać wody w usta i podtrzymywać swoją obecnością Becky na duchu.

– Czy to ja zaczynałam tę rozmowę? Jak mogłeś powiedzieć im o tym w taki sposób? Zamierzałam z tym zaczekać, dopóki nie będziemy pewni...

– To ju postanowione – uciął szorstko Michael.

Becky pobladła. Rachel bez słowa odebrała Katie z rąk siostry i odeszła z nią kilka kroków dalej, eby pokazać dziewczynce parę wiewiórek dokazujących na pniu drzewa. Znajdowała się na tyle blisko, by śledzić przebieg wydarzeń. Postanowiła dyskretnie czuwać nad siostrą, by wypadek, gdyby potrzebowała jej pomocy.

Michael w obecnym nastroju był zupełnie obcym człowiekiem i nie wiedziała, do czego jest zdolny.

Becky podniosła wzrok, patrząc na niego prosto w oczy.

– Jak mo esz wyrzucać nas z domu? – Głos jej się załamał, a Rachel poczuła skurcz współczucia.

Michael sprawiał wrażenie zniecierpliwionego.

335

– Jak zwykle dramatyzujesz. Nikogo nie wyrzucam. Moje córki na zawsze pozostaną moimi córkami. I z pewnością ustalimy rozsądny plan moich kontaktów z nimi. Wiesz równie dobrze jak ja, e nasze małżeństwo było pomyłką. Nie funkcjonowało od wielu lat. A teraz spotkałem kogoś, z kim chciałbym się ożenić. Dlaczego, u diabła, nie pozwolisz mi odejść, tylko jeszcze bardziej ranisz dziewczęta?

– Ja ranię dziewczęta?... – Becky odjęło mowę.

– Gdybyś przestała się zachowywać jak histeryczka, moglibyśmy załatwić sprawę w bezbolesny sposób. Znalazłem ju kupca na nasz dom i mo emy go sprzedać z zyskiem, o co teraz niezwykle trudno. A jeśli dodasz do tego kwotę, którą jestem ci gotów zapłacić, eby jak najszybciej skończyć z tym nonsensem, to przy odrobinie zdrowego rozsądku uznasz obrót wydarzeń za niezwykle korzystny. Tym bardziej e nadal będę ło ył na dzieci.

– Zastanawiam się, czy cię kiedyś w ogóle znałam – szepnęła Becky. Jej twarz była kredowobiała, tak jak jedwabna bluzka Rachel. – Dochodzę do wniosku,

e nigdy. Proszę cię, nie

przyje d aj tu więcej. Jeśli będziesz chciał mi przekazać jakieś informacje, skontaktuj się z moim adwokatem. Zadzwońię w poniedziałek do twojego biura i podam jego nazwisko.

– Sądziłem, e oboje będziemy korzystać z porad mojego prawnika. Tak było uzgodnione.

– Niczego z tobą nie uzgadniałam. I nie uwa am tego za dobry pomysł.

– Becky... – zaczął Michael ze zniecierpliwieniem.

– Odejdź ju , proszę. – Stłumione brzmienie jej głosu 336

wskazywało na to, e Becky walczy ze łzami. Gdy odwróciła się tyłem do mę a i półprzytomna ruszyła w stronę domu, Rachel zobaczyła jej pobladłą twarz oraz wyraz rozpaczy w oczach.

Poczuła, e traci nad sobą panowanie.

– Przemów jej do rozumu, Rachel – poprosił Michael, podchodząc do niej.

Rachel spojrzała na szwagra z niedowierzaniem i przytuliła mocniej do siebie Katie, która z zadowoleniem ssała kciuk.

– Ty łajdaku – powiedziała, choć u ywanie mocnych słów nie le ało w jej zwyczaju.

Michael gwałtownie podniósł na nią wzrok, a w jego szeroko otwartych oczach malowało się zdumienie. – Będzie lepiej, jeśli moja siostra czym prędzej się od ciebie uwolni.

A teraz opuść teren naszej posiadłości, bo w przeciwnym razie zadzwonię po policję.

A potem równie odwróciła się na pięcie i odeszła.

Kilka minut później, wciąż kipiąc z oburzenia, patrzyła przez okno, jak czarny lexus odje d a i znika z pola widzenia.

Zamierzała tak jak zwykle spotkać się wieczorem z Johnnym, lecz o siódmej stało się jasne, e nie będzie mogła wyjść z domu.

Becky i dziewczęta wciąż były wytracone z równowagi po wizycie Michaela. Nie chciała zostawiać ich samych. Loren i Lisa, co mo na było łatwo przewidzieć, winiły o wszystko matkę i nie chciały z nią rozmawiać. Jakakolwiek podejmowana przez nią próba nawiązania kontaktu kończyła się głośnym wykrzykiwaniem oskarżeń i wybuchami histerycznego płaczu. Zadanie wyjaśnienia sytuacji starszym siostrzenicom i pocieszanie ich oraz zabawianie 337

Katie wzięła na siebie Rachel, by Becky mogła w spokoju wypłakać się na ramieniu Elisabeth.

W środku zamieszania zadzwonił telefon.

Rachel podniosła słuchawkę. Katie wzięła jedną z kredek, które dostała od ciotki, i na złotej tkaninie tapety w korytarzu przy kuchni zaczęła kreślić wielkie czerwone koła. Rachel wyrwała jej kredkę, na co dziewczynka zareagowała wrzaskiem i uciekła. Rachel westchnęła.

– Halo? – powiedziała w końcu.

– Dlaczego tak długo się nie odzywasz? – usłyszała apodyktyczne burknięcie. W jednej chwili poczuła się lepiej. Ju sam dźwięk głosu Johnny'ego wystarczył, eby poczuła ulgę.

– Nie mogę przyjechać dzisiaj wieczorem – wyjaśniła cicho. Nie chciała,

eby ją usłyszały starsze siostrzenice ani matka. –

Przezywamy rodzinny kryzys.

– Co za kryzys? – spytał Johnny ostrzejszym tonem.

– Michael powiedział dziewczynkom o rozwodzie. Wszyscy są zdenerwowani. Naprawdę muszę dziś wieczorem z nimi zostać.

– Och, tak. – Na moment zaległa cisza. – Czy mam rozumieć, e w tej sytuacji niedzielny obiad jest odwołany? spytał po chwili z nadzieją w głosie.

Rachel nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Ale skąd. Jest jak najbardziej aktualny.

– Obawiałem się, e to powiesz – stwierdził ponuro. – Godzina druga, dobrze zapamiętałem?

– Dopuszczalny kwadrans spóźnienia. I Johnny... – Tak?

– Nie martw się. Matka cię nie zje.

338

– Dobrze ci mówić. – Ale w jego głosie zabrzmiało rozbawienie i Rachel uśmiechnęła się.

– Kocham cię – wyznała do słuchawki.

– Uhm – dobiegła jej uszu najbardziej zwięzła z mo liwych odpowiedzi. A potem Johnny dodał, ju nieco innym tonem: –

Rachel?

– Słucham?

– Czy mo esz wyświadczyć mi przysługę?

– O cokolwiek mnie poprosisz, z wyjątkiem odwołania obiadu.

– Nie, nie o to mi chodzi. – Wyczuła, e się uśmiechnął. Nie wychodź nigdzie dzisiaj wieczorem z domu, dobrze?

– Dlaczego mam nie wychodzić? Słyszała, e się waha.

– Du o dzisiaj myślałem. I doszedłem do wniosku, e Marybeth i Glendę łączyło co najmniej jedno ogniwo: ja.

– I co z tego?

– Ciebie to równie dotyczy. Nie jestem pewien, czy nie zginęły dlatego, e w jakiś sposób były związane ze mną. Wolałbym o tym nawet nie myśleć. Ale muszę zachować przeczorność, by uchronić cię przed zagro eniem. Dlatego nie wychodź wieczorem z domu, dobrze?

Zgoda – powiedziała powoli, wstrząśnięta jego sugestią. To było takie oczywiste. Dziwne, e o tym dotychczas nie pomyślała. Jeśli morderstwa były z jakiejś przyczyny wymierzone w Johnny'ego, to teraz ona stała się najbardziej prawdopodobnym celem.

Świadomość tego faktu przeraziła ją.

– Obiecujesz?

– Oczywiście. – Zamierzała bezwzględnie dotrzymać obietnicy.

339

Nawet końmi nie wyciągnęliby jej teraz z domu.

– Grzeczna dziewczynka. – Zdawał się być uspokojony. A zatem do zobaczenia jutro na obiedzie. Zaopiekuj się Becky i dziewczętami. I uwa aj na siebie.

– Będę uwa ała. Dobranoc.

– Dobranoc.

Johnny rozłączył się pierwszy. Rachel jeszcze przez chwilę trzymała słuchawkę w ręce. Kochała go tak bardzo, e jego nieobecność sprawiała jej ból. Oddałaby wszystko za to, by móc się znaleźć w jego mieszkaniu, jeść razem z nim spaghetti, tańczyć, rozmawiać albo...

– Kto to był, Rachel? – Matka wystawiła głowę z biblioteki.

– Johnny, mam. Powiedział, e. się nie mo e doczekać jutrzejszego obiadu.

– Naprawdę tak powiedział? – spytała Elisabeth z kwaśną miną, ale gdy się przyjrzała twarzy córki, zrezygnowała z dalszych komentarzy. – Jak myślisz, czy dziewczęta są w stanie porozmawiać ze swoją matką jak rozumne istoty i nie będą na nią naskakiwać?

Rachel wzruszyła ramionami.

– Skąd mam to wiedzieć? – rzekła czekając, kiedy matka zauwa y upiękzoną rysunkami tapetę.

Ale Elisabeth obrzuciła tylko pobie nie wzrokiem grube czerwone kreski i zaraz z powrotem wycofała się do pokoju.

Rachel ruszyła w stronę kuchni. Zamierzała nakłonić dziewczęta, eby poszły razem z nią do biblioteki.

340

341

Rozdział 39

Johnny stwierdził po powrocie do domu, e ogromnie brakuje mu Rachel. Samotnie zjadł skromną kolację – kanapkę z kielbasą, gdy nie był w nastroju, eby. sobie coś ugotować – i próbował

czymś się zająć. Usiadł przed telewizorem, lecz po dwudziestu minutach wyłączył odbiornik, do końca nie zdając sobie sprawy z tego, e oglądał program oświatowy. Potem starał się czytać, lecz nie potrafił skupić się nad ksią ką.

Powinien być zmęczony. Miał za sobą ciężki dzień. Trzy godziny spędził na motorze w drodze do Louisville i z powrotem, a trzy następne na załatwianiu spraw. Po wizycie u adwokata miał

wra enie, e po wielu latach zdjęto mu z pleców ogromny ciężar.

Prawnik obiecał zająć się przygotowaniem dokumentów, które były wymagane przez sąd przy składaniu wniosku o unieważnienie wyroku. W wypadku pomyślnego rozpatrzenia apelacji, a adwokat spodziewał się właśnie takiego jej wyniku, wzmianka o karalności została by usunięta z akt Johnny'ego. Następnym krokiem byłoby wtedy wystąpienie z roszczeniem do rządu o odszkodowanie.

Johnny'emu jednak, najmniej zależało na pieniądzach. Myślał tylko o tym, by odzyskać opinię człowieka bez kryminalnej przeszłości.

Chciał być czysty, by móc rozpocząć życie od nowa.

Myśl ta powinna podziałać na niego kojąco i pozwolić mu spokojnie zasnąć. Ale za każdym razem, gdy tylko zamykał oczy, pojawiał się przed nimi obraz Glendy w chwili, kiedy ją widział po raz ostatni, oraz refleksja o tym, co ją wkrótce potem spotkało.

Rozmyślał te o Rachel.

342

Nie mógł oprzeć się przekonaniu,

że ktoś czai się w

ciemnościach i czyha na jej życie. I choć tłumaczył sobie, że owo wrażenie jest chorobliwe i paranoidalne, nie potrafił się z niego otrząsnąć.

W końcu około jedenastej dał za wygraną. Wiedział, że nie zdoła stłumić w sobie niepokoju. Wciągnął buty, poklepał czule Wolfa na dobranoc, wziął koc oraz poduszkę i ruszył do wyjścia.

Zdecydował, że spędzi noc pod gołym niebem na podwórzu za domem Rachel, chociaż czułby się straszliwie głupio, gdyby został

przez kogoś tam nakryty. Ale jeśli morderca chciał się zczaić, licząc na konfrontację z bezbronną kobietą, to go czekał srogi zawód.

Tym razem Johnny zamierzał być tam równie. Postanowił, że dopóki będzie sypiał przed jej domem, dopóki nie będzie mogła spędzać nocy w jego ramionach. Bez względu na to, jak długo to potrwa.

Przecież już nieraz nocował pod gwiazdami.

343

Rozdział 40

– Jeremy. – Do pogry onego w rozpacz chłopca dobiegł szept.

Jeremy siedział na schodach werandy z tyłu drewnianego domu swojego ojca. Obejmował ramionami podciągnięte w górę kolana i trzymał na nich głowę. Na dźwięk głosu podniósł wzrok. W nikłym świetle księżyca widział jedynie zarys szopy i niskie drzewa, które cętkowały pole za domem.

Gdzieś łośnię zaskomlał Sam – szczeniak Jeremy'ego. Kupił

go ojciec, by złagodzić im ból po stracie mamy. Nie powiedział o tym wprost, ale Jeremy i tak dobrze wiedział. Nigdy przedtem rodzice nie zgadzali się na psa. A tu nagle w dwa dni po śmierci mamy dostali w prezencie szczeniaka. Nie trzeba być geniuszem, aby się domyślić, jaki był powód tej nieoczekiwanej wspaniałomyślności.

Jeremy zdawał sobie sprawę z tego, e ju nigdy nie zobaczy mamy. Oto czym była śmierć. Doskonale to rozumiał, tylko młodsze rodzeństwo jeszcze nie w pełni było tego świadome. Po policzkach zaczęły mu spływać łzy. Ze złością otarł je dłonią.

– Czy mógłbyś mi pomóc, Jeremy? Twój pies zaplątał się w druty.

Sam głośno zaskowyczał. Chłopiec widział go jeszcze chwilę temu, gdy merdał ogonem przy wejściu do szopy. Jeremy wstał i zszedł po schodach. Mały szczeniak mógł się powa nie pokaleczyć na drucie koleczastym za domem. To miło ze strony Heather, e się tym zainteresowała. I choć mama zwykła nazywać ją „dziwką”, to musiał przyznać, e od czasu tragedii była dla niego naprawdę miła.

344

Dopiero gdy przeszedł przez podwórze i znalazł się przy szopie, przypomniał sobie, e Heather jest w domu i kąpie dziewczęta.

Ale wtedy ju było za późno na ucieczkę.

345

Rozdział 41

Elisabeth w odświętnej sukni przepasanej białym fartuchem krzątała się w kuchni, wyciągając z pieca rogaliki i przyrządzając sos do pieczeni. Rachel wyprowadziła Staną na przedobiedni spacer do ogrodu, a dziewczęta biegały w podskokach wokół dziadka i cioci. A ponieważ do tradycji należało, e Tilda i J.D. mają wolne niedzielne popołudnia i wieczory, obowiązek wpuszczania gości spoczął na Becky.

Wkładała właśnie lód do kryształowego pojemnika, gdy rozległ

się dzwonek. Dobrze wiedziała, kto przyszedł. Elisabeth zwykle zapraszała na niedzielny obiad od czterech do sześciu osób, lecz dzisiaj spodziewano się tylko jednego gościa.

Był nim Johnny Harris.

Becky z powitalnym uśmiechem na twarzy otworzyła mu drzwi i stanęła jak wryta, zapominając na moment o nakazach gościnności.

– Dobry Bo e! – wydusiła z siebie, z niedowierzaniem taksując Johnny'ego od stóp do głów.

Był ubrany w granatowy garnitur, który leżał na nim jak ulał, w śnie nobiałą koszulę i jedwabny kasztanowy krawat. No i miał

schludnie obcięte włosy. Czarne kędziory modnie zaczesane do tyłu zakrywały mu koniuszki uszu i zaledwie muskały kołnierzyk na karku.

– Czy nie przyszedłem za wcześnie? – spytał. Odszukała jego oczy. Nie pomyliła się. Miała przed

nieprzyzwoicie pociągająca twarz nie zmieniła się wiele od czasów szkoły średniej. Gdy Becky zobaczyła go wczoraj na pogrzebie Glendy, doszła do wniosku, że jest najprzystojniejszym mężczyzną w Tylerville. Chociaż osobiście nie była zwolenniczką długich włosów u płci przeciwnej. Teraz jednak wygląd Johnny'ego był bez zarzutu. Poczuliście zazdrości na myśl o tym, że siostra usidliła mężczyznę o tak wspaniałej prezencji. To ona, a nie Rachel, zwykła podbijać serca atrakcyjnych facetów. Choć zdawała sobie sprawę, że w tym konkretnym przypadku flirtowanie może mieć kilka poważnych mankamentów.

– Becky? – odezwał się z lekko kpiarskim uśmiechem, gdy nadal przyglądała mu się w milczeniu.

– Wspaniale wyglądasz – stwierdziła bez ogródek. Siostrzana zazdrość zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, a Becky pomyślała z zadowoleniem o radości, jaką sprawi Rachel zmiana w wyglądzie Johnny'ego. – Rachel przez ciebie wstrząs – zauważyła z uśmiechem.

– Dziękuję. Myślę, że chyba tak. – przyznał. Zaproszony przez Becky wszedł do olbrzymiego hallu i rozejrzał się dookoła.

Oszłomił go widok popiersi z brązu, pejzaży na ścianach i starych perskich dywanów na parkiecie z dębiny. Gdzie jest Rachel? –

spytał.

– Przed domem razem z tatą i dziewczynkami. Chodźmy do salonu. Zrobię ci coś do picia. – I Becky przeprowadziła Johnny'ego przez rozsuwane mahoniowe drzwi, które dzieliły hall od bawialni.

– Usiądź. Czego się napijesz?

– Poproszę o mroźną herbatę – odparł. Nie zajął jednak

proponowanego

miejsca,

lecz

podszedł

do

olbrzymiego

wykuszowego okna, które znajdowało się na drugim końcu pokoju i wychodziło na patio. Rachel pchała inwalidzki wózek swojego ojca po kamiennej ścieżce łączącej wewnętrzny dziedziniec z

wybrukowanym podjazdem przed gara em, gdzie kiedyś stała stodoła.

– Dziękuję – powiedział, biorąc szklanę z rąk Becky. Czy to twoje dzieci? – Wskazał bawiące się na trawie dziewczynki.

– Tak. Ciemnowłosa nazywa się Lisa. Młodsza, blondynka, to Loren, a najmłodsza Katie. Mam nadzieję, e nie będzie ci

przeszkadzała ich obecność przy stole. Zawsze jedzą razem z nami niedzielny obiad.

– Oczywiście e nie. Lubię dzieci.

– Naprawdę? – Becky poczuła, e w jej pytaniu było zbyt wiele ukrytego znaczenia. Nie wiedziała dlaczego, ale natychmiast wyobraziła sobie Johnny'ego, jak huśta na kolanach dzieci Rachel.

Chcąc pokryć niezręczność, dodała prędko: – Rachel mówiła mi, e lubisz te psy.

Jego twarz powoli rozjaśniła się w uśmiechu. Upił łyk herbaty.

– A mnie powiedziała, e obie z mamą nie przepadacie za zwierzętami w domu.

– Ale nie, dlaczego? Nigdy nie mieliśmy psa, więc nie było okazji, eby się o tym przekonać. Za to oboje z mę em kupiliśmy córkom kota.

– To miło.

Rozmowa się nie kleiła. Becky, która nigdy do tej pory nie czuła się skępowana w rozmowie z mę czyną, bez powodzenia 348

usiłowała znaleźć jakiś temat. W końcu dała za wygraną. Johnny i tak na nią nie patrzył. Stał przy oknie i, popijając herbatę, z nieodgadnionym wyrazem twarzy przyglądał się Rachel. Słodkiej marzycielce, która była uosobieniem doskonałości, zawsze nienagannie się zachowywała i nigdy nie postawiła jednego fałszywego kroku. Rachel, która wiedziała, jak nale y postąpić w ka dej sytuacji, i robiła wszystko z wrodzonym wdziękiem. Becky wzdrygnęła się na myśl o jej związku z buntownikiem pokroju Johnny'ego Harrisa, nawet w jego obecnym, schludnym i ostrzy onym wcieleniu.

– Rachel... bardzo cię lubi – oświadczyła nagle, chcąc się przekonać, co odpowie.

Siostra nigdy nie cieszyła się wielkim powodzeniem u mę czyn. Być mo e Johnny jedynie pociągał ją fizycznie. Był

mę czyną, który mógł działać pobudzająco na zmysły kobiet.

– Powiedziała ci to? – Jego oczy prześliznęły się po twarzy Becky.

Zrobiło się jej nieswojo pod cię arem ich nieruchomego spojrzenia. Dlaczego czuła się przy nim

dziwnie skrepowana? Czy powodem była jego reputacja? Męska uroda? A mo e garnitur, który przywoził jej na myśl wilka w owczej skórze?

– Tak, powiedziała mi.

Uśmiechnął się, a Becky stwierdziła, e Johnny ma w sobie wiele uroku. Nic dziwnego, e Rachel straciła dla niego głowę.

Nagle niezwykle kuszący wydał się jej pomysł ucięcia sobie z nim flirtu. Nie brała oczywiście pod uwagę niczego powa nego. Nawet by jej przez myśl nie przeszło, eby poślubić kogoś takiego jak 349

Johnny Harris. Ale krótkotrwały związek, przelotny romans, byłby cudownie ekscytujący.

– Twoja siostra jest niezwykle osobą.

Becky prędko otrząsnęła się ze wzbudzających grozę pomysłów.

– Wiem. Cieszę się, e to zauwa yłeś.

Johnny ponownie wyjrzał przez okno, pogrą ył się w zadumie, a potem upił łyk herbaty i zwrócił się do Becky.

– Rachel mówiła mi, e się rozwodzisz. Bardzo mi przykro z tego powodu.

– Dziękuję. – Odzyskała panowanie nad sobą. Jeśli chciała dowiedzieć się czegoś o prawdziwym Johnnym Harrisie, musiała go śmiało zaatakować. Uprzejma wymiana zdań prowadziła donikąd. –

Wybacz mi, e wtrącam się w nie swoje sprawy, ale moja siostra jest mi bardzo droga. Ty... i ona... – pomimo najlepszych chęci, Becky znowu nie potrafiła znaleźć właściwych słów – tworzycie bardzo niezwykle parę.

– Przypuszczam, e masz rację. Na pozór nie pasujemy do siebie. Ale twoja siostra posiada rzadko spotykaną umiejętność dostrzegania tego, co się kryje w środku.

– Między wami jest ró nica kilku lat.

– Mnie to nie przeszkadza. Najwa niejsze, e jest pełnoletnia.

Błysk uśmiechu, który towarzyszył słowom Johnny'ego, na chwilę przerwał wywód Becky. Podobnie jak on upiła łyk herbaty i wyjrzała przez okno. Rachel pchała wózek ojca w stronę domu.

Wiatr rozwiewał jej ciemne włosy i opinał na szczupłych nogach jasno ółtą spódnice. Nie wyglądała na swoje trzydzieści cztery lata.

Miłość złagodziła rysy jej twarzy. Pochyliła się właśnie, eby 350

powiedzieć coś ojcu. Becky była przekonana, e nie zrozumiał ani słowa, a mo e nawet nie zdawał

sobie sprawy, e w ogóle ktoś coś do niego mówi. Serce Becky przepełniła miłość do siostry i gorące pragnienie ochraniaania jej.

– Chcę jedynie, eby była szczęśliwa. W pełni na to zasługuje –

oświadczyła nagle ze wzruszeniem.

– A zatem chcemy tego samego.

– Rob, mę czyzna, z którym się spotyka, to bardzo sympatyczny człowiek. Jest farmaceutą i właścicielem ładnego domu. Ma czterdzieści lat. Byłby dla niej odpowiednią partią stwierdziła bezceremonialnie.

– W tym miejscu nie mogę się z tobą zgodzić. Sądzę, e ju po upływie roku Rachel byłaby w głębi duszy nieszczęśliwa, gdyby popełniła to głupstwo i wyszła za niego za mą .

Zdumiona Becky podniosła wzrok na Johnny'ego.

– Dlaczego tak uwa asz?

– Poniewa Rachel jest marzycielką. Niewiele ludzi zdaje sobie z tego sprawę, bo sprawia wra enie osoby praktycznej. Jej doznania ró nią się od tego, co czuje większość ludzi. Jeśli kocha, to arliwiej od innych, w przyjaźni jest bardziej lojalna, ale tak e łatwiej ją zranić. Byłaby nieszczęśliwa w roli kury domowej i ony jakiegoś neandertalczyka. Zasługuje na wiele więcej.

Becky słuchała wywodu Johnny'ego z lekko otwartymi ustami.

Jego opinia o Rachel była głęboko przemyślana i niezwykle trafna.

Nigdy nie podejrzewałaby Johnny'ego o taką subtelność. Prawdę mówiąc, a do dzisiaj w ogóle wątpiła w analityczne zdolności jego umysłu. Być mo e względy, jakie mu okazywała siostra, bazowały 351

na mocniejszej podstawie, ni przypuszczała.

– Skoro o tym wszystkim wiesz, tym bardziej musisz być świadom tego, jak dotkliwie mo esz ją zranić.

– Prędzej bym sobie dał uciąć rękę, ni pozwolił, eby stała się jej krzywda.

W kategoriycznym, cicho wypowiedzianym oświadczeniu zabrzmiała głęboka szczerść. Becky poczuła, e powoli topnieje jej rezerwa. Co prawda od osiągnięcia pełni szczęścia z Johnnym dzieliło Rachel jeszcze wiele przeszkód, ale z całą pewnością nie nale ał do nich brak uczucia z jego strony.

– Gdzie jesteś, Becky? Chciałabym, ebyś... – dobiegł ich głos Elisabeth, nim ona sama zjawiała się w drzwiach. Nie dokończyła zdania, widząc, e córka nie jest sama. – Och – rzekła, mierząc gościa spojrzeniem od stóp do głów. Wygląd Johnny'ego był dla niej nie mniejszą niespodzianką ni dla

Becky. Elisabeth szybko odzyskała panowanie nad sobą. Becky doszła do wniosku, że ktoś, kto matki dobrze nie zna, nie mógł zauważyć w jej zachowaniu chwilowej konsternacji. – Nie wiedziałam, że pan już przyszedł.

Miło mi pana poznać. Cieszę się, że przyjął pan zaproszenie na obiad.

– Jestem wdzięczny, że zechciała mnie pani zaprosić.

Zdenerwowanie

Becky

zaczęło

powoli

mijać.

Matka

zachowywała się sztywno, ale była uprzejma. Najwidoczniej zdając sobie sprawę z uczuć Rachel, postanowiła niczym nie urazić gościa, jednak rezerwa w jej postawie świadczyła o maskowanej z trudem niechęci. Jednakże Johnny Harris o tym nie wiedział.

352

Tymczasem Elisabeth zaskoczyła i wprowadziła Becky w zakłopotanie swoją nieoczekiwaną bezpośredniością:

– Rachel powiedziała mi, że jest w panu zakochana. Sądzę, że to wystarczający powód, byśmy się poznali. Czy zgadza się pan ze mną?

– Całkowicie, proszę pani – odparł Johnny z uśmiechem. Jednak Elisabeth najwidoczniej była mocniejszej konstrukcji psychicznej niż Becky albo przekroczyła granicę wieku, w którym kobieta reaguje na męskie wdzięki. W każdym razie nic nie wskazywało na to, aby urok Johnny'ego wywarł na niej jakiegokolwiek wrażenie.

– Dobrze, że się pan ze mną zgadza. Będzie mi o wiele łatwiej powiedzieć to, co mam panu do zakomunikowania.

Elisabeth ruszyła w jego stronę, ale zatrzymała się przy kominku, w odległości trzech metrów od Johnny'ego. Założyła ręce na piersi. Becky przeraziła się, gdy usłyszała jej słowa. Modliła się w duchu o to, aby siostra zjawiła się jak najszybciej. Ale jej życzenia nie zostały wysłuchane.

– Musi pan wiedzieć, że mam złe przeczucia odnośnie pana związku z Rachel. Córka jest przeświadczona o pańskiej niewinności. W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak uznać jej stanowisko w tej kwestii, gdy niewątpliwie zna pana lepiej niż ja. – Elisabeth uniosła w górę brodę, a

w jej oczach pojawiły się gniewne błyski. Z rozmysłem zrobiła kilka kroków w stronę Johnny'ego i groźnie wymierzyła w niego wskazujący palec. – Ale ostrzegam pana, e jeśli moją córkę spotka krzywda w czasie, kiedy się będziecie ze sobą spotykać, to odpowie mi pan za to bez względu na opinię policji i sądu w tej sprawie. Wezmę broń mojego 353

mę a, odszukam pana i zastrzelę. Jestem ju starą kobietą. Moje ycie dobiega końca i niewiele mam do stracenia. Mo e mi pan wierzyć, e nie zawaham się tego zrobić. Czy wyraziłam się dostatecznie jasno?

– Tak, proszę pani.

Becky stwierdziła z ulgą, e Johnny sprawia wra enie lekko rozbawionego. Obawiała się ju , e poczuje się ura ony i wyjdzie, a na nią spadnie obowiązek tłumaczenia się przed Rachel i wyjaśniania, dlaczego nie interweniowała w porę. Ale czy ktoś mógł powstrzymać matkę, gdy postanowiła coś zrobić lub powiedzieć?

– To dobrze. Czy zechciałby pan teraz pójść na dziedziniec i przyprowadzić tu moją córkę i dziewczynki? Zwykle nie proszę o to gości, ale Rachel nie mogła się na pana doczekać i siedziała przez całe przedpołudnie jak na szpilkach. Pewnie wołałaby, eby ją pan zastał domu. Nie miałabym wtedy okazji, eby zaprezentować panu mój punkt widzenia. Cieszę się jednak, e przyszedł pan trochę wcześniej.

– Ja te jestem z tego zadowolony – stwierdził Johnny, utkwivszy wzrok w Elisabeth – poniewa dzięki temu mam mo liwość wyra enia równie własnej opinii. Nie musi się pani obawiać, e zamorduję Rachel, gdy oczywiście tego nie zrobię.

Ale chciałbym wyjaśnić jedną kwestię, eby w przyszłości nie było nieporozumień: wszystko, co dotyczy naszych stosunków z pani córką, jest sprawą wyłącznie jej i moją.

Elisabeth popatrzyła na Johnny'ego zaskoczona. Przez chwilę ka de z nich wa yło w myślach wypowiedź drugiej strony, jak 354

gdyby rozpoznawało w swoim rozmówcy godnego przeciwnika. A potem Johnny uśmiechnął się do Elisabeth i Becky odniosła wra enie, e szpady chwilowo zostały schowane do pochw.

– Przepraszam, pójdę ju po Rachel.

Skinął głową w kierunku obu kobiet i opuścił pokój. Niedługo potem usłyszały trzaśnięcie frontowych drzwi. Elisabeth spojrzała na Becky.

– Jest zupełnie inny, ni się spodziewałam.

– To prawda. – Becky westchnęła. – Jak mogłaś w ten sposób z nim rozmawiać, mamó? Twoje słowa były takie obraźliwe.

– Wolę być nieuprzejma ni patrzeć ze spokojem, jak twoja siostra tragicznie kończy. Co prawda nie sądzę, eby akurat on był

zdolny do takiego bestialstwa, ale kto to ma wiedzieć? Jest przystojnym chłopcem i nie boi się walczyć o swoje. To mi się podoba. Ale jeszcze o wiele za wcześnie na to by móc w pełni wyrobić sobie o nim zdanie. Zobaczmy, jak się ułoży sprawy między nim a Rachel.

– Mamo...

– Och, bądź już cicho, Becky. Chodź ze mną do kuchni. Zajmiesz się napełnianiem kieliszków, gdy będę podawała do stołu zupę.

355

Rozdział 42

Jeremy otworzył oczy, ale nadal niczego nie widział. Przez moment był przerażony, sądząc, że stracił wzrok. Dopiero po chwili zrozumiał, że w miejscu, w którym przebywa, panuje ciemność.

Nieprzenikniona

ciemność.

Nie

widział

nawet

swoich

podciągniętych w górę kolan, które miał tu przed nosem. Leżał na boku, na czymś bardzo twardym i zimnym.

Odczuwał chłód. Wokół unosił się zapach stęchlizny, jak w starej suterenie. W domu jego ojca nie było tak ciemnego, zimnego i

cuchnącego

pomieszczenia.

Budynek

nie

miał

nawet

podpiwniczenia. Ani ziemiarki, z którą kojarzyło się chłopcu obecne miejsce.

A zatem nie był u ojca. Przeszły go ciarki, gdy sobie to uzmysłowił. Czy by umarł? I znajdował się w piekle albo w czyściecu? Czy spotka się z mamą? Nie, ona była w niebie. Bo kto miał tam trafić, jeśli nie ona? Gdy uniósł głowę, eby się rozejrzeć dookoła, poczuł wewnątrz czaszki przeszywający ból, który przyprawił go o mdłości. Był ranny. W jaki sposób odniósł

obrażenia? Czy by się przewrócił?

Powoli zaczęła mu wracać pamięć. Siedział na werandzie, gdy ktoś do niego zawołał, eby pomógł uwolnić Sama. Nie była to Heather. W przerażającym przeblasku intuicji Jeremy'emu przyszło na myśl, ewołała go ta sama osoba, która zamordowała mamę.

Stwór, którego widział w ciemnościach, wrócił po niego.

Chłopiec zapiszczał. Przeraził go dźwięk własnego głosu.

Natychmiast umilkł. Mógł przecie znajdować się w kryjówce 356

stworu, który był w pobliżu, nasłuchiwał i tylko czekał, eby Jeremy się obudził. Czy zamierzał go równie zabić, tak jak mamę?

Ostro nie i jak najciszej położył z powrotem głowę na twardym i zimnym kamieniu, podciągnął wyżej kolana i objął je ramionami.

Zwinął się w kłębek i ponownie zamknął oczy.

Po policzkach zaczęły mu spływać łzy.

357

Rozdział 43

– Spójrz, ciociu Rachel! – Loren wyprostowała się nad wózkiem, który pchała kamienną ścieżką i wskazała w stronę domu.

Rachel spojrzała w tamtym kierunku i zmarszczyła brwi. Kim był

mężczyzna, który się do nich zbliżył?

– Johnny! – Rozdziawiła usta, mierząc go wzrokiem od czubka ostrzy onej głowy po wypolerowane buty z cielej skóry.

Przywodził teraz na myśl jakiegoś młodego, przystojnego i bardzo atrakcyjnego wysokiego urzędnika państwowego, a nie dawnego Johnny'ego Harrisa.

– No i jak? – Spytał, gdy podszedł na tyle blisko, e go mogła usłyszeć. Uśmiechnął się na widok jej miny.

– Obciąłeś włosy!

– Kazałaś mi je ostrzyc.

– Mam nadzieję, e nie zrobiłeś tego ze względu na mnie.

– Nie, ze względu na Wolfa! Oczywiście e zrobiłem to ze względu na ciebie! A tak e ze względu na siebie. Jestem ju za stary na to, by odgrywać Jamesa Deana.

Podniosła wzrok. Napotkała jego oczy. Bez zbędnych wyjaśnień odebrała wiadomość, którą chciał jej przekazać. Był gotów wydorosleć i zrezygnować ze zbuntowanej postawy. Był gotów odciąć się od przeszłości. Głęboko to ją poruszyło i wprawiło w stan podniecenia. Być mo e, wbrew jej obawom, wspólna przyszłość dla nich dwojga wcale nie była a tak bardzo nierealna.

– Fantastycznie wyglądasz.

– Dziękuję. Ty te . – Spojrzał na Stana, który siedział z obojętną 358

miną i wzrokiem utkwionym w przestrzeń przed sobą, obszedł

inwalidzki wózek, wziął Rachel pod brodę, podniósł w górę jej twarz i pocałował. Dotyk jego ust był mocny i władczy. Rachel zakreśliło się w głowie. Obróciła się do niego przodem, stanęła na palcach, chwyciła go za szyję i odwzajemniła pocałunek.

Znieruchomiała,

gdy

za

plecami

rozległy

się

chichoty.

Zaczerwieniona obejrzała się przez ramię.

Johnny wyszczerzył w uśmiechu zęby. Dziewczęta otoczyły ich chichocząc.

– Czy to twój nowy chłopak, ciociu Rachel? – spytała Loren, wybałuszając oczy.

Rachel myślała przed chwilą, e ju nie mo e zarumienić się bardziej. Teraz musiała przyznać, e była w błędzie.

– Tak – odpowiedział za nią Johnny, uśmiechając się do dzieci.

– Ty pewnie nazywasz się Lisa? Ty jesteś Loren, a ty Katie, prawda?

– Skąd pan zna nasze imiona? Mówiłaś mu o nas, ciociu Rachel?

Rachel zaprzeczyła ruchem głowy, odzyskując panowanie nad sobą.

– To jest pan Harris, dziewczęta.

W przeciągłym spojrzeniu, jakie Johnny posłał Rachel, malowało się jednocześnie zaskoczenie i rozbawienie.

– Nie jestem przyzwyczajony, eby zwracano się do mnie w ten sposób. Nazywajcie mnie po imieniu. Mówcie po prostu Johnny.

Rachel pokręciła głową.

– Pan Harris – przykazała siostrzenicom stanowczym tonem. –

359

To oznaka szacunku. Zwracają się tak do wszystkich dorosłych, którzy nie są ich krewnymi – wyjaśniła Johnny'emu.

– Rozumiem – powiedział z uśmiechem. – Spróbuję do tego przywyknąć. Ale się nie zdziw, jeśli na początku nie będę reagował

na tę formę.

– Nic nie szkodzi. Najważniejsze, ebyś zawsze odpowiadał, kiedy ja się będę do ciebie zwracała.

– Wszystko zależy od tego, jak się będziesz do mnie zwracała.

Rachel artobliwie wydeła usta, a potem wzięła Johnny'ego za rękę i obeszła dookoła wózek. Nie zauważyła pytającego spojrzenia w jego oczach, gdy pochylała się nad ojcem.

– To jest Johnny Harris, tatusiu – powiedziała cicho, a ton jej głosu zdradzał, e Rachel bardzo zależy na jego uwadze.

Lecz Stan wciąż patrzył pustym wzrokiem przed siebie. Jego pozbawiona wyrazu blada twarz pozostała nieruchoma, a ręce tak jak dotąd spoczywały nieruchomo na kocu, którym miał okryte nogi.

– Dzień dobry, panie Grant.

Słowa Johnny'ego do niego nie dotarły. Rachel wpatrywała się w ojca i traciła nadzieję. Nie słyszał jej. Zrozumiała, e nigdy nie pozna Johnny'ego. Ogarnął ją smutek i uczucie zawodu.

– Był taki... pogodny – powiedziała, odwracając głowę do Johnny'ego. Ze współczuciem w

milczeniu uściśnął jej rękę.

– Zawsze był bardzo ywotny i szalenie aktywny. Potrafił sypać dowcipami jak z rękawa i słynął z ciętych odpowiedzi...

– zająknęła się.

– Doskonale pamiętam go z czasów, gdy byłem małym 360

chłopcem – oświadczył niespodziewanie Johnny. – Zawsze się go bałem. Był roslým mę czyzną o grzmiącym głósie. Przypominam sobie, jak pewnego razu napychałem sobie kieszenie gumą do ucia w waszym sklepie i nagle twój ojciec powiedział coś za moimi plecami. Przeraziłem się śmiertelnie. Chciałem brać ju nogi za pas.

Byłem przekonany,

e przyłapał mnie na gorącym uczynku.

Tymczasem on zwracał się do kogoś innego. O Bo e! Co to była za ulga! Czmychnąłem stamtąd w popłochu! I ju nigdy niczego więcej nie ukradłem ze sklepu pana Granta!

Rachel przyglądała mu się badawczo.

– Kradłeś w naszym sklepie?

Johnny uśmiechnął się szeroko.

– Nie ma takiego sklepu w naszym mieście, w którym bym tego nie robił. I tylko jedyny raz, gdy twój ojciec pojawił się za moimi plecami, byłem bliski wpadki.

– artujesz sobie ze mnie! – Rachel wyswobodziła rękę z jego uścisku.

Roześmiał się. W jego błękitnych oczach malowało się rozbawienie.

– Nie, Rachel. Nie artuję. Nie myślisz chyba, e byłem niewiniątkiem. Wśród krą ących o mnie plotek jedynie morderstwo zostało mi przypisane niesłusznie. Nigdy nikogo nie zabiłem. Co się zaś tyczy pozostałych zarzutów... w większości są prawdziwe.

– Teraz rozumiem, dlaczego się wstawiałeś za Jeremym!

– Dlaczego, twoim zdaniem?

– Poniewa jesteś istotą o miękkim sercu i nie zniósłbyś myśli, e dzieciak zostaje oddany w ręce policji – powiedziała z drwiną.

– Z tego powodu również. Ale pomyślałem, że wiele lat temu ja mogłem być na jego miejscu.

Rachel mruknęła coś niezrozumiale pod nosem.

– Oczywiście teraz respektuję jego zasady prawa – kontynuował.

Jednak po chwili uśmiech zniknął z jego twarzy i Johnny dodał mu całkiem poważnie: – Rozmawiałem wczoraj z adwokatem.

Twierdzi, że wobec dowodów, jakie obecnie posiada policja, może usunąć z moich akt wyrok za popełnienie zbrodni. Jeśli się nie myli, przestanę być notowany.

– Naprawdę? – Rachel powoli się rozpuściła.

– Naprawdę. – Uśmiechnął się do niej. – Dobrze nowiny, co? Ale jeszcze nie masz najlepszej wiadomości.

– Jakiej? Pokręcił głową.

– O tym dowiesz się po obiedzie. Twoja matka wysłała mnie tutaj po ciebie i po twoje siostrzenice.

– Rozmawiałaś z moją matką?

– Ale tak. I z Becky. Napiłem się nawet herbaty.

Rachel spojrzała na zegarek.

– Dopiero teraz jest druga. O której godzinie przyszedłeś?

– Trochę przed czasem.

– Czy moja matka... czy ona i ty...?

– Twoja matka jest nadzwyczajną kobietą – stwierdził Johnny. –

I nie mam nic więcej do dodania.

– Och, Boże. Czy zachowała się wobec ciebie nieuprzejmie?

– Ale skąd. Zademonstrowała mi tylko swoją siłę. Sądzę, że ją polubię.

Rachel spojrzała na Johnny'ego z ukosa.

362

– Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że teraz już wiem, po kim odziedziczyłaś odwagę, Rachel, dziewczyno o lwim sercu.

Zapewne ani ty, ani twoja matka nie zdajecie sobie sprawy z tego, e jesteście filigranowymi istotami po metr pięćdziesiąt wzrostu, które mógłby porwać nawet najl ejszy podmuch wiatru, a co dopiero mówić o dorosłym mę czyźnie.

Rachel zamierzała dać mu jakąś ciętą odpowiedź, ale na dziedzińcu pojawiła się Becky.

– Obiad na stole! Chodźcie prędzej! – ponagliła towarzystwo.

Dziewczęta popędziły w stronę matki. Johnny upierał się, e wprowadzi do domu wózek Stana po przystosowanej do tego celu rampie i dlatego oboje z Rachel zjawili się w jadalni nieco później.

Rachel była ciekawa, jak Johnny będzie sobie radził podczas posiłku. Becky zadbała o to, by na stole znajdowały się tylko kieliszki do wody i wina. Ograniczyła te srebrne nakrycia do niezbędnego minimum. Obok widelców obiadowych i do sałatek oraz ły ek do zupy i do deseru na obrusie le ały tylko no e do mięsa i do masła. Rachel zrezygnowała z próby wcześniejszego wprowadzenia Johnny'ego w arkana subtelnej sztuki zachowania się przy stole. Dlatego ze zdziwieniem i z ulgą obserwowała, jak rozwija serwetkę, kładzie ją sobie na kolanach i ze swobodą obsługuje swoje sąsiadki. A gdy na dodatek u ył właściwego talerza do pieczywa, przełamał w palcach ciepłe ptysiowe ciasto, a nawet przeło ył krą ek masła z półmiska na swoje przeznaczone do tego celu nakrycie, była prawdziwie oszołomiona.

Bez błędnie wybierał naczynia do odpowiednich dań. Z trudem powstrzymywała się, eby nie okazywać zdziwienia, gdy bez 363

potknąć spo ywał danie po daniu, jak gdyby przy podobnych posiłkach upływało mu całe ycie. Matka, która na początku bacznie śledziła poczynania Johnny'ego, najwyraźniej uspokoiła się co do jego manier. Na długie chwile spuszczała go z oczu i z czułością oddawała się karmieniu Stana, który siedział obok niej w inwalidzkim wózku.

– Czy jest pan zadowolony z pracy w sklepie? – spytała, wkładając z wprawą Stanowi do ust ły kę zupy.

– Nie bardzo – odparł. – Szczerze mówiąc, nie wyobra am sobie, ebym mógł tam wytrwać dłu ej.

– Ach tak? – Pytanie zadała Elisabeth, ale Rachel i Becky równie spojrzwały na niego ze zdziwieniem.

– Myślę o tym, eby wrócić do szkoły.

– Naprawdę? – zdumiała się Rachel, a Elisabeth powiedziała równocześnie z nią:

– Chce pan wrócić do szkoły? Zapewne ma pan na myśli liceum?

– Nie. Zamierzam studiować prawo – oznajmił i odgryzł kęs befsztyka z taką obojętnością, jak gdyby nie zło ył przed chwilą doniesłego dla Rachel oświadczenia.

– Prawo? – zapytały jednocześnie trzy kobiety z identyczną intonacją. Najpierw spojrzwały po sobie, a potem utkwiły oczy w Johnnym, który niefrasobliwie dalej konsumował swoje danie.

Dziewczęta, nauczone, e mają milczeć przy posiłku spo ywanym w

obecności

dorosłych,

podniosły

wzrok

znad

talerzy,

zaalarmowane nagłym poruszeniem starszych.

– Tak. – Johnny upił łyk wina i uśmiechnął się ukradkiem do 364

Rachel. – Jak sądzisz, czy będę dobrym prawnikiem?

– Ale Johnny... – nie dokończyła zdania, jak gdyby doszła do wniosku,

e lepiej będzie, gdy przedyskutują tę sprawę na osobności. Lecz on najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, by omawiali ją publicznie.

– To bardzo daleka droga, prawda? Najpierw musi pan skończyć liceum. I jeszcze nie było takiego wypadku, o ile się orientuję, eby przyjęli na studia prawnicze kogoś z kryminalną przeszłością. –

Elisabeth na chwilę przerwała karmienie mę a i ze zmarszczonymi brwiami przyglądała się Johnny'emu.

– Ukończyłem liceum, gdy byłem w więzieniu – oświadczył z pogodnym wyrazem twarzy, odkrawając kolejny kawałek mięsa. –

Maturę zdawałem z literatury porównawczej. Praca przy budowie dróg i nauka na korespondencyjnych kursach z zakresu szkoły średniej umo liwiła mi przetrwanie tego trudnego okresu. Co do drugiej kwestii, to jeśli mój prawnik nie jest w błędzie, niebawem zapis o karalności zostanie usunięty z moich akt.

– Co takiego? – Elisabeth była oszołomiona nowinami.

– Policja nie ma ju wątpliwości, e sprawca zabójstwa Glendy Watkins jest równie odpowiedzialny za śmierć Marybeth Edwards.

Oba morderstwa zostały dokonane w równie bestialski sposób i niemal identyczne były towarzyszące im fakty: głębokość zadanych ran, prawdopodobnie to samo narzędzie zbrodni i rozsypane na zwłokach kwiaty. W chwili gdy Glenda została zamordowana, byłem razem z Rachel. To mnie

oczyszcza z zarzutu poprzedniego morderstwa. Mój adwokat twierdzi, e w tej sytuacji nie będzie problemu z usunięciem wyroku z moich akt, tym bardziej e nigdy 365

nie przedstawiono mi adnych konkretnych dowodów.

Elisabeth spojrzała najpierw na Rachel, a potem na Johnny'ego.

– Rozumiem – powiedziała powoli.

Rachel była pewna, e matka analizuje w myślach wiadomości.

– Czy mogę ju wstać od stołu, mamó? – spytała Loren i nie czekając na odpowiedź, odsunęła krzesło.

– I ja te ? – rzekła Lisa, biorąc przykład z siostry.

– Nie macie ochoty na deser? – Elisabeth, wyrwana z zadumy, uśmiechnęła się do wnuczek z aprobatą. Nie bez powodu, pomyślała Rachel. Zachowywały się dzisiaj naprawdę bardzo poprawnie. A dzięki temu, e Katie spała na górze, posiłek upłynął

w spokojnej atmosferze, tak jak to bywało za dawnych czasów, zanim przyszła na świat rozwrzeszczana czeredka Becky.

– Jestem za bardzo najedzona – usprawiedliwiała się przed babcią Loren.

– Zjem później, dobrze mamó? – Lisa spojrzała prosząco na matkę.

– Nie mam nic przeciwko temu – oświadczyła Becky, a Elisabeth skinieniem głowy wyraziła zgodę na ich odejście.

Dziewczęta wyszły z pokoju. Rachel słyszała, jak wbiegają po schodach na górę. W skrzyniach z ich osobistymi rzeczami przywieziono równie gry komputerowe, a Becky sprowadziła wczoraj fachowca, który je zainstalował. Najwidoczniej siostrzenice nie mogły się doczekać, eby się nimi zająć.

– Wszystko było wspaniałe, pani Grant – stwierdził Johnny, wyprostowując się na krześle i odkładając serwetkę obok nakrycia.

Rachel posłała mu promienny uśmiech w nagrodę za jego 366

nienaganne maniery. – Dziękuję.

Elisabeth te się do niego uśmiechnęła. Rachel zauważyła z rozbawieniem, e matka jest teraz znacznie bardziej bezpośrednia wobec Johnny'ego ni na początku obiadu. Była przeczulona na punkcie dwóch rzeczy, ambicji oraz wykształcenia. Johnny mówiąc o swoich planach wiele zyskał w jej oczach.

– Masz ochotę na deser? – Rachel zwróciła się do Johnny'ego. –

Mama przygotowała napój z wiśni.

– Mo e później? Obawiam się,

e podobnie jak twoje

siostrzenice nie będą ju w stanie nic zjeść w tej chwili.

– A mo e napijesz się kawy? Zaprzeczył ruchem głowy.

– Skoro ju wszyscy zjedli, to mo e poka esz Johnny'emu okolicę, Rachel. A ja pomogę mamie posprzątać.

– Dziękuję, Beck. – Rachel uśmiechnęła się do siostry ze szczerą wdzięcznością i wstała od stołu. Nie mogła się doczekać, eby zostać sam na sam z Johnnym. Palące pytanie, które pragnęła mu zadać, niemal parzyło ją w język.

Johnny wstał równie , jeszcze raz pochwalił kulinarne umiejętności Elisabeth i wyszedł za Rachel z pokoju.

367

Rozdział 44

– Naprawdę. o tym myślisz, czy tylko chciałeś oszołomić matkę? – spytała bez wstępów, gdy miała pewność, e są sami. Szli tą samą ście ką, po której niedawno pchała wózek Stana. Jej dłoń przyłgnęła do jego dłoni, choć Rachel nie umiała powiedzieć, kiedy i w jaki sposób to się stało.

– O czym?

– O studiach prawniczych.

– Ach, o tym. – Na moment zaległo milczenie. – Tak, myślę o tym powa nie.

– Nie artujesz? – spytała z wyraźnym zadowoleniem.

– Nie widzisz mnie w roli prawnika? – roześmiał się. – Nie musisz odpowiadać. Ale to wcale nie jest a tak bardzo nieprawdopodobne. W więzieniu miałem okazję wiele się dowiedzieć na temat prawa i pracy adwokata. Myślę, e zostanę świetnym obrońcą.

Jego słowa wywarły ogromne wra enie na Rachel.

– Ja te jestem tego zdania! – oświadczyła.

– Podoba ci się ten pomysł? – Spojrzał na nią roziskrzonym wzrokiem.

Zawahała się. Nie było adnego konkretnego powodu, by sądzić, e jego plany na przyszłość mają z nią

jakiś związek. A jednak serce zabiło jej szybciej, gdy pomyślała o sobie jako o pani Harris.

– Jak masz na drugie imię? – spytała, marszcząc brwi. Odwrócił

się gwałtownie w jej stronę.

368

– W. Dlaczego o to pytasz?

– Litera W, to nie imię.

– Będziesz się śmiała, gdy ci powiem.

– Nie będę. A poza tym, chyba je znam. Jestem pewna, e figurowało w twoich szkolnych aktach, tylko w tej chwili wyleciało mi z głowy.

– Wayne.

Rachel ściągnęła brwi.

– Wayne brzmi bardzo dobrze. Nie widzę nic śmiesznego w połączeniu imion John Wayne... – przerwała rozbawiona. Ale zaraz przypomniała sobie o jego ostrze eniu i prędko odwróciła głowę.

– Powiedziałem, e będziesz się śmiała.

– Wcale się nie śmieję, kowboju.

– Sama rozumiesz. Zawsze to samo. Oto powód, dla którego się z tym nie afiszuję.

– Ale to zestawienie jest urocze. John Wayne Harris.

Zachichotała. Zakryła dłonią usta, gdy artobliwie obrzucił ją groźnym spojrzeniem. Prowadził ją w stronę lasu, który graniczył z posiadłością Walnut Grove.

– Cieszę się, e ci się podoba. – Szedł przodem, ciągnąc ją za sobą. Zagłębiali się w gęstwinę. Podążyły leśną drogą, na której zwykły się kiedyś ścigać z Becky, a którą teraz upodobały sobie jej siostrzenice. Wydeptana ścieżka biegła przez sam środek lasu i liczyła około trzech kilometrów długości. Ale przeszli zaledwie dwieście metrów, gdy Johnny zatrzymał się przy duym drzewie, na którym wiele lat temu Stan zrobił swoim córkom kryjówkę. Była to zabudowana z boków platforma, dostępna dzięki czterem, nabitym

369
ćwiekami deskom, przytwierdzonym do pnia olbrzymiego dębu. W

dzieciństwie często bawiły się tu z Becky. A gdy Rachel była nieco starsza, latem przychodziła tu popołudniami i leżała z książką w ręce na drewnianej podłodze na całe godziny zatapiała się w lekturze.

Rozpięty w górze baldachim z liści zaczął już przybierać złotą barwę. Rachel podniosła wzrok. Ółty liść unoszony podmuchami wiatru powoli opadał na ziemię.

– Skąd wiesz o naszej kryjówce? – spytała, gdy stało się dla niej jasne, że Johnny celowo ją tu przyprowadził.

– Myślisz, że nigdy nie zwiedzałem tych okolic? Razem z Heckiem i Gradym niejednokrotnie podglądaliśmy tutaj ciebie i Becky. A czasami, gdy wiedzieliśmy, że nikogo w pobliżu nie ma, bawiliśmy się w piratów. Wasza kryjówka była statkiem, który zdobywaliśmy.

– Naprawdę? – zdziwiła się Rachel.

– Byłaś wtedy za duża na wspólne zabawy z nami.

– Prawdopodobnie teraz też jestem dla ciebie za duża i zauważyłaś cię.

Spojrzał na nią, oparł się o drzewo i przyciągnął ją do siebie.

– Gdybym był pięć lat od ciebie starszy, wszyscy by uważali, że doskonale do siebie pasujemy. A ile lat ma twój przyjaciel farmaceuta? Czterdzieści, prawda? Różnica wieku pomiędzy wami jest nawet większa niż między mną a tobą. A czy pomyślałaś kiedyś, że jest dla ciebie za stary? Na pewno nie. Czy to twoja wina, że jesteś kobietą, panno Grant?

Obejmował ją, a ona przywierała do niego całą sobą. Kuszący głos przepelniał ją słodczą niczym ciepły miód. Z przymkniętymi

oczami wsłuchiwała się w jego głębokie brzmienie. Jej twarz powoli się rozchmurzyła. Johnny swoim urokiem nawet ją potrafiłby ugłaskać.

– Poza tym jestem bardzo dojrzały jak na swój wiek szepnął jej do ucha i pocałował ją w szyję.

– Wspaniale radziłeś sobie z moją matką – mruknęła, gdy przesunął się nad nią, muskając ustami dekolt w wycięciu rozpiętego kołnierzyka sukienki.

– Nadal śmiertelnie mnie przeraża. Sądzę jednak, że z czasem przewycięję ten strach. – Uniósł w górę jej brodę i pocałował w miejscu wgłębienia pomiędzy kośćmi obojczyka. Przyłgnęła do niego i zamknęła oczy.

– Rachel.

– Mhm?

– Czy sądzisz, że zdołasz wejść na drzewo w sukience i w tych butach?

– Wejść na drzewo? – Zaskoczona pytaniem, spojrzała na niego ze zdumieniem i ściągnęła brwi. Uspokoił ją, całując wykrzywione w podkówkę usta.

– Dobrze słyszałaś. Potrafisz tam wejść?

Skierowała oczy na prowizorycznie skleconą i bardzo długą drabinę. Przemierzyła ją wzrokiem a do małego otworu w podłodze platformy, przez który musiałyby się przecisnąć. A potem spojrzała na swoją rozkloszowaną ółtą sukienkę oraz na eleganckie pantofelki w tym samym kolorze.

– Jeśli wejdiesz pierwszy – rzekła niepewnie.

– Chyba nie sądzisz, e jestem tak źle wychowany, by ci 371

zaglądać pod spódnicę? – Postawił ją na ziemi i udając oburzenie, uderzył się dłońmi w policzki.

– Myślę, e jesteś do tego zdolny.

– Widzę, e dobrze mnie znasz – stwierdził, odsłaniając w uśmiechu zęby. Odwrócił się do niej tyłem i zaczął zwinnie się wspinać. Rachel ruszyła za nim, choć posuwała się ze znacznie większą ostrością. Nie chciała zniszczyć sobie sukienki.

– Ojej, zapomniałam o rajstopach. – Zmarszczyła brwi.

Podciągnęła się na rękach i usiadła na krawędzi otworu. Nogi zwisały jej w powietrzu. W miejscu rozdarcia nylonowej pończochy puściły oczka.

– W ogóle nie powinnaś ich wkładać a zauważył Johnny sugestywnym tonem.

Obejrzała się na niego. Siedział oparty o przeciwległą ścianę i przyglądał się jej z figlarną miną, która była jeszcze bardziej wymowna ni słowa. Powierzchnia platformy nie miała więcej jak dwa na trzy metry, a wysokość otaczających ją ścian nie przekraczała metra. Dach zastępowały splecione konary drzewa i gęsty baldachim z liści, który niemal całkowicie przesłaniał błękit nieba. Tutaj, w górze, jakieś sześć metrów nad ziemią, powiewy wiatru były bardziej porywiste. Lecz w osłoniętym wnętrzu kryjówki wydawało się im, e jest zacisznie. Tylko rozhuśtane gałęzie trzeszczały i szeleściły liśćmi, które po kolei odrywały się z wątlých zaczepów i wirując, spadały na ziemię. Pomimo wysokiej jeszcze temperatury powietrza wyczuwało się ju nieuchwytną woń nadciągającej jesieni.

Rachel przyglądała się z uwagą Johnny'emu. Patrzył na nią, a 372

jego oczy były bardziej błękitne ni skrawki prześwitującego w górze nieba. Po twarzy błąkał mu się uśmiech. Ściany kryjówki sięgały mu zaledwie ramion, a zielonozłote liście powy ej tworzyły niemal bajeczną scenerię. Johnny był przystojniejszy ni kiedykolwiek

przedtem.

niczym

nie

przypominał

rozgoryczonego męczyzny, który zaledwie kilka tygodni temu wysiadł z autobusu.

Gdyby wtedy wiedziała, jak bardzo odmieni jej życie, rzuciłaby mu się prosto w ramiona. Pewnie uciekłyby w popłochu i z powrotem szukał schronienia w więzieniu.

Rachel uśmiechnęła się, wyobrażając sobie reakcję Johnny'ego na jej gorące powitanie.

– Co cię tak śmieszy? – spytał, unosząc w górę brwi. Pokręciła przecząco głową.

– Nic. Jestem po prostu szczęśliwa.

– Ja też. Ale byłbym o wiele szczęśliwszy, gdybyś tutaj podeszła i usiadła obok mnie. Sądzę, że musimy porozmawiać.

– Porozmawiać?

– Czy sądzisz, że mogłem mieć coś innego na myśli?

– Łudziłam się, że tak.

Roześmiał się i wyciągnął do niej rękę.

– Chodź do mnie. Zobacz, co mam w kieszeni. Przyniosłem ci prezent.

– Naprawdę? – uśmiechnęła się, zachwycona. Ucieszyła się ogromnie, że Johnny pomyślał o tym, aby jej sprawić radość. Był

to pierwszy podarunek od niego. Postanowiła, że będzie

przechowywać go niczym najcenniejszy skarb.

– Przeszukaj moje kieszenie – polecił, gdy posłusznie usadowiła się obok.

– Strasznie mi głupio – protestowała, lecz w końcu dała za wygraną i ze śmiechem wykonała polecenie. Pierwsza kieszeń, do której zajrzała, była pusta. Lecz w drugiej znajdowało się niewielkie

pudełko. Rachel wyciągnęła małe pakuneczko i przez długą chwilę uwa nie mu się przyglądała. Le ał na jej dłoni owinięty w srebrną folię i ozdobiony białą wstą ką. Wyglądał bardzo elegancko.

Rachel spojrzała na Johnny'ego.

– Jest śliczny.

– Rozpakuj go!

W jego głosie pojawiło się lekkie napięcie. Z bijącym sercem zsunęła kokardę i powoli zaczęła odwijać wierzchnie opakowanie.

Wiedziała ju niemal na pewno, co pudełeczko zawiera, ale nie chciała przedwcześnie robić sobie zbyt wielkiej nadziei.

Czerwony błyszczący kartonik był doskonały w swej prostocie.

Rachel uniosła przykrywkę i odkryła w środku małą jubilerską szkatułkę.

Dr ącymi dłońmi wydobyła twarde plastikowe pudełko i otworzyła wieczko.

Wewnątrz znajdował się pierścionek z brylantem, który musiał

mieć co najmniej pół karata i był osadzony w białym złocie.

– Johnny! Skąd wziąłeś na to pieniądze?

– Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia? Nie ukradłem go, jeśli to cię niepokoi. Towarzystwo kolejowe wypłaciło Sue Ann, Buckowi

i

mnie

siedemdziesiąt

pięć

tysięcy

dolarów

odszkodowania za śmierć mojego ojca. Rodzeństwo postanowiło 374

przyjąć pieniądze, wobec tego ja równie wyraziłem na to zgodę. –

W oczach Johnny'ego pojawił się błysk humoru, gdy dodał: – Ten drobiazg kosztował mnie około jednej piątej mojego udziału.

– Nie powinieneś tego robić!

– Czy mogłabyś przyjrzeć się bliżej temu cholernemu świecidełku?

Rozdrażnienie w jego głosie zdumiało Rachel. Uwaga jej spojrzała na upominek. Na wąskiej białej wstążce do pierścionka przywiązana była mała karteczka, zapisana równym pismem.

Rachel przechyliła pudełko i przeczytała: „Wyjdiesz za mnie?”

Podniosła wzrok na Johnny'ego. Przyglądał się jej z dziwnym wyrazem twarzy. W jego wyczekującym spojrzeniu malowała się tkliwość i niepokój.

– No i? – spytał, gdy nie odezwała się ani słowem. Wyjęła pierścionek z pudełka i nie odrywając etykiety wsunęła go sobie na serdeczny palec lewej dłoni. A potem objęła Johnny'ego za szyję.

– Być może – powiedziała, całując go w usta.

– Być może? – Wydawało się jej, że jest urażony, ale gdy bardzo sumiennie odwzajemnił pocałunek, nie była już tego całkiem pewna.

– Nie sądzisz chyba, że się zadowolę ową nędzną namiastką oświadczyń? Jeśli chcesz, eby cię poślubiła, musisz poprosić mnie o rękę jak należy.

Johnny jęknął.

– Powiniennem był przyjść z kwiatami. Wiem o tym. Rachel wymierzała mu kuksańca.

– Przestań artować. Mówię całkiem poważnie. Chwyć ją za

ramiona i nieco odsunął od siebie, by móc lepiej przyjrzeć się jej twarzy. Klęczała przy jego wyciągniętych nogach, a jej rozkloszowana spódnica przypominała kielich onkila. Zaciskała dłonie na jego rękach. Spojrzał na nią z rozdrażnieniem.

– Ja te – stwierdził.

– A więc...? Westchnął.

– Zgoda. Niech i tak będzie. Wyjdiesz za mnie, Rachel? – Nie.

– Nie!?

– Spróbuj jeszcze raz. To mnie nie zadowoliło.

– Dobry Boże. Czy chcesz, ebym prosił cię na klęczkach?

– To niezły pomysł.

– artujesz sobie ze mnie, prawda?

Rachel zaprzeczyła ruchem głowy. Przez chwilę mierzył ją twardym wzrokiem. A potem uśmiechnął się krzywo i kapitulując, przyklęknął. Wziął ją za rękę.

– Wyjdiesz za mnie, Rachel?

– No, teraz ju lepiej.

– Do diabła, Rachel! – W jego oczach pojawił się gniewny błysk. Mocno ścisnął ją za rękę, którą dotychczas czule pieścił.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Kochasz mnie, Johnny? – spytała pogodnie.

Odnalazł jej wzrok, a wyraz jego oczu znacznie złagodniał.

Uwagi Rachel nie uszły jednak ciemnoczerwone plamy, które niespodziewanie pojawiły się na jego policzkach. Najwyraźniej Johnny był za enowany, e musi jej to wyznać.

– Oczywiście e cię kocham. Jeśli mę czyzna prosi cię o rękę, to powinnaś zakładać, e w grę wchodzi uczucie.

376

Rachel pokręciła głową.

– Nie mam zamiaru niczego zakładać. Przypuszczam, e to ostatnie oświadczyzny w moim yciu i dlatego chcę, eby zostały zło one tak, jak nale y. Jeśli mnie kochasz, to mi o tym powiedz.

Nie ukrywaj tego przede mną.

– Rachel... – zaczął. Nie był na nią zły z powodu jej prośby. Ale najwyraźniej się rozmyślił i zrezygnował z tego, co zamierzał jej powiedzieć. Zamknął usta i zmru ywszy oczy, przez chwilę przyglądał się jej twarzy. A potem, ku jej zdumieniu i rozbawieniu, poło ył rękę na sercu. Wyglądał jak zbuntowany uczeń, który został

zmuszony do wyrecytowania słów uroczystej przysięgi.

– Johnny...

– Cicho bądź. Nie widzisz, e jestem bliski odstonięcia przed tobą swojej duszy? – Ściągnął brwi, nakazując jej milczenie, i zaczerpnął głęboko powietrza. – „Moja miłość jest jak czerwona ró a, co w czerwcu zakwita. Moja miłość jest jak słodka melodia, co ucho zachwyca. Me serce głęboko wzrusza twa szlachetność, dziewczyno ho a. Ma miłość do ciebie nie zgaśnie, dopóki nie wyschną oceaniczne głębie i nie wyparują morza”. – Jego niski głos brzmiał monotownie. Rachel poczuła w gardle ucisk. Johnny nie wyglądał ju jak zbuntowany chłopak, którego zmuszono do recytacji wbrew jego woli, lecz jak człowiek wra liwy i pokrzepiony na duchu przez miłość, którą wyznaje. Rachel spojrzała w

jego zamglone niebieskie oczy i poruszyło ją to, co w nich dostrzegła. Zaciśnęła mocniej palce na jego dłoni, a on mówił

dalej cichym głosem: – „Dopóki nie wyparują morza, a skały nie roztopią się w promieniach słońca. Będę cię kochał nawet wtedy, 377

gdy piasek w klepsydrze ycia przesypie się do końca. Po egnam cię, moja jedyna miłości, po egnam cię tylko na chwilę. Lecz wrócę znowu, najdro sza, choćbym miał pokonać dla ciebie nieprzebrane mile”.

Gdy przebrzmiały ostatnie strofy wiersza, przez moment oboje milczeli. Rachel zajrzała Johnny'emu głęboko w oczy. Wydawało się jej, że dostrzega w nich prawdę i dobroć. Walczyła ze łzami w obawie,

e

nie

zdoła

ich

dłu ej

powstrzymać.

Wtem,

niespodziewanie, Johnny uśmiechnął się.

– Robert Burns pewnie się nie mógł opędzić od kociaków. Któż by się oparł takiej poezji?

– Johnny Harris! – Rachel popchnęła go z całej siły, otrząsając się z płacznego i sentymentalnego nastroju.

Przestał się kpiarsko uśmiechać i chwycił ją w objęcia.

– Puść mnie! – zawołała.

– Rachel, ja przecie tylko artowałem! Nie mówiłem tego powa nie!

Próbowała się wyswobodzić, ale jej nie wypuścił. Usiadł i posadził ją sobie na kolanach. Jej spojrzanie miotало błyskawice.

– Trzymaj ręce przy sobie!

– Źle mnie zrozumiałaś, Rachel! Ja...

– Jeśli nie zabierzesz swoich rąk, to... to... – Rozeźlonej Rachel nie przychodziła na myśl adna dostatecznie okrutna groźba. Gdy szamotała się z pierścionkiem, usiłując zerwać go z palca i cisnąć Johnny'emu w tę jego roześmianą twarz, przyciągnął ją bliżej do siebie. Otoczył ją w pasie ramieniem i unieruchomił dłonie, a drugą ręką uniósł jej brodę.

378

– Nie artowałem z wiersza. – Mówiłeś...

– Wiem, co mówiłem i nie traktuj tego poważnie. Co zaś się tyczy poezji, to każde słowo zostało powiedziane z głębi serca.

Przysięgam.

Rachel uspokoiła się nieco, ale nadal patrzyła na niego podejrzliwie.

– Dobrze wiedziałeś, że to mój ulubiony wiersz, prawda? I zacytowałeś go, aby osiągnąć swój cel?

Pocałował ją w skroń. Ale jego mina była daleka od wyrazu skruchy.

– Wiedziałem. Moja nauczycielka od angielskiego – wielka miłośniczka poezji – tak mnie zafascynowała swoją osobowością, że zapamiętałem niemal każde jej wypowiedź. Niemniej prawdą jest, że słowami wiersza wyjawilem przed chwilą stan mojej duszy.

– Kłamczuch.

– Nie kłamię. – Pocałował ją w czubek nosa. – A co więcej, ty dobrze o tym wiesz. Doskonale zdajesz sobie sprawę z tego, co do ciebie czuję. Podobnie jak ja znam twoje uczucia do mnie. I czasami, kiedy się staję chorobliwie sentymentalny, myślę, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Rachel podniosła wzrok. Ogarnęła spojrzeniem jego śniadą przystojną twarz i dała za wygraną. Jeśli pragnęła Johnny'ego Harrisa, to musiała go zaakceptować takim, jakim był.

Jaką wartość miało zresztą wymuszone wyznanie miłości? Nie mylił się. Dobrze znała jego uczucia. Odbierała je całym sercem i duszą.

379

Rozdział 45

– Zgadza się – powiedziała.

– Zgadzasz się?

– Przecież słyszałeś.

– To dobrze. – Uśmiechnął się promiennie. – To byłoby okropne, gdybym musiał zwrócić

pierścionek. Nie zatrzymałem kwitu.

– Jesteś dzisiaj bardzo zabawny!

– Staram się – przyznał. Ale po chwili jego oczy stały się powa ne. – Nie mogę zostać w Tylerville, Rachel.

– Wiem.

– Myślałem o tym, ebyśmy wzięli cichy ślub i jak najszybciej stąd wyjechali. Mo e na Zachód?

– Kiedy miałoby to nastąpić?

– Im prędzej, tym lepiej. W tym tygodniu. Rachel... – zawahał

się. – Uważam, e nie jesteś tutaj bezpieczna. Wiele o tym rozmyślałem. Podejrzewam, e jakiś szaleniec zabija kobiety, które się pojawiają w moim yciu. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. A jeśli mam rację, to rozumując logicznie, ty staniesz się jego następnym celem.

– Naprawdę sądzisz, e to jest mo liwe?

– Mam nadzieję, e nie. Ale musimy brać pod uwagę taką ewentualność. Zgadnij, gdzie spędziłem wczorajszą noc?

– Gdzie?

– W twoim ogrodzie. Stałem na warcie.

– artujesz, prawda?

380

– Mówię całkiem powa ne. A na dowód mogę ci pokazać ślady ukąszeń komarów. – Johnny wyswobodził rękę z marynarki, rozpiął

guzik przy mankiecie koszuli i odsłonił swoje opalone przedramię, pokryte bąblami. – Na drugiej ręce i na karku jest ich więcej. Mali krwiopijcy atakowali ka dy odsłonięty skrawek ciała. Skóra w miejscach ukąszeń okropnie swędzi.

Rachel była w równym stopniu zaskoczona, co poruszona.

– Nie musiałeś tego robić.

– Nie musiałem? – Johnny skierował na nią spojrzenie. Nie mam zamiaru cię stracić, profesorko. Jeśli ceną zachowania cię przy yciu mają być noce spędzone pod gołym niebem i wystawianie ciała na ukąszenia miniwampirów, to jestem gotów ją zapłacić. Inne kobiety, które były ze mną związane, ju nie yją.

Rachel przeszły ciarki.

– Jestem śmiertelnie przerażona.

– Ja też. Ale nic ci się nie stanie. Zachowamy wszelkie środki ostrożności. Nie będziesz wychodziła wieczorami z domu, a ja na wszelki wypadek będę spędzał noce w twoim ogrodzie. Czym prędzej się pobierzemy i uciekniemy stąd, zgoda?

– Zgoda, kowboju. – Rachel uśmiechnęła się, drżąc ze wzruszenia.

Johnny jęknął.

– Wiedziałem, że nie powinienem był wyjawiać ci mojego drugiego imienia.

Pomimo wąskiego tematu, jaki przed chwilą poruszali, Rachel nie mogła powstrzymać śmiechu. Johnny przez chwilę przyglądał

się jej roziskrzonym wzrokiem, a potem uciszył ją pocałunkiem.

381

Poddała się dotykowi jego ust, pieścizom dłoni, którymi wodził po jej plecach i wygładzał sukienkę na wypukłościach pośladków, oraz władcemu uściskowi obejmujących ją ramion. Teraz już całkowicie do niego należała, tak jak on należał do niej. Pomimo różnic pochodzenia pasowali do siebie jak dwie połowy koła. –

Rachel? – powiedział, przesuwając usta coraz niżej.

Przez chwilę mocował się z małymi guzikami z przodu sukienki, a potem rozpiął pasek.

– Tak? – Bez powodzenia szamotała się z węzłem jego jedwabnego krawata. W jaki sposób go zawiązał? Miała wrażenie, że nikt nie zdoła go rozsupłać przez następne sto lat.

– Chcesz mieć dzieci?

– Tak, bardzo. Dlaczego o to pytasz?

– To dobrze. – Uśmiechnął się. – Nie znoszę prezerwatyw.

Ściągnął z niej sukienkę i niedbale odrzucił ją na bok.

Przez moment niepokoiła się losom swojej garderoby. Ale Johnny nie dał jej wiele czasu na rozmyślenia, zdzierając z niej zaraz buty i uwalniając z podartych rajstop. Siedziała na jego kolanach. Miała na sobie jedynie staromodny biały stanik i majtki.

Dostrzegła błysk w jego oczach, gdy powoli mierzył ją wzrokiem, i zapomniała o bólu światła. Liczył się tylko Johnny oraz uczucie, jakie w niej wzbudzał.

– Ładna bielizna.

– Dziękuję.

– Koronki, jedwab i perły. Nie spodziewałem się tego nawet w marzeniach.

– Sądziłam, że w twoich marzeniach nie miałam na sobie 382

bielizny.

– No có – powiedział, powoli rozjaśniając się w uśmiechu. –

Choć byłem bliski prawdy, to muszę przyznać, że rzeczywistość przeszła moje wyobrażenia.

Nakrył dłonią zasłoniętą jedwabiem i koronkami pierś, pochylił

się i pocałował Rachel. Jej ciało przeszło dreszcz podniecenia, gdy jego język leniwie penetrował wnętrze ust, jak gdyby rościł sobie do nich prawo. W drącym skupieniu przyjmowała pieśczołę.

Oderwała się od niego, czując znajomy już, przyspieszony puls w swoim ciele.

– Zaczekaj minutę – poprosiła, gdy próbował odzyskać swoją zdobycz.

– Mhm. – Spojrzał z góry na jej gołe nogi leżące na granatowym materiale garnituru. Na widok szczupłych kobiecych kształtów i jedwabistej opalonej skóry pociemniały mu oczy. Z zachwytem przesunął dłonią wzdłuż wewnętrznej strony jej uda w dół do kolana, a potem z powrotem w górę. Odruchowo rozszerzyła nogi, ale zaraz je złączyła, ześliznęła się z jego kolan i odsunęła na bok.

– Zachowuj się przyzwoicie – upomniwała go, gdy próbował ją schwytać. A potem uklękła przed nim i rozsunęła zamek.

– Rachel... – załamał mu się głos. Wykrzywił twarz, gdy jej palce odnalazły to, czego szukały, i uwalniając z bielizny, wydobyły na zewnątrz.

– Pst! – Pochyliła się, dotykając językiem czubka jego męskości. Ten bez troski, niemal

artobliwy gest pozbawił

Johnny'ego oddechu.

383

– Och, tak – zamruczał, gdy kosmyki Rachel spłynęły mu na kolana, a jej usta pochłonęły go w głąb siebie. Wyprężył się, odchylił do tyłu głowę, oparł ją o górną krawędź ściany i zanurzał

dłonie we włosach Rachel. Pieścił jej głowę i dyrygował ruchami.

– Ciociu Rachel!

Dopiero kolejne wołanie dotarło do ich świadomości.

– O Bo e! – jęknął Johnny i protestując zacisnął palce na głowie Rachel. – Nie teraz!

– O co chodzi...? – Podniosła wzrok. Była lekko oszołomiona i całkiem zdezorientowana. Czowała w ustach smak Johnny'ego.

– Ciociu Rachel!

– Loren! – Wypuściła z dłoni członek, jak gdyby nagle zaczął ją parzyć. Przez chwilę oboje patrzyli na siebie zbici z tropu, lecz zaraz Rachel przeczołgała się na drugą stronę platformy i jak szalona zaczęła zbierać swoje porzucane rzeczy. Rozglądając się dookoła, natknęła się wzrokiem na Johnny'ego, który musiał zrobić o wiele mniej ni ona, eby przywrócić do ładu swój wygląd.

– Uroczy tyłeczek – stwierdził, patrząc na nią po ądlowie.

– Ciociu Rachel! – Krzyk dobiegał z bliska, być mo e spod drzewa.

Rachel rozpaczliwie próbowała wciągnąć na siebie splątane i podarte rajstopy. Spojrzała na Johnny'ego wzrokiem zaszczutego zwierza.

– Zejdź na dół i splaw ją – syknęła.

– Dobrze. – Johnny uśmiechnął się i zostawiając Rachel samą, zniknął w otworze platformy. Gdy wciągała sukienkę, dobiegły ją słowa, jakimi z godną pochwałą obojętnością powitał siostrzenicę.

384

Zapinając pasek, wsłuchiwała się w cichy odgłos prowadzonej półszepem rozmowy.

Wkładała buty, gdy w otworze pojawiła się głowa Johnny'ego.

– Gotowa? – spytał.

Rachel znieruchomiała, dostrzegając zmieniony wyraz jego twarzy.

– Czy coś się stało?

– Włó drugi pantofel i zejdź na dół.

– Johnny... – zaczęła, ale on ju schodził z drzewa. Wiedziała, e zdarzyło się jakieś nieszczęście. Wbiła stopę w but i nie zwlekając, ruszyła w ślad za Johnnym. Tu nad ziemią poczuła, jak jego dłonie obejmują ją w talii i unoszą w powietrzu. Gdy stanęła na własnych nogach, odwróciła się do niego twarzą.

– Co się stało? – spytała cicho.

– Chodzi o twojego ojca. Prawdopodobnie miał atak serca.

Karetka jest już w drodze.

Podtrzymał ją ramieniem, gdy się potknęła, chcąc iść w stronę domu. Tylko dzięki temu nie straciła równowagi.

385

Rozdział 46

– Jeremy.

Znowu dobiegł go łagodny i zatrważający głos. Jeremy zadrżał, skulony na ziemi swojego więzienia. Przebywał tutaj już od wielu godzin, a może nawet dni. Stracił rachubę czasu. Przeważnie nie spał.

Ale wciąż dudnił mu w głowie ten sam uporczywy głos.

– Jeremy.

Słyszał go znowu. Miał ochotę krzyczeć i płakać, ale był zbyt przerażony, aby sobie na to pozwolić. Odczuwał głód, doskwierało mu pragnienie i musiał się wysuszać, ale te wszystkie sprawy schodziły na dalszy plan wobec obezwładniającego uczucia strachu.

W ciemnościach czyhało zło.

– Rusz się, Jeremy. Musisz uciekać.

– Mamo? – spytał chrapliwie. Zapomniał się tak dalece, że przemówił na głos. Skulił się jeszcze bardziej, oczekując ataku.

Mama nie była. Głos, który słyszał, nie mógł należeć do niej.

Diabelska istota zwodziła go znowu, używając tego samego wybiegu, co za pierwszym razem.

– Rusz się, Jeremy.

Chłopiec miał wrażenie, że naprawdę słyszy matkę. Zadrżały mu usta. Tak bardzo pragnął, aby to była ona. Może przyszła, aby dotrzymać mu towarzystwa w chwili śmierci.

Nie chciał umierać. Za bardzo się bał.

– Wstań, Jeremy.

Głos był natarczywy. Po raz pierwszy przyszło do głowy chłopcu, że być może to tylko złudzenie. Czuł rozdzierający ból 386

wewnątrz czaszki. Odnosił wrażenie, że jest rozdęta jak dynia.

Czy by mama przekazywała mu polecenia w myślach?

Otworzył oczy i spróbował usiąść. Ale miał zachwiany zmysł

równowagi i był osłabiony. Bolała go głowa i oładek, a nogi i ręce zdawały się ważyć tonę. Otaczała go nieprzenikniona ciemność –

zimna, cuchnąca i nasycona wilgocią.

Czy by znajdował się w grobie?

Pod wpływem tej myśli jego oddech stał się urywany. Na moment ogarnęła go panika. Ale po chwili odzyskał panowanie nad sobą. Miejsce, w którym przebywał, było na to zbyt przestronne. A poza tym nie mogli go przecie pogrzebać ywcem.

W ka dym razie miał taką nadzieję. Od domysłów jeszcze bardziej rozboleła go głowa.

– Ukryj się, Jeremy! – usłyszał w myślach ostrzegające wołanie.

Zatrwo ony zamierzał odkrzyknąć coś w odpowiedzi, ale zamilkł na odgłos chrobotu, który był jak najbardziej realny i przeraził go bardziej ni wszystko dotychczas.

Na czworakach wyciągnął przed siebie dłoń. Natknął się na mur.

Przypominał w dotyku ten sam rodzaj gładkiego kamienia, na którym Jeremy le ał. Niewątpliwie natrafił na wewnętrzną ścianę pomieszczenia. Była zapiaszczona, pokryta pyłem i zimna, a pomimo to czołgał się w jej kierunku, chcąc uciec jak najdalej od zatrwa ającego zgrzytu.

Ciemności niespodziewanie rozproszył snop światła, a raczej przesmyk szarości. Jeremy stwierdził, e kamienna ściana jest na jakieś sto dwadzieścia centymetrów wysoka i niespełna metr szeroka. Zrozumiał,

e nurkując za nią, schroni się przed

387

niebezpieczeństwem, jakie niesie ze sobą półmrok.

Nie zmarnował swojej szansy. A potem przywarł ciałem do ziemi, z trudem zdobywając się na to, by wystawić czubek głowy i sprawdzić, co mu zagra a.

Natychmiast rozpoznał tego samego stwora, który czaił się w ciemnościach owej nocy, gdy została zamordowana mama. Dobrze zbudowana ciemna postać pochylała się w drzwiach kryjówki, w której chłopiec został uwięziony. Na zewnątrz panowała noc.

Podmuchał się i ciepłego powietrza ni to, którym Jeremy oddychał, poruszył połami płaszcza. Wierzchnie okrycie zasłaniało sylwetkę przed wzrokiem chłopca.

Jeszcze mocniej przywarł do ziemi, staczając ze sobą walkę, by nie załkać. Z trudem powstrzymywał odruch rzucenia się do ucieczki.

Nie miał dokąd uciec – chyba e wprost w ramiona stwora.

– Jeremy.

To był ten sam głos, co wtedy na podwórzu. Ró nił się od szeptu, który kazał mu się ukryć, i który, o czym Jeremy teraz wiedział, nale ał do sprzyjającej mu istoty. Na dźwięk dobiegającego obecnie głosu chłopcu zje yły się na karku włosy.

– Podejdź tutaj, chłopcze.

Stwór się poruszył, a w ciemnościach błysnął srebrny przedmiot, który ścisnął w ręce. Jeremy wyte ył wzrok. Nagle pojął, co ma przed oczyma. Był to nó – długi, połyskujący i ostry.

Prawdopodobnie ten sam, którym została zamordowana mama.

Nó , który miał teraz być u yty przeciw niemu.

Chłopiec poczuł ciepły strumień pomiędzy nogami i zdał sobie 388

sprawę z tego, e się posusiał w majtki jak małe dziecko.

Zawstydzenie mieszało się z uczuciem grozy. Całą wolą powstrzymywał się, eby na głos nie załkać.

Zjawa w drzwiach dwukrotnie pociągnęła nosem, jak gdyby zwietrzyła obecność chłopca. Nagle gdzieś z tyłu rozblęły światła.

Podwójne. Reflektory samochodu. Jeremy ju otworzył usta, eby krzyknąć.

– Bądź cicho – ostrzegł go wewnętrzny głos. Chłopiec nie wydał

z siebie dźwięku.

Zjawa zawahała się, a potem z szybkością ptaka zrywającego się do lotu rozplęnęła się w mroku. Rozległ się trzask zamykanych drzwi. Ciemność ponownie otoczyła Jeremy'ego.

Tylko e tym razem powitał ją z ulgą, upatrując w niej swojego sprzymierzeńca.

389

Rozdział 47

Kolejne dni nie ró niły się od siebie. Rachel spędzała niemal ka dą minutę w szpitalu przy łó ku ojca, trzymając go za rękę, czule do niego przemawiając i modląc się o jego wyzdrowienie, chocia zdawała sobie sprawę z tego, e śmierć byłaby dla niego prawdziwym wybawieniem. Ale nie umiała

pogodzić się z myślą o jego odejściu. Jeszcze nie teraz. Nie była na to przygotowana.

Elisabeth, która nawet sypiała przy łóżku męża, cierpiała tak samo jak córka. Była blada i wydawała się jeszcze drobniejsza niż zwykle. Nie potrafiła nawet rozmawiać z lekarzami. Na Rachel spadł obowiązek kontaktowania się z nimi i zrozumienia tego wszystkiego, co jej mieli do zakomunikowania. Dopiero potem relacjonowała ich medyczne opinie matce i siostrze.

Becky, dzieląc czas pomiędzy córki i ojca, czuwała przy nim razem z Elisabeth, gdy Rachel padała ze zmęczenia, a Johnny'emu udawało się wyciągnąć ją ze szpitala i namówić na kilkugodzinną drzemkę. Johnny zrezygnował z czuwania na jej podwórzu, ponieważ i tak spędzała noce poza domem. Jeździła teraz do niego, ponieważ mieszkał bliżej, a poza tym chciała być z nim. Traktowała to w sposób równie naturalny, jak przebywanie w Walnut Grove.

Johnny tulił ją do siebie, gdy spała, osuszał jej łzy i gotował dla niej posiłki, gdy sama nie miała na to siły. To Johnny się troszczył o wszystkie drobne sprawy dnia codziennego i tylko dzięki niemu wyczerpujące czuwanie przy łóżku chorego było w ogóle możliwe.

To on woził kobiety, którym zmęczenie nie pozwalało samodzielnie prowadzić pojazdu. Przynosił im przekąski z bufetu, ilekroć nie 390

zdołał ich nakłonić, by zjadły obiad w szpitalnej kantine. Służył im mocnym, męskim ramieniem, na którym mogły się wesprzeć w trudnych chwilach. Nawet Elisabeth zwykła się zdawać w tym okresie we wszystkim na niego i sama przyznawała nieraz, że nie wie, jak by sobie bez niego dały radę. Na skutek depresji bez mrugnięcia okiem przyjęła wiadomość o zaręczynach córki. Rachel nie wybrała celowo tego momentu. Ale gdy zjawiała się w szpitalu z połyskującym pierścieniem na palcu, fakt ten nie uszedł uwagi matki.

Gdy Stan leżał podłączony do kilku aparatów, które podtrzymywały funkcje jego organizmu, poza szpitalem toczyło się zwykłe życie. Ale przyjaciele nie zapominali o nim i często przesiadywali w poczekalni, gdy tylko najbliższym krewnym zezwolono na przebywanie z chorym. Częstym gościem była tu Kay, Suzan Henley oraz wszystkie przyjaciółki Elisabeth z kościoła. Nawet Rob przysłał któregoś dnia kwiaty i Rachel z wdzięcznością przyjęła jego serdeczność. Obecność przyjaznych ludzi bardzo podtrzymywała na duchu trzy kobiety w ciężkim dla nich okresie próby. Odwiedzający starali się nawet traktować uprzejmie Johnny'ego, którego status członka rodziny stał się prędko głównym tematem w mieście. Po raz pierwszy Rachel była zadowolona ze sprawnego działania lokalnej sieci plotkarskiej, która powszechnie obwieściła jej zaręczyny z Johnnym. Krytyczny stan zdrowia Stana pochłaniał ją całkowicie i obecnie nie była zdolna myśleć o czymkolwiek innym. Nie miałyby siły na to, aby wyjaśnić swoim przyjaciółkom i sąsiadkom stałą obecność Johnny'ego przy łóżku ojca. W szkole wyznaczono na czas jej 391

nieobecności zastępstwo.

Michael też zjawiał się pewnego dnia u teścia z wizytą, ale został

tak chłodno potraktowany przez Elisabeth i Rachel, że nie zabawił

dłu jej jak dziesięć minut. Wkrótce potem do szpitala przybyła zapuchnięta od płaczu Becky. Poinformowała matkę i siostrę, a w drodze powrotnej do Louisville mąż zatrzymał się w Walnut Grove, aby zobaczyć się z dziewczynkami. Loren dopytywała się po jego wyjeździe, kiedy zakończy się sprawa rozwodowa. Pytanie córki doprowadziło Becky do łez.

Sklep z artykułami elastycznymi znowu był umiejętnie zarządzany przez Bena. Zgodził się zostać na mocy pośpiesznie sporządzonej umowy, która zapewniała mu oprócz znacznej podwyki również udział w zyskach i zawierała klauzulę wykluczającą możliwość zatrudnienia Harrisa w firmie Granta. Johnny nie miał nic przeciwko utracie pracy, skoro i tak zamierzali razem z Rachel opuścić Tylerville, gdy tylko ulegnie poprawie stan zdrowia jej ojca.

Naczelnik Wheatley był jednym z wielu przyjaciół chorego, którzy często zaglądali do szpitala. Z racji sprawowanej funkcji zezwolono mu na przebywanie w pokoju pacjenta. Podczas którejś z takich wizyt oświadczył, że śledztwo w sprawie zabójstw nie posunęło się naprzód oraz że przynosi złe wieści. Wszystko wskazywało na to, że Jeremy Watkins uciekł z domu. W każdym razie zniknął, co bardzo zmartwiło jego ojca i dziadków. Szef policji nie podejrzewał morderstwa – to nie mali chłopcy byli wybierani na ofiary w Tylerville. Niemniej wiadomość wydawała mu się niepokojąca. Po zapewnieniach Johnny'ego i Rachel, że 392

żadne z nich nie widziało Jeremy'ego od dnia pogrzebu Glendy Watkins, naczelnik Wheatley zacisnął usta i pokiwał głową.

Chłopak nie mógł się pewnie przystosować do nowej sytuacji rodzinnej dalekiej od doskonałości, zdaniem szefa. I to ona stała się niewątpliwie powodem jego ucieczki. Policja nie wykluczała jednak innych okoliczności zaginięcia dziecka.

Naczelnika martwił jeszcze jeden fakt. Jeremy uparcie powtarzał, że widział coś w ciemnościach w noc zabójstwa matki.

Jeśli wiadomość o tym dotarła do mordercy, mógł podjąć decyzję o pozbyciu się chłopca. I właśnie dlatego Wheatley wypytywał o niego Rachel i Johnny'ego oraz każdego, kto słyszał ową uwagę dziecka. Chociaż znając sposób, w jaki wieści roznosiły się po mieście, trudno było znaleźć kogoś, kto by nie wiedział o słowach chłopca. Zatem lista potencjalnych podejrzanych musiała zostać ograniczona do osób, z którymi Jeremy osobiście podzielił się swoimi spostrzeżeniami.

Rachel ze szczerym zaniepokojeniem przyjęła sugestię policjanta. Zapewnił ją jednak,

że to tylko jedna z wielu

możliwości, i na dodatek mało prawdopodobna. Gdyby chłopiec został zamordowany, to do tej pory policja z pewnością natrafiłaby już na jego ciało. Zabójca Marybeth Edwards i Glendy Watkins nie ukrywał swoich ofiar, lecz pozostawiał zwłoki w widocznym miejscu.

Najbardziej prawdopodobną hipotezą, zdaniem szefa policji, była ta, że dzieciak po prostu uciekł z domu. Naczelnik zawiadomił

ju posterunki w całym kraju i w ka dej chwili oczekiwał telefonu z informacją, e Jeremy został schwytany.

393

Rachel chciała równie wierzyć w tę ostatnią wersję, ale na myśl o zagadkowym zniknięciu Jeremy'ego odczuwała dziwny niepokój.

Gdy szef policji wyszedł, podniosła wzrok na Johnny'ego i stwierdziła, e on równie podziela jej obawy.

Ale oboje byli bezradni. Nie potrafili pomóc w ustaleniu miejsca pobytu chłopca. Rachel pochłonięta własnym zmartwieniem wkrótce odsunęła od siebie myśl o Jeremym. Zapewne domysły naczelnika były słuszne i biedny dzieciak po prostu uciekł z domu.

Kilka minut po wyjściu szefa policji Johnny przeprosił i opuścił

pokój. Rachel w roztargnieniu pomachała mu ręką. Nie zauwa yła, jak Wheatley wskazał ruchem głowy, e chce widzieć się z Johnnym na osobności.

Naczelnika nie było na korytarzu. Johnny miał nadzieję, e nie będzie musiał szukać go w poczekalni. Zawsze mo na się tam było natknąć na przyjaciół Grantów, a Johnny starał się unikać spotkania z nimi za wszelką cenę. Zapytał o Wheatleya pielęgniarkę w białym uniformie, która pchała korytarzem nie naoliwiony wózek z obiadem dla chorych. Odparła, e widziała przed chwilą, jak wsiadał do windy. Johnny zbiegł po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Dopadł policjanta w hallu.

– Naczelniku Wheatley...

Starszy mę czyzna zamierzał właśnie pchnąć obrotowe drzwi i wyjść ze szpitala. Przystanął, słysząc swoje nazwisko.

Obejrzał się, a gdy zobaczył Johnny'ego, wskazał gestem, eby wyszedł za nim. Johnny niechętnie wykonał polecenie. Na dworze pomimo września wciąż panowała jeszcze bardzo ciepła pogoda.

Dwaj mę czyźni znaleźli się obok siebie na chodniku przed 394

wejściem do wysokiego, zbudowanego z czerwonej cegły budynku.

Naczelnik, tęgi mę czyzna w niebieskim mundurze i kapeluszu, zatrzymał się i zało ył ręce na piersi, a Johnny, jak zawsze w d insach i białym podkoszulku, stanął z rękami w kieszeniach.

Wyglądał schludnie z krótko ostrzy onymi włosami. Wprost trudno było uwierzyć, e jego osoba wzbudza a tyle negatywnych emocji wśród konserwatywnej społeczności miasta.

– Chciał się pan ze mną widzieć? Wheatley krótko skinął głową.

– O co chodzi? – spytał Johnny.

– Niestety, nie mam dla ciebie dobrych wieści.

– Zdą łem ju do tego przywyknąć.

– W mieście panuje bardzo złe nastawienie do ciebie.

Johnny wyraźnie się odprę ył. Obawiał się ju , e coś złego przytrafiło się Jeremy'emu i Wheatley nie chciał o tym powiedzieć w obecności kobiet, eby ich dodatkowo nie martwić. Poczł ulgę, słyszczc mniej więcej te same słowa, z którymi spotykał się przez całe swoje ycie.

– To chyba nic nowego, prawda? Szef pokręcił głowę.

– Tym razem sprawa jest naprawdę powa na. Szerz się pogró ki. Ludzie uwa aję cię za winnego, wbrew moim zapewnieniom, e jest inaczej. Dostają szału na myśl o tym, e przebywasz na wolności.

– Czy próbuje mnie pan uprzedzić o planowanym linczu?

Naczelnik zacisnął usta.

– Nie powiedziałem tego. Mieszkańcy Tylerville to w większości przyzwoici ludzie. Ale zabójstwo Glendy Watkins i zaginięcie jej syna rozgniewało ich nie na arty. Wszyscy

395

zastanawiają się, czy dzieciak nie został zamordowany, by nie mógł

nic powiedzieć, a Tom Watkins zaklina się, e to ty jesteś sprawczc zbrodni. Większość mieszkańców ma własne dzieci i martwi ich sprawa chłopca. Inni, rozumując logicznie, uwa aję, e Rachel mo e być kolejną ofiarę. Wszyscy w Tylerville bardzo ją szanują i nie podoba im się pomysł,

e ma podzielić los swoich

poprzedniczek.

Johnny zmierzył szefa policji surowym wzrokiem.

– Pan wcię uwa a, e to ja zrobiłem, prawda?

– Znowu usiłujesz mi coś wmówić. Wcale nie twierdzę, e jesteś zbrodniarzem. Jeśli Rachel mówi prawdę, a jeszcze nigdy nie przyłapałem jej na kłamstwie, to nie mogłeś tego zrobić. Usiłuję cię tylko ostrzec, e jeśli coś złego przydarzy się Rachel albo oka e się, e dzieciak zginął, twoje ycie zawiśnie na włosku. Ju teraz nie jest warte funta kłaków.

Johnny zamierzał coś powiedzieć, lecz policjant powstrzymał

go, podnoszczc dłoń do góry.

– Pozwól, e skończę. Są dwie wersje wydarzeń. Jedna zakłada, e Rachel mówi prawdę i to nie ty zamordowałeś panią Watkins, chocia spotykałeś się z jedną ofiarą i z drugą. Wszystko wskazuje na to, e Rachel jest następną kandydatką, eby dołączyć do ich grona, poniewa jedyna logiczna możliwość, która nadaje sens tej teorii jest taka, e ktoś morduje twoje kobiety. Natomiast według drugiej wersji jesteś psychopatą i z nieznanых powodów zabiłeś zarówno Marybeth Edwards, jak i Glendę Watkins, a Rachel kłamie, eby cię osłaniać. Taka właśnie pogłoska szerzy się po mieście. Tak czy inaczej Rachel z twojego powodu pakuje się w 396

niemałe kłopoty.

Johnny spojrział mu w oczy.

– Powinien jej pan przydzielić ochronę. Zamierzałem o tym z panem porozmawiać.

Naczelnik skinął głową.

– Myślałem o tym. Ale mam do dyspozycji tylko sześciu ludzi, a przestępczość w Tylerville nie spadnie do zera z tego powodu, e prowadzimy śledztwo w sprawie zbrodni. Okres pomiędzy obydwojma morderstwami jest bardzo długi. Nie mogę na jedenaście lat przydzielić Rachel do ochrony policjanta.

– Zawołał mnie pan po to, by mi powiedzieć, e wciąż jestem podejrzany? Czy chciał mnie pan zawiadomić, e Rachel grozi niebezpieczeństwo?

Szef policji powoli pokręcił głową.

– Źle mnie zrozumiałeś. Chciałem cię prosić, ebyś wyjechał z miasta. Wszyscy będziemy spać spokojniej.

– A co z Rachel? – spytał Johnny ostrym tonem. Wheatley wzruszył ramionami.

– Twój wyjazd nie pogorszy jej sytuacji. A mo e nawet będzie o wiele bezpieczniejsza. Poza tym nie uśmiecha mi się perspektywa odcinania cię któregoś dnia z drzewa.

Johnny wykrzywił usta.

– Skończył pan? To proszę teraz wysłuchać, co ja mam na ten temat do powiedzenia. Z największą przyjemnością opuściłbym Tylerville. Ale tego nie zrobię, dopóki Rachel nie wyjedzie razem ze mną. A to jest na razie niemożliwe z powodu stanu zdrowia jej ojca. Dlatego jeszcze przez jakiś czas będę tkwił w tym pieprzonym 397

mieście.

Policjant nawet nie mrugnął okiem na mocne słowa Johnny'ego.

– No có . Nie mogę cię zmusić do wyjazdu.

– To prawda. – Johnny spojrział mu prosto w oczy. – Nie mo e pan.

– Jasno stawiasz sprawę. Chciałem się tylko podzielić z tobą moimi obawami – stwierdził Wheatley i odchodząc, obejrzał się za Johnnym. – Osobiście nie uwa am, e jesteś winien zbrodni. Ale ju raz się pomyliłem.

Johnny nie odpowiedział. Naczelnik wzruszył ramionami i ruszył w stronę swojego szarego taurusa, który stał zaparkowany nie opodal przy krawę niku. Johnny patrzył za nim, gdy otwierał

drzwi od strony kierowcy.

– Aha, jeszcze jedno. Chciałem cię zapytać o inne twoje dziewczyny z dawnych czasów – rzekł Wheatley, wystawiając głowę ponad dachem pojazdu.

– Ju adna z nich nie yje – odparł Johnny stanowczym tonem.

Policjant przez chwilę rozwa ał w myślach jego odpowiedź, a potem skinął głową i wsiadł do samochodu.

Johnny długo jeszcze tkwił w tym samym miejscu, zanim z powrotem wszedł do budynku.

398

Rozdział 48

Na śmierć trzeba było czekać straszliwie długo. Jeremy przekonał się o tym, gdy godziny zlewały się ze sobą w przera ającą nieskończoność. Nie było ani wody, ani nic do zjedzenia, a okropny pulsujący ból, który rozrywał czaszkę przy ka dym ruchu głowy, zdawał się nie mieć końca. Pomimo to Jeremy wciąż utrzymywał się przy yciu. Nie wiedział, ile minęło godzin, dni albo tygodni. Wydawało mu się, e siedzi rok

zamknięty w zimnych i cuchnących ciemnościach sam, tylko z głosem matki.

Nie wątpił ju w to, e słyszy mamę, i fakt ten dodawał mu otuchy. Miał zdartą skórę na opuszkach palców od drapania kamiennych ścian i elaznych drzwi, przez które próbował się wydostać. Był pewien, e nie ma stąd wyjścia. Skulił się na podłodze z kamienia. Łomotało mu w głowie, za zamkniętymi powiekami migotały kolorowe plamy i Cały dr ał z zimna.

Świadomość odpływała i przyływała, a gdy ból lub strach stawał

się trudny do zniesienia, przemawiała do niego matka. Jeremy próbował wyobrazić sobie, e bezpiecznie le y w swoim łó ku razem z Jake'iem, który zwinął się obok niego, a mama siedzi, tak jak zwykle, w bujanym fotelu w kącie pokoju.

– Jeremy, czy pamiętasz, jak ci pozwalałam bawić się po lekcjach i jak pojechaliśmy kiedyś łowić ryby nad zatokę?

Tak, mammo.

– A przypominasz sobie Bo e Narodzenie dwa lata temu, kiedy to Święty Mikołaj przyniósł ci rower?

399

– Tak, mammo.

–

Pamiętasz

wigilię

Wszystkich

Świętych...

Święto

Dziękczynienia... twoje urodziny?

– Tak, mammo.

Czasami recytowała mu wiersze na dobranoc, które znał od najmłodszych lat, kiedy indziej śpiewała kołysanki dla Jake'a albo piosenki, które lubił, a czasami przypominała mu tylko, e jest obecna. Gdy wyszło mu w gardle z pragnienia, to właśnie ona kazała mu wstać pomimo przeszywającego bólu głowy i dotykać ścian więzienia w poszukiwaniu yciodajnej wody. Znalazł w końcu cienką sączącą się stró kę i zaczął zlizywać ją chciwie z omszałego kamienia. A kiedy woda zwil yła mu ju wyschnięty język i złagodziła pieczenie w gardle, wyczuł radość matki. Coraz bardziej tęsknił za tym, eby do niej dołączyć. Odnosił jednak wra enie, e ona tego nie chce. Najwyraźniej pragnęła, by ocalał.

Na początku dokuczał mu głód, który z czasem stał się mniej dotkliwy, a w końcu ograniczył się do wra enia przytępionej czczości i niemal zupełnie przestał mu doskwierać. Chłopiec le ał

skulony przy ścianie w miejscu sączenia się wody, zlizywał ją, gdy tylko odczuwał pragnienie, i słuchał mamy. To był jedyny sposób na przetrwanie.

Ale wiedział, e wcześniej czy później stwór po niego wróci. I obawiał się, e tym razem nie da za wygraną.

Na myśl o połyskującym srebrnym sztylcie Jeremy głośno załkał. Szlochał, choć mama mówiła do niego w ciemności i starała się odsunąć strach.

– Bądź dzielny, synu. Bądź dzielny.

Rozdział 49

W piątek stan zdrowia Stana nieco się polepszył. Poprawa była na tyle znaczna, że Elisabeth i Rachel zdecydowały się razem pojechać do domu. W szpitalu została Becky, gdy adnej z kobiet nawet przez myśl by nie przeszło, aby zostawić chorego bez opieki kogoś z bliskich. Tak jak ostatnio weszło w zwyczaj, i tym razem Johnny odwoził Rachel oraz jej matkę do Walnut Grove. Elisabeth zajęła miejsce obok niego. Z energicznej osoby, którą poznał w ubiegłą niedzielę, pozostał cień. Siedziała z odchyłoną do tyłu głową, miała zamknięte oczy, a jej ręce spoczywały nieruchomo na kolanach. Rachel po raz pierwszy w życiu widziała swoją matkę zaniedbaną.

Nikt się nie odzywał. Obie kobiety były ogromnie znużone.

Johnny wyczuwał,

że nie są w nastroju do rozmowy. Cisza przynosiła im ulgę. Rachel miała okazję, aby się zastanowić nad ich obecną sytuacją. Przez długi czas wpłynął korzystnie na zmianę stosunku Elisabeth do Johnny'ego. W krytycznych chwilach matka nauczyła się na nim polegać, a Johnny wykorzystał tę szansę lepiej, niż się Rachel mogła spodziewać. Był zawsze na miejscu, gdy któraś z kobiet go potrzebowała i coraz bardziej przywiązywał

się do rodziny.

Gdy przejechali przez bramę posiadłości Walnut Grove, Rachel po raz pierwszy od dawna zrobiło się nieco lepiej na duszy. Świeciło słońce, powietrze było ciepłe, listowie przybrało zachwycające jesienne barwy, a dom wydawał się jej dzisiaj jeszcze bardziej gościnny niż zwykle. Katie towarzyszyła Tildzie w kuchni i

śpiewała dziecięcą piosenkę. Beztrząski głos dziewczynki dotknął

czulej struny w sercu Rachel. Coś bulgotało w ogromnym garze na piecu i wszędzie unosił się zapach jarzynowej zupy.

– Przybyliście w samą porę na obiad – stwierdziła Tilda z uśmiechem.

Katie podbiegła z piskiem do ciotki. Rachel podrzuciła ją do góry i ucałowała. Nie zwracała uwagi na to, że rączki dziewczynki lepią się od lizaka, który w podnieceniu rzuciła na kuchenną posadzkę.

– Gdzie są wszyscy, Tildo? – spytała Elisabeth. Mówienie sprawiało jej wyraźną trudność. Z powodu zmęczenia jej słowa zabrzmiały niemal bełkotliwie.

– J.D. poszedł po Loren na plac zabaw, Lisa do trzeciej ma lekcje w szkole, a my razem z Katie gotujemy obiad, prawda, skarbie?

– Tak. – Dziecko skinęło głową.

– A mo e pójdiesz na górę i na chwilę się poło ysz, mamó? –

zasugerowała Rachel z troską w głosie.

– Chyba tak zrobię. Jestem śmiertelnie zmęczona. – Elisabeth pocałowała chichoczącą Katie i wyszła z kuchni, poruszając się jak wiekowa kobieta. Rachel, która nigdy dotąd nie myślała o matce jako o starej osobie, bardzo się tym przejęła.

– Pomogę mamie się poło yć – wyjaśniła, mijając Katie i Tildę.

Dziewczynka zaprotestowała, lecz Tidla odwróciła jej uwagę, uderzając ły ką w garnek niczym w gong. Hałas towarzyszył

Rachel a na samą górę.

Przygotowała matce kąpiel i pomogła jej przebrać się w nocną 403

koszulę. Gdy jakiś kwadrans później zeszła na dół, zastała w kuchni sielską atmosferę. Katie stała na krześle i uradowana bawiła się naczyniami w zlewozmywaku, a Johnny rozmawiał z Tildą. Rachel zdumiała się stwierdzając, e gosposia traktuje go niemal jak jednego ze swoich czterech synów. Skończyła właśnie kroić szynkę i naląa zupę do dwóch talerzy, które postawiła na dębowym stole.

Oprócz nakryć do drugiego dania znajdowały się jeszcze na nim pikle, sałatka ziemniaczana, dwie du e szklanki mleka i kanapki. A potem wyniosła z kuchni wierzgającą dziewczynkę, eby Rachel i Johnny mogli w spokoju zjeść posiłek. Johnny rzucił się na jedzenie z apetytem, lecz Rachel po kilku ły kach odstawiła talerz.

– Do niczego ta zupa, prawda? – spytał zaczepnie, dobrze wiedząc, e jest wyjątkowo smaczna.

Podczas ostatnich dni stał się bardzo zasadniczy w kwestii od ywiania się Rachel. Przestała go dziwić jej drobna postura.

Stwierdził, e przeciętna mysz zjada więcej ni ona. Rachel nie była głodna. Ale gdy spojrział na nią surowo, dla świętego spokoju dokończyła danie. Jednak nic ponadto nie była w stanie przełknąć.

– Głodując nie pomo esz ojcu – zauwa ył, zgarniając ostatni kęs z talerza i wypijając do końca mleko.

Rachel wiedziała z doświadczenia, e w przeciwieństwie do niej Johnny nawet podczas największego stresu ma wilczy apetyt.

– Boli mnie głowa – powiedziała.

– Naprawdę? – Przyjrzał się jej bacznie, ale zaraz odsłonił zęby w uśmiechu. – Pobiegnij na górę, włó d insy i sportowe buty.

Świe e powietrze dobrze ci zrobi.

– Chyba masz rację.

404

Spodobał się jej pomysł spaceru i usłuchała jego rady. Gdy wróciła do kuchni, zmiatał z talerza orzechowo-czekoladowe ciasteczka.

– Nie jedz tyle, bo wkrótce staniesz się okropnym tłuściochem –
za artowała.

– Nie ma obawy. Mam dobrą przemianę materii. – Podeszedł do niej, wycierając palce w d insy.

– Wszyscy tak mówią.

– Naprawdę? Idziemy. Spójrz tylko, jaką mamy piękną pogodę.

Chwycił ją za rękę. Rachel ochoczo ruszyła za nim. Minęli dziedziniec, kierując się w stronę prowadzącej do gara u ście ki.

Obok samochodu matki i pojazdu, którym Tilda jeździła po sprawunki, stał zaparkowany motocykl Johnny'ego. Rachel robiła głębokie wdechy, zachłystując się świe ym zapachem wczesnej jesieni. Gdzieś palono liście. W powietrzu unosiła się ledwo wyczuwalna i zachwycająca woń ogniska.

Wciąż nie było potrzeby noszenia kurtek ani swetrów, ale w porównaniu do sierpnia powietrze znacznie się ju ochłodziło.

Włosy Rachel falowały na wietrze. Silne powiewy splatały ciemne konary drzew w jesiennej rdzawozłotej szacie i kołysały nimi jak wyciągniętymi w górę ramionami. Rachel chciwie wchłaniała widoki, dźwięki i zapachy. Działy na nią orzeźwiająco. Okres babiego lata nale ał do jej ulubionych pór roku.

– Proszę – rzekł Johnny, podając jej kask. Rachel była całkowicie pochłonięta własnymi myślami. Nie zauwa yła, e podeszli do motocykla ani e Johnny nie trzyma jej ju za rękę.

– Och, nie sędzę, eby to był dobry pomysł... – Pokręciła głową, 405

cofając się o krok.

Zbli ył się do niej i uśmiechnął zachęcająco.

– Nie ufasz mi? – Ufam, ale...

– To dobrze. – Wziął z rąk Rachel kask, wcisnął jej na głowę, zapiął pod brodą pasek, a potem uciszył protesty szybkim i zdecydowanym pocałunkiem.

– Będziesz zachwycona. Obiecuję. – Wsunął palce w szlufki dżinsów, podciągnął ją w górę i przytrzymał przy sobie. Odchyliła do tyłu głowę i spojrzała mu w oczy, a on znowu ją pocałował.

– Spróbujesz?

– A co mam robić? – poddała się z westchnieniem. Nie sposób było mu się oprzeć, gdy postanowił ulec swojemu urokowi. A poza tym miała do niego bezgraniczne zaufanie. I choć nie paliła się do jazdy motocyklem, to była pewna, że przy Johnnym nie grozi jej nic złego.

– Wskakuj. – Uśmiechnął się szeroko, zapinając pasek pod brodą. Przełożył nogę przez siodełko, odepchnął podpórkę i uruchomił silnik. Wszystkie czynności wykonał błyskawicznie, zanim zdołała poprawić ułożenie kasku, by mogła się w nim czuć wygodnie i bezpiecznie.

– W jaki sposób?! – Musiała wrzasnąć, eby przekrzyczeć ogłuszający ryk silnika. Siodełko znajdowało się w sporej odległości od ziemi. Dosiadanie motoru wydało się Rachel dziwnie niestosowne. Zupełnie inaczej miała się sprawa z Johnnym. Ale on miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

– Niech ci się wydaje, że to koniec! – odkrzyknął. Usłuchała rady, niezdarnie stawiając stopę na podnóżku, i gdy Johnny siedział

406

okrakiem na maszynie, utrzymując ją w pionie, Rachel zgodnie z jego instrukcją przerzuciła nogę na drugą stronę. W jednej chwili znalazła się za nim, między jego szerokimi barkami a skórzanym oparciem siodełka. Z całej siły objęła go udami i przywarła do jego pośladków.

– Trzymaj się mocno! – zawołał przez ramię.

Zazgrzytała zębami, oplatając go rękami w pasie. Motocykl wystrzelił do przodu. Małe kamyki przyskały spod kół, gdy mknęli w stronę autostrady. Przelot rakieta byłby fraszką w porównaniu z tym, czego doświadczała.

Johnny uwielbiał szybkość. Gdy mocniej przyłgnęła do jego pleców, wyczuła jego radość. Dostrzegła ją też w roziskrzonych oczach, gdy odwrócił do niej głowę, i wychwyciła w intonacji głośno wykrzykiwanych uwag. Bez słowa wtulała się w niego, gdy mknęli po wybojach i gdy pochylał maszynę, wchodząc w zakręty.

Z obecnymi prękościami nie mogła się równać nawet przejażdżka na roller-coasterze. Lecz dla Johnny'ego Rachel była gotowa polubić nawet ten okropny środek lokomocji. Johnny robił

wszystko, eby się przystosować do jej prękości. A więc i ona musiała się zdobyć na poświęcenie.

Dopiero gdy zajechali pod gara półtorej godziny później, ośmieliła się otworzyć mocno zaciśnięte powieki.

– Czy to nie było wspaniałe? – spytał rozpromieniony, zatrzymując motocykl.

Rachel szczęśliwa, e uszła z yciem, z uśmiechem skinęła głową. Oddała mu kask i ześliznęła się z siodełka. Kolana, współpracujące podczas jazdy z mięśniami ud, zdrętwiały pod nią.

407

Straszliwie bolały ją te pośladki. Rozcierała je, krzywiąc się z bólu. Tymczasem Johnny wyłączył silnik, postawił swoją cenną maszynę na podpórce i powiesił kaski na rączce obok wstecznego lusterka.

– Co się stało? – spytał. Zmarszczył brwi i przyglądał się jej z uwagą.

Przywołała uśmiech na twarz i opuściła ręce.

– Chyba porobiły mi się odciski – wyjaśniła.

– Byliśmy za długo jak na pierwszy raz – przyznał ze skruchą.

Na pierwszy raz? Otrząsnęła się na samą myśl o ponownej eskapadzie. Nie przestała się jednak uśmiechać, kierując się w stronę domu. Ale po kilku krokach nie potrafiła opanować bezwiednego grymasu twarzy.

– Kochanie, ogromnie cię przepraszam. – Podeszedł do niej i wziął ją na ręce, zanim zdążyła się zorientować, e ma taki zamiar.

Zaskoczona zeszytniała na moment, ale zaraz się rozluźniła.

Szedł, trzymając ją wysoko przed sobą. Był męczyzną, którego kochała, i jeśli chciał ją nosić na rękach, miał do tego prawo. Z

radością objęła go za szyję.

– Wybaczysz mi? – spytał z poczuciem winy. Rachel wykręciła mu kosmyk na karku.

– Oczywiście, głuptasie.

– Z czasem się przyzwyczaisz.

– Z pewnością.

– Nie będziesz musiała jeździć, jeśli nie będziesz miała na to ochoty.

– Wiem.

408

Johnny przystanął tylko po to, eby ją pocałować. A gdy podniósł głowę i ruszył dalej, zdziwiła się stwierdzając, e zmierza w stronę lasu.

– Dokąd idziemy?

– Gdzieś, gdzie będę mógł troskliwiej zająć się twoimi obolałymi miejscami.

– To brzmi ekscytująco. – Uśmiechnęła się do niego, podnosząc wzrok.

– Te jestem tego zdania.

Doszli do skraju lasu. Johnny zaniósł ją pod samo drzewo-dom i u podnó a postawił na ziemi. Nadal bolały ją pośladki i dr ały uda.

Krzywiąc się w duchu, wdrapała się jednak na górę. Gdy Johnny pojawił się w otworze, le ała na drewnianej podłodze z głową wspartą na rękach i podziwiała trzepoczący się w górze pomarańczowożłoty baldachim. Miała na sobie sprane d insy i ró owy podkoszulek. Ze splątanymi włosami, błyszczącymi oczami i wypiekami na policzkach wyglądała na osiemnaście lat i równie młodo się czuła. Johnny pochylił się nad nią, a ona uśmiechnęła się z artobliwym wyrazem rezygnacji na twarzy. Stał przez chwilę, przyglądając się jej z góry, odgarnął do tyłu niesforny czarny kosmyk, który mu opadł na czoło, a potem przy niej uklęknął.

– Obróć się na brzuch.

– Dlaczego?

– Obiecałem zająć się obolałymi miejscami. A jedynym lekarstwem na twoje dolegliwości jest dobry, rozgrzewający masa .

– Naprawdę? – Mhm.

Rachel zrobiła to, o co ją prosił, i podło yła dłonie pod policzek.

409

Czuła przez d insowy materiał silny dotyk jego rąk, gdy wprawnie uciskał jej pośladki. Miał rację. Dzięki masa owi zdecydowanie zel ał ból w mięśniach. A w ka dym razie przeniósł się w inne partie ciała.

Zabawne, jak prędko Johnny potrafił obudzić w niej po ądanie.

Nigdy

aden mę czyzna nie miał na nią takiego wpływu.

Tymczasem jeden dotyk Johnny'ego wystarczył, a ju miała ochotę się z nim kochać.

Zbierała siły, eby przewrócić się na wznak i powiedzieć mu o tym, gdy wsunął pod nią dłonie i odnalazł zapięcie d insów.

– Co robisz? – spytała leniwie, gdy rozsunął zamek i zaczął z jej bioder ściągać spodnie.

– Sądzę, że masa okaże się o wiele skuteczniejszy, gdy nie będzie tylu barier pomiędzy moimi dłońmi a twoją skórą.

– Tak myślisz?

– Jestem pewien.

Zdjął jej buty i spodnie. Wciągnęła na brzuchu, z głową wspartą na dłoniach. Miała teraz na sobie tylko podkoszulek, morelowe majteczki i rówe skarpetki do kostek wykończone delikatną koronką. Kontakt chłodnego powietrza z gołą skórą nóg wydał się jej szalenie podniecający. Ale pod wpływem dotyku ciepłych dłoni przesuujących się w górę ud wrazenie zimna szybko minęło.

Musiała przyznać,

że efekt jego zabiegów jest teraz

rzeczywiście o wiele lepszy. Wygięła plecy, jak głaskany kot.

Wsunął dłonie pod tkaninę bielizny. Przez chwilę delectowała się szorstkim dotykiem jego palców na delikatnej skórze pośladków. A 410

potem ostatnim wysiłkiem woli przewróciła się na plecy i usiadła.

– Czujesz się lepiej? – spytał, opierając się dłońmi o jej uda.

– Zdecydowanie. – Rachel uśmiechnęła się promiennie, zarzuciła mu ramiona na szyję i przywarła do jego ust, składając na nich zmysłowy i kuszący pocałunek, który Johnny z wielkim entuzjazmem odwzajemnił.

– Jestem ci coś winna – odezwała się w końcu, odpychając go od siebie. Potrząsnęła głową, gdy próbował położyć ją na wznak.

– Naprawdę? – Sprawiał wrazenie zaintrygowanego, gdy sięgnęła do zapięcia spodni i rozsunęła zamek. Oparł się o ścianę i śledził jej poczynania z typowym dla siebie lekko kpiarskim uśmiechem.

Ale zaraz przestał się uśmiechać. Jego oddech stał się urywany, gdy jej ręka myszkując wewnątrz spodni, szukała zdobyczy.

Członek stał się całkiem sztywny, zanim zdążyła zamknąć na nim palce i wydobyć na zewnątrz. Był ogromny, pulsujący, rozpalony i drżał w jej dłoni. Rachel ścisnęła go na próbę i została wynagrodzona gorącym błyskiem w oczach Johnny'ego oraz płomiennym rumieńcem na jego policzkach. Gdy pochyliła nad nim głowę, zamknął oczy i zacisnął dłonie w pięści. Jej usta odnalazły go i wchłonęły w siebie. Johnny jęknął.

Tylko dla tego jednego odgłosu mogłaby robić to bez końca.

Rozdział 50

Dwoje na drzewie nie zdawało sobie sprawy z obecności jeszcze jednej osoby w lesie za Walnut Grove. Obserwator był tam równie .

Półcień arówka z obserwatorem za kierownicą przeje d ła przez Main Street, gdy obok niej przemknął motocykl Harrisa. Widok kobiety przytulonej do Johnny'ego i obejmującej go ramionami rozwścieczył obserwatora tak bardzo, e jego codzienna osobowość straciła kontrolę nad ciałem. Podą ając w bezpiecznej odległości za nimi, staczał ze sobą zacieklą walkę, eby nie dodać gazu i nie rozjechać zdradzieckiej pary. Ale zdołał się powstrzymać od realizacji zamiaru. Zabicie Johnny'ego Harrisa nie le ało w jego planach.

Nie potrafił się jednak oprzeć, eby nie śledzić ich w lesie.

Stojąc pod drzewem przysłuchiwał się miłosnym odgłosom. Jego najgorsze podejrzenia znalazły potwierdzenie: Rachel i Johnny byli kochankami. I choć obserwator nie wydał z siebie adnego

dźwięku, w środku a kipiał z furii, przemieniony pod wpływem zazdrości w wyjącą z bólu i

ądną krwi bestię. Zabił ju

dwukrotnie, ale jeszcze nigdy potrzeba zemsty nie była do tego stopnia silna. Ta kobieta musiała umrzeć. I wiedział, e umrze. Ju wkrótce.

Ale nie natychmiast. Zamierzał się przyczaić i zaczekać na moment, gdy będzie sama.

Warto było zdobyć się na cierpliwość, poniewa tym razem miała umrzeć właściwa osoba. Zabicie dwóch poprzednich nie zadowoliło go i dopiero teraz zrozumiał, dlaczego. To ona, Rachel 412

Grant, była kobietą numer jeden. Obserwator, w pełni świadomy własnej to samości jako reinkarnowanej duszy, poszukiwał innej określonej reinkarnacji. Uradowany zdał sobie sprawę z tego, e w końcu zlokalizował swoją zdobycz, swoją prawdziwą ofiarę, dla której przez wieki był ręką karzącej sprawiedliwości. Wiedział, e wspomnienia, uczucia i wyobra enia, które składały się na obraz znanej z codziennego ycia Rachel Grant, są tak samo fałszywe, jak te, które tworzą jego powszednią osobowość. Pod nie wyró niającymi się niczym szczególnym powierzchownościami kryło się o wiele więcej: pozbawione płci dusze, związane ze sobą przez przeznaczenie, które nakazywało im rodzić się na nowo i odgrywać nigdy nie kończący się cykl zdrad, morderstw i pokuty za zbrodnie. Oprócz obserwatora i Johnny'ego Harrisa dusza tej kobiety stanowiła trzeci wierzchołek odwiecznego trójkąta, który obserwator musiał unicestwić.

Wiedział, e los jemu właśnie wyznaczył rolę niszczyciela i dopiero gdy się wywią e z zadania, będzie mógł odnaleźć spokój.

Z punktu widzenia obserwatora sprawa była o tyle prosta, e Rachel Grant, Johnny Harris, a tak e wiele innych osób nie miało pojęcia o istnieniu innego bytu, wykraczającego poza granice codziennej

osobowości. Pojęcia reinkarnacji, przeznaczenia i potępienia, w które obserwator święcie wierzył i był pewien, e są jedyną i uniwersalną prawdą, przekraczały ich mo liwości pojmowania świata. Zaledwie kilka oświeconych dusz, do grona których obserwator siebie zaliczał, miało wgląd w pełny zakres boskiej wiedzy.

Granice wysp, którymi pocętkowane są oceany, widziane z 413

powietrza te wydają się wyraźnie określone. Dopiero zaglądając pod powierzchnię wody mo na się przekonać, e nie są niczym więcej jak wierzchołkami gigantycznych i zasłoniętych przed ludzkim okiem gór. Obserwator był zdania, e podobnie ma się sprawa z codzienną osobowością. Jest wyspą. I tylko istoty z największą zdolnością postrzegania mają wgląd w to, co znajduje się pod spodem.

Dobiegające z góry miłosne odgłosy ucichły nagle, wyrwijąc obserwatora z rozmyślań. Na moment podniósł wzrok, marząc o tym, by natychmiast wypełnić wyznaczoną mu misję. Nienawiść, wściekłość i gorycz wobec zdradzieckiej duszy, która yła w Rachel Grant, toczyły w nim walkę z instynktowną przebiegłością.

Ta ostatnia zwycię yła. Chwilę później obserwator odwrócił się i szybko odszedł. Wiedział, e nadejdzie inny, lepszy dzień na zemstę.

414

Rozdział 51

Około czwartej po południu Johnny odwiózł Rachel i jej matkę do szpitala. Był znu ony. Rachel wyczerpała cały zapas jego sił.

Uśmiechnął się do siebie. Jeszcze do niedawna trudno byłoby mu uwierzyć w to, e Rachel przejmie inicjatywę. Uwielbiał ka dą minutę jej rządów. Wydawała mu się o ywiona, podczas gdy on miał wra enie, e dostał ciężki kijem do palanta. Nie przypuszczał, e mięśnie mogą a tak bardzo boleć. Musiał niezwłocznie wziąć prysznic, przebrać się i coś zjeść. Postanowił, e podwiezie Rachel do szpitala, skoczy na moment do swojego mieszkania i najdalej za godzinę wróci.

Ściemniało się około szóstej. Rachel będzie bezpieczna w szpitalnej sali w towarzystwie matki, siostry oraz całego sztabu lekarzy i pielęgniarek. W ciągu ubiegłego tygodnia spędził z nią ka dą minutę, nawet gdy spała. Był pewien, e bez obawy mo e ją na godzinę opuścić.

Bez sprzeciwu zgodziła się zostać sama. Gdy matka zmierzała w stronę szpitalnego wejścia, pochyliła się, eby go pocałować przez otwarte okno samochodu.

– Nie rozmawiaj z nieznajomymi, dobrze? – przykazał jej na wpół

artobliwie, a Rachel wyprostowując się odsłoniła w uśmiechu zęby.

– Nie będę. Obiecuję. – Przejechała palcem po jego nosie i odwróciła się, eby dogonić matkę.

Johnny wbrew przepisom zatrzymał samochód na podjeździe dla karetek, ale pomimo to zwlekał z

oczu od Rachel. Miała na sobie prostą spódnicę i jedwabną bluzkę w intensywnym turkusowym kolorze, wokół talii skórzany pasek wybijany srebrnymi cekinami, a w uszach srebrne kolczyki. Gdy szła na wysokich obcasach, jej tyłeczek kołysał się energicznie.

Johnny obrzucił go pełnym podziwu spojrzeniem. Na nowo odczuwał przyspieszone uderzenia tętna.

Gdy jechał do domu, na przedniej szybie rozbiło się kilka ciężkich kropli. Johnny włączył wycieraczkę i spojrzał w niebo. Nie padało już od kilku tygodni, ale sądząc po formacji chmur, które przesunęły się w kierunku wschodnim, pogoda zmieniała się. To dobrze. Deszcz był bardzo potrzebny.

Zaparkował samochód za sklepem, skorzystał ze schodów przeciwpożarowych, aby się nie narażać na niepotrzebne uwagi ze strony personelu, wyłowił pocztę ze skrzynki przy drzwiach i wszedł do mieszkania. Wylewność, z jaką został powitany przez Wolfa, o mało nie zwała go ze schodów.

– Ja te za tobą tęskniłem – przemówił do zachwyconego psa, czule głaszcząc go za uchem.

Spojrzał badawczo w niebo i postanowił od razu wyprowadzić go na krótki spacer, zanim nie rozpada się na dobre. Wziął Wolfa na smycz i zszedł na dół. Gdy zwierzę ciągnęło go po trawniku, o asfalt uderzało coraz więcej kropli.

Wkrótce Johnny miał ślady deszczu na całej koszuli i spodniach.

Sądząc po wielkości kropli, nadciągała prawdziwa nawałnica.

W domu zderzył z siebie ubranie i wskoczył pod prysznic. Po chwili wrócił do pokoju, aby się wytrzeć i włożyć czystą odzież.

Od czasu popołudniowej idylli z Rachel znacznie się ochłodziło i 416

Johnny zdecydował się na dżinsową koszulę z długimi rękawami.

Zapinając guziki, rzucił okiem na korespondencję, która leżała na stole. W większości były to rachunki i druki reklamowe. Jego wzrok przykuła duża brązowa koperta z więzienią. Johnny zdenerwował się na widok stempla w lewym górnym rogu.

To wszystko było już poza nim. I nie zamierzał dłużej się za siebie oglądać. Wkrótce wyrok miał zostać usunięty z jego akt.

Poprzednie lata należały do dawnego Johnny'ego Harrisa. Rachel, jej miłość i perspektywa wspólnego życia sprawiły, że stał się innym człowiekiem.

Na samą myśl o Rachel zrobiło mu się lekko na duszy.

Postanowił, że gdy pojedzie po nią do szpitala, weźmie dla niej swoją skórzaną kurtkę. Jedwabna

turkusowa bluzka z pewnością nie dawała du o ciepła.

Rozdarł napawającą go wstrętem kopertę. Wysypała się z niej więzienna korespondencja. Johnny poczuł ucisk w ołładku. Czego się spodziewał? Cofnięcia nakazu stawienia się przed sądem? Z

więzienia odesłano mu listy od wielbicielek, które nie wiedziały, e został wypuszczony na wolność. Zastanawiał się, jak długo będą jeszcze do niego pisywać.

Gdy rozło ył na stole listy, stwierdził, e odezwała się znowu najwierniejsza z jego korespondentek. U ywała zawsze atramentu w amarantowym kolorze, ró owej papeterii i perfumowała swoje listy. Duszący kwiatowy zapach był tak intensywny, e Johnny'emu zakręciło się w nosie. Nigdy dotąd nie wydawał mu się a tak silny.

Być mo e dlatego, e list przez jakiś czas le ał zamknięty w brązowym urzędowym opakowaniu.

417

Woń stała się jeszcze bardziej dra niąca, gdy Johnny rozerwał

kopertę. Ze względów grzecznościowych powinien zawiadomić korespondentkę, e dalsze wypisywanie miłosnych deklaracji jest stratą czasu. Wiedział jednak, e tego nie zrobi. Tak jak był pewien, e nie spojrzy ju więcej na więzienną pocztę. Budziła w nim złe wspomnienia i wywoływała złość. Następnym razem wrzuci wszystkie listy nadesłane z więzienia do kosza i nawet nie zada sobie trudu, eby je otworzyć.

Przeczytał list bardziej z przyzwyczajenia ni z ciekawości.

Zastanawiał się, jakimi pobudkami mo e kierować się kobieta, która stara się nawiązać kontakt z nieznajomym mę czyzną skazanym za morderstwo, który na dodatek ani razu jej nie odpisał.

Korespondencja od niej nadchodziła regularnie co tydzień przez dziesięć lat, które spędził w więzieniu. Od samego początku ton jej wypowiedzi sugerował istnienie pomiędzy nimi za yłości, co było zupełnie niedorzeczne. Johnny nie znał nawet jej imienia, poniewa romantyczne wywody nieodmiennie kończyła podpisem: „twoja na wieki”. Nigdy nie zwracała się do Johnny'ego po imieniu, a swoje listy zaczynała zawsze od nagłówka: „Mój drogi”, jak gdyby adresowała je do mę a.

Dziwaczka. Johnny skrzywił się i rzucił papier na stos pozostałej korespondencji. Poszedł do kuchni, zmył z rąk intensywną woń, a następnie sięgnął po kurtkę i ruszył do wyjścia.

Był w połowie schodów, gdy zamarł w bezruchu, doznając nagłego olśnienia. Gdzieś czuł niedawno zapach tych samych perfum, i to nie w listach. Całkiem niedawno. Ju po powrocie do Tylendlle. U ywała ich jakaś kobieta. Było to tak samo oczywiste, 418

jak padający na głowę deszcz. Ale Johnny za nic w świecie nie potrafił skojarzyć twarzy z zapachem.

Wheatley pytał go kiedyś, czy w mieście nie mieszka któraś z jego dawnych dziewczyn, Johnny zaprzeczył. Jego umysł pracował

z szybkością błyskawicy. Zaczął snuć różne wzbudzające grozę domysły. Osoba, która pisywała do więźnia listy, mogła pochodzić

z

Tylerville.

Może

zawsze

tu

mieszkała.

I

prawdopodobnie to właśnie ona zamordowała Glendę i Marybeth, ponieważ wymyśliła sobie, że jest zakochana w Johnnym.

Kimkolwiek była, z pewnością niejednokrotnie przebywał w jej towarzystwie po swoim wyjściu na wolność. Prześladowało go wspomnienie zapachu perfum. W panice usiłował przypomnieć sobie, kiedy czuł je po raz ostatni, ale nie potrafił. To było straszne.

Ową kobietą mogła być niemal każda mieszkanka Tylerville. Każda ekspedientka. Każda klientka, którą obsługiwał w sklepie. Każda znajoma Grantów. Pomyślał, że może listy pomogą ją odnaleźć.

Wbiegł z powrotem po schodach. Nie mógł trafić kluczem do zamka i dopiero po chwili zdołał otworzyć drzwi. Zostawił je na oście otwarte, dopadł stołu i chwycił list razem z kopertą, w której nadszedł.

Zamiast adresu zwrotnego był tylko podany numer skrytki urzędu pocztowego w Louisville. Odnalezienie jej właścicielki nie powinno nastęczyć większych trudności.

Z listem w ręku podszedł do telefonu. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

– Proszę mnie połączyć z naczelnikiem Wheatleyem – poprosił, gdy usłyszał znudzony kobiecy głos.

419

420

Rozdział 52

– Rachel!

Zmierziała do windy, gdy usłyszała, że ktoś ją woła. Obejrzała się za siebie. Zza szklanych drzwi

wyłoniła się Kay. Rachel uśmiechnęła się do niej na powitanie, pomachała ręką i przystanąła.

Ale Kay nie odwzajemniła jej uśmiechu. A gdy podeszła bliżej, Rachel zaniepokoiła się nie naarty, dostrzegając wyraz jej twarzy.

– Czy coś się stało? – wyrzuciła z siebie bez tchu.

– Och, Rachel. Jest mi ogromnie przykro, e to właśnie ja muszę cię o tym zawiadomić – powiedziała Kay z nieszczęśliwą miną. –

Były pewne kłopoty i Johnny... został aresztowany.

– Aresztowany? Za co?

– Tak mi przykro, Rachel. Znaleźli nowe dowody przeciwko niemu. Wygląda na to, e to rzeczywiście on zamordował tamte kobiety.

– Ale... dopiero co się rozstaliśmy. Dosłownie przed chwilą pojechał do swojego mieszkania.

– Zatrzymali go tu za rogiem, zakuli w kajdanki i zabrali do więzienia. Akurat tamtędy przejeżdżałam i byłam świadkiem całej sceny.

– To niemożliwe!

– Bardzo ci współczuję, Rachel. Nie martw się, mo e się pomylili. Wiem, e jesteś przekonana o jego niewinności. I pewnie masz rację.

– Muszę do niego jechać. Och, zapomniałam, e po wyczyłam mu samochód. Czy nie sprawię ci kłopotu, Kay, jeśli cię poproszę, 421

ebyś...

Młoda kobieta uśmiechnęła się, zaciskając dłoń na ramieniu Rachel.

– Nie bądź głuptasem. A od czego są przyjaciele? Z

przyjemnością cię podwiozę. Chodźmy.

Rachel nie zwróciła nawet uwagi na pierwszy od miesiący deszcz, gdy w towarzystwie przyjaciółki siostry pośpiesznie opuściła budynek.

Przypięła się pasem, gdy Kay wyprowadzała swoją furgonetkę marki Ford Escort z parkingu. Zerwał się wiatr i poi ciemniało niebo. Zanosiło się na po ądana od dłu szego ju czasu burzę.

Szelest wycieraczek i regularny stukot olbrzymich kropli deszczu, które rozbijały się na przedniej szybie, tworzyły łagodny dźwiękowy podkład do prowadzonej w samochodzie rozmowy.

Powietrze wypełniał ostry zapach goździków, których bukiet leżał

na tylnym siedzeniu. Rachel przypuszczała, że Kay wybiera się do któregoś z klientów, by zrealizować zamówienie.

– Pomylili się – stwierdziła ze zniecierpliwieniem. – Johnny nie zamordował

adnej z tych kobiet. Zapewniłam naczelnika Wheatleya, że był razem ze mną, kiedy zginęła Glenda Watkins.

– Wierzę ci – powiedziała Kay, spoglądając z ukosa na swoją pasażerkę.

– Sądziłam, że naczelnik równie mi wierzy. Nie przypuszcza chyba, że mogłabym skłamać w tak poważnej sprawie. Nie byłabym do tego zdolna... nawet żeby chronić Johnny'ego!

– Nigdy nie uważałam go za sprawcę pierwszego zabójstwa. I nie sądzę tego, żeby to on zamordował drugą kobietę.

422

– Wobec tego jesteś jedną z niewielu... – Rachel urwała w pół

słowa, dopiero teraz spostrzegając, w jakim kierunku zmierzają. –

Pomyliłaś drogę, Kay! Przecie wyjeżdżamy z miasta!

– Wiem.

– Posterunek policji znajduje się niedaleko szpitala, zaledwie kilka bloków dalej! Musisz zawrócić!

– Nie zawrócę – oświadczyła Kay dziwnie apodyktycznym tonem, który sprawił, że Rachel przyjrzała się jej uważnie po raz pierwszy od chwili spotkania w szpitalnym hallu.

Była ubrana w sposób niewyszukany, ale atrakcyjny. Miała na sobie spodnie khaki, sweter w takim samym kolorze i białą bluzkę.

Upięła włosy w elegancki kok, a lekko pociągnięte szminką usta i pomalowane tuszem rzęsy stanowiły całą jej makijaż. Wyglądała inaczej niż zwykle – bardziej tajemniczo – wydawała się niemal inną osobą.

Rachel przeszył dreszcz niepokoju.

– Dobrze się czujesz? – W jej głosie zabrzmiała szczerza troska.

– To zależy, co przez to rozumiesz – odparła niemal ze smutkiem Kay, obrzucając Rachel spojrzeniem. – Wierzysz w reinkarnację?

– W co takiego? – Zaskakujące pytanie zbiło na moment Rachel z tropu.

– Pytam, czy wierzysz w reinkarnację?

– Nie, nie wierzę. A dlaczego o to pytasz?

– Interesuję się tym tematem od wielu lat. Ju od czasu szkoły średniej.

– Mo esz wierzyć we wszystko, w co ci się ywnie podoba.

423

Przecie yjesz w Ameryce, która słynie ze swojej tolerancji –

stwierdziła ze zniecierpliwieniem Rachel. Kierunek, jaki przyjęła rozmowa, wydał się jej całkowicie pozbawiony sensu. – Czy mogłabyś zawrócić i odwieźć mnie na posterunek policji, Kay? Jeśli nie, to się zatrzymaj. Bardzo cię proszę. Dojdę tam pieszo.

Kay uśmiechnęła się z ubolewaniem.

– Ty nadal niczego nie rozumiesz, prawda, Rachel?

– A co mam rozumieć?

– Johnny wcale nie został aresztowany, głuptasie.

– Wobec tego, dlaczego wprowadziłaś mnie w błąd?

Sytuacja z minuty na minutę stawała się coraz bardziej intrygująca. Rachel jeszcze raz przyjrzała się uwa nie swojej rozmówczyni. Chyba nie była pijana? A mo e za yła narkotyki? Jej niezwykle zachowanie, cokolwiek miało na nie wpływ, wzbudzało w Rachel prawdziwy niepokój.

– Poniewa chciałam, ebyś pojechała ze mną.

– Dlaczego miałoby ci na tym zale eć?

– Czy wiesz, e mój dziadek był członkiem rady miejskiej w latach trzydziestych? Wtedy, gdy znaleziono ciało tamtej kobiety w krypcie? Znajdował się tam równie jej dziennik – pamiętnik morderczyni. Mój dziadek go zatrzymał – oto w jaki sposób zniknął. Przeczytałam go po raz pierwszy, gdy miałam dziesięć lat.

Zafascynował mnie. Przeczytałam go ponownie, a potem jeszcze i jeszcze raz. A zaczął mi się śnić. W moich bardzo realnych snach to ja stawałam się nią i yłam jej yciem. Było to naprawdę przera ające... dopóki nie dowiedziałam się o reinkarnacji. Wtedy zdałam sobie sprawę z tego, e wszyscy rodzimy się ponownie.

424

Dopiero wówczas zrozumiałam, dlaczego moje sny wydawały mi się tak bardzo prawdziwe – ponieważ to ja byłam kiedyś ową kobietą. Obie doświadczyłyśmy identycznych przeżyć.

– Kay, wybacz mi, ale co to wszystko ma wspólnego z Johnnym? – Rachel była tak zniecierpliwiona, że z trudem się hamowała, aby na nią nie wrzasnąć.

– Och, Rachel. Jest mi naprawdę bardzo przykro – powiedziała zduszonym głosem Kay. Wyprostowała się nienaturalnie i zacisnęła ręce na kierownicy. Rachel nie mogła się oprzeć wzbudzającemu grozę wrażeń, że patrzy na inną kobietę niż ta, z którą przed chwilą prowadziła rozmowę.

– Czy wiesz, kim jesteś? – spytała Kay, spoglądając na swoją pasażerkę. Jej głos miał nie tylko niżej i głębsze brzmienie, ale i źrenice poszerzyły się na całą niemal powierzchnię tęczówek, z których pozostały zaledwie jasnobłękitne obwódki.

– Kay... – zaczęła Rachel.

– Nie jestem Kay – przerwała jej kobieta z uśmiechem.

Nazywam się Sylvia. Sylvia Baumgardner.

W jej uśmiechu i w oczach, które ponownie skierowała na Rachel, czaiła się groźba i zło. Rachel przeszły ciarki. Czy by Kay postradała rozum?

– Zatrzymaj się, proszę. Chcę wysiąść – oświadczyła nie znoszącym sprzeciwu tonem, jaki zwykła przybierać, ilekroć chciała zapanować nad sytuacją w swoich licznych klasach.

Przyszło jej to z trudem; przeraziła ją zmiana w zachowaniu kobiety, którą tak dobrze знаła. Nie zamierzała dłużej siedzieć i beczynnie się przyglądać, jak przyjaciółka siostry traci kontakt z

rzeczywistością. Postanowiła bezzwłocznie wysiąść z samochodu.

Kay się roześmiała.

– Jeszcze na to nie wpadłaś, ty biedna, głupia istoto? Jesteś Ann Smythe, organistką. Słodką, małą Ann. Zawsze ładniutką i przesadnie skromną. Nikt by się nie domyślił, że ma do czynienia ze zwykłą dziwką. Oprócz mnie. Jak widzisz, mnie nie zdołałaś wywieść w pole. Za dobrze go znam. Domyśliłam się wszystkiego od pierwszej chwili, gdy tylko zaczęłaś go kusić i gdy uległ twoim wdziękom. Dokładnie wiedziałam, w którym momencie złamał z tobą swoją małżeńską przysięgę. Ale on był mój. I jest mój.

Rachel słuchała gardłowej przemowy z wytrzeszczonymi oczami. Siedząca obok kobieta sprawiała wrażenie zjawy nie z tego świata. Wyglądała inaczej niż zwykle i mówiła w nietypowy dla siebie sposób. Czy by miała rozdwojenie jaźni? Myśl o takiej ewentualności napełniła Rachel trwogą. Odpięła pas, przytrzymując go na miejscu ramieniem, a drugą ręką zaczęła po omacku szukać klamki. Postanowiła, że wyskoczy, jeśli będzie do tego zmuszona.

Zrobi wszystko, byleby się wydostać z samochodu.

– Nic z tego. Zamknięte – stwierdziła Kay i pogroziła palcem, gdy Rachel bezskutecznie ciągnęła za klamkę. Chocia Kay miała oczy szeroko otwarte, Rachel odnosiła wrażenie, że niczego nie widzi.

To, co mówisz, jest pozbawione sensu, Kay. – Starła się mówić cichym i opanowanym głosem. Różądek podpowiadał jej, że nie będzie długo więziona w samochodzie. Czowała, że musi tylko zachować spokój i wszystko będzie w porządku. Kay z pewnością przechodziła załamanie nerwowe. Możliwe, że ostatnio miała jakieś

problemy? Rachel zawstydziała się, przyznając w duchu, że pochłonięta własnymi sprawami o niczym nie wiedziała.

– Domagasz się sensu? – Kay uśmiechnęła się nieprzyjemnie. –

Chcesz zrozumieć, co się dzieje, Rachel? Możesz zapytać Ann. Ale nawet jej nie znasz, prawda? W końcu nie zdajesz sobie z tego sprawy. A więc ci powiem. Ty jako Ann ukradłaś mi męża. I doprowadziłaś go do cudzołóstwa. Gziłaś się z nim. Oboje myśleliście,

że o niczym nie wiem. Ale ja wiedziałam. I postanowiłam położyć temu kres. On ma słabość do kobiet. Ale gdy się dowie, co zrobiłam z tobą, na nowo przypomni sobie o bojaźni wobec niej i już nigdy nie ulegnie pokusie zboczenia z drogi cnoty. W

końcu nie w tym celu. Znowu go przyłapałam na jego starych sztuczkach. Sypia z dziewczynami, które nie są nic warte, i nie zwraca uwagi na porządną kobietę, której miłość jest jego przeznaczeniem. Tylko dlatego, że w przeciwieństwie do ciebie jestem pozbawiona urody. Wszystkie jego kochanki były ładne.

– Jesteś bardzo atrakcyjną kobietą – stwierdziła zaniepokojona Rachel.

Kay spojrzała na nią z nienawiścią.

– Sądziłam, że to one są tobą. Pomyliłam się jednak. Ukrywałaś się przede mną, gdy planowałaś, w jaki sposób go zdobędziesz, prawda? Ale i tak cię w końcu odnalazłam.

Rachel spojrzała w niemal całkiem czarne oczy i dostrzegła w nich najprawdziwszą groźbę. Kay całym sercem wierzyła we własne słowa. Rachel staczała ze sobą walkę, aby się nie poddać uczuciu ogarniającej ją paniki. Za wszelką cenę musiała zachować spokój.

427

– Nie czujesz się dobrze, Kay. Zawróć, proszę. Pojedziemy do szpitala, udzielą ci tam pomocy. – Pomimo najlepszych chęci nie zdołała opanować drżenia głosu. Instynkt podpowiadał jej, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ale jej umysł nadal nie chciał

zaakceptować faktu, że grozi ono ze strony osoby, którą od czasów dzieciństwa uważała za przyjaciółkę. Nie wierzę w to, co się dzieje, myślała w kółko. Dlaczego akurat mnie miałyby to

spotkać?

– Nie nazywam się Kay, lecz Sylvia Baumgardner i jestem oną pastora

Thomasa

Baumgardnera,

który

pełni

obowiązki

duszpasterskie w naszej parafii. Znasz Thomasa jako swojego ukochanego

Johnny'ego.

–

Ostatnie

trzy

słowa

zostały

wypowiedziane ze straszliwą drwiną.

Samochód zwolnił, zbacząc z głównej drogi. Rachel, zbyt przeraona, by oderwać wzrok od Kay, dopiero teraz spostrzegła, że znajdują się niedaleko Wąlnut Grove. Jechały wąską, pokrytą pyłem drogą, która prowadziła do Pierwszego Kościoła Baptistów. Gdy Rachel spojrzała w stronę budynku z drewnianymi wykończeniami, nagle pojęła sens wypowiedzi siedzącej obok niej obłąkanej kobiety.

Tak jak wszyscy w Tylerville, Kay dorastała, słuchając legendy o wiarołomnym pastorze, organistce i o okrutnej zemście ony. Z

jakiegoś powodu wyobraziła sobie, że jest zdradzaną oną, a jej przypisała rolę organistki. Rachel zamarła na myśl o wynikających z tego konsekwencjach.

428

Rozdział 53

Było po piątej. Za oknem gabinetu Wheatleya coraz bardziej się ściemniało. Johnny z narastającym niepokojem obserwował niebo.

Nie chciał tracić Rachel z oczu po zapadnięciu zmierzchu.

– Muszę zatelefonować – odezwał się w końcu do odwróconego tyłem policjanta.

Wheatley mu coś odburknął. Czekał na odpowiedź naczelnika poczty w Louisville, którego poprosił o odszukanie u ytkownika interesującej ich skrytki pocztowej. Przedtem bezlitośnie sondował

Johnny'ego, prosząc, by sobie przypomniał jak dy strzęp informacji dotyczący poprzednich pięciuset listów od wielbicielki, która podpisywała się: „twoja na wieki”. Ale nie uzyskał

adnej

zadowolającej wskazówki.

– Jesteś pewien, e wyrzuciłeś całą poprzednią korespondencję?

– Sprawiał wra enie niezadowolonego.

Johnny skinął głową.

– Jestem pewien. Po co miałem ją przechowywać. Czy słyszał

pan, co powiedziałem? Muszę zadzwonić.

Naczelnik zacisnął usta i przymrużył oczy – Do kogo?

– Do Rachel. Robi się ciemno. Chcę ją poprosić, eby zaczekała na mnie w szpitalu. Czy potrzebuję pisemnej zgody na to, ebym mógł skorzystać z telefonu?

Wheatley uśmiechnął się kwaśno, wskazując na stojący na biurku aparat.

– Bardzo proszę.

– Dziękuję. – Johnny podniósł słuchawkę i wykręcił numer sali, 429

w której le ał Stan. Po trzecim sygnale odezwała się Elisabeth.

– Dobry wieczór, pani Grant. Mówi Johnny Harris. Czy mógłbym porozmawiać z Rachel?

Gdy słuchał przez chwilę w milczeniu, z twarzy odpłynęła mu cała krew. Napotkał wzrok naczelnika i nakrył spoconą dłonią słuchawkę.

– Nie ma jej tam – powiedział chrapliwym głosem. –

Podwiozłem ją do szpitala godzinę temu, ale jej tam nie ma. W

ogóle nie zjawiała się w separacie ojca.

Rozdział 54

– Myślisz, e Johnny jest wcieleniem pastora Baumgardnera? –

Pomysł mógł się wydawać śmieszny, gdyby sytuacja nie była śmiertelnie powa na.

– Ja nie myślę. Ja to wiem. Dostrzegam duszę pastora w jego oczach. Tak jak Ann w twoich. Dziwię się, e nie rozpoznałam cię wcześniej. – Furgonetka zahamowała ze wstrząsem za kościołem.

Kilkanaście ostatnich metrów przejechała po wysokiej trawie i zatrzymała się przy czarnym parkanie z elaza, który otaczał

niewielki przykościelny cmentarz. Prawie wszystkie tutejsze grobowce pochodziły z połowy dziewiętnastego wieku, a trzy stojące obok siebie krypty na samym końcu wydzielonego terenu były jeszcze starsze. Towarzystwo Ochrony Zabytków otoczyło to miejsce szczególnie troskliwą opieką.

Rachel powstrzymywała bliski hysterii chichot przypominając sobie, z jakim zaangażowaniem Kay przywracała dawny wygląd grządkom kwiatów, które dawno temu posadziła ona pastora i domniemana morderczyni jego kochanki. Czy by ju wtedy myślała o sobie jako o nie yjącej od dawna kobiecie?

– Pomyliłam się co do dwóch twoich poprzedniczek. – Teraz, gdy nie musiała się skupiać na prowadzeniu pojazdu, skierowała wzrok na swoją pasażerkę. Rachel zdała sobie nagłe sprawę z różnicami w ich posturze. Kay miała około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu i była mocnej budowy. Rachel nie zdążyłaby nawet odmówić zdrowaśki, gdyby doszło do walki wręcz. A potem do jej oszalałego ze strachu umysłu powoli zaczął docierać sens 431

słów obłąkanej kobiety. Pora ona trwogą pojęła w jednej chwili, z kim ma do czynienia.

– To ty zabiłaś Marybeth Edwards i Glendę Watkins, prawda? –

Cofnęła się, trzymając mocno jak najbliżej drzwi i wyczekując na moment odblokowania zamka. Postanowiła jak najszybciej wydostać się z samochodu i dać susa w trawę, niczym zając ścigany przez sforę psów. Od Walnut Grove dzieliło ją niecałe pięć kilometrów. Nie miała innego wyjścia jak dotrzeć tam, biegnąc przez pola i lasy. Wiedziała, e dopiero w domu będzie bezpieczna.

– Jak ju powiedziałam, zginęły przez pomyłkę. – Kay wzruszyła ramionami. – Nie zawsze można być w stu procentach pewnym. Ale teraz, gdy cię odnalazłam, nie mam cienia wątpliwości. To ty jesteś osobą, której szukałam. I gdy usunę cię z drogi, on będzie mój.

Rachel niemal omdlewała z przerażeniem.

– Ale Kay, przecie ty z Johnnym nigdy nie byliście sobą nawzajem zainteresowani. Czy myślisz, e gdy mnie zabijesz, on zwróci na ciebie uwagę? – Nie miała nadziei, e zdoła przemówić jej do rozsądku. Nie ulegało wątpliwości, e Kay w obecnym stanie nie jest zdolna do logicznego

rozumowania. Ale chwyciła się wszelkich sposobów, które mogły zwiększyć jej szansę na utrzymanie się przy życiu. Ponieważ właśnie dotarło do niej, po co przyjaciółka siostry przywiozła ją na ten przez nikogo nie odwiedzany cmentarz: zamierzała ją zamordować.

Gdy znikniesz, nie będzie dla ciebie powodu, aby walczyć ze swoim przeznaczeniem. Tworzymy odwieczny trójkąt. Za każdym razem tobie jest przypisana rola mojego przyjaciela i zdrajcy. I 432

zawsze musisz zostać unicestwiona, byśmy oboje z Thomem mogli zaznać szczęścia. Gdyby nie ty, już wcześniej odwzajemniłby moje względy. Wiem o tym. Ale od lat wyczuwał twoją obecność.

Podobnie jak i ja. Tylko ani ty, ani on nie zdawaliście sobie sprawy z tego, do czego zmierzacie, a ja nie wiedziałam, kto jest osobą, której szukam.

– Kay, to czyste szaleństwo. – Rachel natychmiast zorientowała się, że popełniła błąd.

Na widok uśmiechu, którym została obdarowana, zjeżyły się jej włosy.

– Wsiadaj z samochodu – powiedziała Kay, szperając pomiędzy swoim fotelem a drzwiami.

Rachel rozpaczliwie rozmyślała nad sposobem wykorzystania momentu odblokowania zamka, gdy dostrzegła przy czarnym pistolecie, który Kay ścisnęła w dłoni. Przeżyła wstrząs. Broń wyglądała solidnie i była wycelowana w środek jej piersi.

– Kay... – szepnęła błagalnie, pojmując straszliwą prawdę, że oto stoi w obliczu śmierci.

W oczach Kay pojawił się błysk satysfakcji na widok słabości rywalki.

– Zachowuj się spokojnie – ostrzegła z wyraźną groźbą w głosie. – Nie chcę cię zastrzelić. Ale zrobię to, jeśli będę musiała. A teraz wsiadaj z samochodu.

433

Rozdział 55

– Ona nadchodzi.

Jeremy oprzytomniał.

Kto, mamo? Ale już wiedział. Owym nie zidentyfikowanym złem była kobieta. Zadrżał z trwogi.

– Podnieś się i stań obok drzwi.

Jeremy załkał. Stwór nadchodził i zamierzał go zabić. Och, gdyby mógł teraz umrzeć i mieć to już za sobą. Był tak bardzo przerażony. Pragnął umrzeć. Mamo, mamo! Zabierz mnie do siebie!

– Pospiesz się! Podejdź do drzwi!

Zawsze, gdy mama u ywała tego tonu, trzeba było bez szemrania wykonać jej polecenie. Jeremy z trudem poruszał się na czworakach. Dygotał na całym ciele i cię ko dyszał. Kręciło mu się w głowie i był słaby. Bał się, e z powodu pulsującego bólu pęknie mu czaszka. Lecz mama była nieustępliwa. Musiał się podnieść.

Zaparł się stopami o ścianę i opierając się plecami o zimny kamień zaczął się podciągać w górę. Gdy w końcu stanął o własnych siłach, cały był oblany potem. Ale zacisnął zęby i przesunął się w stronę wyjścia.

– Ona zaraz otworzy drzwi. A gdy tylko to zrobi, uciekaj!

Biegnij ile sił w nogach! Zawsze wygrywałeś szkolne zawody na dystansie stu metrów, pamiętasz? Biegnij tak, jak gdybyś w nich uczestniczył! Wiem, e potrafisz to zrobić, Jeremy.

– Jestem słaby, mamó. I przeraźliwie się boję.

– Będę z tobą, synku. Ty tylko biegnij.

434

Rozdział 56

– Zaczekaj.

Rachel zgodnie z poleceniem wysiadła z samochodu od strony kierowcy. Choć rozpadało się na dobre, wcale nie czuła, e moknie.

Nie spuszczała wzroku z przeciwniczki, która przez cały czas trzymała pistolet wymierzony w sam środek jej piersi.

Kay podeszła do baga nika, wsunęła kluczyk do zamka, uchyliła klapę, i po omacku – eby nie tracić z oczu swojej ofiary – zaczęła szukać czegoś wewnątrz. Po chwili wyciągnęła tobolek z cuchnącym pleśnią ubraniem. Rachel z dudniącym sercem bezradnie przyglądała się tym czynnościom. Odczuła niemal fizyczny ból, gdy Kay strzepnęła okrycie i jedną ręką zarzuciła je sobie na ramiona.

Był to stary, pochodzący zapewne jeszcze z ubiegłego stulecia, czarny płaszcz z kapturem. Rachel odniosła wra enie, e Kay wkładając go, cofa się w przeszłość. Przyglądała się jej z niedowierzaniem, rozpaczliwie usiłując wymyślić sposób ucieczki.

Ale nic jej nie przychodziło do głowy.

– Kwiaty są przeznaczone dla ciebie... na potem, wiesz?

Ró owe goździki. Lubisz ten kolor, prawda? – Na pozór rozsądne i wypowiedziane ze spokojem pytanie budziło grozę. Rachel nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Kay ponownie poszperała w baga niku i wyjęła nó . Był z rodzaju tych, jakie spotyka się w rzeźniach

oraz w kuchniach wielu domów, nie wyłączając kuchni w Walnut Grove. Rachel wiedziała, że patrzy na narzędzie mordu, które być może zostało już użyte 435

dwukrotnie użyte. Zrobiło się jej niedobrze.

Nie mogła umrzeć w ten sposób. Życie ostatnio przyniosło jej tak wiele radości. Zupełnie nie była przygotowana na śmierć.

Miałaby opuścić Johnny'ego, matkę, Becky...

Ale podobne refleksje prowadziły do paniki, a panika była jedyną rzeczą, na jaką Rachel nie mogła sobie pozwolić.

Kay nie była w stanie dźgnąć jej nożem i jednocześnie trzymać wycelowanego w nią pistoletu. Rachel chwyciła się tej myśli kurczowo, jak tonący chwytą się brzozy.

Nagle rozległ się trzask odbezpieczanej broni. A może jednak Kay zamierzała tym razem użyć pistoletu, a nóż miał zostać wykorzystany później do zmasakrowania zwłok?

Była zupełnie niepoczytalna. Rachel poczuła narastający w gardle szloch. Ale się opanowała. Jeśli istniała dla niej jakakolwiek szansa na ocalenie życia, musiała zachować spokój.

Kay zatrasnęła bagażnik.

– W porządku, idziemy. – Machnęła w stronę swojej ofiary lufą pistoletu.

– Dokąd?

Rachel

przez

moment

rozważała

możliwość

ucieczki.

Zastanawiała się, czy nie pójść, ile sił w nogach, licząc na to, że napastniczka nie zdecyduje się na oddanie strzału albo nie chybi celu.

– Na drugą stronę cmentarza. No już!

W ostatniej chwili Rachel zabrakło odwagi. Doszła do wniosku, że nie jest w stanie podjąć tak wielkiego ryzyka. Ugięły się pod nią kolana na myśl o tym, że może dostać kulę w plecy. Posłusznie

odwróciła się i ruszyła we wskazanym kierunku. Rozglądała się chyłkiem za czymkolwiek, co by mogło okazać się przydatne do obrony.

eby ktokolwiek zechciał tu teraz się zjawić! Ale to miejsce było reliktem przeszłości, odwiedzanym wyłącznie z okazji dnia pamięci poległych na polu chwały. Przychodzili tu tylko czasami członkowie Towarzystwa Ochrony Zabytków, eby

zasadzić kwiaty, wyciąć chwasty lub wykonać inne prace porządkowe. Z autostrady cmentarz nie był widoczny, gdy zasłaniał go kościelny budynek. Osiemset metrów dalej, po prawej stronie, za polem wysokich i po ółkłych traw, zaczynał się las, przez który Rachel musiałyby przebiec, eby dotrzeć do domu. Po lewej stronie, a do starego kamieniołomu, ciągnął się zagajnik.

Wiedziała, e stamtąd na pewno nikt nie przyjdzie jej z odsieczą.

Przed sobą miała groby, a z tyłu uprawne pola.

Jeśli zamierzała podjąć próbę ratowania ycia, musiała to zrobić w ciągu najbliższych kilku minut. Wyczuwała narastające podniecenie idącej sześć kroków za sobą kobiety. W ka dej chwili mogło się przerodzić w wybuch morderczej furii. Rachel obawiała się, e gdy to nastąpi, będzie po niej. Chyba, e zdarzyłby się cud.

– Kieruj się w stronę grobowców. Dobrze. Podejdz do ostatniego w rzędzie.

Rachel powoli wykonywała polecenia. Nagle jej wzrok przykuła gruba gałąź le ąca na ziemi obok krypty. U ycie jej w charakterze orę a wobec pistoletu i no a byłoby gestem wielce ryzykownym, ale Rachel nie dysponowała adną inną bronią. A gdyby tak zdołała ją chwycić w ostatniej chwili i błyskawicznie się obrócić, biorąc zamach, zanim...

Mogła zginąć od kuli albo zostać zadżgana no em. Ale to było lepsze ni poddanie się bez walki.

Poczuła narastający w gardle szloch. Zdusiła go, zacisnęła dłonie, starając się zachować jasność myślenia i zaczęła się modlić.

Rozdział 57

– Gotów, Jeremy? – Tak, mamó.

Był przera ony. Ale mo e dzięki temu, e się bał, poczuł się silniejszy. Na myśl o tym, e zła istota wkrótce pojawi się z no em w drzwiach, waliło mu serce, oddech stał się przyspieszony i na moment przestał mu dokuczać obezwładniający ból głowy.

– Biegnij, synku. Gdy tylko otworzą się drzwi.

Jeremy przywarł do wilgotnego omszałego kamienia, gdy usłyszał znajomy chrobot. Teraz już wiedział, skąd pochodzi. Był to dźwięk szperającego w zamku klucza.

Zebrał wszystkie siły, aby wystrzelić z ciemnej kryjówki jak nietoperz.

Jego jedyna szansa polegała na tym, aby zaskoczyć i wyminąć stwora w przejściu. Wiedział, że zginie, jeśli mu się to nie uda.

Klucz ze zgrzytem obrócił się w zamku.

– Jestem z tobą, Jeremy. Do startu, gotów...

439

Rozdział 58

Gdy Rachel przystanąła, gałąź znajdowała się w odległości czterech metrów od jej stóp. Kay nie przestawała teraz się uśmiechać, choć w rzeczywistości wykrzywienie jej ust bardziej przywodziło na myśl upiorny grymas niż wyraz zadowolenia.

Rachel nie widziała niczego równie zatrważającego w całym swoim życiu. Część naziemną starego kamiennego grobowca, do którego została przyprawiona, porastała winorośl i mech, a na zardzewiałych

elaznych drzwiach widniało wyryte nazwisko Chasen.

Chasen. Rachel na nowo ogarnęła paniką, gdy przypomniała sobie, że według legendy w tej oto krypcie zostały znalezione doczesne szczątki organistki. Najwyraźniej Kay również w tym grobowcu zamierzała umieścić jej doczesne szczątki. Pewnie stanowiło to część jej szalonego planu.

– Nie ruszaj się! – Obląkana kobieta ostro nie okrzyknęła Rachel, aby otworzyć zamek długim, ozdobnym elaznym kluczem, który wydobyła z kieszeni płaszcza. Robiła to niezbyt sprawnie, ponieważ zamek był stary i zardzewiały, a tak więc dlatego, że ani na moment nie spuszczała z oczu swojej ofiary.

Rachel zdawała sobie sprawę, że z chwilą otwarcia drzwi rozpocznie się dla niej walka o życie.

– Nie przyprowadziłaś tutaj tamtych kobiet. – Starła się nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie. Miała nadzieję, że zdoła odwrócić uwagę przeciwniczki na wystarczająco długi czas, aby zbliżyć się do gałęzi.

440

– Gdybyś została znaleziona tak jak twoje poprzedniczki, policja mogłaby zacząć mnie podejrzewać. A poza tym, nie zamierzam narażać Thomasa. Nie chcę, aby wrócił do więzienia.

– Jeśli zaginę, rodzina będzie mnie szukać.

– Ale cię z pewnością nie znajdzie. – Rozległ się cichy trzask przekręcanego klucza i Kay uśmiechnęła się z satysfakcją. – Policja będzie prowadzić poszukiwania, ale w końcu dojdzie do wniosku, że uciekłaś. Tak przecie było, gdy cię zabiłam poprzednim razem.

I podobnie miała się sprawa z chłopcem.

– Z chłopcem? – Rachel zeszywniała, przejęta trwogą. Mówisz o Jeremym Watkinsie? Czy jemu tak cię wyrządziłaś krzywdę?

– Widział mnie. – Kay wyciągnęła klucz z drzwi i schowała go do kieszeni. – Zamknęłam go tutaj. Już pewnie nie żyje. Albo jest bliski śmierci, ale co to za różnica?

– Zabiłaś go? – Rachel zrobiło się słabo na myśl o biednym małym chłopcu, który stał się ofiarą tych samych morderczych dźgnięć nożem, co jego matka. I które wkrótce miały się równie stać jej udziałem.

– Nie w taki sam sposób jak tamte kobiety. – Przez chwilę Kay wydawała się niemal zmieszana. – Przecie nie czułam do niego nienawiści. Wszedł mi tylko w drogę. Dlatego uderzyłam go, a potem przyniosłam tutaj. Zamierzałam go zabić, ale mi w tym przeszkadzono. Jakiś głupiec przejeżdżający przez miasto zobaczył

mój samochód zaparkowany przed kościołem i się zatrzymał, aby zapytać o drogę. – Jej chichot mroził krew w żyłach. – To było zupełnie tak, jakby sam Bóg powstrzymał mnie przed zamordowaniem chłopca tamtej nocy. Wobec tego postanowiłam, 441

że nie będę się sprzeciwiać Jego woli i pozwolę, by go sam do siebie zabrał w stosownym czasie. Myślę jednak, że już zdążył tego dokonać.

Jak możesz z takim spokojem mówić o Bogu? – wyrwał się Rachel z głębi serca krzyk, którego natychmiast pożałowała, bowiem z oczu Kay zniknął wyraz zmieszania, a pojawiła się ta sama, co przedtem, lodowata determinacja.

– Wszystko, co robię, jest częścią boskiego planu – stwierdziła niemal z godnością, chwytając za klamkę w kształcie pierścienia.

Zawiasy musiały zostać naoliwione całkiem niedawno, ponieważ drzwi otworzyły się łatwo i bezszelestnie.

442

Rozdział 59

– Hop!

Jeremy wypadł z piskiem z koszmarnej groty z wyciągniętymi do przodu rękami, aby w razie potrzeby

z całej siły odepchnąć od siebie istotę, która była ucieleśnieniem zła. Zgodnie z jego oczekiwaniami stała tam, olbrzymia i szkaradna. Twarz miała w cieniu, a wiatr falował połami jej płaszcza. Niespodziewany odgłos tak ją zaskoczył,

e się cofnęła o krok. Jeremy, wspierany zachęcającymi okrzykami matki, przemknął obok niej, wprost w oślepiającą jasność. Świe y zapach ziemi, porywisty wiatr i yciodajny deszcz na twarzy; wszystko razem poraziło jego zmysły tak samo jak blask dnia. Prawie nic nie widział, ale nie było mu to potrzebne. Musiał tylko frunąć przed siebie. Prosto do światła.

443

Rozdział 60

Rachel krzyknęła równie , gdy Jeremy wyskoczył z grotty.

Ucieszyła się z całego serca, widząc, e jest zdrów i zdolny do ucieczki. Ale nie miała czasu, eby się nad tym zastanawiać. Gdy chłopiec przemknął obok nich jak strzała, Kay potknęła się i omal nie wypuściła z ręki pistoletu. Rachel zanurkowała po gałąź i wymachując nią, ruszyła do natarcia. Suchy konar ugodził kobietę w pierś, pozbawiając ją równowagi i spychając do krypty.

Rachel błyskawicznie zatrzasnęła za nią drzwi. Ale klucz miała jej przeciwniczka. Kay wrzeszczała. Rachel zdawała sobie sprawę, e nie zdoła długo utrzymać jej w zamknięciu. Napastniczka była od niej silniejsza. Kierując się nakazami instynktu, podparła jednym końcem gałęzi elazne wrota, a drugi wbiła w miękką ziemię.

Chocia zaporą nie mogła wystarczyć na długo, Rachel liczyła na to, e oboje z Jeremym zyskają czas, który umo liwi im ucieczkę.

Ale Kay próbowała sforsować drzwi, z całej siły uderzając o nie ciałem. Rachel zrzuciła z nóg pantofle i pomknęła co tchu w stronę samochodu. O ile dobrze pamiętała, klucze od stacyjki znajdowały się w baga niku.

– Jeremy! – próbowała przywołać chłopca. Był daleko przed nią. Gnał ile sił w nogach połą ście ką w stronę wybrukowanego chodnika przed kościołem. Biegł z wyciągniętymi przed sobą rękoma, a z gardła dobywały mu się rozdzierające, niemal nieludzkie dźwięki.

Rachel rzuciła tylko okiem w jego stronę, nim dopadła 444

samochodu. Dzięki Bogu, klucze były tam, gdzie się spodziewała je znaleźć! Wskoczyła za kierownicę i niezdarnie umieściła je w stacyjce. Gdy uruchomiła silnik, drzwi od krypty otworzyły się i pojawiła się w nich Kay, niepewnie stojąc na nogach.

Rachel zauwa yła ją w chwili, gdy pojazd ruszył z miejsca.

Zamarła z trwogi. Z całej siły nacisnęła pedał gazu i zawróciła.

Samochód z zawrotną prędkością zatoczył łuk. Koła rozpryskiwały na wszystkie strony błoto i trawę,

gdy pędził pełną drogą w kierunku autostrady.

Rachel widziała we wstecznym lusterku biegnącą Kay. Miała wykrzywioną twarz, a wiatr rozwiewał połę jej czarnego płaszcza.

Przywodziła na myśl Zorro albo ogromnego kruka.

Jeremy zdołał dobiec prawie do szosy. Rachel zajechała mu drogę i otworzyła drzwi od strony pasażera.

– Wsiadaj! – krzyknęła.

Przez moment sądziła, że chłopiec zamierza wyminąć samochód i pójść dalej, ale wskoczył do środka.

Gdy Rachel ponownie spojrzała do lusterka, nie dostrzegła Kay.

Pomimo to ostro wystartowała. Drzwi od strony pasażera załomotały na wietrze.

– Jeremy! Zamknij drzwi!

Bała się, że zszokowany chłopiec nie zrozumiał jej, ale po upływie sekundy wykonał polecenie. Wcisnęła guzik. Rozległ się trzask automatycznie zabezpieczanych zamków.

Gdy dojechali do skrzyżowania polnej drogi z szosą, nagle zza kępy drzew rosnących po lewej stronie wyłoniła się Kay i ruszyła na nich jak czołg. Oboje wrzasnęli. Rachel przyspieszyła i 445

samochód pomknął dalej. Ale ku jej przerażeniu po chwili ugrzązł

w rozmokłej od deszczu trawie i rzadkim błocie. Kay dzieliło teraz od nich zaledwie półtora metra. Zagradzała im wjazd na autostradę i była gotowa do walki.

Uśmiechała się krzywo. Jej oczy płonęły jak piekielne czeluście.

Wyciągnęła przed siebie dłonie, mierząc pistoletem prosto w twarz Rachel.

Jeremy zapiszczał przeraźliwie, kuląc się ze strachu. Rachel pisnęła równie. Docisnęła pedał gazu.

Pojazd ruszył z miejsca i uderzył w napastniczkę. Wzbiła się w powietrze jak olbrzymia wrona i wylądowała na masce z twarzą rozpląszczoną na przedniej szybie. Rachel zobaczyła w przelocie szkliste oczy oraz sączącą się z nosa i ust krew. Odbiła gwałtownie kierownicą w bok. Samochód przechylił się na jedną stronę, a ciało spadło z maski na drogę twarzą w dół.

Z powodu zdenerwowania Rachel, a tak e nadmiernej szybkości, samochód po krótkiej jeździe wpadł w poślizg i stoczył

się do rowu. Gwałtowny wstrząs rzucił pasa erów do przodu.

Chłopiec zwałił się jak kłoda z siedzenia, a Rachel uderzyła ciałem o kierownicę i nie mogła złapać tchu. Le ała przez chwilę bezwładnie jak szmaciana lalka. Dopiero po upływie kilku sekund, nie zwracając uwagi na dotkliwy ból, powoli wyprostowała się.

Niepokoiliła się o Jeremiego. Rzuciła lękliwie okiem do wstecznego lusterka. Wiedziała, e droga za nimi będzie pusta. A jednak musiała się upewnić.

Samochód le ał przewrócony w rowie. Nie ulegało wątpliwości, e nie nadaje się do dalszej jazdy.

– Czy nic ci się nie stało, Jeremy?

– Mamo?

– Kochanie, to ja, Rachel. Rachel Grant.

– Och. – Chłopiec przez moment milczał, a potem wystawił

głowę. – Czy ona nie yje?

– Tak sędę.

Zaczął bezgłównie płakać.

– Boli mnie głowa. Chcę do mamy.

Rachel miała ochotę rozplakać się razem z nim. Ale nade wszystko pragnęła dotrzeć do miejsca, które byłoby ponad wszelką wątpliwość bezpieczne. Chciała znaleźć się pomiędzy ludźmi.

– Jeremy, nie mo emy jechać dalej. Musimy uciekać. Na wszelki wypadek. Mieszkam niedaleko stąd. Jak sądzisz, czy 447

zdołasz tam dojść o własnych siłach?

Chłopiec trochę uspokoił się i otarł ręką oczy.

– Tak. Jeśli będę musiał.

Rachel z trudem otworzyła drzwi po swojej stronie i wysiadła z samochodu. Rozpadało się nie na arty. W ciągu kilku sekund włosy oblepiły jej głowę. Jeremy wyśliznął się za nią, a gdy znalazł

się w strugach deszczu, zaczął dr eć. Miał na sobie nieprawdopodobnie brudne szorty i podkoszulek. Rachel dostrzegła zakrzepłą

krew

nad

lewą

skronią

wokół

otwartej

siedmiocentymetrowej rany. Nic dziwnego, e chłopca bolała

głowa.

– Chodźmy – powiedziała, oglądając się bojaźliwie na drogę.

Ulewa ograniczała widoczność, ale Rachel nie zauważyła niczego niepokojącego. Chwyciła Jeremy'ego za rękę i ruszyła przed siebie.

Od Walnut Grove dzieliła ich odległość około czterystu metrów.

Gdy dotarli do podjazdu, byli przemoczeni do suchej nitki. Jeremy spojrzał pytająco na Rachel.

– Czy to pani dom?

– Tak.

– Biegnijmy.

Dopadli do frontowego wejścia w chwili, gdy błyskawica rozdarła niebo, a powietrzem wstrząsnął huk pioruna.

Dom był zamknięty. Rachel waliła pięścią do drzwi i długą chwilę trzymała palec na dzwonku, ale nikt nie otwierał.

Wszyscy gdzieś wyszli.

Wydało jej się to dziwne, ale nie miała zamiaru sterczeć na ganku ani dłużej się nad tym zastanawiać. Pragnęła jak najszybciej 448

znaleźć się w środku, pozamykać wszystkie wejścia i sprowadzić pomoc.

Na szczęście zawsze pod doniczką przy schodach był schowany zapasowy klucz.

– Czy wszystko w porządku? – spytał Jeremy, rozglądając się nerwowo wokół siebie, gdy Rachel otwierała zamek. Zawsze był

drobnym chłopcem, lecz teraz swoim wyglądem przypominał

widmo. Została z niego sama skóra i kości oraz olbrzymie, zapadnięte oczy. Los doświadczył go znacznie okrutniej niż ją.

Rachel objęła go ramieniem.

– Oczywiście – skłamała, wprowadzając go do domu. Starannie zamknęła za sobą drzwi na klucz i sięgnęła do kontaktu, eby zapalić światło w hallu.

Działało. Rachel odetchnęła z ulgą. Nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, jak bardzo boi się ciemności ani jak strasznie jest wciąż przera ona.

– Chodź, Jeremy. Zatelefonujemy na policję. A potem się zagrzejemy, wysuszymy i zrobimy sobie coś do zjedzenia...

– Czy ma pani parówki? – spytał chłopiec z nagłym ozywieniem.

Rachel roześmiała się, przytuliła go do siebie i posadziła na kuchennym krześle.

– Jestem pewna, że znajdziesz je w lodówce – powiedziała. –

Możesz sprawdzić. A ja tymczasem wezwę pomoc.

Ochoczo skorzystał z zaproszenia, otworzył drzwi do chłodziarki i zaczął szperać w środku. Rachel podniosła słuchawkę.

449

Drącymi dłońmi wykręciła numer posterunku.

– Mówi Rachel Grant – przedstawiła się, gdy po drugiej stronie usłyszała kobiecy głos. – Muszę natychmiast skontaktować się z naczelnikiem Wheatleyem.

– Nie ma go tutaj... Czy dobrze zrozumiałam i rozmawiam z panną Grant?

– Tak.

– O mój Boże! Szuka pani cały oddział policji. Sądziłyśmy już, że została pani uprowadzona. Skąd pani dzwoni?

– Telefonuję z domu. Rzeczywiście zostałam uprowadzona. Jest tutaj razem ze mną Jeremy Watkins. Przed chwilą zdołaliśmy uciec Kay Nelson jej samochodem i...

Rachel przerwała, dostrzegając cień za oszklonymi drzwiami do ogrodu. Oczy rozszerzyły się jej z przerażenia, gdy rozpoznała dziki wzrok oraz zakrwawioną i szkaradnie uśmiechającą się twarz, która zaglądała do środka. Paliała się lampa i nie było szansy na to, eby nie zostali zauważeni.

– Jak najprędzej przyślijcie tutaj kogoś! Ona jest pod domem! –

syknęła Rachel do telefonu i upuściła słuchawkę, nie zadając sobie nawet trudu, eby ją odłożyć na widełki.

Kay szarpała za klamkę. Na szczęście drzwi były zamknięte!

Gdyby tylko udało im się zatrzymać ją na zewnątrz do chwili przyjazdu policji...

Jeremy obejrzał się, zobaczył prześladowającą ich kobietę i zapiszczał. Kay roześmiała się i szydząc z niego, zaczęła mu wygrać palcem. Rachel doskoczyła do chłopca.

– Chodź – ponagliła go, zatrzymując się tylko po to, eby zabrać 450

z kuchni tasak. Rzucili się do ucieczki w stronę schodów. – Policja jest już w drodze. Ona nie może wejść do środka. Nic nam nie grozi. Jesteśmy bezpieczni.

– Mamo! Proszę, nie pozwól, ebym znowu dostał się w jej ręce! Mamo, gdzie jesteś? Chcę do mamy!

– Chodź, Jeremy!

Gdy dotarli do podestu drugiego piętra, Rachel zamarła z trwogi, słysząc brzęk wybijanej szyby.

– Ona już tu jest! – W głosie Jeremy'ego zabrzmiała histeria.

Rachel również była jej bliska. Ale tym razem nadciągała pomoc. I Rachel wiedziała, gdzie w domu jest przechowywana broń.

Należała do jej ojca i podczas ostatnich dziesięciu lat tylko raz z niej wystrzelono po to, eby się upewnić, czy jest sprawna. Leżała na szafie z taśmami magnetofonowymi na trzecim piętrze w sali balowej. Amunicję trzymano obok.

Rozległ się kolejny odgłos tłuczonego szkła, a potem piskliwy, tryumfalny chichot, który zmroził Rachel w włosach krew.

– Panno Grant...

– Zachowuj się cicho – błagała arliwie chłopca. Przez moment się zastanawiała, czy nie schronić się w jednej z łazienek. Ale zamki były słabe i gdyby Kay włamała się do środka, oboje z Jeremym znaleźliby się w pułapce. Nie, lepiej będzie, jeśli pobiegną na górę i zdobędą broń. Kay straci więcej czasu na poszukiwania.

Napastniczka była już w środku, Rachel słyszała chrzęst szkła pod jej stopami. Poczowała mdłości. Jeremy jęknął z trwogi. Rachel położyła mu dłoń na ustach i pospiesznie zaprowadziła wąskimi schodami na trzecie piętro.

– Rachel! – Wołała ją z dołu Kay nieswoim głosem.

Dobiegający dźwięk był nienaturalnie wysoki, niesamowity i pełen jadu.

Jeremy drął na całym ciele. Rachel przytuliła go do siebie, gdy biegli do sali balowej. Modliła się w duchu, eby policja zdążyła przybyć na czas.

– Rachel!

Kay była już na schodach! Kierowała się mokrymi i zabłoconymi śladami, które za sobą zostawiali. Pewnie była ranna.

W przeciwnym razie zdołałaby już ich dopaść.

Wbiegli do sali balowej. Rachel mocno ścisnęła Jeremy'ego za rękę. Sala była pogrążona w półmroku, za oknami zapadał już zmierzch. Pomieszczenie wypełniały liczne cienie, ale Rachel nie miała czasu, eby się ich obawiać. Wepchnęła Jeremy'ego za starą kanapę i cicho przebiegła po dębowym parkiecie na drugą stronę pokoju. Bała się, e Kay w każdej chwili może pojawić się w drzwiach. Sięgnęła w górę i przejechała dłonią po szafie. Ale ku swojemu przerażeniu nie znalazła broni.

– Rachel! – Pełen szyderstwa krzyk dobiegał już z bliska.

Zrozpaczona Rachel uzmysłowiła sobie, e kobieta dotarła na trzecie piętro i szybko zmierza w ich stronę.

– Schowaj się! – syknęła do Jeremy'ego, który przycupnął za kanapą. Chłopiec posłusznie zwinął się w kłębek, oplatając rękami głowę.

Rachel słyszała z dołu słabe dźwięki zegara, który wybijał

godzinę szóstą.

Zdołała dać nura za szafę, gdy w przejściu pojawiła się kobieta 452

sylwetka. Kay nienaturalnie pochylała się do przodu i wydawało się, e utyka na jedną nogę. Ciągnęła po ziemi płaszcz, który zostawiał za sobą szeroki zabłocony ślad. Włosy oblepiały jej czaszkę, a odraajający uśmiech nadawał jej twarzy niesamowity wyraz. Rachel zamartwiło serce, gdy oczy kobiety odnalazły ją w mroku. Zaciśnęła dłoń na trzonku tasaka. Gdyby tylko zdołała powstrzymać szaloną kobietę do czasu przyjazdu policji...

Nagle Kay podniosła rękę i Rachel stwierdziła z trwogą, e przeciwniczka wciąż jest uzbrojona.

Jeremy cicho załkał.

Kay obejrzała się za siebie, próbując go odnaleźć. Ruszyła powoli w stronę kryjówki chłopca.

Nagle na schodach i na korytarzu rozległ się odgłos kroków.

Kay znieruchomiała. Rachel była bliska omdlenia z ulgi. Dzięki Bogu,

e policja zdążyła na czas! Napastniczka straciła zainteresowanie wystraszonego chłopcem i skierowała pistolet w stronę otwartych drzwi. Cofnęła się o kilka kroków, eby mieć wszystkich na muszce.

Chłopiec

zachowywał

się

teraz

cicho

jak

myszka.

Wykorzystując chwilowe zamieszanie, wśliznął się na brzuchu pod kanapę – jedyną kryjówkę w sali balowej.

Nagle

do

pokoju

wpadł

Johnny.

Pośliznął

się

na

wypolerowanym parkiecie i ratując się przed upadkiem, w ostatniej chwili chwycił się framugi drzwi. Był przemoczony do suchej nitki.

Szły z niego krople, a wokół stóp tworzyły się kałuże. Ciężko dyszał i dzikim wzrokiem rozglądał się po sali.

– Johnny... – Usta Rachel wymówiły jego imię, ale nie wydobył

się z nich aden dźwięk. Przerzenie ścisnęła ją za gardło i nie była w stanie wymówić słowa nawet w chwili, gdy odnalazł ją wzrokiem, a z jego twarzy zniknął wyraz bezgranicznego lęku.

Olbrzymi dom był pogrąony w ciszy. Dobiegały tylko odgłosy burzy za oknem. Nie ulegało wątpliwości, e Johnny przybył sam.

A to oznaczało, e los całej trójki zale y od Kay, gdy tylko ona posiadała broń.

– Thomas – Kay zamrugęła oczami, robięć krok w stronę Johnny'ego. Dłoń z pistoletem drgnęła, obni ajęć nieco lufę. Usta kobiety wygięły się w uśmiechu, a w oczach pojawił się blask.

Wra enie było koszmarnie.

– Mój Bo e – rzekł Johnny. Utkwił wzrok w Kay, uświadamiając sobie nagłe jej stan oraz fakt, e mierzy do niego z pistoletu.

– Powinam powiedzieć raczej: Johnny. Przecie nie wiesz, e jesteś Thomasem? Chocia to fakt. Jesteś mój. Tak jak i ja nale ę tylko do ciebie. Jestem twoja na wieki.

Johnny błyskawicznie rzucił okiem w stronę Rachel. Milczała, eby nie zwracać na siebie uwagi przeciwniczki. Kay powinna jak najdłu ej mieć zaprzętniętę głowę Johnnym. Oby ciągnęła swoje wywody do czasu przybycia policji, co mogło nastąpić ju wkrótce.

– Otrzymałem w więzieniu twoje listy – stwierdził Johnny.

Całą uwagę skupił teraz na Kay. Zwracał się do niej łagodnym tonem, choć nie mógł się wyzbyć wyrazu czujności w oczach. – Bo to ty je przysyłałaś, prawda? Były pięknie napisane.

– Jaki jesteś bystry, e się domyśliłaś – zachichotała Kay wysokim, dziewczęcym głosem, który wywołał gęsię skórę na 454

ciele Rachel. – Zawsze byłaś bystry, Thomas.

– Mam na imię Johnny, zapomniałaś? – Uśmiechnął się, wsadził

ręce do kieszeni d insów i oparł się ramieniem o kominek. Z

włosów spływała mu woda, a przemoczony podkoszulek opinał

mięśnie klatki piersiowej.

– Nie ruszaj się! – ostrzegła go ostrym tonem, podnosząc lufę pistoletu. W postawie Johnny'ego nic nie wskazywało jednak na to, e zamierza być nieposłuszny. Ponownie opuściła broń i nieznacznie wzruszyła ramionami. – Niewa ne, jak siebie nazywasz. Ja i tak wiem, kim jesteś.

– Skąd wiesz? – W beztróskim i leniwym zachowaniu Johnny'ego nie było śladu napięcia, jakie z pewnością musiał

odczuwać. Rachel obserwowała scenę zza szafy i tak mocno ścisnęła trzonek tasaka, e jej knykie całkiem zbieły.

– Rozpoznałam cię, gdy po raz pierwszy mnie pocałowałeś.

– Gdy po raz pierwszy cię pocałowałem?... – W głosie Johnny'ego zabrzmiało wyraźne zdumienie. Wyprostował się, odrywając się od framugi kominka.

– Powiedziałam ci, ebyś się nie ruszał! – Uzbrojona dłoń niebezpiecznie się poruszyła. Ale po chwili Kay odezwała się znacznie łagodniejszym tonem: – To był pierwszy pocałunek w moim dorosłym yciu. Pamiętasz? Na zabawie z okazji Bo ego Narodzenia. Oboje jeszcze studiowaliśmy. Ty byłeś na drugim roku, ja na ostatnim. Przyszłam razem z przyjaciółką, a ty bawiłeś się w większym gronie. Wyglądałeś zachwycająco. Nie mogłam oderwać od ciebie oczu. Sądziłam, e w ogóle mnie nie zauwaasz.

Przypominam sobie jemiółę zawieszoną nad głową w przejściu.

455

Gdy wychodziłam, natknęłam się na ciebie. Chwyciłeś mnie w objęcia i pocałowałeś. A potem zrobiłeś to jeszcze raz. I wtedy zrozumiałam, e przez cały wieczór zdawałeś sobie sprawę z mojej obecności, tak jak ja byłam świadoma twojej. Od pierwszego pocałunku wiedziałam, kim jesteś. Moim mę czyną. Tylko moim.

– Jedyna zabawa z okazji świąt Bo ego Narodzenia, w której uczestniczyłem, odbywała się w szkole. I byłem wtedy tak pijany, e ledwo trzymałem się na nogach. Nic z niej nie pamiętam. –

Nieprzemyślana i pospieszna wypowiedź okazała się błędem.

– Nie pamiętasz? – Kay czuła się wyraźnie dotknięta. Zmru yła oczy. – Podejrzewałam, e zapomniałeś. I pomyśleć, e ja zawsze byłam ci wierna. A ty miałeś od tamtej pory tyle dziewcząt, e pewnie imiona połowy z nich wyleciały ci z głowy.

– Teraz sobie przypominam... – Rozpaczliwe wysiłki Johnny'ego, eby ratować sytuację, nie zdały się na nic.

Kay wyprostowała się, twarz wykrzywiła jej nienawiść i posłała Rachel jadowite spojrzenie. Po chwili znowu skupiła uwagę na Johnnym.

– Zawsze byłeś flirciarzem, prawda? Mam nadzieję, e jesteś z siebie dumny. Czy widzisz, do czego mnie doprowadziłeś? Ann Smythe, Marybeth Edwards, Glenda Watkins – wszystkie zginęły przez ciebie. I wiele innych w ciągu wieków, od kiedy byliśmy razem. Czy myślisz, e chciałam je zabijać? I czy sądzisz, e sprawi mi przyjemność zamordowanie Rachel?

Odgłosy burzy za oknem zakłóciło narastające wycie policyjnych syren. Kay umilkła, nasłuchując. Sparaliowana ze strachu Rachel przysłuchiwała się im równie. Oboje z Johnnym nie

odrywali wzroku od obłąkanej kobiety.

– Przyjechała policja. Zabiorą mnie do więzienia. I ona będzie ciebie miała – bełkotała Kay coraz bardziej piskliwym głosem. –

Muszę ją zabić. Nie, zabiję nas. Siebie i ciebie. Będziemy razem w wieczności i ona cię nie dostanie. Przynajmniej nie w tym yciu!

Rachel zjeżyła się włosy, gdy usłyszała chichot szalonej kobiety. Ręka z bronią podniosła się w górę, mierząc prosto w głowę Johnny'ego. Odruchowo cofnął się o krok i podniósł dłoń, jakby zasłaniając się przed niechybną kulą...

– Umieraj, kochany – powiedziała Kay i zachichotała.

– Nie! – wrzasnęła Rachel, zrywając się na równe nogi. Za oknem zagrzmiało. Deszcz zacinał w szyby. Ryk syren stawał się coraz głośniejszy...

Przez ułamek sekundy, nie dłużej, Kay utkwiała wzrok w Rachel.

Johnny wykorzystał moment zwłoki i rzucił się w stronę kobiety.

Dał szczupaka w dół jak za dawnych czasów, gdy był u szczytu swojej piłkarskiej kariery.

Kay zapiszczała, odskakując do tyłu. Rozległ się huk wystrzału.

Johnny krzyknął i runął na ziemię, o centymetry chybiając celu.

Chwycił się za szyję i kilkakrotnie przetoczył się po podłodze w stronę Rachel. Zamarła na widok krwi, która sączyła się pomiędzy jego palcami.

– Nie bój się, Thomas. Śmierć nie jest bolesna – szepnęła Kay, mierząc z pistoletu do leżącej twarzą do ziemi postaci, najwyraźniej z zamiarem dokończenia roboty.

– Nie! – krzyknęła ponownie Rachel, rzucając się na napastniczkę z podniesionym wysoko tasakiem.

457

– Ty dziwko! – Wzrok Kay spoczął na Rachel i pistolet wypalił

po raz drugi.

Wstrząs przypominał Rachel uderzenie końskiego kopyta w ramię. Przewróciła się na plecy, a tasak wypadł jej z ręki i ze stukotem wylądował półtora metra dalej.

Obłąkana kobieta ponownie skupiła uwagę na Johnnym, który leżał nieruchomo na ziemi. Z postrzępionej rany na szyi płynęła krew. Kay wycelowała pistolet w jego głowę.

Niespodziewanie ciemność rozdarła błyskawica i rozległ się ogłuszający huk pioruna. Olbrzymi konar drzewa uderzył w okna po przeciwległej stronie pokoju i wybił szyby.

Na Kay, stojącą najbliżej, posypał się grad odłamków.

Krzyknęła i odwróciła się twarzą do okien. Zrobiła krok w ich stronę i jeszcze jeden, zapominając o leżącym na podłodze Johnnym, jak gdyby coś ją zafascynowało w szalejącej wieczornej burzy.

W tym momencie do pokoju wtargnął zimny, wilgotny powiew i przesunął stojący nieopodal Rachel inwalidzki wózek Stana.

Rachel doznała nagłego olśnienia. Nie miała wątpliwości, co ma dalej robić.

Nie zważając na obolałe ramię, chwyciła fotel na kółkach i z całej siły pchnęła go w stronę napastniczki. Podciął jej nogi. Kay ciężko opadła na skórzane siedzenie. Obciążony wózek nabral

prędkości. Uderzył w częściowo wybite już szyby i gwałtownie przechylił się do przodu. Kay krzyknęła, znikając w oknie i rozpluwając się w mroku.

458

Rachel dopadła do Johnny'ego i osunęła się obok niego na ziemię. Wciąż klęczała i roztrzęsionymi dłońmi rozpaczliwie tamowała spódnicą krew sączącą się z rany, gdy do pokoju wpadło sześciu policjantów – cała ekipa sił porządkowych miasta Tylerville.

459

Rozdział 62

Następnego dnia za zamkniętymi drzwiami jednej z sal szpitala w Louisville zgromadziła się na korytarzu mała grupa ludzi. Tom Watkins ze swoimi dziećmi, jego narzeczona Heather i naczelnik Wheatley cicho rozmawiali z lekarzem.

– Jesteś gotów? – lekarz przerwał dyskusję, zwracając się do Jeremy'ego, który niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

Chłopiec skinął głową.

– No to chodź. – Mężczyzna w białym kitlu ruszył w stronę zamkniętych drzwi, otworzył je i zrobił miejsce w przejściu. Tom zbliżył się do sali razem z Jeremym, ale zaraz się wycofał.

– Wejdz sam – powiedział do syna, wypuszczając jego rękę.

– Jesteś pewien, tato?

– Tak.

Jeremy wyminął lekarza i zawahał się. Sala była pogrążona w mroku i w porównaniu z korytarzem panowała tu absolutna cisza.

Nie widział dokładnie postaci na łóżku. A jeśli ktoś popełnił

straszną pomyłkę? Chłopiec nie byłby już w stanie przeżyć rozczarowania.

– To ty jesteś Jeremy, prawda? – odezwała się siedząca przy łóżku pielęgniarka. Wstała i uśmiechnęła się do niego na powitanie.

Chłopiec skinął głową.

– Dopytywała się o ciebie. – Kobieta wskazała głową, aby podszedł bliżej.

Jeremy bał się poruszyć. Zmusił się jednak i zrobił kilka kroków do przodu. Siostra spojrzała w kierunku leżącej nieruchomo postaci.

460

– Pani syn jest tutaj, pani Watkins – powiedziała cicho.

Jeremy'emu załomotało serce, gdy postać się poruszyła.

– Jeremy? – Dobiegł go słaby i ledwie słyszalny szept. Ale chłopiec rozpoznał głos.

– Mamo? – Zrobił kolejny krok, a potem podbiegł. Pewnie rzuciłby się na łóżko, gdyby pielęgniarka w ostatniej chwili nie chwyciła go mocno obiema rękami w pasie.

– Spokojnie! Nie chcesz jej przecie zadać bólu, prawda? –

Upomniała go łagodnie.

– Mamo!

To była ona. Odwróciła głowę, a zielony blask stojącego przy łóżku monitora oświetlił jej rysy.

– Jeremy. – Uśmiechnęła się czule do syna i wysunęła spod pościeli rękę, szukając po omacku jego dłoni.

Siostra pozwoliła się chłopcu do niej zbliżyć, ale ścisnęła go ostrzegawczo za ramię. Chwycił rękę matki i pochylił się nad jej wymizerowanym ciałem. Łzy szczęścia, ulgi i wdzięczności wypełniły mu oczy i zaczęły spływać po policzkach.

– Myślałem, że umarłaś – rzekł zdławionym głosem.

– Jak widzisz, żyję. – Glenda zdobyła się na kolejny słaby uśmiech. – Trudniej zabić mnie niż tchórza.

Lekarze twierdzą, e wyzdrowieję. Nic się nie martw.

Jeremy pochylił się ni ej, eby przycisnąć policzek do jej twarzy.

– To był prawdziwy koszmar. – Załamał mu się głos i łkając wtulił głowę w wychudzone ramię matki.

– Mnie te śniły się koszmary – szepnęła. – Miałam 461

przera ające sny o tym, e zostałeś uwięziony w ciemnej grocie.

Zdawało mi się, e mnie wołasz. Próbowałam do ciebie dotrzeć.

– Miejsce, w którym zostałem zamknięty, rzeczywiście przypominało grootę. I to prawda, e cię wzywałem. – Jeremy podniósł głowę i spojrział na matkę.

– Tak? Śniło mi się, e grozi ci niebezpieczeństwo.

– Bo mi groziło. I ty mnie uratowałaś. Tamta zła kobieta chciała mnie zabić...

– Wystarczy – wtrąciła się pielęgniarka. – Nie będziemy niepokoić mamy, prawda? Opowiesz później o swoich przygodach.

Teraz jest jej potrzebny spokój i wypoczynek. – I uciszając chłopca, poło yła mu rękę na ramieniu.

Jeremy zacisnął usta. Glenda przyciągnęła go do siebie.

Koszmar powoli się od nich oddalał, gdy przez chwilę trwali złączeni w uścisku.

Na korytarzu Tom Watkins spojrział krzywo na naczelnika Wheatleya.

– Nie miał pan prawa dopuścić do tego, by dzieciaki sądziły, e ich matka umarła. Prze yły prawdziwe piekło. Tak się bały.

Wheatley westchnął.

– Staralem ci się to ju wytłumaczyć, Tom. Moim głównym zadaniem było utrzymanie Glendy przy yciu. Nie mogliśmy jej bronić przed wszystkimi mieszkańcami miasta dwadzieścia cztery godziny na dobę, i to przez nieokreślony czas. Gdy ją znaleźliśmy, była w stanie śpiączki. Dopiero wczoraj przebudziła się i zaczęła wzywać Jeremy'ego. Gdybyśmy powiedzieli komukolwiek, a szczególnie dzieciom, e yje, wkrótce dowiedziałoby się o tym 462

całe miasto. Dobrze wiesz, jacy są ludzie. A nie ma takiej osoby, nie wyłączając ciebie, co do której byłbym w stu procentach pewien, e jest niewinna. Czuwaliśmy przed salą Glendy, ale wystarczył jeden błąd, a mogła zginąć naprawdę. Nie zapominaj, e widziała zabójcę.

– Tak, tak.

– Woleliśmy, eby morderca był przekonany o śmierci swojej ofiary. To było najlepsze rozwiązanie. Postanowiliśmy zaczekać, a Glenda się obudzi i sama nam powie, kto rzucił się na nią z nożem.

– I powiedziała wam?

– Och, tak. Wczoraj, mniej więcej o tej porze. Ale w chwili, gdy podała nam nazwisko, Kay Nelson nastawała na ycie panny Grant, Harrisa i pańskiego syna.

– Dzięki Bogu, e adne z nich nie zginęło.

– Amen.

Drzwi do sali Glendy otworzyły się i pojawił się w nich Jeremy.

Pielęgniarka czekała w przejściu.

– Chce się widzieć z dziewczętami i z Jake'iem – powiedział

rozpromieniony chłopiec, ocierając z policzków łzy.

– Mama! Mama! – Trójka dzieci pośpieszyła w stronę otwartej sali.

– Po kolei – poprosiła siostra. Ashley wepchnęła się jako pierwsza, a pielęgniarka zamknęła za nią drzwi.

– Mama – powiedział płaczącym głosem Jake, gdy razem z siostrą zostali odprawieni z kwitkiem. Niepokojąco drżała mu dolna warga.

– Oboje będziecie mogli się z nią zobaczyć – obiecał lekarz, 463

uspokajająco kładąc dłonie na drobnych ramionach dzieci.

– Mama yje, Jake – zapewnił brata Jeremy. A potem spojrzał

na Lindsay. – Mama yje, Lin!

– To wspaniała nowina, prawda? – spytał z uśmiechem Tom Watkins.

– Tak, tato. To najwspanialsza z nowin – przyznał szczęśliwy chłopiec.

464

Epilog

– Kay była pomyłona, prawda?

– Oczywiście, e była. – Johnny uspokajająco ścisnął ją za rękę.

Od momentu, gdy ruszył jej na odsiecz, mknąc motocyklem poprzez burzę z szybkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę i zostawiając za sobą daleko w tyle policję, czuł

potrzebę ciągłego dotykania Rachel. Nawet owej pierwszej nocy w szpitalu, gdy zaaplikowano mu mocny środek znieczulający, rzucał

się niespokojnie na łóżko i wołał ją, dopóki nie usiadła przy nim.

Uspokoił się natychmiast, gdy go wzięła za rękę. Jej rana była na szczęście tylko powierzchowna i wystarczył opatrunek zrobiony w ambulatorium.

Od tamtej pory upłynęły już dwa miesiące. A teraz stali oboje przy grobie jej ojca. Stan Grant zmarł owego straszliwego wieczoru, kiedy to Kay usiłowała ich zamordować. Rachel nie zastała wtedy nikogo w domu, ponieważ wszyscy członkowie rodziny zostali nagle wezwani do łóżka umierającego. Zgon nastąpił dokładnie pięć minut po godzinie szóstej.

Rachel przypominała sobie,

e zegar wybił szóstą chwilę

przedtem, nim gałąź wpadła przez okno do pokoju i przesunął się inwalidzki wózek. Gdyby nie te nieoczekiwane okoliczności, Kay prawdopodobnie zdążyłaby przed przyjazdem policji zastrzelić całą trójkę. Rachel w głębi serca wierzyła, e zostali uratowani przez ojca, który zakończył swoje ziemskie życie w momencie, kiedy jego pomoc była im najbardziej potrzebna.

Czy by przerwał na moment swoją ostatnią podróż po to, eby

ocalić ukochaną córkę?

Rachel miała niezachwianą pewność, e jego duch przebywał

wtedy razem z nią w pokoju.

To była pocieszająca teoria i Rachel skwapliwie ją wyznawała.

Dzięki

owemu

wewnętrznemu

przekonaniu

odejście

ojca

przepęłniło Rachel bardziej uczuciem miłości niż smutku i pozwoliło skoncentrować się na przyszłości.

– Jeśli chcesz, możemy trochę dłużej zostać w Tylerville zaproponował cicho Johnny.

Na dworze panował przenikliwy jesienny chłód. Johnny miał na sobie skórzaną kurtkę zapiętą na błyskawiczny zamek pod samą brodę, a Rachel była w ciężkim wełnianym płaszczu, który jej sięgał niemal do kostek. Ślad po ranie Johnny'ego poszarpana blizna na samym środku szyi – zakrywał kołnierz kurtki. Rachel na szczęście została zaledwie drażnięta w ramię. Kontakt chłodnego powietrza ze skórą w miejscu niewielkiego zbliznowacenia sprawiał

lekki ból. Rachel zastanawiała się, czy ta drobna dolegliwość będzie jej już dokuczać do końca życia, przypominając o tym, co mogło się stać.

– Nie. Jestem gotowa do wyjazdu. Chciałam tylko najpierw poegnąć się z tatą.

– Ażuję, ale nie miałem okazji lepiej go poznać.

– A ja ażuję, ale on nie poznał ciebie. I ogromnie mi przykro, ale nie dożył naszego wesela.

Na ślubie w charakterze drużby wystąpił Jeremy, a orszak tworzyli pozostali członkowie rodziny Watkinsów z Glendą na inwalidzkim wózku włącznie. W podróż poślubną nowożeńcy mieli 466

wyruszyć do Kolorado, dokąd Johnny zawsze chciał pojechać.

Zamierzali w ten sposób połączyć wycieczkę krajoznawczą z miodowym miesiącem. Przed wyjazdem Rachel postawiła tylko jeden warunek. Chciała, aby podróżowali samochodem, a nie motocyklem. Johnny ustalił natomiast, że to on zajmie miejsce za kierownicą.

– Czy wierzysz w to, że uratował nas duch mojego taty? Johnny podniósł jej rękę do ust. Rozmawiali już o tym przedtem i wiedział, że ta myśl przynosi jej ulgę.

– To całkiem możliwe – odparł. – Dlaczego nie? Z pewnością istnieje w nas jakaś nieśmiertelna cząstka. A twój ojciec kochał cię bezgranicznie. – Spojrzał na jej uniesioną w górę twarz i zacytował

cicho: – „Niezliczone pokolenia przemijają jak jesienne liście.

Tylko miłość jest wieczna. Tylko miłość nigdy nie umiera”.

– Jakże to piękne. – Rachel głęboko westchnęła, garnąc się do niego. Mocno objął ją ramieniem. Na krótką chwilę Rachel przypomniała sobie o obsesji Kay i zdradzie.

– Henry Kemp. – Johnny ustalił z satysfakcją to samo imię poety.

– Podobnie jak Robert Burns pisywał piekielnie dobrą poezję.

– Och, ty! – Rachel ze śmiechem wyrwała mu się z objęć. Jego słowa rozproszyły nagły chłód.

– Kocham cię – wyznał niespodziewanie arliwym tonem.

– Ja ciebie te – powiedziała.

Pochylił głowę, eby ją pocałować. A potem ze splecionymi dłońmi wyszli z cienia cmentarnych drzew w słoneczny blask nowego ycia.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)